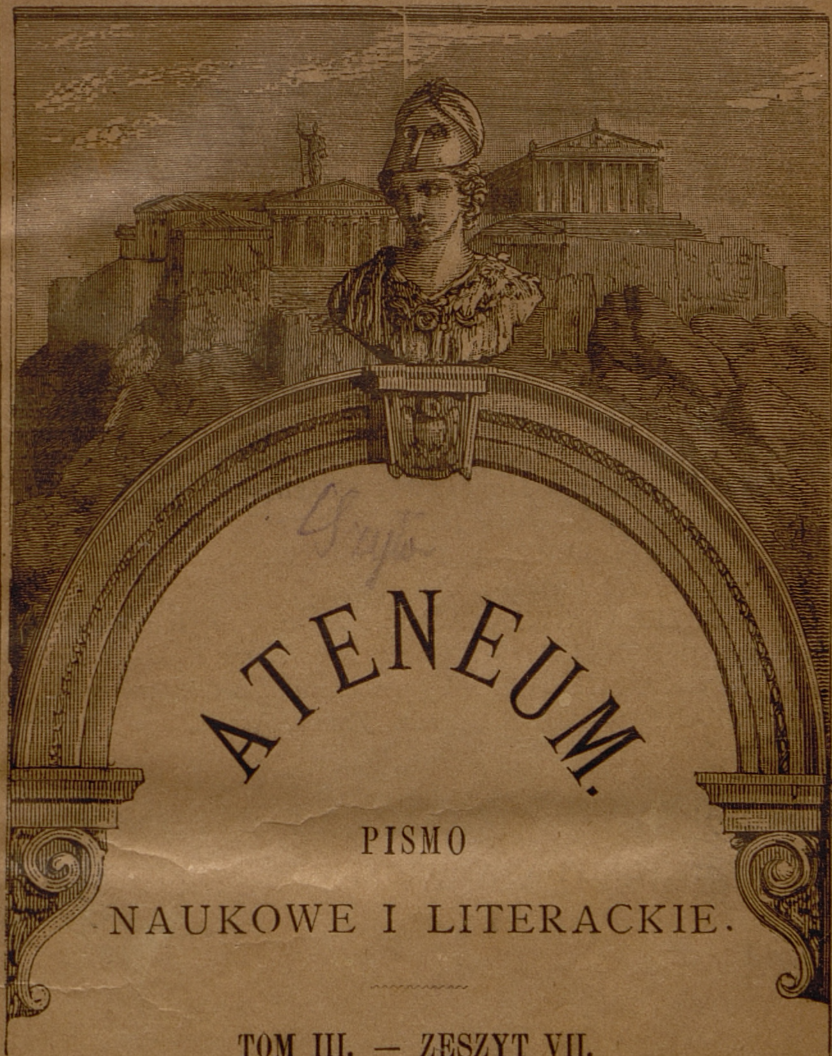


ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT VII.

Lipiec.

WARSZAWA
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr 2406 (3).
1876

SPIS RZECZY.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Іюля 1876 г.

OJCIEC STANISŁAWA AUGUSTA

przez

KLEMENSA KANTECKIEGO.

Nie ma zaprawdę dla autorów monografii milszego i wdzięczniejszego zadania nad opowiadanie o kolejach życia, o czynach i zasługach człowieka zespalającego z wielkiemi zdolnościami duszę prawą i szlachetną; z wysokim talentem wojownika czy męża stanu, serce czyste, wylane dla dobra kraju, gotowe do wszelkich ofiar na rzecz ogółu—słowem człowieka, posiadającego całą jego sympatyą, będącego dlań z dawien dawna przedmiotem podziwu i uwielbienia.

Jakże natomiast odmienne jest położenie historyka, nie związanego żadnym serdecznym węzłem z treścią opowiadanych zdarzeń i z osobą aktora; zostającego zimnym i obojętnym na jego złe czy dobre losy, bo człowiek ten, lubo niepowszedniéj miary, niczém nie zdołał go ująć i wzruszyć, bo nie posiadał owego świętego ognia, udzielającego się magnetycznie zarówno współczesnym, jak późnéj potomności, bo nie służył dobréj sprawie z gorącą wiarą i silném przedsięwzięciem, aby dla niéj mienie i życie położyć, bo służył tylko interesom partyi lub własnéj ambicyi i własnym korzyściom.

Powie kto może, iż zamiast poświęcać niewdzięczny trud czasom rozprzężenia i upadku, studyom nad osobami bez wyższéj moralnéj wartości, lepiéj je pomijać jak dżumą nawiedzone miejsca; że lepiéj odwracać od nich oczy ze wstrętem, a obierać sobie świetniejsze czasy, sympatyczniejszych ludzi, do których lgnie serce, a zapala się wyobraźnia. Niestety tak dotąd myślała powszechność nasza, tak myśleli za jéj przykładem i historycy, czego owocem fakt nader smutny, że na cały 66 letni okres rządów

obu Sasów, w którym szukać należy klucza do wyjaśnienia zdarzeń następnego 32-letniego okresu, zamykającego dzieje niezależnego bytu Rzeczypospolitéj, że mówię na tak wielki przeciąg czasu mamy zaledwie jednę nowoczesną polską monografią pióra K. Jarochowskiego, obejmującą do téj pory tylko lat siedem (1).

Jarochowski też widząc, jak szkodliwe dla nauki i dla narodu jest owo systematyczne pomijanie téj niechlubnéj wprawdzie epoki historyi naszéj, pomijanie idące ręka w rękę z wysuwaniem na pierwszy plan świetniejszych ustępów wieków dawniejszych; widząc, jak historyk nie powinien się uprzedzać do żadnego okresu, a z najsmutniejszéj doby klęsk zewnętrznych i wewnętrznego rozstroju czerpać naukę dla współczesności, podjął się skreślenia obrazu pierwszych lat tyle niepomyślnego dla Polski panowania Fryderyka Augusta II, lubo nie tajne mu były wszystkie niedogodności i trudności zadania.

W istocie czasom tym brak zupełnie tak człowieka, jak idei i hasła „około którychby się serce i ramię narodowe skupić i szeregować mogło."

Próżnobyś w nich szukał „polskiego męża i myśli polskiéj," daremniebyś się wysilał jakimkolwiek sposobem „rozświecić ciemny dedal ówczesnego zamętu." W środku Polski stoją na przeciw siebie, tocząc bój zażarty, barbarzyński, z jednéj strony okrutny król Don-Juan, uważający Polskę za „przedmiot dynastycznéj spekulacyi i terrytoryalno-politycznego frymarku;" z drugiéj, wprawdzie rycerski, lecz awanturniczy i wiecznie nowych podbojów łaknący wojownik, oddający nielitościwie na pastwę rozhukanego żołnierstwa kraj, którego się głosił sprzymierzeńcem i opiekunem. A sam naród, jakby dla dopełnienia miary nieszczęść i upadku, w dziwném zaślepieniu dzieli się pomiędzy tych dwóch śmiertelnych wrogów, i zamiast myśleć o wydobyciu ojczyzny z toni, z dziwną zaciekłością toczy z siebie krew serdeczną. Z licznego zastępu szlachty i magnatów, nie widzisz ani jednéj piersi „skrojonéj nie podług miary krawca, lecz Fidyasza," ani jednéj, zasługującéj choć w części na porównanie z Czarnieckim, Pułaskim, Kościuszką. Wszyscy oni, jak trafnie zauważył Jarochowski, „pigmeje, którzy nie patrzą po za widokrąg swego partykularnego interesu, swéj małéj namiętności lub mniejszéj jeszcze ambicyi. Żaden z nich nie ma ani serca, ani głowy dla Polski; każdy z nich jeśli boleje, to za siebie, nie za nią."

---

(1) I. 1697—1702; II. 1702—1704. Jarochowski.

Przyznawszy, że w kilka i w kilkanaście lat po opuszczeniu Polski przez Karola XII i po przeniesieniu walki w inne strony, wyrastają z bezprzykładnego zamętu „ludzie dzielnéj dłoni i dojrzałéj rady, ludzie jeśli nie zasługujący na miano wielkich, to przynajmniéj sympatycznéj w dziejach narodowych pamięci,“ stanowiący niejako łącznik pomiędzy świetną przeszłością, a lepszym na przyszłość zwrotem; wymienia nasz historyk kilku „wychowańców wojennéj i politycznéj szkoły Karola XII,“ i zalicza do nich człowieka, któremu rzecz niniejszą poświęcamy, a który tak ze względu na osobiste zdolności i znaczenie, jako też na stosunek do syna króla, zasługuje na baczniejszą niż dotąd uwagę. Przyznając Poniatowskiemu wysokie talenta i zalety, uważając go za jednego z najniepospolitszych ludzi swego czasu, nie możemy się jednak zgodzić na powyższe zdanie, jako przypisujące mu pewne uczucia patryotyczne, jakich nie miał, co wreszcie potwierdza sam Jarochowski w pisanym do nas liście, oświadczając, że służył raczéj sprawie Karola XII, dopóki ten żył, aniżeli interesom Polski; że jéj zaś i późniéj nie służył, będziemy mieli sposobność wykazać dowodnie. Niezwykła zręczność w prowadzeniu spraw, nadzwyczajne szczęście w każdém niemal przedsięwzięciu, nagłe wyniesienie z poziomu szlacheckiéj mierności, do wysokich urzędów, bo w końcu do pierwszego krzesła w senacie: wszystko to wprawia nas w podziw, i usposabia do życzliwszego może, niżby się godziło sądu. To też rozpływają się nad nim współcześni i potomni w przesadnych niekiedy pochwałach, głosząc, że Poniatowski „tak względem umiejętności w traktowaniu największych interesów *status*, jako też względem męztwa i experyencyi w wojennych rzeczach mało równych sobie ma“ (1), że jest to „dla wielkich talentów swoich w wojskowych i politycznych rzeczach nietylko w ojczyznie, ale też u postronnych narodów chrześciańskich, nawet u Turków i Tatarów, wielce sławny pan, *zaszczyt narodu polskiego i żywy model* dla koronnéj i litewskiéj, do honoru i fortuny dążącéj krwi szlacheckiéj“ (2). Z zapałem mówi o nim z powodu księcia podkomorzego tak surowy zkądinąd sędzia, jak Bartoszewicz, wypowiadający na inném miejscu nader prawdziwe choć smutne zdanie, „że, gdybyśmy chcieli do osobnych biografii

(1) Historya życia Stanisława I króla polskiego (1744) p. 210.

(2) Ibidem, p. 79. *Allgemeine Weltgeschichte*, nach dem Plan Wilh. Guthrie u. Joh. Gray etc. von Daniel Ernest Wagner Bd. 45, (1788) p. 673: „General major Poniatowski, der würdige Vater eines noch grösseren Sohnes.“

wybierać Zamojskich, Żołkiewskich, Koniecpolskich, w całéj pierwszéj połowie XVIII wieku nie znaleźlibyśmy nikogo.“ „Waleczny żołnierz (powiada), pełen zdolności dyplomata, wojewoda mazowiecki, a potém kasztelan krakowski, regimentarz koronny i ledwie co nie hetman wielki, Stanisław Poniatowski w każdym zawodzie, w którym pracował, zostawił piękne wspomnienia o znakomitych przymiotach umysłu. Miał kasztelan rozum na wszystko, umiał się wszędzie znaleźć, z każdego zadania wywiązać, znaleźć sposoby i środki; minister i wódz, dworak i obywatel, wszystko w nim było. Kochali go królowie, Leszczyński i Karol XII, potém oddał mu się całkiem i wróg Leszczyńskiego, saski August, a więc (dodaje) widzieli w nim coś więcéj panowie świata niż proste zasługi dla Rzeczypospolitéj, boć przecie przyjaźń dla Szwedów była nieprzyjaźnią dla Sasów. Zapominali jednak wszyscy z kolei przeszłości Poniatowskiego i przyjmowali go z otwartemi rękami, niedawno jeszcze wroga, który przeciw nim walczył. Zdawało się, że do losów Poniatowskiego przywiązany i tryumf sprawy spierających się o koronę panów.“ Tak mówi Bartoszewicz, nie znajdujący dość słów uznania dla ojca Stanisława Augusta, bo nie zdolny pojąć, jak człowiek przerzucający się tylokrotnie z obozu do obozu, zamiast tracić kredyt i znaczenie, pomnażał je owszem, wzrastał we wziętość, dostatki i zaszczyty. Ztąd też wnosi, po części słusznie, że Stanisław miał „w piersiach ogień zdolności, że sobie jednemu winien był wszystko,“ bo sam „krwawą pracą z niczego, doszedł stopnia, potęgi i znaczenia.“ Gdyby Bartoszewicz był znał dokładniéj szczegóły z życia kasztelana, gdyby był wiedział, jakiemi drogami zapewniał sobie tak trwałe mimo zmienionych w kraju stosunków powodzenie, byłby się zapewne nieco inaczéj wyraził, i o jego „krwawéj pracy,“ i o zasługach dla Rzeczypospolitéj, a nie byłby też na odwrót powiedział daléj, że Stanisław „tak samo jak jego syn książę podkomorzy, nie miał politycznego rozumu, że przez całe życie szedł za cudzém natchnieniem.“

Czy posiadał rozum polityczny w najwyższém znaczeniu wyrazu, trudno rozstrzygać: nie miał bowiem ani sposobności, by go rozwinąć, ile że nie dzierżył losów kraju w swych ręku; ani w narodzie sam przez się nie posiadał tak wielkiéj wziętości, aby ogół mógł za sobą porwać; a wreszcie nie sięgając myślą po za wyniesienie własne i rodziny, ustąpił niegodnie z ważnego stanowiska w jedynéj chwili, gdy był panem położenia, gdy mógł ocalić kraj i wyrość na bohatera. Natomiast mówiąc o „rozumie politycznym“ w zwykłém tego słowa znaczeniu, przyznać trzeba, że go

posiadał w wysokim stopniu, że bystrém i daleko widzącém okiem obejmował smutny stan kraju, i czuł dobrze, jak go ratować trzeba, choć do téj pracy o tyle tylko przykładał ręki, o ile go solidarność z Czartoryskimi wiązała. Wszystko zaś, co Bartoszewicz mówi o jego sukcesach w szwedzkim i saskim obozie naprzemian, o łaskach, jakiemi go zaszczycali z kolei Leszczyński i obadwaj Augustowie, wszystko to świadczy wymownie, jak biegłym był dyplomatą w swojéj sprawie, jak zawsze dopinał zamierzonego celu, zwyciężając nieprzebyte dla innych trudności, nie wzdrygając się przed najmniéj szlachetnemi środkami, w których był niewyczerpany, podchodząc tam ze schyloném czołem, gdzie nie podobna było przeskoczyć.

To też niezmożona czujność i przytomność umysłu, rzadka przenikliwość, sprężystość, porywająca wymowa i inne talenta połączone z brakiem skrupułów, z zupełną w gruncie bezbarwnością polityczną, wyniosły awanturniczego wybrańca fortuny nadspodziewanie wysoko.

Najbardziéj charakteryzującym go rysem, któremu zawdzięczał znaczną część powodzenia, była szczególna elastyczność, osobny dar, odrębna umiejętność układania się do wszelkich okoliczności, do nastroju każdego towarzystwa, w którém się znalazł, dopatrywania szczególnych słabości ludzkich i wyzyskiwania ich na swoję korzyść, do zniewalania sobie różnych osób postępowaniem, zastosowaném do ich gustów i upodobań, co pociągało za sobą niezachwiane szczęście do ludzi. Był to człowiek lśniący barwami kameleona, ujmujący każdego innym kolorem. Jak jego lekkie, błyskotliwe, dowcipne, nieraz cynicznemi zwrotami zabarwione listy do młodych lwic wielkiego świata, odbijają dziwnym kontrastem od poważnych, przepełnionych makaronizmami pism do dygnitarzy i ministrów,— tak się różniły jego wzięcie, maniery, tryb życia na wesołym, hulaszczym, wykwintnemu rozpasaniu hołdującym dworze Augusta II, a na surowym i pobożnym Leszczyńskiego. Wierny zawartéj w przysłowiu przestrodze, tego piosnkę śpiewa, na czyim wozie siedzi; dla przypodobania się królowi Stanisławowi, z godną uznania wytrwałością, kilku mszy na dzień słucha, aby niebawem szydzić ze swéj rzekoméj pobożności i bluźnić. Jeśli okrom ambicyi — nie téj trwającéj, gorączkowéj, popychającéj do nierozważnych, szalonych czynów, ale spokojnym i pewnym krokiem zdążającéj do raz wytkniętéj mety,—jeśli prócz niéj miał inne silne namiętności, hamował je i poddawał zawsze pod nieugięty ster wszechwładnego, nieubłaganego rozumu wobec przewagi którego, wszystkie uczucia milkły i ustępowały, jak

pierzcha i niknie przed jasnym promieniem słońca wątła mgła chmurnego poranka... Taka doskonałość w swoim rodzaju w latach najmłodszych nie była podobno jego udziałem, owszem z urodzenia skłonny do gwałtownych popędów, umiał je z biegiem czasu ująć w karby, mocą górującéj ponad wszystko rozwagi, — umiał wedle słów poety „pod ziemię ukrywać swe gniewy,“ gotów nawet znieść na razie ciężką obelgę, jeśli za korzystniejsze dla siebie uważał obrachunek z przeciwnikiem odłożyć na późniéj, niż folgować chwilowemu wzburzeniu... Pod pewnym względem był on podobny do Wilhelma Orańskiego, zięcia Jakóba II, jakkolwiek zastrzegamy wyraźnie, że nie myślimy bynajmniéj stawiać go na równi z tym wielkim mężem; aby bowiem stanąć obok niego, musiałby posiadać szlachetniejszy umysł i wyższą, nie tak wyłącznie, egoistyczną ambicyą. Obadwaj jednak, jakkolwiek niemało czasu spędzili w obozach i na polach bitew, jakkolwiek złożyli dowody męztwa i znajomości sztuki wojennéj, nierównie większymi byli dyplomatami, niż wojownikami; obaj też posiadali wysoce rozwinięty przymiot zimnéj krwi wśród największych niebezpieczeństw, dar utajenia wewnętrznych usposobień i uczuć, pokrycia ich nieprzeniknioną maską obojętności, z tą jedynie różnicą, że u Wilhelma pod zimną skorupą zewnętrznego spokoju wrzał często potężny wulkan wzburzonych namiętności, i w pewnych chwilach gwałtownie strumieniem lawy wybuchał; gdy Stanisław tlejące jeszcze wśród popiołów iskierki troskliwie przygaszał i tłumił wszelkie żywsze serca porywy.

O ile jednak powyżéj wyrażone porównanie jednostronnie tylko jest trafne, o tyle znów trudno nie przyznać uderzającego pod wielu względami podobieństwa między naszym bohaterem, a jedną z najcharakterystyczniejszych postaci XI wieku, w Niemczech, rysującą się jaskrawo na ponurém tle burzliwéj epoki Henryka IV i Grzegorza W. — Ottona z Nordheimu. Najgroźniejszy może ze świeckich przeciwników króla, po przytłumieniu powstania w Saxonii (1075), gdy wszyscy rokoszanie ponoszą surową karę, on jeden wyparłszy się swéj przeszłości, wychodzi cało z niebezpieczeństwa, dając tylko dwóch synów na zakładników, i tak dalece nawet umie się wkraść w monarsze względy, że dostaje Saxonią w zarząd. W zamian za tyle łask w rok późniéj, gdy nad głową Henryka zbierają się nowe chmury, zdradza go Otton jako jeden z pierwszych i na sejmie tryburskim obstaje namiętnie za złożeniem go z tronu. Również jak Poniatowski obok Rudolfa szwabskiego i równie też bez skutku rościł on pretensye do korony w porze zatargów między królem a papieżem; ma też ze Sta-

nisławem wiele rysów charakteru wspólnych. Chcąc uwydatnić analogią, dość przytoczyć słowa Stenzla o Ottonie: „Cechowała go oględność w układaniu projektów, przebiegłość, zasadzająca się na osłanianiu swoich zamysłów maską miłości ojczyzny, bystry wzrok w wirze bitwy i świetne męztwo okazywane w chwilach największego niebezpieczeństwa... Wymowny, ambitny, obojętny w wyborze środków, zdradziecki, niewdzięczny, gotów się chwycić wszystkiego, co tylko prowadziło do upragnionego przezeń celu, t. j. do władzy.“

Gdyby Stanisław był pewny, że mu się uda własny interes połączyć z dobrem kraju, że będzie mógł równocześnie opływać w dostatkach, zaszczytach, i ojczyźnie dobrze służyć, byłby się ochoczo podjął takiéj roli ile że schlebiającéj jego olbrzymiéj ambicyi. Zbyt wielkim jednak był samolubem, by dla owéj świetnéj nadziei, która mu się może w szczęśliwszych chwilach uśmiechała postawić wszystko na kartę.

Gdyby stał na czele państwa, jak wielcy kardynałowie w pierwszéj połowie XVII wieku we Francyi; byłby niezawodnie podobniejszy raczéj do Mazarin'a niż do Richelieu'go, a wątpić jeszcze należy, czyby się zdobył na piękny krok pierwszego grożącego Ludwikowi XIV porzuceniem Francyi, jeśliby trwał w zamiarze zaślubienia jego siostrzenicy, pięknéj, Maryi Mancini.

Słowem był skończony dworak, posuwający się z nadzwyczajną łatwością i swobodą po śliskiéj posadzce królewskich komnat i pachnących buduarów pięknych kobiet, człowiek nie mający w sobie nic zgoła polskiego, różniący się wybitnie od całego tłumu współczesnych ziomków, oburzających nas często swojém warcholstwem, rozpasaniem i cynizmem, lecz wolnych od jego giętkiéj hypokryzyi.

W długiém, bo ośmdziesięcioletniém życiu Poniatowskiego, należy jednak odróżniać dwa wyraźnie rysujące się okresy, dwie do siebie niepodobne epoki. W piérwszéj z nich wynurzywszy się ze szlacheckiego gminu, używany zrazu do niższych posług wojennych, marzy o rycerskich wawrzynach, o zyskaniu wysokiego stopnia i zrobieniu świetnéj karyery na marsowém polu, a spotkawszy na swéj drodze jednego z najdzielniejszych, choć awanturniczych wojowników, uderzony jego wielkością, poddaje się wrażeniu podziwu i uwielbienia, jakie ku niemu uczuwa, przywiązuje się doń i służy mu wiernie w najcięższych nawet chwilach, podsycając może tę wytrwałość błogą otuchą, że ów bohater uginający się teraz pod ciężarem zmiennego losu, stanąwszy na czele walecznych swych hufców, rozbije znowu tryumfującego

chwilowego wroga, a jego dzielnym towarzyszom w nagrodę za wierne służby przypadną w udziale wysokie dostojeństwa.

Ze śmiercią Karola zniknęła ta nadzieja, a zarazem usunął mu się jedyny podobno przedmiot prawdziwego uwielbienia, zgasła jedyna gwiazda, ku któréj z miłością wytężał dotychczas swój wzrok, wedle jéj ruchu kierując zawsze swe kroki, w jéj blasku czerpiąc otuchę do dalszych trudów.

Dlugoletnie wojenne mozoły, połączone z bolesnym zawodem nieziszczonych widoków, osłabiły jego energią, zniżyły i tak już niewysoki poziom pragnień, i nadały im wyłącznie samolubną cechę. Kierunku takiego nie tlómaczą wprawdzie, lecz wyjaśniają go przynajmniéj nieszczęśliwe stosunki epoki, o których wspomnieliśmy poprzednio. Wpływały one pod niejednym względem równie zgubnie na ówczesnych dyplomatów i mężów stanu, jak powszchne zepsucie za czasów restauracyi monarchicznéj po Kromwelu i wojskowém wszechwładztwie w Anglii. Co Macaulay mówi o moralnym upadku ludzi politycznych, otaczających Karola II, tobyśmy niemal dosłownie mogli powtórzyć o wielu wybitniejszych osobistościach historyi naszéj z pierwszéj połowy XVIII w., a przedewszystkiém o Poniatowskim. Jeśli tamci wzrośli wśród coraz nowych zmian i katastrof, jeśli widzieli „kościół episkopalny prześladujący purytanów, purytański ścigający stronników episkopatu i doczekali się, że episkopalny znowu purytanów ciemiężył“ jeśli widzieli władzę królewską srodze sponiewieraną i ginącą wraz z jéj reprezentantem, aby po zgonie wielkiego rewolucyonisty, upadku jego niedołężnego syna i poskromieniu rozzuchwalonéj tłuszczy zfanatyzowanego żołnierstwa, ujrzeć na nowo tryumf monarchii—jeśli długi parlament w ich oczach trzykrotnie wznosił się do szczytu potęgi i trzykrotnie rozwiązywany wracał do nicości, kawalerowie zaś i głowy okrągłe naprzemian opływali w wydzierane sobie wzajem dostatki i popadli w nędzę; to i u nas kolejno stają u steru stronnicy Sasów i Leszczyńskiego, raz ci, raz owi dochodzą do najwyższych godności, w miarę zwycięztw Karola lub Piotra W. i Augusta hojnie uposażani przez królów konfiskowanemi politycznym przeciwnikom dobrami, opuszczają chorągiew owych panów, skoro zwątpili o ich powodzeniu a powracają znowu, gdy im jutrzenka lepszéj doli zabłyska. Tu i tam zarówno tenże sam brak silnych przekonań, toż samo brzydkie samolubstwo i nizka troskliwość o osobiste jedynie korzyści, taż sama sprzedajność, bo jeśli przeważna większość naszych magnatów już w pierwszéj połowie XVIII wieku brała pensye od dworu rossyjskiego, od Ludwika XIV, i sam król i jego zwolennicy, i opozycya; nie

uchylał się od nich nawet Algernon Sidney, mający w swym narodzie opinią: „wcielonéj miłości dobra publicznego.“

Kto w podobnych czasach — są słowa króla historyków nowoczesnych (1) — chce zająć polityczne stanowisko, ten musi się wyrzec wszelkiéj myśli niezłomnego wytrwania przy jednéj sprawie. Miasto dążyć do niezmienności wśród nieskończonych odmian, musi ciągle stać na straży i czuwać, śledzić objawy nadchodzącéj katastrofy, aby pochwycić chwilę, sposobną do opuszczenia sprawy upadającéj. Taka sytuacya rozwija w nim naturalnie do wysokiego stopnia osobny rodzaj zręczności; staje się bystrym w dostrzeganiu i w środki zaradcze płodnym. Z łatwością przyswaja sobie zewnętrzne cechy każdego stronnictwa, do którego przystępuje.“

Niejednego z rzuconych tu ogólnie rysów, dopatrzymy się późniéj w Poniatowskim. To pewna, że rzadko któremu z politycznych mężów rzeczonéj szkoły, sprzyjało szczęście tak statecznie, jak jemu. Przedsięwziąwszy sobie bądź co bądź wypłynąć na wierzch, nie mając rąk skrępowanych uczuciem przywiązania dla kogokolwiek, któreby silniejsze było od miłości własnéj, podąża szybko raz wytkniętym torem. W połowie swego politycznego zawodu, po zgonie Augusta II-go figuruje już między kandydatami do tronu, umiera najpierwszym w Polsce dygnitarzem cywilnym, a na nieporosłym jeszcze trawą grobie jego, drzewo Poniatowskich zakwita najwspanialszym kwiatem: młody Stanisław August gładkie swoje czoło zdobi koroną, w piękną, lecz słabą dłoń ujmuje berło.

Dopełnia powyższego wizerunku owo szczęśliwe zrazu dziecię fortuny, syn kasztelana, kreśląc może za pochlebnie drobniejsze rysy charakteru i usposobienia ojca. Ale tu mniéj zapewne niż gdziekolwiekindziéj zasługuje na posądzenie o stronność i przesadę, bo wymienia zalety i cnoty przeważnie zewnętrzne, jakiemi właśnie torował sobie drogę w życiu generał, jakiemi wszystkich czarował, będąc szczerym, otwartym (na pozór), kochającym, wesołym, ruchliwym, energiczniejszym i hojniejszym od innych, bardziéj też kochanym i popularnym (2).

---

(1) Macaulay. Dzieje Anglii, tom I, str. 218 (wyd. z r. 1854).

(2) Pamiętniki Stanisława Augusta, w przekładzie Br. Zaleskiego (Drezno 1870 str. 67 i 14). Na brak ścisłości tłómaczenia żalili się już Roepell i Liske. Przytoczony przez nas drobny urywek przekonywa o słuszności ich zarzutów; ztąd też poważyliśmy się zmienić kilka wyrazów, a mianowicie powiedzieć „hojniejszym“ zamiast „więcéj datnym“ od innych, prawda, że bez porównania z niewydanym dotąd oryginalnym textem Pamiętników.

Słowa powyższe zgadzają się ze świadectwem Rulhière'a, że „natura poskąpiwszy mu jedynie świetnego urodzenia, pod każdym innym względem szczodrze go uposażyła" (1).

Taki jest w najzwięźlejszém streszczeniu ciekawy przebieg życia człowieka, którego koleje roztoczymy z obfitością szczegółów, na jakie nas stać, dzięki zarówno drukowanym już, głównie obcym, rossyjskim i szwedzkim źródłom, przedewszystkiém własnéj jego broszurze, ogłoszonéj bezimiennie roku 1744 w języku francuzkim, jak niemniéj rękopiśmiennym materyałom, owocem archiwalnych poszukiwań w Dreznie, Mitawie, w archiwum Czartoryskich, w Zakładzie narod. Imienia Ossolińskich i t. d.

Bogactwo zdobytych szczęśliwie materyałów, rozstrzygnęło o metodzie naszéj pracy—sprawiło, że zamiast kłaść główny nacisk na ściśle historyczną stronę przedmiotu, i wiążąc losy bohatera naszego z równoczesnemi dziejami kraju, ostatnie jako tło traktować szeroko, uwzględniamy je owszem tylko o tyle, o ile dla zrozumienia rzeczy potrzeba, zwracając natomiast szczególną baczność na Poniatowskiego jako na człowieka, starając się wedle sił zapomnianą już postać odsłonić z poza mgły czasu, wystawić we właściwém świetle jéj charakter i moralną wartość, przeważnie na podstawie najwiarogodniejszych świadectw, bo własnych jego listów. Od szkicowania obrazu Polski współczesnéj, od podawania zawikłanych przejść politycznych, wstrzymać nam się wypada nietylko dlatego, że spodziewamy się mieć stosowniejszą po temu sposobność w dziele, podjętém na większą skalę: *O stosunku magnatów polskich do Rossyi w pierwszéj połowie XVIII wieku*, lecz niemniéj z powodu, że w takim razie skromna monografia urosłaby do rozmiarów obszernéj książki.

Nieprzebrana mnogość listów Poniatowskiego, wynalezionych w różnych miejscach częścią w oryginałach, częścią w kopiach, dała nam możność sądzenia go wedle własnych oświadczeń, wynurzeń i zeznań—zapewniła nam bodaj w drobnéj cząstce korzyść, jaką się cieszą współcześni, obcujący z tymi, o których piszą, i mający sposobność słyszenia ich zdań, poglądów i zasad.

Listy znakomitych osobistości, wydobywane skwapliwie z ukrycia, stały się dla nowoczesnéj historyografii złotą żyłą w obfitéj kopalni badań historycznych. Ocalony szczęśliwie z powodzi czasów plik korrespondencyi, dostarczył nieraz materyału do nieocenionych dzieł, które tém chętniejszych znajdowały czytelników, że

(6) Rulhière, Histoire de l'anarchie de Pologne, I pag. 196.

autor dzięki swéj zdobyczy mógł się podzielić z publicznością mnóstwem drobnych, a przecież charakterystycznych szczegółów, których daremnie szukałbyś gdzieindziéj. To też odbywają się na wielką skalę gorączkowe polowania na listy, a szczęśliwi znalazcy nie zaniedbują głosić, jak niezmiernéj wagi są te dokumenta, przedstawiające wielkiego człowieka w „codziennym negliżu,“ bo w nich, że użyjemy wyrażenia słynnego literata, wszystkie drobne i wielkie namiętności, sympatye i antypatye wychodzące na jaw, najtajniejsze motywa i uczucia, wypowiedziane w pełném zwierzeniu się, rzucają jakby światła i cienie, i portret nabiera podobieństwa w najdelikatniejszych odcieniach.

Tenże sam pisarz, pan Lucyan Siemieński, z właściwą sobie wytwornością słowa określił doniosłość listów jako materyału do biografii, mówiąc, że „są jak okna duszy, które autor mimowolnie otwiera, pozwalając zaglądać we wnętrze swojego świata.“

Nie myśląc bynajmniéj przeczyć, że troskliwsze niż do niedawna zużytkowanie korrespondencyi w literackich i historycznych monografiach wpłynęło nader zbawiennie na rozwój umiejętności, że dodało jéj niejako nowego żywiołu — wypowiem jednak nie nową zapewne obawę, aby téj zdobyczy nie przeceniano i nie używano jéj niekiedy z ujmą dla prawdy dziejowéj.

Jeśli temu nawet, co ludzie publiczni mówią pod świeżém jakiémś wrażeniem, w odpowiedzi na pewne interpellacye, nie zawsze dawać można wiarę, bo czyny ich ze słowami zbyt często zostają w sprzeczności; o ileż ostrożniéj chodzić trzeba około śladów ich myśli, wylanych na papier po dłuższym zwykle rozmyśle, z zamiarem przekonania kogoś, utwierdzenia go w tém lub owém zdaniu, wystawienia się w takiém lub inném świetle, często dla sprawienia efektu, zrehabilitowania się i t. p. Są wprawdzie ludzie tak szczerzy, prości i przezroczyści, ze wypowiadają tylko to, co czują, myślą i czego pragną. Ludzi takich częściéj spotkać można w zaciszu prywatnego życia; mężowie publiczni, zwłaszcza politycy i dyplomaci, trzymają się zwykle wprost przeciwnéj maxymy, upamiętnionéj znaném powiedzeniem Talleyranda. Tak się dzieje dziś, tak się działo mianowicie w XVIII wieku, a bohater nasz jak wiemy, był najnieodrodniejszym synem swego czasu. Ztąd bardzo oględnie korzystamy z pism jego, zestawiając zawsze słowa z czynami i śledząc, o ile mu wierzyć można.

* *

*

Genealogiczne drzewo Poniatowskich tonie w mgłach tajemniczych, lubo wcale nie zamierzchłéj, owszem niedawno ubiegłéj przeszłości—a wyznajemy szczerze, że w téj sprawie nie powiemy nic nowego, że nie rozwikłamy kłębka zaplątanego z dwóch stron nakształt gordyjskiego węzła. Kiedy się bowiem Stanisław połączył z dostojnym rodem Czartoryskich i dobił najwyższych w kraju dostojeństw, kiedy zwłaszcza rodzony syn jego zasiadł na tronie Piastów i Jagiellów, wypadało gwoli tak wielkiemu wyniesieniu zatrzeć ślady nizkiego pochodzenia, a natomiast postarać się o świetniejszych protoplastów.

Jak jednak nie brakło wówczas usłużnych pochlebców, w nadziei hojnéj nagrody i względów pańskich, gotowych do wyprowadzenia przodków króla choćby z arki Noego; tak na odwrót znaleźli się ludzie nieprzyjaźni i zawistni, pragnący już nietylko zadać fałsz baśni, przyjmowanéj zresztą powszechnie ironicznym uśmiechem, ale nawet nie wzdrygający się podobno przed potwarzą. To też dzisiaj, jeśli bez wahania możemy odrzucić fantastyczne podanie o antenatach Ciołków Poniatowskich, przybywających z klassycznéj ziemi włoskiéj, co też świeżo ze sporą przymieszką soli attyckiéj uczynił Maurycy hr. Dzieduszycki — niewolno nam mimo zapewnień Rulhière'a rozstrzygać, o ile ojciec kasztelana krakowskiego ma prawo do poprzecznéj belki w herbie Sapiehów, o czém nie wie nic żyjący w pierwszéj połowie XVIII w. Matuszewicz, opowiadając, że jedni mienili Stanisława „synem podczaszego krakowskiego, drudzy rodowitego tylko szlachcica“ (1), oraz ile prawdy kryje się w dwóch ostatnich wyrazach złośliwego przycinku:

„Przedziwne to jest dzieło Boskiéj Opatrzności:
Syn królem, ojciec w krześle, a dziad podstarości.“

O pochodzeniu zaś Poniatowskiego od lombardzkich Torellich hrabiów Montechiaragullo, rozpisuje się Wielądko (2), fałszujący rodowody, jak zapewnia Bartoszewicz, „z *dobrą wolą*, za pie-

---

(1) Pamiętniki Matuszewicza, tom 1, p. 20.

(2) Wielądko, Heraldyka, tom III p. 244. Niesiecki (*Korona polska* przy złotéj wolności i t. d. r. 1740, t. III, p. 647) jako najznakomitszego z Ciołków-Poniatowskich wymienia Jędrzeja z Duchnik, deputata i sędziego kapturowego, który w roku 1648 podpisał pacta conventa. W lipskiém wydaniu Herbarza Niesieckiego wyd. Bobrowicza, t. III pod Ciołkami, t. VII, p. 575 pod Poniatowskimi) pomieszczono już baśń Wielądkową.

niądze, dla sławy rodzin, które uczonemu w poszukiwaniach nie żałowały wsparcia,"—a za nim niektórzy inni polscy i zagraniczni pisarze. Wersyą tę powtarza krótko z dobrą, jak się zdaje, wiarą prostoduszny Karpiński. „Początkiem domu Poniatowskich w Polsce — mówi on — był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed dwustu laty, ożenił się z panną Poniatowską, ostatnią z domu, a to pod warunkiem, aby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd nazywał się Poniatowskim: przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska Ciołek, bo Torelli we włoskim języku ciołka oznacza. W trzecim sukcessorze zubożał dom ten, w czwartym go podniósł generał Poniatowski" (1).

Nietylko zapewnienia tkliwego kochanka Justyny, ale i argumenta bieglejszych od niego heraldyków, nie zdołają przekonać myślącego człowieka o metamorfozie włoskiego na polskiego ciołka, ani wlać weń wiary w autentyczność żądania ojca ostatniéj gałązki próchniejącego pnia Poniatowskich (o których do owéj pory w dziejach naszych głucho), aby nowożeniec złożył własne, bez porównania świetniejsze i starożytniejsze imię w zamian za nowsze i niewsławione niczém. Snadź jednak potomkowie kasztelana do ostatnich czasów nie chcieli się wyrzec zaszczytu włoskiéj parenteli, pragnęli utrzymać świat w przekonaniu, że w ich żyłach istotnie płynie krew południowa, skoro nawet p. Karol Mouy, wydawca ogłoszonéj roku przeszłego korrespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin, opierając się głównie na materyałach, udzielonych przez zmarłego niedawno księcia Stanisława, powtarza ową bajkę.

Ojciec generała, Salinguero Torelli, czy Franciszek Ciołek Poniatowski, ów wedle Rulhière'a podstarości w dobrach Sapiehów (2), wedle Wielądka urodzony w Krakowie w r. 1651, miał być ulubieńcem Michała Korybuta, odbyć niemal wszystkie wyprawy z Sobieskim a w liczbie czworga dzieci z Heleną Niewiarowską zostawił i naszego Stanisława. Urodzony 15 Września 1676 roku (3), nie wiadomo gdzie się kształcił; lecz wedle Rulhière'a zawdzięczał Sapiehom staranne wychowanie, a w bardzo młodym wieku zasmakował w rzemiośle wojenném, bo nie mając pola do popisu w kraju, gdzie panował spokój, jeszcze przed dwudziestym rokiem życia zaciągnął się do wojsk cesarza austryackiego Leo-

(1) Karpiński, Pamiętniki, p. 31.
(2) Rulhière, Histoire de l'anarchie de Pologne (1807) t. I, p. 196.
(3) Dzieduszycki (książę Andrzéj Poniatowski, Gaz. lw. Nr. 125 r. 1875) podaje datę z medalu wybitego na cześć ojca przez Stanisława Augusta.

polda i pod chorągwią słynnego księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, walczył przeciw Turkom. Jakby zaś na potwierdzenie wspomnianych powyżéj wieści puścił się młodzieniec na wojaczkę pod opieką Sapiehów (1) i odznaczywszy się w boju, został nawet adjutantem Leona Sapiehy, zarąbanego późniéj pod Olkienikami, koniuszego lit., syna hetmana (2). Dzielnie snadź sprawiał się nasz bohater w walce z Muzułmaństwem, skoro po zawarciu pokoju karłowickiego w stopniu oficera sztabu opuścił cesarskie szeregi.

Po powrocie do kraju na kilka lat ginie nam zupełnie z oczu, aby następnie razem znów z Sapiehami pojawić się w przeciwnym Augustowi II obozie. Pierwszy ślad jego działalności znajdujemy dopiero w tajemniczym ustępie listu Jakóba Sobieskiego do Władysława Ponińskiego, starosty wschowskiego i podkoniuszego kor., w piśmie datowaném z Wrocławia. Królewicz pod dniem 30 Grudnia 1702 roku zaszczyca Stanisława dość niejasną wzmianką, z któréj widać, że Poniatowski miał przeciągnąć na stronę Sobieskiego niejakiego Nauklera z towarzyszem, lecz obyło się bez jego pośrednictwa (3).

W roku 1703 występuje jako poufny kuryer między prymasem Radziejowskim a królewiczem. Jakób pisze na dniu 10 Grudnia 1703 roku do Ponińskiego, że Poniatowskiego, który mu przywiózł ciekawe nowiny, prosił o ustne udzielenie niektórych wiadomości staroście wschowskiemu. W rok późniéj widzimy go już w służbie Stanisława Leszczyńskiego.

Minister szwedzki Piper, w pięć dni po zdobyciu Lwowa przez Karola XII, d. 12 Września 1704 roku, pisze do króla Stanisława, że stanął właśnie w obozie wyprawiony przezeń Poniatowski w celu zasięgnięcia zdania szwedzkiego monarchy, coby wśród obecnych okoliczności czynić należało. W niespełna rok potém (13 Kwietnia 1705 r.) wydaje mu Leszczyński w wielkopolskiéj Rydzynie assygnacyą na „tysiąc pięćset talarów bitych, które będą in rationibus przyjęte,“ co na ową epokę stanowiło wcale znaczną kwotę.

W ciągu tego czasu młody oficer zwrócił już na siebie uwagę północnego wojownika. Sam Karol wyprawiał go z ważnemi po-

---

(1). Rulhière, I, p. 196. Matuszewicz w Pamiętnikach p. 191 utrzymuje, że był wprzód pokojowcem u jednego z Lubomirskich.

(2). Otwinowski, Pamiętniki wyd. Raczyńskiego p. 34.

(3). „Także i to mi piszą, że bez pana Poniatowskiego się deklarował *Nauclerus cum collega providentiae Jovis favere*“ (Helcel).

leceniami do hetmana Lubomirskiego (1), w jesieni zaś roku 1705 nim z Rawicza pośpieszył do Warszawy, aby tam być świadkiem koronacyi Leszczyńskiego, poruczył mu, aby wybrał z pomiędzy Szwedów dwustu ludzi, utworzył z nich dla króla Stanisława przyboczną gwardyą i objął nad nią dowództwo (2). Jakoż dopelnił co rychléj rozkazu i asystował już na czele swego oddziału przy koronacyjnych obrzędach (3).

Na dniu 27 Października 1707 roku miał pod strażą dostojnego więźnia, oboźnego kor. Jerzego Lubomirskiego, późniejszego wojewodę sandomierskiego. Nie wziął go jako politycznego jeńca, gdyż oboźny stał po stronie szwedzkiéj, ale jako żolnierza, wykraczającego przeciw karności wojskowéj. Nierzadkim w dziejach naszych przykładem wszczęła się w obozie zwada między Lubomirskim a ks. Michałem Wiśniowieckim, wojewodą wileńskim z przyczyn niewiadomych dla opowiadającego ten wypadek Nordberga (4). Żwawa utarczka na języki pociągnęła za sobą dobycie szabli. Książe tak silnie ciął przeciwnika po prawém ramieniu, że ten rzucił miecz, a jako niebardzo rycerskiego animuszu człowiek, wydał głośny krzyk bolu. Powstał ztąd rozruch i wrzawa; wieść o zatargu doszła niebawem do uszu króla, a ponieważ się to działo w pobliżu jego kwatery, wzięto obu pod straż: Wiśniowieckiego wojewoda Potocki, Lubomirskiego Poniatowski — do zbadania sprawy wyznaczono Jablonowskiego wojewodę ruskiego i Tarłę.

O właściwym udziale Stanisława w wojnie sasko-szwedzkiéj brak nam bliższych wiadomości; wspomina tylko Otwinowski pod rokiem 1707, że wyprawiony przez hetmana w. kor. Adama Sieniawskiego podjazd kwarcianego wojska, napadlszy Kalisz, broniony przez słynnego partyzanta Adama Śmigielskiego i Poniatowskiego, zdobył miasto (5). Ale pułkownik już wówczas nietylko w charakterze wojskowym działał; Leszczyński przekonawszy się o jego sprycie i zręczności, używał go do spraw nierównie delikatniejszych, wymagających zmysłu dyplomatycznego, ostro-

---

(1). Remarques d'un seigneur polonais sur l'histoire de Charles XII, par Mr de Voltaire, o których poniżéj.

(2). Remarques, p. 17, 18.

(3). Historya życia Naj. Stanisława I i t. d. z francuzkiego i niemieckiego na żądanie wielu zebrane (r. 1744) p. 79.

(4). Nordberg, Historya Karola XII, tom II, p. 45. (Wydanie niemieckie in folio, z r. 1746).

(5). Otwinowski, Pamiętniki wydania Raczyńskiego (1838 r.) pag. 129.

żności i niejakiego usposobienia do intryg. Tém zaś sposobniejszym wydawał się do takich czynności, że okrom sprytu posiadał inne przydatne ku temu zalety, bo wedle słów współcześnika (1), „był na twarzy piękny, w sobie hoży, trzeźwy i udatny, ztąd jako piękny od dam, a jako śmiały i rozumny od mężczyzn był estymowany.“

Król Stanisław dla zjednania sobie jak największéj liczby stronników, nie wahał się próbować bardzo niebezpiecznego i zawodnego środka: oto wbrew zawartemu w dokumencie jedlnieńskim Jagiełły z r. 1430 zrzeczeniu się prawa wydawania „expektatyw na wakanse,“ rozszafowywał w sekrecie nieopróżnione jeszcze dostojeństwa, „rozdawał honory, urzędy, starostwa po żywych, którzy w konfederacyi sandomierskiéj trwali statecznie“ (2), albo po takich, co mu się wydawali nieszczerymi przyjaciołmi, albo wreszcie przyrzekał tylko, że po śmierci jakiegoś dygnitarza odda ten urząd innemu.

Zdarzyło się więc, że chciał komuś zapewnić wielkie podskarbstwo litewskie po Benedykcie Sapieże, „niezrównanym,“ wedle Zawiszy (3), „statyście“ — „człowieku wielkiego geniuszu,“ jak go zwie Otwinowski (4); polecił więc Poniatowskiemu, aby mu w królewskiém imieniu przyrzekł ten urząd, albo jakikolwiek inny na Litwie, któryby najpierwéj zawakował, „czy to klucze, czy buławę, czy pieczęć, czy laskę“ (5). Na nieszczęście podskarbi dowiedziawszy się o frymarku, srogi żal powziął do króla i jął mu czynić wymówki, że „jeszcze za żywota jego tą szarżą dysponował, ofiarując ją staroście; wyliczał swoje zasługi, uważając je za większe od zasług tego, który miał po nim objąć urząd, i dodał w końcu, „że lubo W. Kr. Mość dufasz jw. panu staroście i *pour le récompenser* chciałbyś nas widzieć w grobie, jednakże jmć. pan starosta pamiętnym będąc przyjaźni naszéj, sakryfikował nam list, coś W. Kr. Mość kazał Poniatowskiemu pisać do niego;“ a na dowód, że nie mówi na wiatr, pokazał kopią listu pułkownika.

Łatwo pojąć zakłopotanie Leszczyńskiego wobec tak natarczywych wyrzutów; nie pomogły nic tłómaczenia, bo odtąd mściwy Sapieha porzuca stronę Leszczyńskiego i w porozumieniu z ca-

---

(1). Matuszewicz, Pamiętniki, t. I pag. 28.

(2). Otwinowski, Pamiętniki, p. 133.

(3). Zawisza, Pamiętniki, p. 257.

(4). Otwinowski, Pamiętniki, 47.

(5) List Poniatowskiego do hetmanowéj Sieniawskiéj (Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 2859).

rem Piotrem W. radby widzieć na tronie królewicza Jakóba Sobieskiego. Sądził też, że mu się uda nakłonić do tego projektu króla szwedzkiego, który i jemu, jak całéj familii Sapiehów, okazywał szczególne względy; ale się mocno pomylił, bo pierwsze słowo w téj sprawie tak oburzyło Karola, że go natychmiast z przed oczu swoich oddalił. Zgryziony podskarbi, wyjechał do Berlina, gdzie umarł w Sierpniu 1707 roku, w ostatnich chwilach życia przez spowiednika przestrzegając panów polskich, aby się nie łączyli ze Szwedami (1). Niemniejszą urazą niż przeciw obudwom królom, zapłonął pan Benedykt ku Poniatowskiemu, przypisując widocznie jego intrygom początek swojego nieszczęścia, posądzając go więc o czarną niewdzięczność względem dobroczynnego dlań domu Sapiehów; to téż „podobno umarł, nie odpuściwszy mu urazy.“

Wątek opowiedzianego powyżéj wypadku zawdzięczamy listowi pułkownika, pisanemu do hetmanowéj Elżbiety Sieniawskiéj, na dniu 30 Września 1707 roku z obozu szwedzkiego w Słupcach nad Wartą, gdzie stał wespół z Karolem XII, dążącym z Saxonii przeciw gospodarującemu w Polsce Piotrowi W.

Poniatowski dziwi się, że nie odbiera odpowiedzi na listy, wysyłane „ustawicznie od trzech miesięcy“ i opowiada, jakie ztąd, powstało nieporozumienie, że jego pismo dostało się w niepowołane ręce. Oświadcza, że król stosownie do przyrzeczenia, byłby już dał protegowanemu hetmanowéj podskarbstwo w. lit., „gdyby nie był *piqué*, że jmć. pan starosta *après une offre, qui venoit du fond du coeur du Roy*, bez racyi, tylko podobno dla zakłócenia, ten list miał jmć. panu hetmanowi komunikować, o co był i jest jeszcze srodze żałośny król.“

Wspomnianym co dopiero hetmanem jest mąż pani Sieniawskiéj, Adam Mikołaj, za pośrednictwem którego rzecz miała dojść do uszu p. Benedykta. Poniatowski nie chce jednak wierzyć, aby ów nieznany nam bliżéj starosta był tyle lekkomyślnym i dawał do czytania hetmanowi list w tak delikatnéj materyi; a jakkolwiek Sapiehowie takiém przedstawieniem sprawy chcieli „konwinkować króla,“ on to jednak uważa za płoche wieści, i woli przypuszczać, że posłaniec, niejaki pan Podoski, oddał wprzód pismo hetmanowi; radzi w tym celu egzaminować kuryera i jako najprędzéj explikować się królowi, wskazując tak arcy-zręcznie furtkę dla powrotu do łask królewskich.

(1) Otwinowski, str. 127.

Dostojna korrespondentka Poniatowskiego, z domu Lubomirska (1), wnuczka słynnego rokoszanina Jerzego, a córka Zofii z Bnina Opalińskiéj i marszałka w. kor., zacnego Stanisława Herakliusza, autora *Rozmów Artaxerxesa i Ewandra*, zasluguje tém więcéj na zwięzłą z naszéj strony charakterystykę, że jeszcze nieraz przyjdzie nam mówić o niéj i że jest to niewątpliwie jeden z najciekawszych, a najmniéj znanych typów kobiecych XVIII w. w Polsce. Generał przez dlugie lata zostawał z nią w stosunku serdecznéj zażyłości i wiele jéj zawdzięczał, co widać z pisywanych do niéj listów.

Żona najpotężniejszego, najwytrwalszego przeciwnika Karola, marzącego o osiągnięciu za carską pomocą korony, nie podzielała podobno bynajmniéj politycznych przekonań i nadziei męża, lecz owszem usiłowała go przeciągnąć do szwedzkiego obozu, a gdy jéj się to nie udało, nie troszcząc się wcale o hetmana, prowadziła politykę na własną rękę. Jeżeli się od czasu do czasu zdawało, że Sieniawski niepewny, co począć, waha się i przechyla na stronę Leszczyńskiego, jeśli rozpoczynał nawet układy, zrywane z powodu wygórowanych jego wymagań (2), miało to być dziełem i zasługą téj niepospolitéj kobiety. Na początku r. 1708 poseł francuzki, Bonac przez czas niejaki, codziennie odbywa z nią w Warszawie konferencye, mające na celu pozyskanie dla Stanisława hetmana i jego zwolenników. Józef Potocki spieszy do bawiącego we Lwowie Sieniawskiego z warunkami, sam król składa w Wilnie dla załatwienia téj sprawy radę senatu; lecz w chwili gdy się zdawało, że ugoda nastąpi niebawem, nagle hetman w uniwersałach tak jaskrawo okazuje się przeciwnym wszelkiemu porozumieniu, że pomyślnie zawiązane układy rozrywają się stanowczo (3). Z niektórych kroków hetmanowéj możnaby wprawdzie sądzić, że opozycya polityczna przeciw mężowi niezupełnie była szczera, że sprytna i przebiegła kobieta działała w porozumieniu i zgodzie z mężem, i że podzielili tak między siebie role, aby z jednéj i drugiéj strony mieć zapewnione bezpieczeństwo. Jeśli zaś przyjaźń hetmanowéj dla Leszczyńskiego i Szwedów była szczera, ustąpiła niezadlugo politycznemu wyrachowaniu, bo około r. 1713 widzimy

---

(1) Niesiecki, wyd. Bobrowicza, tom 8 p. 352, tom 6 p. 163.

(2) Nordberg I 457—458, 551, II 63, 67, 78, III 531—533.

(3) Massuet. Histoire des rois de Pologne et des revolutions arrivées dans ce royaume. Amsterdam 1734, tom III, p. 125—126. Massuet zastąpi nam zupelnie *Gazetę Amsterdamską*, gdyż w obszerniéj traktowanych nowszych czasach jest on tylko wierném echem tego znakomitego pisma, z którego skrupulatnie czyni dosłowne wypisy.

ją nietylko w obozie Augusta, lecz nawet w bardzo poufnych stosunkach z partyą saską. Pośród aktów processu Stanisława Jabłonowskiego, wojewody ruskiego w tajném archiwum drezdeńskiém znajdujemy dowód, jak czynną rolę odgrywała w owéj porze. Kiedy ten ostatni uczestnicząc we wszystkich knowaniach stronników króla Stanisława, podawał się w coraz większe podejrzenie u Augusta, pani Sieniawska z polecenia dworu przestrzegała go, na co się naraża, postępując tak nieoględnie, usiłowała go przeciągnąć na stronę saską, skłonić do pośpieszenia razem z innymi do Międzyrzecza. Ale namowy pozostały bez skutku, bo Jabłonowski wbrew przestrodze podążył do Krzywczyc celem porozumienia się z ks. Michałem Wiśniowieckim, który się właśnie wybierał do Benderu (1).

Przez długi czas podtrzymywała ona gorliwie ambitne zamiary Rakoczego Franciszka II, pasierba Tekielego, który podniósł chorągiew powstania przeciw domowi austryackiemu w Węgrzech, a nadto łudził się długo nadzieją, że wśród powszechnego zamętu osiądzie na polskim tronie. Jeszcze w r. 1713 agitował w Polsce na jego rzecz hr. Beresennyi, co widać z zeznań wspomnianego już a później w Königsteinie więzionego Jana Stan. Jabłonowskiego. Zmuszony do ucieczki z kraju, kilkakrotnie znajdował schronienie u Sieniawskich; pani hetmanowa dosyłała mu pieniędzy i broni, dostarczanéj przez posła francuzkiego z Gdańska i z innych miejscowości (2).

W ogłoszonym przeszłego roku przez p. Thala w Peszcie trzechtomowym zbiorze dokumentów do historyi tego wojownika (3), znajdujemy nawet jego manifest z roku 1703 datowany z zamku Brzeżańskiego (*Brezna*). Siódmego Listopada (4), a więc w kilka

(1) Patrz artykuł w „Gazecie Lwowskiéj" r. 1874 *Magnat polski więźniem*, odcinek III, szpalta pierwsza. (Jabłonowski).... quoiqu'il fut bien averti de nouveau par Madame de Cracovie, qu'on remarquoit, qu'il ne voulut pas vivre en repos, et qu'on lui conseilloit de changer la conduite, en se mettant du bon-parti, qui dans le mois d'Août se rassembloit aupres du Roi à Meseriz, pour deliberer sur la tranquillité du Royaume..." (Tajne archiwum drezdeńskie: *Species factorum de Mr. le palatin et le Général de Russie, comte Jablonowski*).

(2) Nordberg, II, 45.

(3) Archivum Rakoczianum, II, Rakoczi Ferencz levéltára. Czytaj moją wzmiankę o tém wydawnictwie w kwietniowym zeszycie z r. 1875 *Przewodnika nauk i liter.*, oraz recenzyą p. Kronesa w Sybla *Historische Zeitschrift* tegoż roku.

(4) Jakkolwiek Nordberg podaje datę znacznie wcześniejszą, bo 27 Października, wolimy jednak iść tutaj za współczesném, a więc w kwestyi chronologicznéj wiarogodniejszém źródłem, za korrespondentem warszawskim do *Gazette de France*, wspomi-

tygodni po liście Poniatowskiego, dostala się hetmanowa przypadkiem do szwedzkiéj niewoli. W dniu tym wkroczył do Warszawy oddział Wołochów Karola, a bawiąca w stolicy Sieniawska, wiedząc, że od Szwedów nic jéj grozić nie może, wolała raczéj pozostać na miejscu i poddać się, aniżeli za przykładem innych ujechać, zostawiając dom na pastwę żołdactwu, skoremu do łupieży.

Jakoż nie zawiodły jéj nadzieje. Rycerski Karol XII, a wedle innych Leszczyński (1), okazał jéj należne płci słabéj względy, zwrócił srebro z innemi ruchomościami, ofiarował własny kredens i pojazd, i pozwolił udać się gdzieby sama chciała (2). Wdzięczna za tyle grzeczności dama, starała się dowieść, jak jest Szwedom życzliwa, skarżyła się na nieugięty upór męża i ostrzegała, by jego przyrzeczeniom nie wierzono, w końcu zaś pokazywała list Rakoczego, z którego było widać, że mu radziła usilnie, by zaprzestał dalszych zabiegów o tak bardzo upragniony tron polski (3).

---

nającym o pani Sieniawskiéj w numerach: 48, 49, 51, 52 i 53 z r. 1707. Wedle *Gazety* stawił hetmanową przed króla szwedzkiego Urbanowicz w Kleczowie, dokąd Karol przybył wprost z opuszczonéj na dzień 13 tegoż miesiąca Słupcy.

(1) Historya życia Stanisława I (1744) p. 171.

(2) Parthenay. Dzieje Fryderyka Augusta II, w przekładzie H.rburta p. 328.

(3) We współczesnéj relacyi o potyczce pod Koniecpolem z r. 1708, ogłoszonéj przez Załuskiego (*) spotykamy wzmiankę o Poniatowskim i to również pułkowniku, a więc na pierwszy rzut oka niewątpliwie o naszym bohaterze. Józef Poniatowski, wojewoda kijowski, wówczas jeszcze stronnik Augusta, d. 21 Listopada spotkał się z wojskiem kwarcianém, i już ochotnicy rozpoczęli harce, gdy od kwarcianych przybyło poselstwo z trębaczem pod wodzą kasztelanica wieluńskiego, Siemionowskiego, uczonego człowieka i dzielnego żołnierza. Kasztelanic przemówił w imieniu towarzyszów, a przygotował się, jak widać było, na długą i piękną oracyą, lecz przerwał mu zniecierpliwiony krasomówczym popisem wojewoda i prosił, by prędko wyłuszczył cel przybycia, bo wieczór za pasem. Siemionowski przeto wezwał go do połączenia się z Leszczyńskim, gdyż wolność elekcyi zapewniona, a król Stanisław zerwie związek z Karolem XII.

Rozgniewany zuchwałą mową Potocki, dał mu szorską odpowiedź; pułkownik zaś Poniatowski, który świeżo na stronę Augusta był przeszedł, wmieszawszy się do rozmowy, rzecze porywczo:

— To nie są posłowie, to raczéj szpiegi, nie mają bowiem wiarogodnych instrukcyi od przełożonych; wziąć ich pod straż!

Stało się niebawem, jak chciał Poniatowski, choć kasztelanic protestował w imię prawa narodów; w końcu zaś odezwał się do pułkownika:

(*) Andreae Chrysostomi Załuski *Epistolarum historico-familiarum* tomus III (1751) fol. 839—841. W rękopisie zakładu Ossol. Nr. 701 (Ex libris Stanislai Łętowski) pag. 441—445 znalazłem obszerniejszy opis potyczki, lecz o Siemianowskim i Poniatowskim ani wzmianki (Relacya batalii wojska kwarcianego pod komendą Jmć pana Pocieja, podskarbiego W. Ks. Lit. i Jmć. p. Rybińskiego, podkomorzego chełmińskiego pod Koniecpolem d. 21 Novembris 1708 anno odprawionéj).

W szczerość tych zapewnień każe nam wierzyć list pani Elżbiety, pisany w r. 1707 do męża, list niezmiernie ciekawy i charakterystyczny, pełny goryczy i niemal urągania, malujący wybornie energiczny i wyniosły charakter hetmanowéj, stosunek jéj do męża, którego pragnie odwieść od przymierza z Rossyą, wybić mu z głowy przyrzeczoną przez cara koronę i skłonić do pojednania z Leszczyńskim: „Spuszczasz się na obietnicę cara, a czyż on kiedy obietnicy dotrzymał? ja przynajmniéj z zawiązanym łbem koło niego latać nie myślę, i pamiętaj, że familia moja przywykła dawać, ale nie brać. Piszę ci to otwarcie, nie cyframi, bom to gotowa samemu carowi w oczy powiedzieć, a nie chcę, żeby mnie ludzie posądzali, iż to ja ciebie do tego podmawiam. Straciłeś w zeszłych latach 800,000 gotówki (!); nie żałuję straty, bo to było potrzebne dla zachowania godności domu; dzisiaj inaczéj rzeczy stoją. Jak ty nie będziesz królem, to ma być nim pan miecznik (Denhof, zięć Sieniawskich); niech sobie będzie kto chce, choć i miecznik nie dudek (!), i woli być hetmanem niż królem.. Staraj się teraz o siostrę cara w małżeństwo, kiedy ci się królem koniecznie być zachciewa; ja od wszystkiego umywam ręce...“ (1).

Jakkolwiek do téj pory niejednokrotnie się odznaczał i pozyskał względy obu królewskich swoich zwierzchników, właściwie

— A co się stanie z moją chorągwią, gdy mnie pod straż weźmiecie? Kto ją poprowadzi?

— Natychmiast (pocieszał go Poniatowski) z oddziałem moim wyruszę naprzeciw chorągwi waszmości: wskaż mi tylko, na którém skrzydle stoi, a ja postaram się już, aby jéj moi nie przetrzepali, skoro usłyszę znak do odwrotu.

Poczém za danėm hasłem rozpoczęto bitwę, w króréj zwycięztwo odnieśli kwarciani.

Jak już rzekłem, zdawałoby się na pozór rzeczą niewątpliwą, że występujący tu pułkownik, a nasz Poniatowski, to jedna i taż sama osobistość, tém bardziéj, że o drugim pułkowniku tegoż nazwiska nie wiemy, a późniejsza zmienność jego tłómaczyłaby dostatecznie podobne przerzucenie się do saskiego obozu. Niemniéj przecież odrzucamy powyższe przypuszczenie stanowczo, nie chcąc bez wystarczających dowodów obarczać nową winą pamięci Stanisława, a to z powodu, że w rok przedtém i w rok późniéj widzimy go pod chorągwią szwedzką, z żadnego innego źródła nie wiemy, aby w téj przerwie krótkiéj gościł w szeregach Augusta; stałe zaś jego przywiązanie do Karola sprzeciwia się przypuszczeniu, aby go miał zdradzać i po spełnieniu zdrady powracać doń znowu.

(1) List niniejszy w wyjątkach podał p. L. Powidaj (*Jan Mazepa*, Przegląd polski r. 1867, maj, p. 266—267), nie cytując jednak źródła. Nie od rzeczy więc będzie wskazać, że pochodzi również z archiwum książąt Czartoryskich; wynotował go przed dziesięciu laty, gdy jeszcze owe zbiory mieściły się w Sieniawie, prof. Szujski. Przy téj sposobności niech mi wolno będzie wynurzyć nadzieję, iż rzeczone archiwum wcześnie dla powszechnego użytku przeniesione zostanie z Kórnika do Krakowa, zgodnie z postanowieniem księcia Władysława Czartoryskiego, którego uprzejmości zawdzięczam znaczną część materyału do niniejszéj pracy.

jednak świetna jego karyera, głośne czyny wojskowe i dyplomatyczne rozpoczynają się od r. 1709, od chwili, gdy jasna gwiazda Karola zaczyna się ćmić niepowodzeniami. Zdolności, zasługi i nadzwyczajne jego powodzenie jaśnieją odtąd tém pełniejszym blaskiem, im nieszczęśliwsze staje się położenie szwedzkiego wojownika, im dotkiwsze klęski ponoszą inni zwolennicy téjże samej sprawy.

Odtąd też obfitszemi stają się i drukowane źródła do żywota Poniatowskiego; dość częste wzmianki poświęcają mu mianowicie Voltaire i Nordberg, najciekawsze zaś szczegóły zawdzięczamy wspomnionéj już francuzkiéj broszurze: *Remarques d'un seigneur polonais sur l'histoire de Charles XII, par Mr. de Voltaire*, zajmującéj się przeważnie i niemal wyłącznie osobą Stanisława, a opisującéj tak dokładnie każdy niemal krok jego podczas pobytu w Turcyi, że ztąd posądzali go już współcześni o autorstwo. Sam zresztą wydawca odkrył niemal jawnie przyłbicę bezimiennemu magnatowi, bo powiada z przekąsem, że przeciwnikiem słynnego encyklopedysty „może jest właśnie jeden z tych znakomitych poręczycieli,“ na których świadectwa powołuje się, zapewniając, że czerpał z udzielonych przez nich materyałów. Ponieważ zaś Voltaire z pomiędzy Polaków wymienia tylko jednego Poniatowskiego, i otrzymany od niego pamiętnik współczesnych wypadków, on przeto bez zaprzeczenia, a nie kto inny napisał krytykę Voltairowego dzieła.

Krytyka ta nie jest też ani tak ostra, ani tak straszna dla autora Historyi Karola XII, jakby można było sądzić z przedmowy wydawcy; w kilku zaledwie podrzędnéj wagi wypadkach dowiódłszy mu fałszu, rozszerza tylko i uzupełnia jego opowiadanie, wysuwając zawsze i wszędzie na pierwszy plan postać „hrabiego Poniatowskiego,“ który to tytuł spotykamy już u Voltaira w porze, gdy jeszcze najmniejszego prawa nie mógł doń rościć ubogi szlachcic, własnéj tylko szabli zawdzięczający pewne znaczenie, a poza obozem nie posiadający żadnego urzędu, ani stanowiska w kraju. Z późniejszych słów Nordberga możemy wnosić, że Stanisław w narracyi swojéj nie dopuścił się ani jednego wyraźnego zmyślenia; wyłączne jednak interesowanie czytelnika własną osobą pozwala nam się domyślać, iż Poniatowski dostarczywszy Voltairowi materyałów do opisu wypadków, których sam był świadkiem i współuczestnikiem, spodziewał się, że znakomity pisarz szerzéj się rozwiedzie o nim i o położonych przezeń zasługach; po wyjściu zaś książki uczuwszy się do pewnego stopnia zawiedzionym w nadziejach, postanowił sam przekazać potomności pamięć swych

czynów, a nie chcąc zbytecznie obrażać uczucia skromności, ukrył się pod tytułem „magnata polskiego.“ Naturalne to wyjaśnienie rzeczy odsłania nam równocześnie jeden z charakterystycznych rysów człowieka: wielką miłość własną, olbrzymią, choć troskliwie ukrywaną ambicyą.

Dziwném się wydać może spóźnione ogłoszenie broszury, drukowanéj dopiero w dziesięć lat po wydaniu krytykowanego dzieła (1731—1741), lecz objaśniają je aż nadto osobiste i polityczne stosunki. Za życia Augusta II, Poniatowskiemu, jako „faworyzującemu“ teraz szczerze czy nieszczerze „całém sercem interesom królewskim“ (1), nie wypadało zbyt głośno mówić o wielkich i ważnych przysługach, oddawanych śmiertelnemu wrogowi Sasa, Karolowi; po śmierci króla przeszkodziły mu zaburzenia wojenne, a po przywróceniu pokoju wiernemu odtąd poddanemu Augusta III też same względy nakazywały wstrzemięźliwość i milczenie, dopóki ustalenie kredytu i stanowiska w kilka lat późniéj nie zapewniły zupełnego bezpieczeństwa wojewodzie, silnemu i osobistém znaczeniem, i wpływami familii, i protekcyą petersburskiego dworu.

Kiedy niepohamowany w swych zamysłach Karol wyruszył na daleki wschód, aby tam zgnieść ostatecznie potęgę Piotra W., i pod Pułtawą, nieopodal od słynnéj Witoldową klęską Worskli, doznał podobnéj klęski, jak w sto z górą lat późniéj większy od niego geniusz wojskowy, Napoleon I w olbrzymiéj wyprawie na północną część tego państwa, — kiedy z pośród jego znużonego, głodnego i amunicyi pozbawionego wojska, po kilkodniowéj zaciętéj walce tysiące swemi ciałami zasłały pole bitwy, tysiące dostały się do niewoli lub pierzchnąwszy, w ucieczce szukały ocalenia,— wówczas to Poniatowski nieocenione przysługi wyświadczył prześladowanemu od losu monarsze. Karol ranny w nogę, z noszów tylko mogąc wydawać rozkazy, niemniéj przeto kazał się nieść tam, gdzie najgorętsza wrzała bitwa, a choć mu jako bezbronnemu groziło coraz większe niebezpieczeństwo od przemagających coraz bardziéj nieprzyjaciół, wbrew wszelkim prośbom i zaklęciom nie chciał ustępować z pobojowiska. Przemocą niemal skłonił go do tego nieuchronnego już kroku znajdujący się w bezpośredniém jego otoczeniu Stanisław. „Człowiek ten rzadkich zasług — opowiada Voltaire—jedynie z przywiązania do osoby Karola, postanowił mu towarzyszyć na Ukrainę, nie mając wcale komendy w wojsku.“ Niefortunny dopiero zwrot wojny i niebezpieczne po-

(1) Pamiętniki Otwinowskiego, wydanie Raczyńskiego (1838) str. 381.

łożenie samego króla, w ostatniéj, jak się zdaje, chwili, dały mu w ręce władzę nad kilkuset ludźmi. Widząc w nim męztwo i przedsiębiorczość, a przyciśnięty potrzebą, mianował Karol dotychczasowego pułkownika generałem i upoważnił go do zbierania pierzchającego już na wszystkie strony i w części dowódców pozbawionego żołnierstwa. Poniatowski spełnił polecenie, szybko około osoby króla zgromadził kilkaset wojska różnego gatunku i broni, przybocznych gwardzistów, oficerów i prostych żołnierzy, głównie Polaków i Wołochów, jak opowiada prof. Fryxell (1), darzący świeżo mianowanego generała tytułem „księcia.“ Postanowiwszy bądź co bądź ocalić ukochanego bohatera, choćby wbrew jego własnéj woli, skinął Stanisław na dwóch gwardzistów, a ci wzięli go pod ramiona i wsadzili na konia mimo najdotkliwszych cierpień, jakie mu sprawiała rana.

Chodziło teraz o to, aby z wiru dogorywającéj walki, z pośród tłumu zwycięzkiego wroga, ulegającego niemal pod nadmiarem bolu Karola uprowadzić na miejsce bezpieczne. Z tak trudnego zadania dzielnie się wywiązał generał. Oddział jego, acz złożony z jednostek już zniechęconych i zwątpiałych, widząc zapał i energią wodza, opuszczenie i niebezpieczeństwo, na jakie wystawiony ubóztwiony król, nabrał otuchy i nowych sił do dalszéj walki. Przedarłszy się więcéj niż przez dziesięć pułków Piotrowych, doprowadził Karola do oddalonych o milę bagażów szwedzkich. Pod uchodzącym monarchą zabił ścigający nieprzyjaciel konia; wsadzono więc poraz drugi niemal omdlałego króla na rumaka, którego mu podał ranny także pułkownik Gieta.

Tak mniéj więcéj opowiada fakt ocalenia króla przez Stanisława Voltaire. Więcéj od niego wie w téj sprawie Otwinowski (str. 148 i 9), przypisujący jeszcze większą zasługę generałowi a wymieniający nadto imię drugiego, wsławionego w téj potrzebie Polaka, coby świadczyło, że w istocie posiada szczegółowsze wiadomości. „Przyszedł—powiada—dzień feralny i opłakany na Szwedów; o trochę i sam nie wpadł w ręce rossyjskie król szwedzki, gdyby go był generał Poniatowski z rotmistrzem lekkiéj chorągwi polskiéj, Zorzewskim, nie salwował; bo gdy konia jednego do noszów zaprzężonego, na których król leżał, kula armatnia zabiła, już go nieprzyjaciel brał i zostałby niemylnie łupem jego, ale Zorzewski skoczywszy za swymi Polakami, naraził się na

(1) Historya Karola XII (w niem. przekładzie Jenssen-Tuscha, 1861. Część II str. 193).

wielkie niebezpieczeństwo, rąbał z Poniatowskim Rossyan, aż konia innego do noszów dodano. Od tego czasu począł Karol XII ważyć bardzo Polaków i żałował, że ich z sobą na Zadnieprzu nie miał, jako mu i Mazepa radził" (1).

Mimowoli jednak, zwłaszcza po zawartéj w ostatniém zdaniu patryotycznéj przechwałce, nasuwa się powątpiewanie o prawdzie słów powyższych, przypuszczenie, że Otwinowski jest tylko echem stronników Poniatowskiego, którzy z biegiem czasu przekręcili samo zdarzenie, a istotną jego zasługę wysławiali nad miarę. Mniemanie to tém słuszniejsze, że niniejsza wersya nie zgadza się z opowiadaniem Voltaira, opierającego się bądź co bądź, choć może za pobieżnie, na pamiętnikach generała, który owego ustępu w broszurze swéj nie zaczepil; jakkolwiek zkądinąd tak skwapliwie wydziera niepamięci każdy swój czyn, pominięty przez historyka lub wystawiony w niewłaściwém świetle.

Nierównie trudniéj przychodzi wytłómaczyć milczenie Nordberga o całéj sprawie—Nordberga tak źródłowego i tak dobrze z biegiem północnéj wojny obeznanego, nietylko nigdzie nie objawiającego niechęci dla Stanisława, lecz owszem odzywającego się o nim zawsze z wielkiemi pochwałami i szczerém uznaniem (2). Staczając przy każdéj sposobności walkę z Voltairem, częstokroć na podstawie *Uwag magnata polskiego*, tu jednak nie uważa za stosowne rzucać przeciwnikowi rękawicy; na tém baczniejszą przeto uwagę zasługuje tak wyjątkowe postąpienie, umyślne bezsprzecznie pominięcie wypadku i przejście nad nim do porządku dziennego. Skoro więc Nordberg wspomniawszy o Poniatowskim, biorącym pod straż Lubomirskiego, po raz drugi przypomina sobie o nim dopiero wtedy, gdy go Karol wyprawia do Oczakowa; rzecz oczywista, że nie daje wiary słowom Voltaira, nie polemizuje zaś z nim dla tego tylko, aby nie dotknąć generała i nie zadawać mu kłamstwa. Rzuciwszy tak ogólny zarys rzeczy, wstrzymujemy się od dalszego sądu; nie uważamy bowiem za właściwe wyrokować w kwestyach zawikłanych, nie dających się ostatecznie rozstrzy-

---

(1) Karol XII miał podobno w istocie żałować, że nie zabrał z sobą Polaków, ale z niewymienionéj tu przyczyny. „Polskiego wojska wziąć nie chciał' — czytamy we współczesnym zapisku, — „dając racyą, że są nieposłuszni, swywolni — kraj ogłodziliby i ja z wojskiem swojém z głodu umierać musiałbym. I wywróżył sobie, bo się sztuki nie spodziewał moskiewskiéj, — czego potém żałował bardzo, że wojska polskiego nie wziął." Rękopis Zakł. Ossolińskich Nr. 253, fol. 1282.

(2) Roepell. Polen um die Mitte des XVIII. J. p. 54.

gnąć z powodu braku dowodów po jednéj i drugiéj stronie. Godzi się jednak dodać, że w ślad tutaj za Nordbergiem idący tegoczesny historyk szwedzki prof. Fryxell zauważył, iż z licznych sprawozdań o bitwie pod Pultawą nie można się dowiedzieć, jaki udział miały w walce nieregularne siły Mazepy i Poniatowskiego, razem wziąwszy wcale znaczne, bo liczące 12,000 ludzi, kiedy cała armia szwedzka wynosiła nie wiele więcéj nad 30,000 żołnierza (1). Wzgląd ten jednakże nie rozwiązuje bynajmniéj naszéj wątpliwości; boć skoro owe relacye nie mówią o Mazepie, nie dziw, że podobnego losu doznał Stanisław, którego oddział nie wynosił nawet dwudziestéj części wojsk kozackiego hetmana, a przeszedł pod jego rozkazy dopiero w ciągu bitwy. W ogólności zdaniem naszém generał w opowiadaniu o swoich czynach i zasługach, nie przybiera nigdy postaci „Papkina, lwa północy,“ nie dopuszcza się wprost fałszów i zmyśleń, lubo nie waha się niekiedy wywyższyć się zręczném naciąganiem wypadków.

Szczęśliwy odwrót z pośrodka zwycięzkich nieprzyjaciół, był już, jak trafnie uważa Voltaire, wielką korzyścią, lecz należało uchodzić daléj, nie chcąc niebawem ujrzeć się znów zagrożonym. Wśród obszernych przyborów szczęśliwym wypadkiem znaleziono karetę Pipera, sam bowiem król od chwili wyruszenia ze Sztokholmu na wojnę, ani razu nie wsiadł do powozu.

Jest to faktem stwierdzonym mnogiemi przykłady, że w porze najgroźniejszego niebezpieczeństwa, tchórze im większą trwogą przejęci w duszy, tém więcéj pragną okazać śmiałości, a zwłaszcza głośnemi okrzyki chcą niejako zagłuszyć głos wewnętrznéj bojaźni, podobni w tém do pasterza, co w leśnéj samotności śpiewem usiłuje uwolnić się od strachu; ludzie natomiast śmiali i odważni milczą. Karol XII, niewątpliwie jeden z najśmielszych, najzuchwalszych wojowników, od chwili gdy go wsadzono na konia, aż do szczęśliwego przybycia między bagaże, milczał uporczywie. Teraz dopiero przemówił, aby się dowiedzieć o losie swoich druhów, swoich braci po szabli.

— Co się stało z Piperem?—zapytał.

— Wzięty do niewoli z całą kancellaryą — brzmiała odpowiedź.

— A Renszyld? a książę Wirtemberski?

— I oni jeńcami—odparł Poniatowski ze smutkiem.

---

(1) Fryxell, część II, str. 193.

— Jeńcami Rossyan! — zawołał król, wzruszając ramionami,— śpieszmy więc, śpieszmy raczéj do Turków (1).

Ruszono też niebawem w pochód ku tureckiéj granicy, ale i ten odwrót nie odbył się bez wielkich przeszkód, bez niebezpieczeństw, którym o mało nie uległa zrozpaczona garstka niedobitków. W tak okropném położeniu jeden Stanisław nie stracił przytomności umysłu, a wśród ogólnéj apatyi i bezradności, zachowawszy zimną krew i spryt wrodzony, miał sposobność po raz już wtóry ocalić Karola.

Po szczęśliwém przebyciu Dniepru król, mając w Mazepie przewodnika, podążał daléj bez odpoczynku dniem i nocą, łudząc się jeszcze myślą, że wzięty już do niewoli Lewenhaupt pośpiesza ku Krymowi. Wysłany w pogoń za nim przez Menżykowa generał Wołkoński przebył Dniepr wpław za przykładem Szwedów, lecz zmyliwszy drogę w nocnéj przeprawie, nie mógł ich doścignąć. Pomimo tak pomyślnego wypadku, zdawało się, że zwątpiałe rozbitki zwycięzkiéj do niedawna armii z bohaterskim królem na czele, znajdą tu grób niesławny, że wyginą nie od oręża wrogów, ale wśród męczarni głodu i pragnienia. Przed nimi, jak daleko zajrzeć okiem, roztaczała się dzika pustynia; wśród rozległéj, niezmierzonéj przestrzeni, nie było widać śladu ludzkiéj stopy: ani drogi, ani strumienia, ani chaty, ani szałasów, ani ludzi, ani nawet zwierząt. Zdawałoby się, że tu śmierć jedna rozciągnęła swoje panowanie, że „kto tu zaszedł, nie powraca" na świat między ludzi. W istocie groźba blizkiego zgonu zawisła złowrogo nad głowami tułaczy; przewodnicy zmyliwszy drogę, nie wiedzieli, gdzie błądzą, zabójczy skwar lipcowy wyczerpywał do szczętu zwątlone w poprzednich dniach siły, a nie było ich czém pokrzepić, bo brakło nietylko żywności, nietylko chleba, ale nawet wody. Kiedy w ciągu dnia ostre promienie gorejącego na widnokręgu słońca rozpalały głowy wędrowców stąpających powoli po suchym rozpalonym piasku; w nocy nie dozwalało im zmrużyć oka przejmujące nawskroś zimno. Padały wysilone konie, ludzie do ostateczności przywiedzeni, umierali niemal z pragnienia; rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych — sądzili, że już im wybiła ostatnia godzina. Nie poddawał się jednak zwątpieniu Poniatowski; rozmyśla-

(2) Voltaire, *Histoire* t. I, wydanie z roku 1764 str. 238 i nast. Nordberg szczegół powyższy o karecie nazywa po prostu zmyśleniem i przeczy słowom króla, w czém jednak nie podzielam jego zdania z powodu, że Poniatowski nie zadaje im kłamstwa w swéj broszurze. I la Motraye (*Voyages*, t. I, p. 413) wymienia Poniatowskiego między tymi, co skłonili Karola XII do udania się na południe.

jąc nad środkami wydobycia się z téj toni, pospieszył nieco naprzód na równinę. Napotkawszy tu wierzbę, wniosł ztąd, że i woda musi być w pobliżu; to też szukał tak długo, dopóki nie odkrył źródła.

Zaopatrzono się w wodę i z lepszą już otuchą ruszono w dalszą drogę.

„Szczęśliwe to odkrycie —dodaje Voltaire—ocaliło życie małemu zastępowi Karola XII.“ Rzecz to jednak godna zastanowienia, że tenże pisarz, za którym głównie z zachowaniem nawet romantycznego kolorytu, skreśliliśmy powyższy wypadek, opowiedziany bez zmiany w pierwszém i drugiém wydaniu z roku 1731 i 1739, w późniejszych edycyach nie wspomina o zasłudze generała, opuszcza nawet zupełnie jego imię w tym ustępie, pomimo że „magnat polski“ powagą swoją stwierdza autentyczność zdarzenia. Czyżby Voltaire miał się przekonać, że wprzód mimowoli dopuścił się przesady lub fałszu, że Stanisław nadużył jego łatwowierności—czy też mszcząc się za wymierzoną przeciw sobie broszurę, a bez ubliżenia samemu sobie i literackiéj swéj sławie, nie mogąc jedném pociągnięciem pióra przemazać wszystkiego, co w pierwszych wydaniach swéj książki umieścił, pragnął przynajmniéj opuścić niektóre epizody coraz świetniejszéj odtąd działalności jego? Otoż druga z kolei trudna do rozwiązania wątpliwość (38). Nie ośmielając się rozstrzygać sprawy stanowczo, wyznajemy, że nieco prawdopodobniejszém wydaje nam się opowiadanie Nordberga, przypisującego zasługę szczęśliwéj przez puszczą przeprawy Mazepie, który podczas wojny rossyjsko-tureckiéj już pierwéj ją przebywał.

Po kilku dniach spiesznego pochodu stanął Karol nad Bohem, na którego przeciwnym brzegu leży Oczaków, pograniczne miasto tureckie. Położenie Szwedów mimo to nie o wiele się polepszyło — gdyż nie posiadali statków ani materyału, z któregoby je mogli zbudować, a nadto głód strasznie dokuczał. Mazepa radził, aby król zwrócił się w stronę Oczakowa, zkądby niezawodnie doznał pomocy w przeprawie od przyjaznego sobie baszy. Karol przyjąwszy radę kozackiego hetmana, polecił Stanisławowi, aby się coprędzéj udał do Oczakowa w celu przysposobienia przeprawy pospołu z baszą i pozyskania od niego żywności za wy-

---

(1) Voltaire, wyd. z r. 1731 p. 351 sq.; wydanie z roku 1739 (Amsterdam) v. I, p. 266; wyd. z r. 1764 p. 245—246; Remarques, p. 46 — 48. Nordberg. wyd. niem. in folio, tom II (1746) str. 154; ostatni nie wymienia wcale Poniatowskiego, podobnie jak Voltaire w późniejszych edycyach.

nagrodzeniem (1). Poniatowski wziąwszy z sobą przewodników, podążył niezwłocznie w stronę Oczakowa i stanął w miejscu, gdzie Boh wpada do Czarnego morza; lecz ani spostrzegł, jak sam opowiada, rzeczonego miasta, ani widział sposobu dostania się na drugą stronę. Nie chcąc jednak wracać z niczém i przyczyniać kłopotów nieszczęśliwemu monarsze, szukał niemal przez dzień cały, czy nie spotka gdzie żyjącéj istoty, a gorliwość jego odniosła wreszcie pożądany skutek; zobaczył bowiem na brzegu morskim pięciu ludzi, zbierających sól. Zdawało się z początku, że go zawiedzie nadzieja otrzymania od nich pomocy, bo ujrzawszy spieszący konno orszak, przelękli się, wsiedli coprędzéj na czółno i wypłynęli na szerokie morze. Trzeba było dopiero wielkich starań dokładać, aby ich na brzeg ściągnąć.

Wołał tedy, błagał, zaklinał, pokazywał zdaleka pieniądze na znak, że mogą liczyć na hojną nagrodę, jeśli powrócą i uczynią zadość jego prośbie. Usłuchali po długim namyśle. Generał zażądał, aby go przewieźli na drugą stronę Bohu, gdzie czerniał niewyraźnie tłum ludzi z powodu szerokości rzeki. Przewoźnicy byli uzbrojeni, mieli powierzchowność rzezimieszków; z tamtéj strony Bohu stali niewolnicy tureccy, zajęci ciosaniem kamieni na oczakowskie fortyfikacye.

Stanąwszy na lądzie pieszo, bo konia na łódź zabrać nie mógł, dowiedział się Stanisław, że od Oczakowa jeszcze około czterech mil niemieckich oddalony. Szczęśliwym wypadkiem miał przy sobie Tatara umiejącego po turecku. Za jego pośrednictwem wśród tysiącznych trudności nabył konia, i puściwszy się cwałem, dotarł do Oczakowa tegoż samego dnia jeszcze. Na przedmieściu zatrzymała go straż turecka. Daremnie przedstawiał jéj przez tłómacza Poniatowski, że przybywa w sprawie nie cierpiącéj najmniejszéj zwłoki, że musi koniecznie natychmiast mówić z baszą. Na nic się nie zdała jego świetna i tak zwykle przekonywająca wymowa; przyszło mu spędzić noc w największéj niespokojności i aż do dziewiątéj z rana czekać, dopóki jego baszowska mość wstać nie raczy. Nadszedł w końcu dygnitarz do jednego z ogrodów przedmieścia, i tam mu dał posłuchanie.

Generał przekonany, że basza powolniejszym się okaże na jego prośby, z właściwą sobie zręcznością przystąpił do dzieła i przytoczył wszystko, coby go tylko skłonić mogło do ofiarowania statków królowi. Widząc atoli, że wszystkie krasomówcze

---

(1) Nordberg T. II, p. 155.

zwroty nie sprawiają najmniejszego wrażenia na nieczułém sercu Turka, uciekł się do wymowniejszych, bo brzęczących argumentów; czém go od razu skruszył i usunął wszelkie przeszkody. Basza otrzymawszy z góry dwa tysiące dukatów, zmiękł i spokorniał nie do poznania; zgodził się na wysłanie pięciu ludzi z żywnością, którąby król zakupił, i na przewiezienie go pospołu z całym orszakiem.

Poniatowski zobaczywszy, że wyznawca Proroka spełnia sumiennie warunki układu, że już odpływają łodzie, a wiedząc, z jaką niecierpliwością czeka nań Karol, postanowił go co rychléj zawiadomić o szczęśliwym obrocie sprawy. Przebywszy rzekę w miejscu gdzie stał najęty przezeń statek, wkrótce się połączył z królem. Relacya posła sprawiła mu radość niewymowną. Przybiła też niebawem jedna z pięciu łodzi i sprzedała zapasy za cenę złota. Wypełniwszy jeden korzystny dla siebie warunek umowy, nie myśleli Turcy o dotrzymaniu innych zobowiązań; bo zamiast wziąć z sobą część wojska, coprędzéj odpłynęli na środek rzeki. Inne statki chciały podobnież postąpić, ale nie powiodła się zdrada; Szwedzi zajęli je, wysadzili muzułmanów na ląd a sami zaczęli się przeprawiać. Był też już najwyższy czas po temu, bo Wołkoński, wyśledziwszy tymczasem miejsce pobytu Karola, spieszył z wojskiem, aby go zabrać do niewoli lub znieść ze szczętem. Przybył nieco zapóźno, aby tego dokazać, lecz dość wcześnie jeszcze, aby pochwycić trzystu opóźnionych Szwedów i kozaków; gdyby o godzinę przyśpieszył pochód, byłby samego króla wziął jeńcem (1).

Trzeba powiedzieć na chlubę Turków, że inni ich dostojnicy, a zwłaszcza szlachetny seraskier Benderu (2), nie szli za przykła-

---

(1) Idę tu wiernie za „magnatem polskim“ nie uwzględniając szczegółowszego Nordberga, tém chętniéj, że owe drobnostkowe szczegóły do mojego przedmiotu nie należą. P. Ludwik Powidaj we wspomnionym już artykule o Mazepie (*Przegl. pols.* 1867 p. 287) zapewnia, iż ze znacznego majątku, pozostałego po zmarłym 22 Września 1709 r. w Benderze hetmanie kozackim „wiele rozkradziono,“ a jako głównego sprawcę kradzieży wymienia Poniatowskiego, utrzymując, że on „w téj nieczystéj sprawie najwięcéj umaczał swe ręce.“ Wiadomości powyższéj, którąby oczywiście jak najgorsze światło rzuciła na postać generała, gdyby była prawdziwą, nie popiera jednak autor żadnym dowodem; gdy zaś podobnego zarzutu nie zdarzyło nam się spotkać nigdzie, nawet we współczesnych paszkwilach, a p. P. listownie przez nas zapytany, zkądby wiedział o owym brzydkim czynie Poniatowskiego, nie mógł sobie przypomnieć źródła, musimy stanąć w obronie naszego bohatera i rzeczonemu twierdzeniu fałsz zadać.

(1) Z Oczakowa do Benderu wyruszył Karol. a z nim Poniatowski 20 Sier-

dem nieuczynnego i chciwego zarządcy Oczakowa, lecz owszem współubiegali się z sobą w składaniu dowodów przyjaźni i gościnności dla sławnego przybysza. Tureccy mieszkańcy naddniestrzańskiego Benderu spoglądali z uczuciem niekłamanego podziwu i uwielbienia na króla-bohatera, zachwycali się prostotą jego stroju, najmniéj dla nich pojętą wstrzemięźliwością od wina, kobiecego towarzystwa, prawdziwą, od wszelkiéj przesady i chęci popisywania się wolną pobożnością. Ujęty życzliwém przyjęciem ludności tureckiéj, nabrał Karol otuchy i zapragnął zawiązać bliższe stosunki z sułtanem, pod pozorem podziękowania mu za gościnność doznaną w podległych jego berłu krajach. Wybór posła okazał się trudnym, gdyż Szwedzi bardzo mało znali język, ceremoniał i zwyczaje tureckie. To też chętnie przyjął król ofiarę niejakiego Neugebauera, który się oświadczył z gotowością pojechania do Konstantynopola.

Był to jeden z tych za szczęściem po szerokim świecie goniących Niemców, jakimi wiek XVIII obdarzył głównie Rossyą. Zrazu nauczyciel młodego carewicza, opuścił potajemnie dwór Piotra W. i wstąpił do wojska Karola w nadziei szybkiego awansu; pełen zaś obawy, aby się nie dostał w rossyjskie ręce i za dezercyą nie poniósł surowéj kary, przemyśliwał nad sposobami jak najrychlejszego ujścia z pogranicza. W Konstantynopolu uwiadomił w. wezyra, że przywozi list od króla szwedzkiego, i prosił o audyencyą u sultana; otrzymał jednak odpowiedź, że nikomu nie wolno przedstawiać się na dworze bez poprzedniego uwierzytelnienia, że zatém przywieziony z sobą list może tylko oddać na jego ręce. Neugebauer trwał przy swojém, powołując się na wyraźny rozkaz króla, by pismo jego złożył do własnych rąk sułtańskich, a i wezyr nie myślał ustąpić. Na prośbę swego wysłańca i na radę przyjaznego baszy Benderu, zdecydował się Karol uwierzytelnić pierwszego w charakterze nadzwyczajnego posła. Z chęcią przewiezienia uwierzytelniającego pisma oświadczył się Poniatowski, pragnący poznać dwór sultański i używany na nim w czasie posłuchania ceremoniał; w tym celu poprosił o uwolnienie od obowiązków na sześć tygodni. Król przyjął prośbę łaskawie, zażądał tylko, aby nie bawił dłużéj, gdyż ma nadzieję, że tymczasem rana mu się zagoi i że będzie mógł rozpocząć wojnę na nowo. Nie tracąc przeto czasu, wyruszył gene-

---

pnia, jak za tureckim historykiem Raszydem podaje Hammer (*Geschichte des osmanischen Reiches* t. III. p. 140.)

rał w drogę 8 Września r. 1709, i przybył do Stambułu bardzo prędko, bo przed upływem tygodnia (1).

Oprócz ekspedycyi dla Neugebauera, przywiózł list do w. wezyra. Pierwszy ten po sułtanie dygnitarz turecki, ciekawy szczegółów walki Karola XII z Piotrem W., wypytywał go o przebieg bitwy pod Pułtawą, o siły szwedzkie na lądzie i na morzu i t. p. Chcąc się przekonać o prawdomówności generała, badał w tych samych kwestyach zostającego w jego służbie renegata, kapitana okrętu, rodem ze Szwecyi—a widząc zgodność zeznań, zaszczycił go komplementem:

„Ten giaur—rzekł—nie umie kłamać.“

Wyszedłszy nietylko obronną ręką z długiego śledztwa, ale nawet pozyskawszy od razu względy wezyra, postanowił z nich korzystać Stanisław, i dlatego na końcu posłuchania poprosił go o pozwolenie zwiedzenia osobliwości Carogrodu: skarbców, pałaców, meczetów i w ogólności wszystkiego co uwagi godne. Na to odparł wezyr, że nawet ambassadorom prawo takie nie przysługuje. Niezbity z tropu Poniatowski, zamiast coby się miał zmieszać odmową lub ponawiać prośbę, zażądał fermanu, t. j. rozkazu do urzędu pocztowego, gdyż powraca bez zwłoki do króla, aby mu powiedzieć, że widział tylko miasto i morze... Wezyrowi podobała się ta żołnierska stanowczość i śmiałość giaura; nakazał przeto jednemu z dworzan, aby towarzyszył generałowi wszędzie, dokąd tylko pójść zechce, i okazał mu wszystko, czego zażąda.

Miała to być łaska tak rzadka u Turków, że wzbudziła powszechne zdumienie; ztąd też wszystkie drzwi stanęły mu otworem a nic ważniejszego nie uszło jego ciekawemu oku. Wynagradzał, jak zapewnia, sowicie każdego, ktokolwiek mu ułatwił poszukiwania. Niezwykła hojność gościa i względy, jakiemi go darzył wezyr, zwróciły nań ogólną uwagę, zjednały mu poważanie i znajomość z najwybitniejszemi osobistościami stolicy.

Po audyenci Neugebauera u sułtana, na której był przytomnym (1), poprosił o ferman do powrotu. Wielki wezyr zawezwawszy go do siebie, zapytał nader uprzejmie, dlaczego tak wcześnie chce porzucać Konstantynopol? i dodał, że powinienby dłużej tu

---

(1) La Motraye Voyages t. I. p. 417. Hammer, Geschichte des osmanichen Reiches, t. VII, p. 141.

(1) Audyencya ta wedle idącego za Raszydem Hammera (VII, 141) odbyła się 8 Października 1709 r., myli się jednak Hammer, sądząc, że się to stało już za drugą bytnością Poniatowskiego w Carogrodzie.

zabawić, że go wszyscy lubią i chętnie widzą wśród siebie. Na to Poniatowski przedstawił królewskie rozkazy, oświadczył, że termin już dobiega swego kresu, że Karol już rusza do Polski, że wypada mu stawić się przed upływem wyznaczonego czasu, aby się nie narazić na niełaskę monarszą.

Wezyr zauważył, że nie mając sposobu zatrzymania go dłużéj, da mu ferman za trzy dni, przyczém wyraził życzenie, aby przed wyjazdem raz jeszcze zechciał z nim pogawędzić i ukazać się w stroju, w jakim chodził po ulicach Carogrodu, zwiedzając osobliwości miasta. Aby dogodzić woli ministra, Stanisław w dniu odjazdu zjawił się u niego w ubiorze tureckim, czém go wielce zobowiązał. Rozprawiano znów szeroko i długo; wezyr wynurzał przyjaźń sułtańską i swoje osobiste przywiązanie do osoby króla szwedzkiego, nalegał, aby wielki wojownik nie przyśpieszał wyjazdu z granic Porty i nie wystawiał się na niebezpieczeństwo. Zaręczał, że przyjaźń Karola jest drogą i wysoce dla jego sułtańskiéj mości pożądaną, że naczelnik wiernych gotów mu dać przyzwoity zastęp w celu bezpiecznego odprowadzania go do szwedzkich posiadłości, którymkolwiek zechce szlakiem.

Gdy generał chciał już odchodzić, kazał mu gospodarz usiąść jeszcze na chwilę, i wskazawszy na wielki trzos złota, powiedział, że wiedząc o jego szczodrobliwości, okazywanéj w Stambule, nie chciałby, aby mu w drodze pieniędzy zabrakło. Poniatowski grzecznie podziękował za tyle dowodów szlachetnéj życzliwości i opieki, lecz przyjęcia złota odmówił stanowczo. Sprawujący urząd tłómacza Porty Ottomańskiéj niejaki Mauro-Cordato, były hospodar wołoski, nie rozumiejący, jak można odrzucać dar podobny, usiłował go skłonić do przyjęcia, tłómacząc, że odmowa urazi wezyra; lecz on oświadczył, że ludzie wyższych stopni, zostający w królewskiém otoczeniu, nie przyjmują podarunków nigdy i od nikogo, chyba od własnych panów. Przemogło w końcu jego skrupuły zapewnienie ministra, że to dar samego sułtana. Pożegnawszy się z gospodarzem, wyjechał w tejże chwili do Benderu.

Pierwszy występ w obcym i tak odrębnym świecie muzułmańskim, wypadł jak widzimy dla Poniatowskiego nadspodziewanie pomyślnie, służąc niejako za szczęśliwą wróżbę i zapowiedź owych świetnych sukcesów, jakie mu niebawem miały paść w udziale. W opisie „magnata polskiego“ noszą one na sobie tak na wskroś romantyczną cechę, że się wydają raczéj ustępem z cudownéj opowieści tysiąca i jednéj nocy, raczéj wymarzonym płodem bujnéj wyobraźni, aniżeli rzeczywistemi wypadkami. Przy przeglądaniu znanych nam już dobrze *Uwag* mimowoli budzi się niedo-

wierzanie, zaostrza się zmysł krytyczny, pragnący pola do popisu, szukający środków wykrycia domniemanego fałszu, czerpiącego swe źródło w próżności autora — ale daremnie: bo prócz jednego, jedynego drobiazgu, nie sposób zadać mu kłamstwa, wykryć nieuzasadnionego samochwalstwa.

A jeśli prawdą jest wszystko, co tam czytamy, dokazał Stanisław rzeczywiście rzeczy niesłychanych, i to za pomocą nader szczupłych środków, bo w czasie kilkoletniego pobytu w Stambule wydał tylko 120,000 talarów, jak zapewnia Fryxell, który miał sposobność zajrzeć do królewskich rachunków (1). I dziś wprawdzie jeszcze dzięki wyjątkowemu położeniu i osobnym stosunkom Turcyi w rzędzie państw europejskich, niejeden cudzoziemiec chlubi się, że przez czas pewien trząsł Dywanem i dyktował mu prawa, ale wierzą temu chyba ludzie wielkiéj naiwności i prostoty serca; generałowi wierzyli znakomici pisarze, począwszy od autora *Henryady* a kończąc na Fryxlu. Nordberg, choć nie wszędzie wiernie za nim idzie, nigdzie mu fałszu nie wytyka, o jego wysokich zdolnościach, wielkich zasługach mówi z najżywszém uznaniem. Voltaire, nawet w późniejszych edycyach (2), nie może się dość wydziwić zręczności i szczęściu człowieka, co przybywszy do Carogrodu bez dyplomatycznego charakteru i tytułu, jako prosty wysłaniec zbiegłego do Turcyi monarchy, chrześcianin, Polak, intryguje niemal jawnie przeciw wicekrólowi państwa Ottomańskiego, z pomocą innych Turków „użytecznego i miłego dotąd panu swemu“ dygnitarza obala, by późniéj w podobny sposób popychać z drogi kilku innych nieprzyjaznych wezyrów i wysokich urzędników.

Nowoczesny Fryxell zwięźle ale dobitnie określając talent i zasługi generała, krótkiemi słowy potwierdza wszystko, o czém napomknęliśmy wyżéj i zarazem w subtelnym zarysie nader trafnie zestawia wybitne cechy jego charakteru. Najznakomitszym człowiekiem w otoczeniu Karola — powiada (3) — był Stanisław hr. Poniatowski, pan czynny, pełen odwagi, sprytny i szlachetny, a jednak układny, giętki i uniżony, obdarzony osobliwą sztuką postępowania z ludźmi. Dla Karola, z powodu jego bohaterstwa, pałał uczuciem uwielbienia, graniczącego niemal z bałwochwalstwem. Wiedziony przywiązaniem i miłością do niego i do Le-

---

(1) Fryxell, II, p. 228.
(2) Wydanie z roku 1764 p. 259.
(3) Fryxell II, 227.

szczyńskiego, uczestniczył z wielkim zapałem w układach z Turkami. *Bez Poniatowskiego prawie nicby tu nie zrobiono.* Szczery ten przyjaciel Karola był ożywiany nieustającą gorliwością, niezmordowaną energią i odwagą przechodzącą bardzo późno albo nigdy w zwątpienie.

Z takiemi przymiotami, z takiém szczęściem do ludzi, jakie nam nieraz podziwiać w nim przyjdzie, nie dziw, że mu się pomyślniéj wiodło niż innym. Nie zdaje się wprawdzie ulegać wątpliwości, jak już napomknęliśmy, że mówiąc o swoich czynach, tu i owdzie przecenił ich wielkość i doniosłość; ale nie mogąc wykazać, do jakiego stopnia folgował swéj próżności, powinniśmy, jak mniemam, iść w ślad za jego relacyą, zamiast sobie przysądzać prawo spełnienia trudnego a w granicach naukowéj ścisłości niemożebnego nawet zadania krytyka. Spostrzeżenia własne dodajemy tam, gdzie nam daną była sposobność kontrolli; tu zauważymy tylko, że wyrazu „przyjaciel,“ stosowanego przezeń tak często do znajomych Turków, nie należy brać w dosłowném znaczeniu.

Popełnilibyśmy wreszcie niesprawiedliwość względem generała, gdybyśmy przemilczeli fakt nader zaszczytnie świadczący o jego zdolnościach, a mogący posłużyć za doskonałą odprawę tym, coby się kusili pomawiać go nie już o samochwalczą przesadę, lecz wprost o kłamstwo. Rzeczone zaś świadectwo jest tém wiarogodniejsze, że nie pochodzi od osoby życzliwéj mu, ale owszem od politycznego przeciwnika, od ambassadora rossyjskiego Szafirowa.

Ten w liście do Piotra W. tłómacząc zawarcie traktatu z Portą w końcu Maja 1713 roku, powiada, że chociaż sami Turcy są ograniczonymi barbarzyńcami, ale „posiadają nauczycieli obeznanych wybornie nietylko ze stosunkami Rossyi, lecz nawet całéj Europy,“ a między owymi pedagogami muzułmanów, obok posła francuzkiego wymienia i Stanisława, zowiąc go „przemądrą głową.“ Nieco przedtém donosi carowi, że „poseł francuzki i Poniatowski rzucają się jak wściekłe psy,“ że musi wytężyć wszystkie swoje siły i skupić umysł, aby im stawić czoło—domaga się przeto jak najrychlejszego nadesłania ku pomocy Tołstoja (1).

Jak sam Poniatowski dwukrotnie zaręcza, pierwsza jego podróż nie miała politycznego celu; jedyną pobudką była wrodzona mu ciekawość, chęć ujrzenia nieznanego, a z powodu swej odręb-

(1) Istoria Rossii, Siergieja Sołowjewa, t. XVI p. 118–120.

ności wśród krajów europejskich niezmiernie zajmującego świata: zabranie listów posłużyło mu za pozór, za sposobność ziszczenia powziętego wpierw planu. Mylnie zatém przedstawia rzecz całą Voltaire, nadając owéj wyprawie dyplomatyczną doniosłość (1).

Ale jakkolwiek pierwsza podróż carogrodzka nosiła nawskroś prywatny charakter, niemniéj przeto stała się źródłem następnéj, wprost już politycznéj missyi. Wielki wezyr Ali basza, wbrew gorącym oświadczeniom przyjaźni dla szwedzkiego króla, wkrótce uległ czarownéj potędze Piotrowego złota, zaczął w skutku tego zapominać o poprzednich zobowiązaniach i obietnicach, odnowił nawet pokój z carem, mimo wtargnięcia wojsk rossyjskich w granice Mołdawii i porwania trzechset Szwedów w sułtańskich państwach. Na domiar złego brak taktu Neugebaura sprowadził ostateczne poróżnienie między nim a wielkim wezyrem (2). Trzeba było teraz wyprawić do Konstantynopola kogoś, ktoby potrafił obalić naczelnika tureckiego ministerstwa, bo niepodobna było myśléć o odniesieniu zwycięztwa nad Piotrem W. w drodze przekupstwa. Nikt jak się zdawało nie był ku temu sposobniejszym od Poniatowskiego, cieszącego się sympatyą mieszkańców stolicy tureckiéj, mającego zawiązane w czasie poprzedniego pobytu stosunki z wyższém towarzystwem muzułmańskiém — człowieka, co wedle słów Voltaire'a — umiał odtąd stać się niezbędnym królowi, miłym Porcie, a niebezpiecznym dla samych wezyrów (3). Pospołu z nim wyruszył niewspominany przezeń pułkownik Krystyn Albrycht Grothusen (4). Powróciwszy do Carogrodu, postarał się nowy poseł przedewszystkiém o pomoc ludzi zręcznych, a obeznanych doskonale z miejscowemi stosunkami. Zaprzyjaźnił się tedy ze starym, zbiegłym do Turków szlachcicem węgierskim, imieniem Ferencz Horwat, z renegatem francuzkim, pierwszym serajowym chirurgiem, nazwiskiem Goin, wreszcie z człowiekiem, do którego znajomości się nie przyznaje, z żydem portugalskim Fonseką, we-

---

(1) I tutaj należy zwrócić baczną uwagę na dwa pierwsze i następne wydania jego *Historyi Karola XII*, różniące się niepomału w ustępach, poświęconych generałowi. I tak w późniejszych edycyach brak zupełnie zdania grzeszącego wprawdzie niedokładnością, lecz nader dlań pochlebnego: „Hrabia Poniatowski, człowiek równie zdolny jak nieustraszony, umiejący (insinuant) wszędzie dotrzeć, giętki, obdarzony osobliwym talentem podobania się wszystkim narodom, towarzyszył szwedzkiéj ambassadzie dla tajnego zbadania Dywanu."

(2) *Remarques* 71, 72.

(3) Wydanie z r. 1764, t. II str. 251.

(4) Nordberg, tom II p. 217.

dle Voltairowego świadectwa, człowiekiem uczonym i bystrym, zdolnym do prowadzenia interesów i jedynym może filozofem swego narodu (1). Rodzaj zajęcia otwierał ostatniemu wstęp do Porty Ottomańskiéj i częstokroć zapewniał nawet zaufanie wezyrów.

Położenie naszego posła było delikatném i draźliwém. Miał on z całych sił swoich pracować nad strąceniem ze szczytu władzy człowieka, od którego doznał najwyższych, wyjątkowych w Turcyi względów, za grzeczności i łaski miał mu odpłacić walką na życie i śmierć, walką do upadłego. Ale pamiętny większych dla Karola obowiązków, a zarazem politycznéj zmienności Ali baszy, przedsięwziął i on zapomnieć o przeszłości i postępować jedynie tak, aby interesa swego monarchy poprowadzić jak najlepiéj, bez względu na to, czy ktokolwiek padnie ofiarą jego zabiegów. Wierny silnemu postanowieniu, wytrwał przy niém, pomimo że wezyr zerwawszy wszelkie stosunki z Neugebaurem, świeżo przybyłemu agentowi w uderzający sposób okazywał niezmienną życzliwość.

Trudna ta sprawa—opowiada „magnat polski“ — wymagała wielkiéj ostrożności, wiele czasu i intryg. Ależ to właśnie było najstosowniejsze dla Poniatowskiego pole do działania; był on na niém niezrównanym mistrzem i czuł się w swoim żywiole, gdy mógł intrygować. Odniósł też nad przewodnikami zwycięztwo stanowcze i świetne.

Sam generał w książce swojéj nie wdając się w opis szczegółów i przebiegu zwycięzkiéj z wezyrem walki, ogólnikowo o niéj wspomina, uważając widocznie opowiadanie Voltaira za wystar-

---

(1) Voltaire w wydaniu z r. 1764 str. 251 odparłszy bez dowodu insynuacyą Nordberga, jakoby nie otrzymał od Poniatowskiego materyałów, skoro mu tenże P. w broszurze swojéj kłamstwo zadaje—obstając więc przy dawniejszych swoich słowach, dodaje, że odebrał od niego i drukowane już *Uwagi* i wiele innych jeszcze rękopismów, o kilka zaś wierszy daléj trwa w sprostowaném przez generała zdaniu, wymieniając w roli jego przyjaciela obok dwóch innych: lekarza, Portugalczyka imieniem Fonseca zamiast Goin'a. Fonseca był zamieszkałym czasowo w Konstantynopolu żydem, i z tego to zapewne powodu wypiera się stosunków z nim wyrosły tymczasem na magnata generał, co właśnie mogłoby nas utwierdzić w poprzednio wyrażoném powątpiewaniu o jego prawdomówności. O zachwianiu Voltairowego twierdzenia tém mniéj myśleć można, że znał Fonsekę osobiście w Paryżu. Na jego też opowiadania powołuje się, zapewniając, że zgadzały się zupełnie z opisem Poniatowskiego, lubo w tym punkcie możnaby go podejrzywać o niejaką stronniczość, bo chodziło mu tutaj o odparcie zarzutów La Motraye'a i Nordberga (II, 170), uważających za proste zmyślenie całą historyą o korrespondencyi króla i generała z sułtańską matką. (Zob. niżéj).

czające, lubo Nordberg (1) milczenie jego inaczéj sobie tłómaczy. Słynny filozof opierając się zarówno na ustnéj i piśmiennéj relacyi Poniatowskiego, jako też na słowach portugalskiego żyda, zapewnia, że agent szwedzki, nie szczędząc złota, zdołał sobie wszędzie wstęp otworzyć, potrafił wejść w przyjazne stosunki z walidą matką sułtańską, i przez nią wpłynąć na umysł syna. Pewna żydówka, mająca przystęp do dostojnéj matrony, opowiadała jéj z zapałem o bohaterskich czynach Karola XII. Skora do uniesień Turczynka, zapalona sławą wielkiego wojownika, życzyła mu z całego serca nowych tryumfów, i popierała w seraju gorąco jego sprawę, nie zowiąc go inaczéj, jak swoim lwem.

— Kiedyż więc — mawiała do syna — kiedyż pomożesz memu lwu do pożarcia wroga?

Nie pierwszy to i nie ostatni raz działał Stanisław przez kobiety; z sułtańską matką miał prowadzić w tym celu korrespondencyą i otrzymać od niéj wbrew serajowym przepisom własnoręczne listy, „znajdujące się jeszcze w jego ręku"—dodaje Voltaire—„gdy piszę niniejsze dzieło" (2).

Ale umiał on znaleźć inne jeszcze sposoby odwrócenia ciosów z ponad głowy Karola i wpłynięcia na zmianę usposobienia sułtana, uległego dotąd ślepo woli wszechwładnego ministra. Pierwsze jego kroki względem potężnego przeciwnika nacechowane były prawdziwie dyplomatyczną ostrożnością i zręcznością. Bezpośrednio po przybyciu generała wyprawił doń wezyr posłańca z pozdrowieniem i zapewnieniem, że z przyjemnością powtórnie go powita. Płacąc grzecznością za grzeczność, pośpieszył Stanisław z odwiedzinami. W ciągu rozmowy usiłował go Turek podstępnie wybadać i wykraść mu tajemnicę missyi. Ale trafiła kosa na kamień; Poniatowski nie był z tych ludzi, co się dają podejść. Odparł więc obojętnie, że przybywa jedynie w celu utrzymania przyjaznych stosunków z dawnymi znajomymi, a w końcu wynurzał się, że od króla otrzymał zlecenie, aby podziękować sułtanowi za dane mu łaskawie przyrzeczenia i prosić o ich spełnienie na nadchodzącą wiosnę.

Wezyr udał zadowolenie ze słów gościa, lecz wyminął je ogólnikiem, że Karol, jak tego pragnie, w krótkim czasie stanie u gra-

(1) II, 411 i na innych miejscach.

(2) Wyd. z r. 1764. t. II str. 252—Hammer, tom VII p. 141—Fryxell II p. 229; snadź ich nie przekonały dowody Nordberga na str. 411. Allgemeine Weltgeschichte nach dem Plan Wilh. Guthrie und Joh. Gray etc. von Daniel Ernst Wagner tom 69 Brünn 1789 p. 141.

nic Szwecyi. Niezachwiany w raz powziętych zamiarach, powrócił generał do domu.

Niezadługo zaproponował Ali basza w imieniu sułtana odesłanie Karola na dziewięciu wojennych dobrze uzbrojonych okrętach. Gdyby król przyjął propozycyą, mógłby co rychléj wsiąść wraz ze swym orszakiem na statek, i wyruszywszy na morze Śródziemne, zawinąć do któregokolwiek kraju, gdzieby mu się podobało. Stanisław wespół z Neugebaurem przesłał powyższe oświadczenie królowi, ten zaś dał odpowiedź grzeczną, lecz odmowną, odwołując się do pierwszéj obietnicy sułtańskiéj (1).

Zniechęcone ciągłemi zwłokami i zmiennością sułtana otoczenie królewskie, przestało już wierzyć w możność otrzymania od Porty tak silnego zastępu, aby pod jego zasłoną można było puścić się drogą lądową do Szwecyi; sam tylko monarcha nie tracił nadziei, dotychczasową bezkuteczność zabiegów swych przypisując intrygom wezyra. Dla przecięcia więc pasma tych kabał, dał generałowi zlecenie, od którego spełnienia wymawiał się dotąd usilnie Neugebauer: aby się postarał o wręczenie samemu cesarzowi memoryału, zawierającego szczegółowy opis całéj sprawy i oskarżenie Ali baszy. Nie zawahał się Poniatowski uczynić zadość woli monarszéj, jakkolwiek i on wiedział doskonale, na co się naraża tak śmiałym krokiem w kraju takim jak Turcya, jak srogim i nieubłaganym w zemście jest podstępny i gwałtowny a niepodzielnie swym panem rządzący minister.

Zredagowane oddawna pismo trzeba było przełożyć na język turecki i wysłać do rąk właściwych.

O jedno i drugie wedle Voltaira, la Motraye'a (2) i Hammera (3) postarał się Stanisław, jakkolwiek Nordberg uczestnictwo a nawet główną w przedsięwzięciu rolę przyznaje Neugebaurowi (4). Korzystając ze zwyczaju, dozwalającego biednym przystępu do naczelnika wiernych, przybrano w strój turecki prostego z niewoli wykupionego chłopaka, i nauczono go jak ma postąpić. Klęczący przed bramą meczetu biedak wręczył memoryał wychodzącemu ze świątyni sułtanowi. Ten przyjąwszy papier, oddawcę

(1) Nordberg tom II str. 219. Czytaj drugi przypisek o Wolterze.

(2) Voyage du Sr. de la Motraye, t. I p. 420.

(3) T. VII p. 142.

(4) Nordberg, t. II str. 223. Voltaire (Histoire de Charles XII wyd. z r. 1764 str. 258—60), odwołuje się do świadectwa posła francuzkiego p. de Fériol, który na prośbę Poniatowskiego przetłómaczył memoryał na tureckie.

rozkazał odprowadzić do seraju, a po przeczytaniu wypytawszy go, zkądby był i od kogo przyniósł pismo, wrócił mu wolność (1).

Następne dni przeszły dla generała w dręczącéj niepewności, zapełnione najsprzeczniejszemi pogłoskami o zamysłach sułtańskich, nim nadeszła pożądana wiadomość o pomyślnym skutku memoryału.

Tymczasem między Neugebaurem a Poniatowskim wybuchło nieporozumienie i przeszło w otwartą walkę. Dotąd działali wspólnie i obadwaj też przez usta przeciwnych sobie historyków przypisują sobie zasługę pierwszego, silnego ciosu wymierzonego przeciw wezyrowi. Ale wkrótce ze szkodą dla sprawy powstała między nimi waśń nieprzejednana, któréj źródła szukać należy w ambicyi obudwu, w fakcie, że jeden nie chciał ustąpić drugiemu pierwszeństwa i rozstrzygającego głosu: ten opierając swoje uroszczenia na generalskim stopniu, tamten na stanowisku uwierzytelnionego posła. Widząc, że dla nich dwóch Konstantynopol za szczupły, postanowili szkodzić sobie wzajem; jeden pragnął pobyt drugiego uczynić niemożebnym, sprowadzić co rychléj odwołanie rywala (2).

Biegły w podobnych robotach Stanisław rozwinął wszystkie swe siły i skierował je ku pozbyciu się Niemca, a i ten ze swéj strony nie próżnował. Poniatowski porozumiewał się z tureckimi urzędnikami na własną rękę; tak samo postępował i Neugebauer, a nie ograniczając się na podziemnéj walce, na miejscu jęli się nawzajem obarczać różnemi skargami u króla. Pierwszy donosił, że ambassador nie dorósł do wysokości zajmowanego stanowiska, że grzeszy bojaźliwością i źle prowadzi interesa królewskie, a jego relacye dla braku wiarogodnych informacyi nie zasługują wcale na uwagę. Drugi znowu pisał, że go generał czerni u Turków, mówiąc o nim jako o hołyszu nizkiego pochodzenia, bez zasług i przeszłości, zawdzięczającym obecną posadę jedynie szczęśliwemu wypadkowi, chwilowéj potrzebie. W końcu nie wahał się Neugebauer rozpuszczać wieści, że jeśli usiłowania jego tak długo nie odnoszą upragnionych owoców, jeśli Karol dotąd wbrew serdecznym życzeniom nie może drogą lądową podążyć do ojczyzny; to wina takiego stanu rzeczy ciąży głównie na Poniatowskim i Józefie Potockim, wojewodzie kijowskim, bo ci z miłości dla ojczyzny nie chcąc, aby Karol szedł przez Polskę, nakłaniają Turków do odmówienia mu zbrojnego hufca.

---

(1) Stało się to 23 Stycznia 1710 r. (La, Motraye, Voyages, t. I p. 420.

(2) Nordberg, t. II p. 224,

Rozumowanie powyższe o tyle miało za sobą w istocie pozór słuszności, że podróż Szwedów i Turków przez kraj zostający pod nieprzyjacielskim dla nich rządem, nie mogła się odbyć bez szwanku dla kraju; ztąd też nie przypuszczając, aby Polak działał tak widocznie z krzywdą własnéj ziemi, miano nawet i poczytywano mu to za lekkomyślność, że całą niemal przeszłość swoję złożył w ręku Stanisława. Ale zapominano przytém, że tak generał, jak hetman związani ściśle z osobą i sprawą szwedzkiego monarchy, nienawidząc Sasa i nie mogąc się niczego spodziewać pod jego rządami, pragnęli przedewszystkiém zrzucenia go z tronu, choćby za cenę największych strat i ofiar; że korzyści własne jednocząc z dobrem ogółu, postępowanie swoje uważali za wysoce patryotyczne; a wreszcie, że Poniatowski, jak się wyżéj rzekło, miał teraz jeden tylko ideał, jednego człowieka, któremu służył gorliwie, jako żołnierz i niższego rzędu dyplomata nie wdając się w ocenienie, o ile jego bezwarunkowe posłuszeństwo rozkazom wodza wyjdzie na korzyść Polsce. Neugebauer słabo zresztą poparł swoje podejrzenie, skoro jako jeden z silniejszych dowodów przytaczał fakt, że Potocki podczas dwumiesięcznego pobytu w Carogrodzie, ani razu go nie odwiedził... Mógł mu hetman osobiście być niechętnym, z czego jeszcze nie wypływało, aby stawał wpoprzek interesowi Karola (1).

Mimo tajemniczego zachowania sułtana wiedział dobrze w. wezyr co się święci, jak groźna chmura zawisła nad jego głową, i zkąd miał grom uderzyć. Kiedy więc oddany królowi szwedzkiemu han tatarski przyjechał do Benderu i naradzał się codziennie z seraskierem, zerwał Ali basza wszelkie związki z Poniatowskim, nie przyjmując jego odwiedzin pod pozorem choroby, nieobecności lub ważnych zajęć, a za przykładem wezyra poszedł w. kanclerz. Przybycie hana na rozkaz sułtański do Konstantynopola rozstrzygnęło o losie wszechwładnego ministra; po złożeniu z urzędu, nie jak opowiada Voltaire na uduszenie, ale na wygnanie skazany (5 Czerwca 1710 r.), umarł naturalną śmiercią w Mitylenie (2).

Do strącenia go przysłużył się Szwedom mimowoli nienawidzący zarówno Karola jak wszystkich chrześciańskich książąt, młodociany ulubieniec sułtana, Kumurdżi Ali basza. Tak więc—

(1) Nordberg t. II p. 225, nie wydaje wcale sądu w téj sprawie. „Wie dieses zusammenhängt,“ mówi—„davon mögen andere urtheilen;“ choć z następującego bezpośrednio zdania widać, iż przechyla się na stronę Neugebaura.

(2) Hammer, t. VII, p. 162.

wedle słów Voltaira (1)—„stary, dobrze swemu panu zasłużony minister, padł ofiarą kaprysu dziecka i intryg cudzoziemca" (2).

Miejsce strąconego wezyra, zajął Kupruli Numan basza, „wielki przyjaciel Poniatowskiego," dodaje „magnat polski" (3). O nowym dygnitarzu przytacza ostatni szczegóły, przynoszące zaszczyt jego głowie i sercu, dowodzące, że był to ze wszech miar niezwykły człowiek, godny stanąć u steru państwa i kierować losami narodów; niektóre jego odezwania się i postępki ukazują nam w nim nawet rodzaj muzułmańskiego Salomona, wzbudzającego pobożne uwielbienie między wyznawcami Proroka (4). Od chwili zmiany w. wezyra, nowy, szczęśliwy zwrot następuje w polityce Dywanu względem króla szwedzkiego. Coraz większą uwagę zwracały w Dywanie słowa Poniatowskiego, że wzrastająca z każdym dniem flota groźnego sąsiada na Azowie, oraz poblizkie twierdze, zapewnią mu przewagę na morzu Czarném i zagrożą sam Carogród, jeśli Porta nie pomyśli wcześnie o środkach zaradczych (5). Rozpoczęły się żwawo przygotowania celem spełnienia danych wpierw Szwedom obietnic; sułtan na znak przyjaźni ofiarował Karolowi w drodze pożyczki ośmset kies złota, nie żądając wcale rękojmi zwrotu.

---

(1) Voltaire, (1764) p. 260—261.

(2) Hammer (t. VII p. 144) twierdzi, że upadku Alego baszy nietylko nie sprowadziła partya szwedzka, lecz że owszem zguba wezyra była następstwem nieprzyjaznego dla Karola XII usposobienia sułtana—uzasadnia zaś zdanie swoje słowami Raszyda, które dla wierności podajemy we własnym przekładzie autora „Historyi Ottomańskiego państwa:" „Da durch des Grossvezirs Tschorlili Ali-Pascha schlechte Anstalt der Schwedenkönig der hohen Porte als schwere Last auf die Schultern fiel, und was nur für Mittel ergriffen wurden, Keines nützte so ward das Kaiserliche Gemüth dadurch sehr beängstiget und dadurch dem obgedachten Vezir überaus abgewendet." Otoż słowa powyższe, jak nam się zdaje, tak rozumieć trzeba, że sułtan ulegając skargom Szwedów, strącił wezyra, ponieważ nie mógł czy nie chciał skutecznie i pomyślnie rozwiązać kwestyi szwedzkiéj, t. j. nie znalazł takiego sposobu, któryby Porcie dał możność wywiązania się ze zobowiązań względem gościa i uwolnienia się od jego nieustających pretensyi—słowem, nie uczynił zadość jego żądaniom, nie dał mu dostatecznéj siły zbrojnéj. Z brzmienia przekładu zdaniem naszém nic więcéj wyciągnąć nie można, jakkolwiek je może Hammer do swego poglądu starał się zastosować; sam on zresztą na stronie następnéj powiada, że „partya szwedzka cieszyła się z upadku Alego, jako swego wroga."

(3) Myli się Szujski, przypisując rychły upadek Kuprulego intrygom generała, z powodu, że i nowy wezyr „niewiele do wojny okazał ochoty." (IV, p. 230). Wedle opisu samego Poniatowskiego rzecz się miała wprost przeciwnie.

(4) *Remarques* p. 73—78.

(5) La Motraye, t. I, p. 418.

— Wezmę króla waszego jedną ręką—miał się wyrazić, mówiąc do generała Kupruli—a w drugą pochwycę szablę i na czele dwukroć stu tysięcy żołnierza zaprowadzę go do Rossyi (1).

Zawezwawszy do siebie posła rossyjskiego Tołstoja, zapowiedział mu, że sto tysięcy tureckich szabel otworzy Karolowi drogę do Szwecyi; a gdy na zapytanie, jak się wobec nich zachowa Piotr W., odebrał odpowiedź, że jako sprzymierzeniec Augusta musi mu w razie żądania dostawić czterdzieści tysięcy doborowego żołnierza, rozdraźniony Kupruli oświadczył, że on sam stanie na czele wojska, gdyby wymieniona liczba nie wystarczała, powiększy siły, w drodze płacić będzie za wszystko, z przyjaciołmi obchodząc się po przyjacielsku, a orężem torując sobie drogę wszędzie, gdzieby spotkano jakąkolwiek przeszkodę.

Gdy tak wszystko najpiękniejsze dla Karola rokowało widoki, nagle niespodziany wypadek rozproszył błogie nadzieje. Podeszły i niedołężny wódz janczarów, dowiedziawszy się, że w. wezyr zamyśla go usunąć z urzędu, zręcznie uknutą intrygą zastraszył sułtana i przyczynił się do ustąpienia Kuprulego, który na dniu 7 Sierpnia 1710 r. udał się do Morei w charakterze gubernatora (2).

Po nim objął rządy nad miastem basza Dywanu, imieniem Soliman, z tytułem kaimakana. Rodem z Georgii, człowiek ograniczony i chciwy, Soliman zaprzedał się później Rossyi; do kierowania losami rozległego państwa nie miał najmniejszych zdolności.

Nie chcąc sam wyruszyć w pole, zamianował wreszcie sułtan wezyra, i to niedołężnego ulubieńca swego, Mehmet Baltadżibaszę, a przydał mu do pomocy wielkiego poborcę ceł, Osmana agę w roli kijai (3) czyli marszałka i doradcy. Na dniu 21 Listopada 1710 roku ogłosił sułtan manifest, zapowiadający kroki wojenne z Rossyą, rozpoczęte przeważnie w interesie szwedzkiego sprzymierzeńca, bo obok zwrotu Azowa domaga się wyprowadzenia wojsk rossyjskich z Polski, uznania Leszczyńskiego królem, szanowania nie podległości kozaków i zrzeczenia się wszelkich zdobyczy nad Bałtykiem.

Niemal bezpośrednio przed wypowiedzeniem wojny przybył do Konstantynopola nadzwyczajny wysłaniec Augusta II, imieniem Bąkowski, aby wedle zwyczaju zapowiedzieć uroczyste poselstwo ze strony króla i Rzeczypospolitéj z Chomętowskim wojewodą poznańskim na czele. Przyjęty ze zwykłemi w podobnych

---

(1) *Remarques*, p. 68; na str. 79 w rozmowie z Tołstojem wymienia już tylko połowę téj cyfry.

(2) *Remarques*, p. 80. Nordberg II, 229.

(3) Nordberg t. II. p. 234.

razach honorami, przypuszczony do publicznéj audyencyi u wezyra i sułtana, gdy rozpoczął intrygi przeciw Karolowi XII, za sprawą Poniatowskiego (rzecz niesłychana!) pod strażą wyprawiony do Benderu, oddany jako więzień królowi Szwedów, od niego miał się dowiedzieć o swoim losie i na jego zdanym być łaskę (1).

Zagrożony wojną Piotr W. pociągnął na swą stronę hospodarów: wołoskiego i mołdawskiego, wyprawił do Albanii agentów w celu wywołania buntu między Grekami, i pewny zwycięztwa zapowiadał, że wkrótce stanie w murach Carogrodu. Późniejsze wypadki okazały, że w istocie jedynie nieprzebaczonemu postąpieniu wezyra miał do zawdzięczenia, iż wedle własnéj przechwałki nie stanął w stolicy państwa Ottomańskiego, ale—w charakterze wojennego jeńca.

Baltadżi basza, miasto ruszać coprędzéj przeciw nieprzyjacielowi, nie zostawiając mu czasu do zgromadzenia większych sił, zwlekał z dnia na dzień wyprawę, przyjmując z trwogą przesadzone wiadomości hospodara mołdawskiego o wielkiéj wojskowéj potędze Piotra W. Poniatowski, który na dniu 28 Marca 1711 roku podążył ze Stambułu do obozu tureckiego (2), przekonany o mylności owych doniesień, zapewniał w. wezyra i jego doradcę, że je rozpuszczono z umysłu, aby ich zastraszyć, wstrzymać pochód, a korzystając ze zwłoki, zająć most wystawiony na Dunaju i obledz Bender.

Wywody generała były tak wymowne, że zwłaszcza po wyśledzeniu związku hospodara mołdawskiego z carem, ruszono wreszcie w drogę i zdążano naprzód tak szybko, iż po dwudziestu dniach marszu znalazła się armia sułtańska po drugiéj stronie wspomnianego tylko co mostu. Tu dopiero przeświadczywszy się niemylnie o zdradzie hospodara, i zrozumiawszy cel otrzymywanych od niego sprawozdań o wielkich siłach rossyjskich, podziękował uprzejmie towarzyszącemu Turkom Stanisławowi za dobre rady i przestrogi; w zamian za wyświadczone przysługi obiecywał mu złote góry w imieniu sułtana, od siebie zaś dar wielkiéj u muzułmanów ceny, bo dwie najpiękniejsze perły seraju.

Zatrzymawszy się w miejscu na dni dziesięć dla pokrzepienia wojska i wysadzenia na ląd przybyłéj morzem ciężkiéj artyleryi, powołał do siebie wezyr hana tatarskiego na radę wojenną i zwrócił się do generała z prośbą, aby pośpieszył do Benderu i zapro-

---

(1) *Remarques* p. 89. Nordberg, II p. 217.

(2) Nordberg, II, 302.

sił Karola do uczestnictwa w téj wielkiéj naradzie. Gdy przybył do tego miasta, król właśnie wybierał się do tureckiego obozu; wyjątkowo jednak wbrew zwyczajowi zapytał w. kanclerza Müllera i radcy Feiffy, co mu czynić wypada? Liczne argumenta przytaczane przez nich. a wymierzone przeciw królewskiéj podróży, jako uwłaczającéj powadze Karola, odwlokły decyzyą, a w końcu wpłynęły na zmianę postanowienia (1).

Odprawiony z błahemi wymówkami Poniatowski, miał na odwrót proponować wezyrowi, aby sam przybył do Benderu i wraz z królem powziął ogólny plan trwałéj wojny. Zmartwiony niefortunnym skutkiem swéj missyi, nie mniéj boleśnie uczuł późniéj, że mu wówczas nie wspominano wcale o liście sułtańskim, wyprawionym do Karola razem z Bąkowskim. Przyrzekał w nim władca wiernych, że zostanie dlań zawsze stałym sprzymierzeńcem, że jeśli nieba pobłogosławią jego orężowi, nie zawrze nigdy pokoju z Piotrem W. bez uwzględnienia interesów szwedzkich, jakby swych własnych. Lekkomyślne zamilczenie o rzeczoném piśmie wiele złego zrządziło; bo powołując się na nie w stanowczéj chwili, mógłby był generał powstrzymać wezyra od nieszczęsnych układów nad Prutem.

Harda odpowiedź królewska, co nietrudno było przewidzieć, jak najgorsze sprawiła wrażenie. Daremnie wysilał się Stanisław, by usprawiedliwić odmowę swego pana.

— Byłem pewny — rzekł w. wezyr zwracając się do hana — byłem pewny, że ten giaur nigdy nam nie wyświadczy podobnego zaszczytu.

Odtąd stał się dla Poniatowskiego znacznie chłodniejszym, jakkolwiek utrzymywał z nim stosunki i wzywał go do narady, ilekroć nadeszła jakakolwiek nowina o ruchach nieprzyjacielskich. Widząc, że Rossyanie postępują naprzód, radził generał iść na ich spotkanie. Posłuchano go, a po pięciodniowym pochodzie stanęło wojsko przed wieczorem nad brzegami Prutu. Zaledwie się rozłożyło obozem, aby zaczekać na wystawienie mostów, aliści zjawił się na drugim brzegu rzeki generał Janus z siedmiu do ośmiu tysiącami rossyjskiéj kawaleryi, i rozstawił swoje pułki na szerszéj niżby należało przestrzeni (2).

---

(1) Nordberg, t. II p. 309—310. *Remarques* 95 sq.

(2) Porównaj Nordberga (II, 311) z *Uwagami* p. 98. Drugie podają imię generała Ogilvi, zamiast Janusa. Czytaj też Fryxella II, p. 237—239; La Motraye'a, t. II p. 16 i 25. Było to 18 Lipca 1711 roku, jak widać z podanego w ostatniém dziele listu

Wielki wezyr poraz pierwszy znajdując się w polu, a bojaźliwy z natury, uległ panicznéj trwodze, uważając się za zgubionego, jeśli nań nieprzyjaciel uderzy. Doświadczony w sprawach wojennych Poniatowski rozpoznał niebawem po obrotach korpusu, że Janus chce tylko zasięgnąć języka o wojsku tureckiém i rozszerzeniem obozu utrzymać Turków w złudném mniemaniu, jakoby cała armia rossyjska przybyła. Zapowiedziawszy więc, że ta przednia straż cofnie się w nocy, wszelkiemi sposobami starał się dodać odwagi upadłemu na duchu Baltadżi baszy, powstrzymać go od nierozważnych kroków pod wpływem przestrachu i zachęcić do budowania mostów. Nie zawiodło go przeczucie; jutrznia poranna nie zastała już Rossyan w miejscu, gdzie nocą płonęły liczne ogniska, bijąc szeroką łuną w niebo. Wtedy dopiero ochłonął wezyr z przerażenia, jakie nań padło dnia poprzedzającego. Tatarzy i przednia straż turecka wpław przeszli Prut, i dognawszy uchodzącego nieprzyjaciela, wzięli mu pewną liczbę jeńców.

Tymczasem w przeciągu dwudziestu czterech godzin wystawiono dwa mosty; od świtu do dziesiątéj rano przeprawiało się przez nie wojsko tureckie, pałające gorącą żądzą spotkania z wrogiem. Ale wezyr uląkłszy się znowu własnéj śmiałości, wbrew powszechnemu życzeniu kazał rozbić namioty.

Poniatowski ze sprawozdań szpiegów i z opowiadań jeńców powziąwszy silne przekonanie, że Rossya nie myśli staczać walki, lecz cofać się, nakłaniał Baltadżiego do dalszego pochodu; lecz widząc, że daremnie się kusił o złamanie jego uporu, oświadczył, że wszelkie doniesienia, jakie otrzymuje, są fałszywe, że jeśliby mu dał pięciu lub sześciu zaufanych ludzi, gotów podjechać pod obóz nieprzyjacielski, zdać mu dokładną o nim sprawę i wskazać, coby nadal czynić wypadało.

Wezyr zrażony pychą Karola, zniechęcony ciągłém, natrętném mentorstwem generała, którego znosił dlatego tylko, że czuł własną niższość i nieudolność: chętnie przystał na propozycyą, aby go się tylko na czas jakiś pozbyć.

Szybko sprawił się Stanisław. Zaręczywszy pod gardłem za prawdę słów swoich, opowiedział, że nieprzyjaciel stracił zupełnie głowę, że musiał z całego wojska utworzyć czworobok, aby nie

---

Poniatowskiego do Leszczyńskiego (p. 25 do 28). Ów list pisany bezpośrednio po zawarciu pokoju nad Prutem, zgadza się niemal zupełnie z pisanemi we 30 lat późniéj *Uwagami;* jest w nim tylko autor znacznie zwięźlejszym i nieco oględniejszym z obawy może przed zemstą wezyra, któremu tu jeszcze nie zarzuca przedajności, lubo mówi o dowodach „du peu de bonne intention, ou plutôt de l'extrême sottise du Visir."

uledz Tatarom i przedniéj straży tureckiéj, że jednak nie należy tracić ani chwili, gdyż wojska rossyjskie o milę tylko będąc oddalone od lasu, mogłyby schronić się do niego nocą i znaleźć w nim ocalenie. Nalegał, aby się decydowano natychmiast, w którym to razie nie wahał się przyrzec, że samego cara odda w ręce wezyra; w przeciwnym zaś wypadku za nic nie odpowiada, bo na wojnie nieraz jedna chwila o wszystkiém stanowi, a zręczne skorzystanie ze sposobności zapewnia zwycięztwo.

Zapał i silna wiara Poniatowskiego udzieliły się wodzom tureckim; to też połączone ich namowy zwyciężyły wreszcie upór Baltadżiego baszy, który jednak przypomniał szwedzkiemu agentowi, że w razie niepowodzenia radę swoję gardłem przypłaci.

Odtąd jechał generał na czele wojska z agą janczarów i kijają wezyra, „dobrym swym przyjacielem;“ Baltadżi basza wiódł straż tylną, pochód odbywał się szybkim krokiem. Jego obecność była tu niezbędną dla ciągłego miarkowania wybryków wezyra, o tyle okrutnego i żądnego krwi, o ile był niedołężnym. Spostrzegłszy, że armia staje na miejscu, biegnie Poniatowski do naczelnego wodza, aby się dowiedzieć o przyczynie, i cóż widzi! Oto Mehmet z barbarzyńską rozkoszą w obec wojska przypatruje się aktowi ścinania głów jeńcom rossyjskim, wziętym w liczbie dwustu do niewoli, gdy puściwszy się łodziami na rzekę, chcieli zniszczyć lub spalić mosty. Oburzony błaga nieludzkiego wezyra, aby nie tracił drogiego czasu na niewczesnéj egzekucyi; jakoż udało mu się jeszcze ocalić stu pięćdziesięciu z górą więźniów.

Zbliżywszy się do nieprzyjaciela na odległość strzału, zatrzymano się na chwilę, lecz uniesieni zapałem Janczarowie, nie czekając na rozkazy, z ogromnym krzykiem: *Ałłah*, *Ałłah!* a z szablą w ręku wpadli na rosyan. Byliby ich niezawodnie w gwałtownym pędzie złamali, gdyby przebiegły nieprzyjaciel rzuceniem najeżonych kolcami belek, nie był sprawił w ich szeregach zamętu. I drugi szturm odparty ze stratą.

Kijaja rzekł wówczas do Stanisława:

— Przyjacielu, poniesiemy niezawodnie klęskę!

Ale ten spostrzegłszy, że nieprzyjaciel nie korzysta wcale z popłochu, jaki ogarnął Turków, i że nie wychodzi po za obręb czworoboku, odparł spokojnie, że przeciwnie winszuje mu już naprzód zwycięztwa, lecz przedewszystkiém trzeba pomyśleć o przywróceniu ładu i porządku w wojsku. Zmrok już zapadał, gdy Turcy tak samo jak dotąd i równie też bezowocnie, uderzyli na niewzruszony czworobok.

Poniatowski zaprzyjaźnionym z sobą adze janczarów i kijai

od samego Stambułu wykładał szeroko i długo, jak należy rozpoczynać napaść i szykować wojsko do boju; ale nauki jego na nic się nie zdały, bo kijaja wysłuchawszy ich z uwagą odparł, że gdyby miał nieszczęście ponieść klęskę, stosując się do téj nowéj metody staczania walki, spadłaby wina na nich obudwóch; generał przypłaciłby życiem radę, on zaś dałby gardło za to, że jéj posłuchał.

— „Co innego—dodał—jeśli zostaniemy pobici, walcząc wedle zwykłego porządku, którому zawdzięczamy podbój tylu krajów; wówczas samą chyba Opatrzność możnaby za nieszczęście pociągnąć do odpowiedzialności.“

Widząc teraz, że ów prastary system turecki nie przynosi pożądanego skutku, że trzymając się go dłużéj, przyszłoby w rzeczy saméj winić Opatrzność o niepowodzenie, poszedł wreszcie kijaja za wskazówkami przyjaciela. Poniatowski radził przez całą noc okopywać czworobok, aby go otoczyć fossą i doczekawszy się przybycia artyleryi, użyć jéj o świcie, bo ona jedna licząc pięćset dział, zdolna zniszczyć nieprzyjaciela do szczętu.

Rozpaczliwe było położenie Piotra W. Okopał on się pomiędzy Prutem a bagnem, podobnie jak przed trzydziestu pięciu laty Sobieski pod naddniestrzańskiém Żórawnem (1). Z jednéj strony obsaczyli go Turcy, z drugiéj odcinała mu odwrót rzeka nie do przebycia, bo strzeżona na przeciwnym brzegu przez piętnaście tysięcy Turków, Tatarów i Polaków wojewody kijowskiego, Józefa Potockiego.

Noc była ciemna i bez gwiazd, podobnie jak czarną wydawała się przyszłość Piotra W., bo czuł, że jest zgubionym bez nadziei (2). Generał i kijaja powrócili do w. wezyra, drżącego jak liść osiki, choć huk wystrzałów do niego nie dochodził. Po krótkiéj rozmowie, Stanisław usunął się dla odpoczynku do poblizkiego namiotu.

W kilka godzin potém posłyszał łoskot wozów, o czém uwiadomił natychmiast kijaję; mniemano, że to janczarowie lub inni żołnierze wiozą zdobycz. O świcie przyprowadziła straż adjutanta generała Szeremetowa, niosącego list do wezyra. Poseł rossyjski rozwiodłszy się nad przyczynami wojny i złożywszy całą winę na karb nieprzyjaciół Piotra W., domagał się układów. Na zapytanie wezyra, co myśli o tém? odparł Stanisław, że nie godziłoby

(1) Hammer, t. VII, 157.
(2) Herman: Geschichte des russischen Reiches, Bd. IV p. 269.

się spieszyć z odpowiedzią, ani wdawać w umowy z ludźmi, których nieubłagana konieczność oddaje wszystkich bez wyjątku w ręce zwycięzcy, że w odpowiedzi należałoby raczéj rozpocząć szturm na nowo i kazać, aby zagrały działa. Poczém wyszedłszy od wezyra, wsiadł na koń pospołu z kijają, celem bliższego zbadania pozycyi i wydania potrzebnych rozporządzeń. Właśnie wskazywał towarzyszowi, które skrzydło nieprzyjacielskie bardziéj z ludzi ogołocone, gdzie więc najprzód trzeba uderzyć, gdy wtém jak grom z pogodnego nieba, spadł rozkaz Baltadżiego baszy, aby zaniechać napaści, gdyż nieprzyjaciel chce układów. Kijaja nie śmiejąc sprzeciwić się woli przełożonego, podszedł tylko do rossyjskich szańców, aby zobaczyć, co się wewnątrz dzieje. Stanisław wykazywał mu jeszcze, że możnaby za pierwszém natarciem przełamać szyki nieprzyjacielskie. Żołnierze zaledwie żywi, osłonieni okopami wielkiemi, stali w wodzie po kolana; zupełny brak żywności groził im głodową śmiercią.

Gdy tak chodzili naokoło szańców, przystąpiło do nich trzech oficerów rossyjskich, a między nimi jeden znajomy generałowi z Konstantynopola i polecony przezeń królowi szwedzkiemu, jako pragnący wstąpić do jego służby, następnie obdarzony w Benderze przez Karola za dobre chęci datkiem trzystu dukatów i paszportem do Polski. Otoż ten oficer zwróciwszy się do Poniatowskiego oświadczył, że przybywa wraz z towarzyszami z polecenia cara, aby prosić o pokój i aby dać zapewnienie, że król szwedzki uzyska wszystko, czegokolwiek zażąda, byle tylko generał zajął się szczerze zawarciem przymierza. Stanisław marzący jedynie o wzięciu do niewoli Piotra W. i całego jego wojska, zgromił oficera surowo za zdradzieckie przeniewierstwo, za niewdzięczność względem Karola, i nie słuchając jego tłómaczenia, udał się z kijają do namiotu w. wezyra, aby na wstępie od nadętego pychą muzułmanina usłyszeć zapytanie: „czy nie przejmuje go to podziwem, że lubo jeszcze rok nie upłynął od czasu, jak został ministrem, dokonał już tylu dzieł znakomitych?“ Poniatowski złożywszy mu nader krótkie powinszowanie, oświadczył, że bardzo się cieszy widząc, jak się sprawdzają jego przepowiednie, i dodał, że jeśli tylko zechce, może otoczyć swe imię nieśmiertelną chwałą, biorąc cara wraz z wojskiem do niewoli, całemu zaś państwu rossyjskiemu narzucając haracz.

Wezyr w odpowiedzi na powyższe słowa objawił chęć ujrzenia tych myśli na piśmie; generał więc wziąwszy do pomocy tłómacza, spisał je w krótkich słowach, składających dwa główne punkta: po pierwsze, aby kazał sprowadzić do siebie cara i wysłał

go bez zwłoki do sułtana; po drugie, aby całe jego wojsko zmusił do złożenia broni i wziął je do niewoli w charakterze jeńców wojennych: reszta zaś sama się późniéj znajdzie. Baltadżi basza kazał sobie w głos odczytać pismo, i nie mówiąc słowa, schował je do kieszeni.

Po chwili opuścił Stanisław namiot wezyra, a zapowiedziano przybycie carskich pełnomocników. Mniemano powszechnie, że w. wezyr nie przyjmie ich wcale, lecz że otrzymają posłuchanie w namiocie sekretarza stanu, Hummera effendiego, dokąd też zbiegł się już tłum ciekawych. Ale ku ogólnemu zdziwieniu komissarze przyszli przed namiot Baltadżiego baszy, do którego ich też wprowadzono niebawem.

Zaraz pierwszy, drobny na pozór szczegół audyencyi nie podobał się generałowi i za złą mu posłużył wróżbę. Zamiast szorstkiego i cierpkiego przyjęcia, jakiego się spodziewał, doznali carscy wysłańcy niezwykłéj grzeczności, bo przyniesiono im taborety, a wezyr miasto czekać, aby wystąpili ze swemi propozycyami, powitał ich pierwszy w arcyprzyjacielski sposób i poprosił, aby usiedli. Ujęci nieoczekiwaną uprzejmością Turka, jęli wymieniać przedugodne punkta, przyrzekli zwrot Azowa z okolicą, niezawisłość kozaków i wyprowadzenie wojsk rossyjskich z granic Polski; aby zaś jak mówili, nie zapomnieć żadnego z żądań wezyra, pragnęli je spisać i w tym celu udali się do namiotu sekretarza.

Teraz dopiero zrozumiał Poniatowski, co znaczyły owe późną nocą jadące wozy (1), i pojął, że one to właśnie usposobiły do tak wielkiéj grzeczności Baltadżiego baszę. Korzystając tedy z chwilowéj posłów nieobecności, powtórzył dawniejsze słowa i dodał, że jeśli odrzuci układy i zniewoli nieprzyjaciół do bezwarunkowego poddania, pozbędzie się raz na zawsze najniebezpieczniejszego wroga, wyświadczy wielką przysługę królowi szwedzkiemu, a sułtanowi, panu swemu, zjedna tak wielką powagę wśród wszystkich narodów, że będą się prześcigały nawzajem w zabiegach o jego przyjaźń.

Oświadczył mu daléj z wielką śmiałością, że zapomina sromotnie o chwale państwa i sprawach swego monarchy, że dwakroć sto tysięcy ludzi jest świadkami jego czynności, że gdyby nawet nikt z pomiędzy nich nie śmiał oddać świadectwa prawdzie, to on

---

(1) Bliższe szczegóły ujęcia wezyra datkiem pieniężnym za inicyatywą Katarzyny i całéj wojny, znane powszechnie. Czytaj Hermana: Geschichte des russischen Reiches t. IV p. 270 sq.

będzie podawał do sułtana prośbę za prośbą, aby go objaśnić o wszystkich czynach i krokach wezyra (1).

Tak stanowcze, groźne nawet wystąpienie generała wobec licznego zgromadzenia, do wściekłości doprowadziło dygnitarza ottomańskiego, przywykłego do widoku bezwarunkowo posłusznych i płaszczących się podwładnych. W odwet więc za dotkliwe upomnienia, zasypał go gradem obelg i groźb, na które Stanisław odpowiedział w tymże samym tonie, i wyszedł.

Pełnomocnicy Piotra W. wróciwszy w półgodziny, do poprzednich punktów ugody, to jest głównie do zwrotu Azowa, dodali i ten, że potrzebują koniecznie armat dla obrony przeciw Szwedom, którzyby ich niechybnie zaczepili, gdyby byli bezbronni. Na to jakby ze snu głębokiego zbudzony Mehmet Baltadżi basza rzekł, iż prosi o wolny przejazd dla pewnego w Turcyi bawiącego gościa, a mianowicie króla szwedzkiego. Komissarze odpowiedzieli, że nietylko w podróży przeszkadać mu nie będą, lecz że nawet gotowi nieść go na ramionach, co wezyrowi dało powód do zachwytu nad ich dobrocią. Sporną kwestyą dział załatwiono w ten sposób, że miano je zostawić carowi, zobowiązującemu się nawzajem oddać Turkom w azowskiéj twierdzy tyleż sztuk, ile ich miał w obozie.

Poniatowski widząc, że już u wezyra po ostatniéj rozmowie nie wypada mu się pokazywać, przedsięwziął chwycić się innego, ostatecznego sposobu, bo zbuntować przeciw niemu armią. Rozrzuciwszy w tym celu tysiąc dukatów pomiędzy janczarów i artylerzystów, jął ich nakłaniać do odmówienia rozkazcm wodza posłuszeństwa, wystawiając, że Baltadżi basza jedynie dla własnych korzyści zawiera sromotny pokój i wydziera tak wojsku miliony, któreby mu wpadły w ręce po zdobyciu szańców — zapewniając wreszcie, że jeszcze pora do naprawienia złego, że jeszcze mogą posiąść obóz nieprzyjacielski, jeśli go posłuchają i pójdą za nim. Janczarowie i artylerzyści przyjęli pieniądze, sarkali na wezyra, lecz do rozpoczęcia akcyi na własną rękę i odpowiedzialność nie okazali ochoty.

Zawiedziony i tu w swoich rachubach, bolejąc nad rozwianiem najpiękniejszych nadziei, a nie chcąc mimo to dać za wygraną, pókiby nie wyczerpał wszelkich środków, zażądał raz jeszcze posłuchania u wezyra. Ten mając w swym namiocie zgromadzenie Dywanu, a obowiązując się, aby gwałtowny żołnierz nie ponowił opisanéj powyżéj sceny, kazał mu powiedzieć, że nadal nie

(1) *Remarques*, p. 120—Fryxell, II p. 241.

będzie tak cierpliwy jak dotąd, i że w razie najmniejszego zapomnienia na śmierć go skaże. Generał miarkując wewnętrzne wzburzenie odparł, że nie chciał nigdy ubliżać w. wezyrowi, że szanuje wysoką jego godność, jeśli zaś poprzednio nieco za żywo wypowiedział prawdę, gotów ją nadal osłaniać, lecz że ma z nim do pomówienia w nader ważnéj sprawie. Zaraz na początku audyencyi zapowiedział Baltadżi basza, że wszelkie przedstawienia byłyby bezużyteczne, gdyż pokój już zawarty i ani litery w warunkach zmienić nie można.

Poniatowski odparł na to, że nie myśli o łamaniu układów, że jakkolwiek boleśnie go dotyka wypuszczenie z matni Piotra W. i armii rossyjskiéj, więcéj go jeszcze gniewa naiwność i łatwowierność wezyra.

— „Gdy car wypuszczony na wolną stopę—mówił—ocali siebie i wojsko, któż wówczas zaręczy, czy zwróci Azow, zburzy inne obronne miejsca i spełni resztę warunków?“

Zmieszany muzułmanin zamilkł. Poproszono Stanisława, aby ustąpił na chwilę, bo Dywan chce się zastanowić nad jego słowami. Owocem narady było zażądanie zakładników, jako rękojmi dotrzymania warunków. Przywołany znowu generał, posłyszawszy uchwałę prześwietnego zgromadzenia, powiedział, że nie znają widocznie Piotra, jeśli się łudzą nadzieją, że car zbyt nizko ceni życie poddanych, choćby najznakomitszych, aby się nie wahał poświęcić ich dla ocalenia państwa, o czém mogą ich przekonać nieustanne egzekucye setek ludzi za najmniejszém oskarżeniem, bez sprawdzenia nawet czy sprawiedliwie.

Uderzeni trafnością uwag Polaka dygnitarze, zadumali się znowu i prosili go ponownie, aby ustąpił, bo będą szukali innych środków. Wróciwszy, dowiedział się, że gwarantami pokoju będą: Anglia i Hollandya, jak przy karłowickim traktacie. Obeznanemu z biegiem politycznych wypadków z ostatniéj epoki Poniatowskiemu, bez trudności przyszło wykazać, jak mocno się mylą poważni baszowie, jak mało znają własną i to tak świeżą przeszłość, biorąc pośrednictwo za rękojmię; że dwa wymienione państwa, zaprzyjaźnione z cesarzem niemieckim, a widząc, że wojna z Portą staje się dlań coraz uciążliwsza, ofiarowały się przy zawieraniu ugody w Karłowicach z pomocą w charakterze wyłącznie pośredniczącym, w roli medyatorów, a nie gwarantów; obecnie zaś ani zechcą, ani będą mogły mieszać się do téj sprawy, gdyż ze względu na swoje oddalenie nie zdołałyby zmusić cara do dochowania zobowiązań.

Dywan usilnie pragnący usunąć wszelkie przeszkody, rozwią-

zać wszelkie tak obficie przez generała nastręczane wątpliwości, wysilił się raz jeszcze na równie płytkie jak wpierw tłómaczenie. Oświadczył niewiernemu giaurowi, że sprowadzi z Konstantynopola angielskiego i holenderskiego posła i poprosi ich o gwarancyą. Nietrudno było dowieść niedorzeczności ostatniego pomyslu, wykazując, że ambassadorowie bez instrukcyi i upoważnienia nie ośmielą się przystąpić do dzieła; nim zaś dostaną odpowiedź od swych dworów, car już będzie za dziesiątą górą i za dziesiątą rzeką.

Tu wyczerpały się wszystkie argumenta wezyra i Dywanu. Powiedziano mu więc z niechęcią, że nie zerwą; nazajutrz przynajmniéj, jeśli nie znajdzie lepszych środków zabezpieczenia się przeciw wiarołomstwu Piotra, przystępują do ratyfikacyi—jeśli zaś nic innego nie ma do powiedzenia, lepiéj uczyni, nie zasypując ich przestrogami zaciemniającemi i wikłającemi sprawę. Niezrażony tak odpychającemi słowy, odparł Stanislaw, że znalazłby się sposób, gdyby się nie spieszyli z ratyfikacyą, że skoro wątpią o wierności cara, niech tedy zaczekają, dopókiby Karol XII nie przełożył mu również swoich warunków, a skoro stanie między nimi ugoda, mogą Turcy służyć za poręczycieli królowi szwedzkiemu i na odwrot; gdyby zaś Piotr nie dotrzymał zobowiązań, wówczasby obadwa mocarstwa wspólnie chwyciły za oręż i skarciły wiarołomcę.

Zdawało się, że ostatni pomysł przypadł Dywanowi do gustu. Polecili generałowi, aby niezwłocznie wygotował projekt w téj kwestyi, a nadto w sprawie jutrzejszego pokoju z Moskwą. Nie zważano na jego wymówki, że nie ma ani instrukcyi, ani pełnomocnictwa od swego pana. Ze względu na zaślepienie i upór wezyra, przyrzekł pracować przez noc całą pod warunkiem, jeśli zawieszą termin ratyfikacyi i nie wypuszczą nieprzyjaciela z matni. Udobruchany na pozór wezyr zaręczył, że nie pominą z pewnością interesów Karola XII, i że nie omieszkają donieść mu o spodziewanym powrocie pełnomocnika rossyjskiego, Szafirowa, aby się mógł z nim ułożyć.

Poniatowski wróciwszy do swéj kwatery dla rozpoczęcia zleconéj sobie pracy, miał baczne oko na Szafirowa i na kroki Baltadżiego baszy, nie mając doń zgoła zaufania po tém co zaszło. O świcie dowiedziawszy się, że Szafirow już w obozie, pobiegł do namiotu wezyra i stanął naprzeciw niemu oko w oko w chwili, gdy brał pióro do ręki, aby podpisać ratyfikacyą, nie przeczytawszy jéj nawet. Oburzony zdradą Turka chwycił go za rękę

i przypomniał wczorajsze przyrzeczenia (1). Ale Baltadżi basza zamiast się poczuć do obowiązku dotrzymania obietnicy, rzekł szorstko: „Gdzieś wszczął zwadę, tam powinieneś się starać o pokój.“

Bezpośrednio po podpisaniu traktatu wypuszczono oblężonych i dodano im dla bezpieczeństwa od niesfornych Tatarów pięciotysięczny orszak Turków (22 Lipca 1711). Przywołany z Benderu przez generała Karol XII przybył za późno, wezyr przyjął go grzecznie, lecz ani słuchać nie chciał o tém, aby mu na czele dwudziestotysięcznego oddziału pozwolił puścić się w pogoń za uchodzącym, wycieńczonym nieprzyjacielem, a dla ostatecznego odparcia zarzutów spytał naiwnie: „Ktoby rządził Rossyą, gdyby ją pozbawiono monarchy?“

Obecny przy téj rozmowie Poniatowski, uczestniczył w niéj tylko jako tłómacz, milczeniem lub pogardliwym uśmiechem jedynie zdradzając wewnętrzne usposobienie; ale gdy wezyr jął się rozwodzić nad rękojmią wierności Piotra W., rzekł:

— „Król dotąd jeszcze w stolicy Szwecyi posiada ministra carskiego jako jeńca, przysłanego z najgorętszemi i najuroczystszemi upewnieniami niezachwianéj przyjaźni w chwili, gdy pan Rossyi na czele dwudziestoczterotysięcznego z górą wojska szedł dla zajęcia pewnego pogranicznego zamku szwedzkiego. Pozostaje tylko jeden środek, wymagający wielkiego pośpiechu, środek zaproponowany już przez króla, za użyciem którego nawet bez naruszenia pokoju możnaby cara wziąć do niewoli, bo Karol dokaże tego, stanąwszy na czele 20,000 do 30,000 wojska i obecnych tu Polaków.“

Wezyr odparł na to, że pomijając już wzgląd, iż religia nie dozwala Turkom prowadzić wojny lub zawierać pokoju w interesie chrześcian, krok podobny byłby pośredniém zgwałceniem pokoju. To też widząc, że upór wezyra jest nieprzełamany, wkrótce przerwano konferencyą (2).

Poniatowski wobec tureckich przyjaciół, a zwłaszcza wiernego sobie statecznie hana nie taił oburzenia przeciw wezyrowi i wypowiadał bez ogródki, że car po złotym moście uszedł z niebezpieczeństwa, jakby na sprawdzenie słów Filipa Macedońskiego, że nie ma tak wysokiego muru, któregoby nie przeszedł złotem

(1) *Remarques*, p. 129—Fryxell, p. 242.

(2) La Motraye *Voyages*, t. II. p. 24.

objuczony osieł... Zaprzyjaźniony z nim jeszcze wówczas, lecz już złotem wezyra ujęty kijaja (1), pragnął go uspokoić, ofiarując za milczenie sto kies złota, dodając, że otrzymał zlecenie uwiadomienia sułtana o pokoju, przyczém nie omieszka oddać należnych pochwał wysokim zasługom generała.

Stanisław odrzuciwszy złoto, przestrzegł go, aby wiernie zdał sprawę swemu panu, bo prawda prędzéj czy późniéj się wykryje, a wówczas miasto wynagrodzenia za oszczędzanie wezyra, srogą karę poniesie za kłamstwo.

Baltadżi basza obawiając się oskarżenia u dworu i słusznéj zemsty, zapowiedział, aby nikogo bez jego pozwolenia nie przepuszczano przez Dunaj, i poprzejmował listy pisane przez Karola do Carogrodu (2). Ale Poniatowski przedsięwziąwszy uwiadomić sułtana o wszystkich szczegółach bitwy i pokoju dla wykazania całéj podłości wezyra, skreślił dokładny obraz wojny i wysłał memoryał tajemnie przez zaufanego janczara do Stambułu (3). Nie mając czasu do przetłómaczenia go na język turecki, uprosił o zajęcie się przekładem sekretarza ambassady francuzkiéj, co sprawiło krótkie opóźnienie (4).

Sułtan po przeczytaniu relacyi, nie chcąc aby się dowiedziano zkąd ją otrzymał, rozkazał wtrącić janczara do wieży i zabronił mu rozmawiać z kimkolwiek; następnie porównawszy otrzymane świeżo pismo ze sprawozdaniem kijai i spostrzegłszy wielką między niemi różnicę, badał długo kijaję i zapytał o Poniatowskiego, o którym ten wyraził się nader pochlebnie, o Karolu zaś mówił z niechęcią, jako o gburze, siadającym nieprzyzwoicie na sofie, z zawalanemi nogami, i domagającym się uderzenia na Moskwę już po zawarciu pokoju.

Lubo uwiadomiony o całym przebiegu sprawy, uważał sułtan za właściwe nie dać tego poznać na razie, pokąd nie wrócą wysłani do obozu w. koniuszy i Hassekiego aga. Tymczasem pozostały przy armii generał spotkawszy Hassekiego agę, „poufałego przyjaciela swego,“ opowiadał mu o tém co zaszło. Na nieszczęście uszło to jego baczności, że stoją naprzeciw namiotu w. wezyra. Ten z obawy, aby Hasseki aga nie doniósł sułtanowi o istotnym stanie rzeczy, zamiast wyprawić do Konstantynopola, skazał go na odosobniony areszt.

---

(1) Hammer, t. VII, p. 157.

(2) *Remarques*, p. 134—Nordberg II, p. 319.

(3) *Remarques* p. 134—Nordberg, II, p. 319.

(4) *Remarques*, p. 134—Voltaire (1764) p. 294.

Większe bez porównania niebezpieczeństwo zagroziło Poniatowskiemu. Baltadżi basza czy zasłyszawszy o wyprawionym do sułtana memoryale, czy rozdrażniony nieustającemi jego skargami i niewolny od obaw, aby zręczny dyplomata nie spełnił swych groźb, powziął myśl zabezpieczenia się przeciw niemu w najprostszy sposób, bo za pomocą zabójstwa. Ale i tego drugiego z kolei zamachu na swoje życie ustrzegł się szczęśliwie Stanisław, dzięki owéj niezrównanéj przytomności umysłu, jaka mu dopisywała w najcięższych chwilach.

Pewien aga wysłany z tajemnym od Porty rozkazem, aby się wraz z innymi znajdował zawsze w pobliżu generała (o czém on sam dotąd nie wiedział), zbisurmaniony Polak, zgłosiwszy się doń raniéj niż zwykle, zażądał chwili rozmowy w samotności. Gdy zostali sami, powiedział, wśród łez, że ujęty jego szczodrobliwością i grzecznościami, przychodzi z ostrzeżeniem, iż jeszcze przed zachodem słońca ma być zamordowany z rozkazu dworu, że on z towarzyszami, którzy do téj pory czuwali nad bezpieczeństwem Poniatowskiego, otrzymali rozkaz opuszczenia swych stanowisk, że dwunastu ludzi przyjdzie do namiotu udając pijaków i zasztyletuje go; radzi przeto co rychléj myśléć o ocaleniu. We dwie godziny późniéj nastąpił wypadek, potwierdzający doniesienie renegata. Straż, do któréj i tamten należał, przyszła się z nim pożegnać z powodu, że wezyr wzywa ich do usunięcia się. Odeszli hojnie obdarzeni.

Generał pozostał sam, pogrążony w zadumie nad tém, co go czeka. Niebawem powziął plan, jakiegoby się nie powstydził Wilhelm Orański. Nie wciągnąwszy służby do tajemnicy, nakazał tylko mieć w pogotowiu kawę, tytuń, perfumy i konfitury, gdyż się spodziewa odwiedzin; sam zaopatrzywszy się tylko w dwa kieszonkowe pistolety, polecił się Bogu, i jak opowiada, oczekiwał smutnego rozwiązania tragedyi.

W samo południe ujrzał rzekomych pijaków obok swego namiotu. Gdy weszli, przyjął ich nader uprzejmie. Przywoławszy służbę, z udaną radością polecił przynieść kawy, tytuniu, konfitur i t. d., i prosił usilnie, aby usiedli, pili i jedli. Tak osobliwe przyjęcie u człowieka, którego mieli zamordować, sprawiło na oprawcach nadzwyczajne wrażenie; zdumieni, spoglądali na siebie nawzajem, nie mówiąc ani słowa. Wtém pierwszy z pomiędzy nich, ten, co prawdopodobnie miał dać hasło do roboty, powstał nagle i rzekł do towarzyszów:

— *Heydy gidelem!* — co znaczy: Wychodźmy! — a na wyjściu rzekł do gospodarza:

— Ne Kiafirsen! (Jesteś niezwykłym giaurem!)

Ocalony z niebezpieczeństwa szczególném zrządzeniem Opatrzności, otrzymał na szczęście po kilku godzinach oczekiwane z Benderu odwołanie. Nietrudno pojąć, jak go uradował ten rozkaz monarszy. Pośpieszył z pożegnaniem jak wypadało do wezyra; powiedziawszy sobie kilka wymuszonych z jednéj i drugiéj strony grzeczności, rozstali się ku wzajemnemu zadowoleniu (1).

Ale wkrótce, gdy komendant Azowa nie chciał wypełnić warunków, gdy car będący już daleko na upomnienia nie odpowiadał, a wszyscy oburzali się na wezyra, że nie posłuchał rad Poniatowskiego, wówczas upokorzony Baltadżi basza pisał do Karola XII, prosząc o przysłanie wroga, gdyż może jeszcze poraz drugi przyjdzie zawierać pokój z Rossyą. Król szwedzki, znający całą przewrotność wezyra, odpowiedział, że sam potrzebuje generała, że wreszcie po zaniedbaniu najlepszéj ku temu sposobności, nie spodziewa się dogodnych dla siebie warunków. Niezadowolony powyższą odprawą, kazał sobie Baltadżi basza przysłać ze Stambułu agenta szwedzkiego, imieniem Funcka, i zażądał od niego, aby się układał z Szafirowem, czego Funck wręcz odmówił, tłómacząc się, że nie ma od swego monarchy upoważnienia, ani instrukcyi. Czyniąc zadość niewczesnemu domaganiu się wezyra, przysłał Karol instrukcyą, a gdy się układy rozchwiały na pierwszéj konferencyi z Szafirowem, co było rzeczą bardzo naturalną, poświęcił wezyr szwedzkiego posła i wyprawił do benderskiego baszy rozkaz, aby mu przysłał wspomnianego dawniéj Bąkowskiego i dostawił również do obozu Poniatowskiego ze związanemi rękami i nogami, sądząc, że on to właśnie poduszcza przeciw niemu króla.

Basza spełnił pierwszy rozkaz i wyprawił saskiego agenta, lecz do generała posłał własnego syna z przestrogą, aby się miał na baczności, trzymał się boku króla, nie przechadzał się osobno i nie przychodził do baszy, choćby otrzymał zaproszenie. Wreszcie zaniepokojony, więcéj Karola niż samego sułtana lękający się wezyr, nakazał trzem baszom, aby mu kazali natychmiast wyjeżdżać z Turcyi, a w razie oporu skrępowanego wsadzili do powozu i wywieźli; lecz uwiadomiony wcześnie król tak przyjął wysłańców, że ci powrócili ze strachem, nie ośmieliwszy się nawet wymienić powodu swego przybycia. Były to już ostatnie rozpaczliwe wysiłki

(1) Mylne jest zdanie Hammera (VII, p. 160), jakoby Poniatowski jeszcze po zawarciu pokoju miał z wezyrem „próbować łagodniejszych środków perswazyi.“

Mehmet Baltadżiego, bo niedługo potém złożony z urzędu, poszedł na wygnanie, najprzód na wyspę Lesbos, potém Lemnos, gdzie wkrótce umarł. Znaleziono u niego oczywiste dowody sprzedajności, bo pierścień carowéj, oraz dukaty rossyjskiego i saskiego stempla (1). Opróżnione po nim miejsce zajął aga janczarów, Jussuf basza.

Dowiedziawszy się o tyle pożądanéj zmianie, Karol XII wysłał Poniatowskiego znów do Carogrodu w nadziei, że może mu się uda wywołać powtórne wypowiedzenie wojny Rossyi dla powetowania tego, co utracono w traktacie nad Prutem. Nowy wezyr, człowiek odważny, był wprzód przyjacielem Stanisława; ufając jego życzliwości, nie miał dlań żadnéj tajemnicy i odkrył mu nawet wszystkie swoje stosunki i serajowe znajomości. Spodziewał się w nim znaleźć najdzielniejszą pomoc i poparcie; tém przykrzejszego więc doznał zawodu, gdy na powitanie ujrzał gniewną twarz Jussufa i usłyszał szorstkie słowa:

— „Giaurze, znam wszystkie twoje dawniejsze intrygi, i zapowiadam ci, że za pierwszą nową kabałą, jaką odkryję, każę ci przywiązać kamień do szyi i wrzucić w morze!"

Srodze rozczarowany i smutny, wrócił Stanisław do domu. Ale w téjże chwili Hasseki, oficer serajowy, poprosił go w imieniu swego pana Bostandżiego baszy, aby poszedł do niego bez zwłoki. Poniatowski, zostający jeszcze pod wrażeniem groźby wezyra, odpowiedział niechętnie, że nie pójdzie, że jest niezdrów i że ma w domu zajęcie. Zdziwiony odmową, odjechał Hasseki z oznakami niezadowolenia. W godzinę zamiast jednego, przyszło dwóch urzędników, a gdy się i teraz wymawiał, oświadczyli mu, że mają rozkaz przyprowadzenia go gwałtem, gdyby nie chciał iść dobrowolnie. Widząc, że to nie żarty, a nie chcąc być prowadzonym jako zbrodniarz, posłuchał wezwania, zachodząc w głowę, co ztąd wyniknie. Mały statek oczekiwał go w Top-hanie. Przeszedł następnie przez ogród sułtańskiego seraju i wprowadzony do zupełnie odosobnionéj, bogato przybranéj komnaty, otrzymał rozkaz, aby tu czekał spokojnie.

Po chwili wszedł Bostandżi basza, i pozdrowiwszy go nader uprzejmie, powiedział, że Jego Sułtańska Mość stojąc przy oknie, gdy generał wychodził od wezyra, spostrzegł chmurę zamyślenia na jego czole. Zdawało mu się— dodał — że byłeś zasępiony; nakazuję ci tedy, abyś szczerze wyznał, co cię zasmuca.—Stanisław odpowie-

---

(1) Hammer, t. VII, p. 161.

dział bez wahania, jaka niespodzianka spotkała go u Jussufa baszy i zapewnił, że jeśli na pierwsze wezwanie wzbraniał się iść do seraju, to jedynie z obawy przed zasadzką wezyra.

Bostandżi basza oddalił się, prosząc go z uprzedzającą grzecznością, aby się do chwili jego powrotu nie raczył niecierpliwić. Tymczasem służba przyniosła kawy, konfitur i t. d. z wyrazem osobliwéj uniżoności. Po dwóch godzinach wrócił basza, winszując mu serdecznie sułtańskich względów. Naczelnik wiernych bowiem usłyszawszy ze zdziwieniem o powodzie jego smutku, kazał szukać w. wezyra, i po długiéj wymówce zapowiedział, że głową odpowie za najmniejszą przykrość, jakaby Poniatowskiego spotkała w Stambule.

— „Jego Sułtańska Mość—kończył basza—kazał ci powiedzieć, abyś ze wszystkiemi interesami i propozycyami udawał się do wezyra, i abyś dobrze pamiętał odpowiedzi, bo je masz komunikować sułtanowi w drodze jaką ci wskaże."

Nadzieja i otucha wstąpiły więc na nowo w zwątpiałe serce Stanisława. Z tém większym zapałem rzucił się do pracy, aby wziąć odwet na wezyrze i nakłonić Portę do powtórnego wydania wojny Rossyi. Mimo oddanego w końcu Azowa, zawsze jeszcze czegoś brakło do warunków pokoju; to też generał z żywością powstawał przeciw nieważności łamanego przymierza, a Jussuf basza choć wściekły w duszy, nie śmiejąc go prześladować, ograniczał się na szorstkich odpowiedziach.

Jak dalece przyczynił się Poniatowski do zmiany polityki w Porcie i upadku wezyra, jak wielkiemi względami i zaufaniem obdarzał go sam sułtan, widać ze szczegółu pominiętego, co rzecz dziwna, w *Uwagach magnata polskiego*, a opisanego obszernie u Nordberga, widocznie na podstawie autentycznych dokumentów (1). Samowładca turecki pragnąc szczerze wojny, a nie mając pojęcia o współczesnych politycznych zawikłaniach—aby módz odeprzeć zwycięzko wszystkie zarzuty przeciwnego jéj Jussufa baszy i Dywanu, kazał generałowi podać na piśmie dziewięć następnych zapytań z prośbą, o szczegółowe i prawdziwe objaśnienia: „Z jakiego powodu rozpoczął Piotr wojnę z Karolem XII? Dlaczego mu nie dozwala wolnego przejazdu przez Polskę? Czemu Anglia i Hollandya tak gorliwie stają po stronie Rossyi? Cóż za korzyść odniosłaby Porta w razie, gdyby się nie wdawała w stosunki z Augustem II? Czy Turcya po zwrocie Azowa i zniesieniu twierdz nie

(1) N. t. II, p. 390-393, Luty r. 1712.

może liczyć na pewny pokój z Rossyą? Czy potrzeba, by sam sułtan szedł na wyprawę? Czy nie ruszą się inne europejskie mocarstwa, skoro Porta wojnę rozpocznie? Jaką szkodę mogą przynieść Turcyi intrygi Augusta, wreszcie czy Karol XII nie odrzuciłby pokoju z Piotrem, gdyby o Porcie nie było w nim mowy?

Na pierwszy zaraz rzut oka uderzy każdego wielka doniosłość wymienionych tu kwestyi, bo od rozwiązania takowych zależała decyzya Porty w najżywotniejszéj dla króla szwedzkiego sprawie. Trzeba było przekonać potężnego, lecz w świętéj prostocie i niewiadomości pogrążonego władzcę wiernych nietylko o tém, że po stronie szwedzkiéj jest słuszność, ale zarazem że Szwecya wespół z Portą może liczyć na pewne zwycięztwo, a w końcu unikać troskliwie wszelkiéj przesady, aby się nie narazić na zarzut kłamstwa. Generał zrozumiał, jak wielkie zadanie, jak ogromna odpowiedzialność ma spocząć na jego barkach, i zabrał się do dzieła z godną uznania sumiennością i gruntownością. Po kilkudniowéj dopiero rozwadze, wystosował długą i wyczerpującą odpowiedź, wybornie obmyślaną i świetnie zredagowaną. Nie mogąc powtarzać całéj z powodu zbytniej rozciągłości, przytaczamy ustęp, odnoszący się do Polski i Augusta II-go—ustęp, dla którego może Poniatowski nie zacytował całości, aby się nie kompromitować w oczach Augusta III-go, do którego obozu należał w chwili, gdy wydawał swoję broszurę. Wspomniawszy o samowolnéj gospodarce Piotra W. w Polsce i ogólném ztąd oburzeniu mieszkańców, powiada, że nikt go tak nie nabawia trwogi, jak król szwedzki, bo skoroby się tylko pojawił w granicach Rzeczypospolitéj, przeważna większość szlachty stanęłaby po jego stronie. Co się tycze elektora saskiego powiada, że „wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli z nim do czynienia, obwiniają go jednogłośnie, że najświętszym jego obietnicom nie można dawać wiary.“

Sultan znosił cierpliwie samowolność ministra przez dziesięć miesięcy, poczém stanowczo już postanowiwszy rozpocząć wojnę rozkazał wezyrowi posłów Piotra, Łopuchina i Tołstoja, wsadzić na osły i zawieźć do Siedmiu Wież pospołu z zakładnikami Szafirowem i Szeremetiewem. Zuchwały urzędnik chcąc sprzymierzeńcom oszczędzić hańby, zamiast osłów, dal konie, a jawny ten dowód nieuległości posłużył sułtanowi za pozór do natychmiastowego ukarania śmiercią krnąbrnego sługi i równocześnie wtrącił do wieży kijaję.

Zrażony postępowaniem kilku poprzednich wezyrów, zawiesił na czas pewien obsadzenie tego dostojeństwa, a ponowiwszy dane wprzód Karolowi XII obietnice, na znak przyjaźni ofiarował mu

tysiąc dwieście kies złota. Zamierzając prowadzić armię osobiście, przeniósł się już nawet w tym celu do Adryanopola — gdy wtém nowe, niespodziane zdarzenia stanęły znów na nieszczęście w poprzek owym planom. Han tatarski i seraskier Benderu za pośrednictwem Jana Sapiehy, starosty bobrujskiego, wdali się w korrespondencyą z hetmanem w. kor., Adamem Sieniawskim, a gdy listy te przejęto, z obawy, aby król szwedzki nie oskarżył ich u dworu, uknuli przeciw niemu intrygę. Korzystając z zawieszenia broni, zawartego na kilka miesięcy pomiędzy Flemingiem a generałem szwedzkim, Steinbokiem, wmówili w sułtana, że Karol sprzysięga się przeciw niemu z jego wrogami, szpetną niewdzięcznością płacąc za doznaną gościnność. Władca wiernych, omamiony różnemi pozorami, dał wiarę oszczerstwu (1).

Zdradzieccy muzułmanie przedstawienie sułtanowi rzekoméj zmienności króla zlecili znanemu ze zręczności i przebiegłości sekretarzowi hana, Husseinowi effendiemu. Ten wywiązawszy się jak najpomyślniéj z roli oskarżyciela, z Adryanopola przyjechał do Stambułu, gdzie bawił jeszcze generał, oczekując z Benderu pieniężnéj przesyłki dla spłacenia zaciągniętych w królewskiém imieniu długów (2). Podążył też na spotkanie Husseina w nadziei zasiągnięcia od niego nowin, których dotkliwy brak czuł już od sześciu tygodni. Turek wyraził zdziwienie, że go widzi w Carogrodzie, gdy Karol przed trzema jeszcze tygodniami wyjechał z Benderu. Poniatowski słowom jego nie dawał wiary, a przybysz obstawał przy swojém.

Nasz dyplomata chcąc do źródła baśni dotrzeć, a znając, jak wiemy, wybornie sztukę korzystania z cudzych słabości, kazał przynieść najmocniejszego wina i jął na Husseina nalegać, aby pił dla orzeźwienia się po trudach podróży. Nie potrzeba było powtarzać zaproszenia sekretarzowi, wielkiemu miłośnikowi butelki. Trunek wywarł zwykły swój skutek: chytremu Husseinowi otworzył serce i rozwiązał język.

Stanisław widząc niebezpieczeństwo grożące sprawie króla szwedzkiego, porozumiał się ze swymi tureckimi przyjaciołmi i zagranicznymi posłami, wystosował pismo do swoich znajomych w seraju i w kilka dni późniéj sam ruszył do Adryanapola, gdzie już agent szwedzki siedział w więzieniu wraz z innymi rodakami swymi.

---

(1) *Remarques*, p. 158 seq. Nordberg, II, p. 413 seq.

(2) *Remarques*, p. 154 i 161—a więc nie przebywał tu dla własnych interesów, jak chce Nordberg, II, p. 467.

W tej to właśnie porze (1 Lutego 1713 r.) „wartogłowy“ król, jak go poniekąd słusznie nazywa jeden z historyków naszych, nie chcąc się zastosować do sułtańskiego rozkazu, aby niezwłocznie opuścił Turcyą, na czele szczupłéj garstki, bo zaledwie 300 Szwedów stoczył walkę z całą armią, złożoną z 6,000 Turków i 20,000 Tatarów (1), i po uporczywym oporze wzięty przemocą, wywieziony został z Benderu.

W Adryanopolu działał Poniatowski tak zręcznie i energicznie, że wkrótce sprowadził zupełny przewrót w usposobieniu i polityce dworu. Swieżo przybyłego ambassadora Augusta II, Stanisława Chomętowskiego, wojewodę mazowieckiego, zamknięto na klucz w jego pałacu (2)—agent szwedzki odzyskał wolność.

Lud turecki, zaniepokojony sprzecznemi wieściami o losie bohaterskiego króla, głośno dlań objawiał sympatyą, nie tając na odwrót nienawiści dla jego prześladowców i przypominając słowa Proroka: „Czcijcie gościa choćby niewiernego“ (3). Głosy te doszły nawet do uszu padyszacha. Dla uspokojenia generała, kazał mu powiedzieć przez w. koniuszego, że jego pan żyje, że jedzie do Adryanopola—że byłoby pożądaném, aby on wyruszył naprzeciw niemu i przekonał go, że samemu sobie powinien przypisać benderską katastrofę. Sułtan ze swéj strony otwiera mu swoje skarby, gotów dać całą armią tak na straż bezpieczeństwa, jak na wojnę przeciw Moskwie, przyrzeka wreszcie ukarać przykładnie sprawców nieporozumienia; jakoż przed przybyciem jeszcze Karola złożył hana z godności, baszę zaś Benderu zadusić rozkazał. Równocześnie w miejsce Solimana mianowany wezyrem Ibrahim Motna, przyjaciel Stanisława, polecił mu zapewnić króla o swém szczerém dlań przywiązaniu i o chęci jak najrychlejszego porozumienia się z nim w sprawie wojny; w końcu przyrzekł, iż Chomętowskiego ani dopuści do posłuchania, ani go uzna za polskiego ambasadora.

---

(1) Hammer, VII, p. 164.

(2) *Remarques*, etc. *Historya życia Stanisława* I (1744) p. 211. Voltaire mówi o téj zasłudze Poniatowskiego tylko w pierwszych wydaniach, jak widać z zacytowanego co dopiero ustępu *Historyi życia*. (Voltaire, l. IV, p. 208 seq). Chomętowski stanął w Adryanopolu 25 Listopada 1712 r; o szczegółowym przebiegu napomkniętéj sprawy można się dowiedzieć z jego relacyi o poselstwie do Porty Ottomańskiéj. Rkps Zakł. Ossol. nr. inwentarza 1477; kopia z metryki koronnéj (*Ex metrice secr. Arch. Regni*). O Poniatowskim nie wspomina wcale Chomętowski.

(3) Hammer, VII, 164.

Wyjechawszy na spotkanie Karola, znalazł go w Lutym 1713 r. w pobliżu miasta Karnabadu (1), w odległości dwudziestu czterech mil niemieckich od Adryanopola. Widok ulubieńca tém milszą królowi sprawił niespodziankę, że mu doniesiono, jakoby zginął w Stambule. Znając charakter monarchy, wiedział aż nazbyt dobrze, iż niczém nie zdoła go skłonić do przyjęcia na siebie winy benderskiego zajścia; mimo to w jak najżywszy sposób starał się przedstawić wysokość ustępstw tureckich i zadośćuczynienia ze strony sułtana. Wszystko daremnie!

Po powrocie do Adryanopola czekał Poniatowskiego przykry zawód. Ibrahim zastraszony przez przyjaciół Rossyi, wbrew obietnicom zezwolił na audyencyą wojewody mazowieckiego. Gorzko, ale bez skutku wyrzucał mu wiarołomstwo generał. Tymczasem zapał sułtański do wojny ostygł również znacznie. Wyniosłość szwedzkiego monarchy (zamieszkałego w pobliżu Adryanopola, w zamku Timurtasz) w stosunku do pysznego wezyra, dopełniła miary nieporozumień. Motna żądał, aby go Karol odwiedził; ten zaś składając się chorobą, chciał go przyjmować w łóżku. Na nic się nie zdało pośrednictwo Stanisława i francuzkiego posła.

Wkrótce wprawdzie Ibrahim padł ofiarą ambitnych swych planów; zginął oskarżony o zamiar strącenia samego sułtana, ale i ta zmiana nie przyniosła królowi spodziewanych korzyści. Sułtan co chwila innym wrażeniom i wpływom uległy, jak nagle po nieporozumieniu z Karolem przechylił się na jego stronę, tak szybko również zerwał z nim znowu wszelkie stosunki. Wkrótce po przybyciu Poniatowskiego do Adryanopola interesa szwedzkie stały tak dobrze, iż mógł pospołu z posłem francuzkim żądać, aby sułtan pod tym jedynie warunkiem zgodził się na pokój z carem, jeśli zburzy twierdze nad brzegami Donu na pięćdziesiąt godzin drogi od morza Azowskiego, jeśli odda Ukrainę Turcyi lub hanowi, skłoni Augusta do zrzeczenia się polskiéj korony i zwróci Karolowi wszystkie zdobycze. Ale niebawem zmieniły się stosunki, Pod dniem 8 Marca 1713 r. donosi Szafirow z radością, że „sułtan do niedawna okazywał nadzwyczajne względy Funckowi i Poniatowskiemu, ale następnie z niewiadomych przyczyn zmienił usposobienie“ (1). Najważniejszym już objawem niełaski sułtańskiéj był rozkaz, dany obudwom agentom szwedzkim, aby co prę-

(1) *Remarques*, p. 168. Nordberg, II, 476.

(1) Istoria Rossii Siergieja Sołowjewa, t. XVI, p. 115—116.

dzéj opuścili Konstantynopol, gdyż Porta przedsięwzięła nieodwołalnie zawrzeć trwały pokój z Augustem i Rzecząpospolitą (1).

Tymczasem Leszczyński znużony długą i daremną walką z przeważnemi siłami nieprzyjacielskiemi, pospieszył tajemnie z Pomorza do swego szwedzkiego opiekuna w nadziei, że mu się uda nakłonić go do pokoju. Uwięziony 1 Lutego 1713 r. ze zlecenia hana i seraskiera benderskiego w Jassach, odprowadzony następnie z wielkiemi honorami do Benderu, przepędził tu czas dłuższy (2). Karol, marzący o nowych zwycięztwach i podbojach, nie dozwolił mu korzystać z utwierdzenia traktatu karłowickiego (22 Kwietnia 1714), zapewniającego byłemu królowi polskiemu puszczenie w niepamięć przeszłości, szwedzkiemu wolny przez Polskę przejazd. Chcąc mieć w nim i nadal powolne narzędzie, wyznaczył mu na tymczasowe schronienie dziedziczną swoję własność, księztwo Dwóch-Mostów nad Renem, i zlecił Poniatowskiemu, aby go odprowadził aż na miejsce przeznaczenia. Generał spotkawszy króla polskiego w Jassach, przewiózł go szczęśliwie w towarzystwie 40 ludzi przez Siedmiogród, Węgry, Austryą i całe Niemcy do Dwóch-Mostów; w przejeździe przez Wiedeń od dawnego swego wodza ks. Eugeniusza Sabaudzkiego dla bezpieczeństwa otrzymał straż honorową w osobie pułkownika, imieniem Weiss (1).

Po trzydniowym zaledwie odpoczynku, wróciwszy do Turcyi, zastał już króla szwedzkiego w Demotyce. Potężny do niedawna monarcha, przywykły do tego, aby świat przed nim drżał i korzył się, niezłamany poprzedniemi zawodami, boleśnie jednak czuł się dotkniętym opuszczeniem i zapomnieniem, na jakie był skazany. Nie mając żadnych wiadomości z Carogrodu, rozkazał Stanisławowi udać się do téj stolicy przez kraje cesarskie; z rozkazu dworu wiedeńskiego podejmowano bardzo świetnie generała i jego orszak.

* *

*

(1) Nordberg, t. II, p. 495. Rkps. Zakładu Ossolińskich Nr. 147?, fol. 42 i 43.

(2) Nordberg, t. II, 477—478.

(3) *Ranft*, Leben Stanislaus p. 457. *Remarques* p. 183—184. Nordberg II p. 536. Historya życia Stanisława I (1744) p. 222. Wzmianka autora ostatniéj książki jakoby „Poniatowski z niektórymi Polakami był przodem wysłany,“ odnosi się widocznie do ostatnich chwil podróży; generał w końcu dopiero rozłączywszy się z królem stanął dniem wprzód w Dwóch-Mostach.

Tu się urywają „Uwagi magnata polskiego,“ które nam od bitwy pod Pułtawą służyły za główne źródło; odtąd też przez lat kilka nader szczupłe są nasze wiadomości o Poniatowskim aż do zgonu Karola XII. Wiemy tylko z pobieżnych wzmianek Nordberga, że obecny przy wyjeździe króla do Szwecyi (23 Października 1714) (1), podążył wkrótce za nim, że uczestniczył w bitwie na wyspie Usedom (20 Lipca 1715 (2); wróciwszy ze Stralsundu, gdzie przez niejaki czas bawił, połączył się znów z Karolem w Szwecyi 22 Lutego 1716 (3); że gdy w pięć dni późniéj w pobliżu norwezkiéj wioski Iser wraz z księciem hessko-kasselskim i innymi generałami spieszył do królewskiego obozu, w potyczce z duńskim pułkownikiem Krusem, który ich napadł z zasadzki, dwiema kulami został ugodzony w szyję (4). Rana jednak nie była snadź ciężką, skoro w końcu Czerwca tegoż roku już zupełnie zdrowy udaje się wraz z baronem Görtzem do Hollandyi, dla zaciągnięcia pożyczki w imieniu króla (5). Ale poselstwo to miało wziąć niefortunny obrót. Szwedzki statek pocztowy, zapędzony burzą na norwezkie wybrzeża, dostał się w nieprzyjacielskie ręce. Znalazły się w nim listy Karola XII po części cyfrowane do Görtza, Poniatowskiego, Stanisława Leszczyńskiego i innych. Dołożono wszelkich starań, aby znaleźć klucz do cyfr, i wreszcie mylnie, czy prawdziwie, w złéj czy dobréj wierze wyczytano z nich, jakoby król szwedzki wchodził w układy z angielskimi Jakobitami, spiskującymi przeciw hanowerskiéj dynastyi. Rzecz się rozgłosiła i znalazła wiarę na londyńskim dworze. W odwet za to król Jerzy I uwięził posła szwedzkiego hr. Gyllenborga i tak samo kazał postąpić z bawiącym w Hadze Görtzem. Ten uwiadomiony dość wcześnie o losie, jaki go czeka, uszedł z Poniatowskim przez Amsterdam, lecz w dalszéj ucieczce poznany, dostał się z sekretarzem w mieście Arnheim do więzienia; generał zaś pozostał na wolnéj stopie (6). Po kilku dopiero miesiącach, 16 Lipca uwolniono barona i wówczas ruszyli pospołu do Szwecyi (6).

Podczas przydłuższego pobytu w Hollandyi miał Stanisław sposobność zawiązać stosunki z wybitniejszemi osobistościami kraju

(1) Nordberg II, 549.
(2) Id. II, 600.
(3) Id. II, 641.
(4) Id. II, 642.
(5) Id. II, 684.
(6) Id. II, 692 (2 Lutego 1712).
(7) Id. II, p. 698.

i bawiącymi w nim cudzoziemcami, z których w kilkadziesiąt lat późniéj korzystał w podróży swéj młodziuchny Stanisław August (w r. 1748). Zaprzyjaźniony z ojcem kawaler de Court, Szwajcar w służbie francuzkiéj, komendant w Bergen-op-Zoom, osypywał późniéj grzecznościami syna, nie mogącego się w pamiętniku powstrzymać od słów: „Jakie to szczęście być synem człowieka sławnego, znanego osobiście w wielu krajach!“ (1).

Jeszcze na początku Listopada 1715 w krwawéj bitwie na wyspie Rugii, miał Poniatowski wedle Voltaira wsławić się czynem, przypisywanym przez Nordberga pułkownikowi Baumgardtenowi (2). „W wirze walki — są słowa francuzkiego pisarza, — pewien oficer duński, o którego nazwisku nie mógłem się nigdy dowiedzieć, poznawszy Karola, ujął jedną ręką za jego miecz, a drugą chwycił go silnie za włosy i krzyknął: „Poddaj się królu, albo cię zabiję!“ Karol w mgnieniu oka porwawszy pistolet z za pasa, lewą ręką zastrzelił przeciwnika. Ale wspomnione przezeń imię królewskie, pociągnęło w jednéj chwili tłum nieprzyjaciół. Królowi rannemu poniżéj lewéj piersi, stojącemu pieszo, groziło wielkie niebezpieczeństwo; byłby niezawodnie poległ, lub dostał się do niewoli, gdyby go nie był zasłonił generał i dał mu konia. Raz więc pod Pułtawą, po raz drugi na Rugii — dodaje Voltaire—miał Poniatowski szczęście ocalić życie monarsze.“

Nordberg, jak się wyżéj już rzekło, zamilczawszy zupełnie o Poniatowskim, nie wspomina także o owym Duńczyku, co miał chwycić Karola za włosy; powiada tylko, że pułkownik Baumgardten podniósł króla leżącego pod koniem i wsadził go na własnego rumaka.

W r. 1718 otrzymał generał nowy urząd gubernatora Dwóch-Mostów po hr. Stralenheimie, usuniętym z powodu, że się zwaśnił z królem Stanisławem i panami polskimi (3). Jakoż, Poniatowski niemało zasłużył się królowi przyczyniając się wtedy do ocalenia go, jeśli nie od zgonu z ręki skrytobójcy, to przynajmniéj od niewoli u śmiertelnego wroga. August umyślił podobno usunąć rywala w podobny sposób, jak poprzednio królewiczów Sobieskich i wojewodę ruskiego Jabłonowskiego, to jest uprowadzając go zdradziecko. Wyprawiony w tym celu na dniu 27 Lipca 1718 r.

(1) Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego. Przekład Br. Zalewskiego. Drezno, 1870, p. 14.

(2) Voltaire *Histoire* (r. 1764) p. 375.—Nordberg t. II, p. 614.

(3) Nordberg II, 750.

z Lipska przez niego, czy jak inni chcą przez Flemminga, Francuz, imieniem Wawrzyniec de la Croix, oficer saskiego pułku generała Saissan, dobrawszy sobie wspólników, postanowił napaść na Stanisława dnia 15 Sierpnia w chwili, gdy będzie przejeżdżał przez las w pobliżu Dwóch-Mostów. Na szczęście wciągnięty do spisku oficer królewski, Montauban, wyjawił rzecz całą Poniatowskiemu. Ten zarządził środki ostrożności i pochwytał winowajców, ocalonych jednak dzięki wspaniałomyślności szlachetnego króla, sowicie nawet przezeń udarowanych (1).

Powstała ztąd wrzawa w Europie; opinia publiczna oświadczyła się głośno przeciw Augustowi, który się wyparł wszelkiego udziału w zbrodniczym zamachu i nie wahał się nawet wystawiać się za niewinną ofiarę najczarniejszego oszczerstwa.

Niebawem śmierć awanturniczego króla Szwedów pod Frydrychshaldem (10 Grudnia 1718 r.) w Norwegii uwolniła Sasa od dręczącéj go dotąd obawy, aby mu raz jeszcze nie przyszło ustępować sromotnie z Polski. Wypadek ten, jak się wyżéj rzekło, stanowi przełom w życiu naszego bohatera, przegradza jego polityczny zawód na dwie wielkie i wręcz od siebie różne epoki. Dotychczas wytrwale i wiernie trzymał się jednéj chorągwi, nie opuszczał jéj w dobréj i złéj doli; z narażeniem życia pełnił obowiązki swéj służby, gorliwością prac i zabiegów przysparzał korzyści sprawie, któréj się poświęcił. Choćbyśmy nie dzielili optymistycznego zapatrywania jednego z nowych historyków naszych (2), jakoby należąc do „wyjątkowych. daléj patrzących umysłów," dla tego jedynie służył Karolowi, że widział w nim człowieka opatrznościowego, przeznaczonego na „wyswobodzenie" Polski od Rossyi, już wierność taka, choćby mniéj wzniosłemi wywołana pobudkami, zasługiwałaby na uznanie i szacunek; a jeśli król szwedzki, zwłaszcza krótko przed zgonem, postępował wbrew interesom Polski i nie wahał się toczyć układów na jéj szkodę, nie należy może winić o to polskich jego adherentów, godzi się nawet przypuszczać, iż rzecz się układała po za ich plecyma.

Inaczéj od téj pory, od r. 1719. Nie poczytalibyśmy mu wcale za występek, gdyby zamiast skazywać się na dobrowolne tulactwo i zdala od kraju wieść życie bezczynne, zamiast marnować wielkie zdolności lub używać ich dla obcych rządów, chciał je raczéj obrócić na pożytek narodu. Jego powrót do Polski bardzo dobrze ro-

---

(1) Historya życia Stanisława I, króla polskiego (r. 1744), p. 228—235.

(2) Szujski, Dzieje Polski, t. IV, p. 263.

zumiemy, i nie myślimy go potępiać w zasadzie, lubo data przybycia do kraju wskazuje, że wielbione przez niektórych pisarzy (1) przywiązanie do Stanisława, wyższe jakoby „nad wszelkie osobiste widoki,“ nie było ani tak gorącém, ani tak trwałém, skoro go opuszcza w chwili, gdy król wygnaniec traci schronienie w Dwóch-Mostach, zajmowanych przez Gustawa Samuela, palatyna Renu, i gdy już ulubieńcowi swemu nie może dać równie korzystnéj posady, jak urząd gubernatora księztwa (2).

Pojmujemy zmianę przekonań politycznych, stosowanie się wreszcie do twardéj, nieugiętéj konieczności, złożenie osobistych sympatyi i antypatyi na ołtarzu publicznego dobra; lecz nie zrozumiemy nigdy i nie będziemy zdolni sądzić z pobłażaniem kilkakrotnego przerzucania się to na tę, to na ową stronę, odpowiednio do zmieniających się szans owych obozów, zdradzania ufnych w jego niezłomnéj, jak sądzili, wierności dobroczyńcom, równie gorliwego, choćby z narażeniem na szwank własnéj godności, popierania przeciwnych sobie interesów, udawania serdecznéj życzliwości, a nawet małodusznego płaszczenia się wobec tych, których się dopiero co nienawidziło z całéj duszy, i przeciw którym walczyło się na zabój.

Objąwszy jednym rzutem oka dotychczasową działalność Poniatowskiego, przekonamy się, że w stosunku do niezwykłych zdolności, niepospolitych zasług i niezmordowanéj gorliwości swojéj, małą stosunkowo odebrał nagrodę, bo szlify generalskie otrzymane już przed dziesiątkiem lat, i stanowisko drugorzędnego zawsze agenta dyplomatycznego, w jakim to charakterze widzieliśmy go jeszcze w Hollandyi. Natomiast w drugiéj fazie jego zawodu, jeśli nierównie mniéj ujrzymy zasług i pracy, mniéj wytrwałości i niebezpieczeństw, daleko więcéj za to zobaczymy nagród, dostatków i splendorów, spływających tak jak z rogu obfitości.

W miejsce niegłośnego generalskiego stopnia, narażającego na życie pełne niewygód i trudów, padną mu w udziale wysokie dostojeństwa, rozległe królewszczyzny, wygodne i świetne stanowisko w rzędzie najpierwszych magnatów i królewiąt Rzeczypospolitéj. Tak to sowicie wypłaciła mu się owa polityka, licząca się z okolicznościami czasu, stosująca się do przypływów i odpływów zmiennéj fortuny; toż nie dziw, że zasmakowawszy w niéj raz, a widząc jéj błogie skutki, nie myśli zmieniać trybu postępowania.

(1) Parthenay, p. 348.
(2) Historya życia Stanisława I, (1744), p. 238—Ranft, Leben Stanislaus p. 476.

Sposób, w jaki się przedstawił po powrocie do ojczyzny nienawidzonemu dotąd nieprzyjacielowi, przynosi zaszczyt nie jego sercu wprawdzie, lecz rozumowi; dowodzi znowu, że był mistrzem w trudnéj sztuce dyplomacyi, w kunszcie ujmowania najnieprzyjaźniéj nawet dla siebie usposobionych ludzi, i może posłużyć za miarę, jak sobie poczynał w innych drażliwych sytuacyach. To co przywoził, miało przeważyć jego winę, a wzięcie i pierwsze odezwanie się miało rozbroić gniew monarszy. Całe wystąpienie na dworze Augusta było płodem starannych przygotowań i usilnych zabiegów, owocem poważnego rozmysłu i téj znajomości tajników serca ludzkiego w różnych jego odmianach, jakie mu nie napróżno przypisujemy.

Widząc, jak bardzo zależy królowi na posiadaniu oryginału własnéj abdykacyi na rzecz Leszczyńskiego, dla wydarcia którego głównie, jak świadczą akta śledztwa, uwięził wojewodę ruskiego Jabłonowskiego (1), oraz na zapewnieniu sobie wreszcie pokoju ze strony Szwecyi, potrafił wykołatać od Stanisława ów akt, będący wiekopomnym pomnikiem wiarołomności Sasa, i pozyskać od królowéj Ulryki Eleonory rodzaj upoważnienia do układów (2), o czém świadczy missya, w jakiéj niedługo podążył do Sztokholmu. Z takiemi rekomendacyami w kieszeni mógł być pewnym, że się stanie pożądanym królowi gościem; ale generał postanowił dla tém pewniejszego powodzenia uderzyć w jedną ze słabych stron Augusta. odwołał się do królewskiéj wspaniałomyślności, którą się tak chel-

---

(1) Kantecki Klemens: *Magnat polski więźniem. Gazeta lwowska r.* 1874. Uzasadnienie słów powyższych znajdziesz w aktach tajemnego archiwum drezdeńskiego. Wojewoda w liście do komendanta Königsteinu, generała Jahnusa z dnia 16 Września 1713 r. pisze: 1º „que m'aimant (moi) d'avantage que le (roi) Stanislas et ma liberté, que ses prétentions, pour me delivrer du malheur où je suis, je voudrais sacrifier aisément le papier, s'il était en mon pouvoir. 2º qu'une pièce, que *le* Stanislas considérant comme la chose du monde la plus necéssaire, pour lui, ne pouvait jamais me la confier, lui entrant en Poméranie avec une armée et me laissant en Pologne tout seul, dans mille et mille hasards et de ma personne et de tout, ce que j'avais.“ W ukazie królewskim do generała Jahnusa (1 Października 1713 r.), czytamy: „Wir lassen euch auf eure drei unterm 24 letzthin erstattete unterthänigste Berichte in gnädigster Resolution wissen: dass wir die vom Palatin v. Russland letztens geschehene Declaration, worinnen er weitläufiger ausführet, dass er weder die bekannte Abdication habe, oder zu schaffen vermögend, noch etwas ihm ausser den bereits Deponirten weiter bewusst sei, wohl erwogen und danenhero überflüssig zu sein erachten, ferner hierunter in ihm oder dessen Secretair zu dringen.“

(2) Niesiecki, Herbarz t. VII p. 577. Lelewel, Panowanie Stanisława Augusta, (Bruxella), p. 190. Patrz też cytowaną niżéj relacyą Löwenwolda, lubo niezupełnie dajemy jéj wiarę.

pić lubił, pozujący na Ludwika XIV elektor i pozorami „szlachetnéj ufności“ w to piękne uczucie, wziąć szturmem łaskę monarchy.

— „W porze, gdy Karol rozpocząwszy wojnę z WKmością— tak brzmiała zręczna przemowa—zażądał, abym przeszedł do niego wraz z magnatem, z którym wiązały mnie stosunki, byłem za młody, aby módz uczynić wybór między stronnictwami. Odtąd zadaniem mojém było starać się o jego względy, obowiązkiem służyć mu. Teraz, gdy mnie grób z nim rozdzielił, nie uznaję innego króla, prócz WKmości.

Nie zawiodły Stanisława nadzieje; sprytnie wystylizowane przemówienie sprawiło oczekiwany skutek. Równie do wylewów serdeczności, jak do gwałtownych wybuchów wściekłéj zemsty skory August, zawołał, chwytając go w objęcia:—

— „Wielkie to szczęście posiadać w rzędzie sług takiego jak ty, człowieka.“

I odtąd, dodaje opisujący tę czułą scenę pisarz, osypywał go statecznie dobrodziejstwami (1).

Jakkolwiek August Mocny tak łaskawie przyjął tłómaczenie generała, my mu szczerości przyznać nie możemy. Najprzód człowiek, liczący lat blizko trzydzieści (a tyle miał w chwili wtargnięcia Szwedów do Polski) nie ma prawa do powoływania się na młodość i niedoświadczenie wieku, lecz owszem za wszystkie czyny i kroki swoje winien się poczuwać do odpowiedzialności, zwłaszcza jeśli okrom lat dojrzałych posiada wyjątkową bystrość i dojrzałość umysłu. Następnie pewną jest rzeczą, iż Poniatowski po za obrębem swych obowiązków w Turcyi, specyalnie nastawał przeciw elektorowi, i jak jednozgodnie zaręczają różne polskie i szwedzkie źródła, Otwinowski (2), Fryxell (3) i inni, wraz z Potockim i Grudzińskim usilnie podniecał Karola do wypędzenia z Polski Sasa, a przywrócenia Leszczyńskiego, ogłaszał w Stambule, jako w kraju wielkie oburzenie panuje przeciw Augustowi, „a wszyscy z radością wyglądają Szweda i chcą stanąć pod bronią, aby tylko usłyszeli o jakiejkolwiek milicyi na pomoc im idącéj ze Szwedem,“ pragnął więc nakłonić króla do nowego zawichrzenia skołatanéj i tak Rzeczypospolitéj, do wyparcia z niéj znienawidzonego monarchy, co nawet, jak widzieliśmy wyżéj, zadziwiało samychże Szwedów (4).

(1) Rulhière, Histoire, t. I, (Paris 1807). p. 196 i 197.

(2) Pamiętniki, str. 172.

(3) Cz. II, p. 216—217.

(4) Nordberg l. c.

Mimo arcykunsztownie obmyślanego planu, nie spalił jednak przezorny dyplomata wszystkich mostów za sobą; nie wziął dymissyi od królowéj, lecz przybył widocznie w poselstwie poniekąd od niéj, jako generał, zostający w szwedzkiéj służbie, jako agent Ulryki Eleonory, bo dopiero w Listopadzie 1719 r. donosi współczesna *Gazetka* ze Wschowy, że „stanął tu JP. generał Poniatowski z usług szwedzkich *totaliter* uwolniony“ (1). Nie zdawał się przeto bynajmniéj na łaskę i niełaskę króla, lecz prosząc o przebaczenie, miał zabezpieczone plecy i honorowy odwrot, co tém niezawiślejszém i korzystniejszém czyniło jego położenie, a chroniło go stanowczo od wszelkiego gwałtu.

Mamy też prawo do mniemania, że i w kraju wpływowe osoby, których względy umiał sobie zaskarbić, nie omieszkały gorąco przemawiać za nim u dworu. Przedewszystkiém niemało starań dokładała zapewne w téj mierze „mądrą kobietą“ przez szwedzkiego dziejopisarza (2) nazwana hetmanowa Sieniawska, a posiadając rozległe stosunki i wielkie wpływy, doskonale mu grunt przygotować mogła. Widzieliśmy jak działając wedle jéj życzeń, ściągnął na siebie śmiertelny gniew Benedykta Sapiehy. Że dostojna pani umiała być wdzięczną, widać z następnych słów przytoczonego dawniéj na pół po francuzku, na pół po polsku pisanego listu Stanisława do niéj: „Uniżenie dziękuję Wmpani *pour l'offre que vous m'avez fait dans un billet à part;* suplikuję jednak *que Vre Excellence ne me regarde point sur ce pied là*, żebym ja miał dla jakiego interesu służyć Wmmpaństwu dobrodziejstwu, dosyć dla mnie rekompensy łaska i przyjaźń Wmmpaństwa dobrodziejstwa“ i t. d.

---

(1) Teka Podoskiego, t. II, p. 8.
(2) Nordberg II, 45.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

MAZUR-CZART

DRAMAT W 5 AKTACH,

z legend i dziejów XII stulecia,

napisał

WINCENTY RAPACKI.

CIENIOM KAROLA SZAJNOCHY.

Przez usta ludu, przemawia nieraz sprawiedliwość dziejowa. Byli u niego Chrobrzy, Sczodrzy, Odnowiciele, Pobożni, Sprawiedliwi—byli i Czarci. Trwożliwi kronikarze tylko zaszczytne zachowali przydomki i te włożyli w księgi. Hańbiące skryły się pod strzechy chat słomiane. Czasem tylko jakiś Gędźbiarz lub Dziad żebrzący wymawiali je z cicha.

Historyk, szperając w zbutwiałych pargaminach, powie: była to niepolityczna głowa. Lud powiada, że był szatanem — a poeta, zagłębiwszy się w ten las ciemny i bujny średniowiecznego świata i wziąwszy za przewodnika to przeklęte imionisko niby głownię piekielną, odszuka ślady téj demonicznéj postaci, i oto staje ona złowrogo przed nami.

OSOBY:

KONRAD, książę na Mazowszu i Kujawach.
MIECZYSŁAW, książę na Opolu.
HENRYK BRODATY, książę na Szlązku.
ZIEMOWIT, KAZIMIERZ, MIECZYSŁAW — Synowie Konrada.
KRYSTYN z Gozdawy, wojewoda Mazowsza.
BOGUSZ z Odolan, wojewoda.
MŚCIWONG, DOBROGOST, ZYROSŁAW, ARNOLD, DAMIAN — Panowie mazowieccy.
GUNTHER, biskup płocki.
IWO ODROWĄŻ, biskup krakowski.
JAN CZAPLA, Archidyakon, kanclerz Konrada.
HERMAN von BALK, KONRAD von LANDSBERG, OTTO von SELEJDEN (Minnesinger) — Bracia zakonu Hierozolimitańskiego szpitala Panny Maryi.
KREWE, kapłan Prusów.
WARMO, syn jego.
PIPIN, SAMBO — Wodzowie Prusów.
GRYF, LELIWA, STARŻA — Młodzież szlachecka.
JASKOŁD, rządca zamku Konrada.
BARTOSZ, podczaszy.
DZIAD KOŚCIELNY.
Panowie, Księża, Rycerze, Kapłani Prus, Służba.
AGAFIA, żona Konrada.
JADWIGA, żona Henryka Brodatego.
JUDYTA, córka Konrada.
WISŁAWA, BOŻENNA — Z orszaku Judyty.
JAWNUTA, czarownica.
Branki Pruskie—Wdowy poległych—Wróżki.

AKT I.

W Czersku w zamku Konrada.

Wielka izba w drewnianym zamku.—Pułap podpierany olbrzymiemi słupami.— W głębi wielkie, ciężkie, dębowe drzwi okute żelazem. — Na lewo drzwi do komnat dalszych.— Na prawo okno z szybami z błon.

SCENA I.

JUDYTA, BOZENNA, WISŁAWA *siedzą z lewéj.*

WISŁAWA.

Wasz ścieg księżniczko powoli się suwa,
Myśli gdzieś w dali samopas bujają—
Boście skrzywili owdzie skrzydła orle,
I on, król ptaków, nie do lotu rwie się
Ale jak gdyby zmęczon i przybity.

JUDYTA.

O tak, to ręka gwoli myśli idzie.
Precz! weź to sobie—sprostuj mój błąd,
Jakaś ponura dręczy mnie ćma,
Serce kołace, a w głowie szum!
Kiedyż się skończy ta dola zła!
Ni mi do pracy, ni do rozmów waszych.
Ciasno mi, duszno... Roztwórz okno, Wisło!

BOŻENNA.

Czemuż stronicie od paniąt tak miłych?
Opolskie książę nadaremnie błaga
Choćby o jedno spojrzenie życzliwe.
A piękneż panię, z niemiecka się nosi,
Do niewiast miłym językiem gaworzy.

JUDYTA.

Dla ciebie paplo gawor ten wystarczy—
Dla mnie on ckliwy niby soczewica.

Pójdź tu Wisławo i coś z dumek zakwil,
A ty mi bajdo nie rwij się z językiem.
Wtenczas cię lubię tylko kiedy milczysz.

WISŁAWA.

Może z sokołem w pole wyruszymy.

GŁOS MIESZKA ZA SCENĄ.

Héj tam w komnaty! tam dziewuch moc!
Precz stary trupie! precz z drogi nam!

JUDYTA.

Biadaż mi, biada! to Mieszków głos!
Zawrzeć podwoje! Przeklęty kot
On rozszalały winem i grą,
Do naszych komnat dziewiczych się sunie
I sromem wstydu lica nam zrumieni.

(*Do Bożenny*, *która patrzy za drzwi*).

Nie patrz ciekawie, zawieraj drzwi.

GŁOS MIESZKA *j. w.*

Héj naprzód Starża! Leliwo mój!
Daléj na przełaj!

GŁOS DRUGI.

Stój książę! stój!

WISŁAWA.

Już stary Jarosz powalon legł!
Łucznicy jeszcze przystępu im bronią,
Opolczyk z nimi—w zaloty tu śpieszą,
A książę Mieszko za rękę go wiedzie.

JUDYTA.

Mniszką mi zostać dawno lepiéj było,
Niż w gnieździe ojca sprosnych uciech świadkiem.

BOŻENNA.

Panią wam, książną na Opolu zostać.

JUDYTA.

Precz mi paplarko! ni słowa już!
Tyś się najęła swatką mu być.
Ten młody żuber nie weźmie mnie,
Albo go podrę jak chustę tę

(drze chorągiew).

A ty Wisławo pilnuj tam drzwi!

WISŁAWA.

Słabe me siły nie zdolne są wstrzymać
Tylu rycerzy. Książę Mieszko kłusem
Przebiegł zapory i w progach już.

SCENA 2.

TEŻ, wpadają MIESZKO, OPOLCZYK, GRYF, LELIWA, STARŻA.

JUDYTA.

Zkąd niewieściuchu wdzierasz się tu?
Gdy bój z pogaństwa hordą tam wre,
Gdy ojciec piersi nadstawia swe,
Ty pijak nędzny przemierzasz dzban?
A wy Opolski, takiż z was gach
Pijany z kuflem wtórzycie mu?
I ty tu Gryfie, coś niecnie zbiegł
Z pod świetnych znaków i bracię dał
Na łup poganów? I wy tu Lwie
Z zajęczém sercem—kudłami lwa?
Precz mi z tych komnat, do lochów precz!
Jeszcze tam w beczkach zostało coś,
Wysączcie do dna—a potém w pył.

OPOLCZYK.

Szlachetna Judyt—Mieszko wasz brat...
Przywiódł nas gwałtem.

MIESZKO.

Cyt! Mieszku, milcz!
Ja się z tą dziewką rozprawię sam.
Dopókiż będziesz rzucać mu w twarz
Tą butą głupią? Toż miły pan —
Takiego każda pozazdrości dziewka.
Judyt szalona, jakaż zmora zmogła
W tobie tę chutność ku ochocie, tanom?
Bywało dawniéj szalałaś wraz z nami!

JUDYTA.

Tyż mi wspominasz dawnych szaleństw czasy,
Dziś, gdy wre wojna i Prussy na karku?
O precz mi z oczu! Wyrodnyś brat!

MIESZKO.

Ojciec na Prussiech, a nam wieść tan,
Niechaj mi poda podczaszy róg,
Ty nam ubierzesz téj uczty szał.
Daléj Leliwo! Opolczyk, bierz!

(Wskazuje dziewczęta).

JUDYTA.

Mieszku szalony, pomnisz mój gniew!
Pomnisz, jak nieraz u moich nóg
Mą silną dłonią zwałonyś legł!
I dziś cię skruszę, i wam dam czuć
Co jedna dziewka w obronie czci
Z warchoły może

MIESZKO.

Zawrzyjcie drzwi!
Nie nam ustąpić przed groźbą tą.

OPOLCZYK.

Ja się usuwam – źle Mieszku, źle.

STARŻA.

I ja wraz z wami.

LELIWA i GRYF.

I ja! I ja!

OPOLCZYK.

Darujcie zacna, szlachetna krwi!
Wino nam z mózgu zrobiło śmieć!
Cześć wam Judyto!

STARŻA.

O cześć wam! cześć!

JUDYTA.

Więc precz z tych progów! Ja biorę w dłoń
Kawał żelaza z pod żeber wam,
Co się bezczynnie u boku sklni.

(Dobywa miecz Gryfowi).

Biegnę na Prussy za ojcem w ślad!
A wy tu gnuśni zakończcie wesoło
Niecnych hulanek rozpoczętą stypę.
Wolėj mi zginąć gdzieś przy ojca marach,

Niż patrzeć na was, o męże zajęcze!
Dziewice! za mną w pole!

GŁOS *za sceną.*

Otwórz bramę
I pomost spuścić! Baczność tam na blankach!
Pan nasz przybywa.

STARŻA.

Mazur-Czart—o biada!

JUDYTA.

Ojciec—pod ławy, pokryjcie się w kąty,
Już wam purpura z lica gdzieś uciekła
I bladość strachu powlekła jagody.

SCENA 3.

CIZ, JASKOŁD, CZAPLA *wchodzą głębią.*

JASKOŁD.

Daléj do nory! do nory, wilczęta!
Trzeba zamczysko umieść i oczyścić,
Żeby gdzie z śladem waszym się nie spotkać.
Wszędzie was pełno, w komorach czy izbach
I w białogłowskich alkierzach was pełno.

CZAPLA *(wchodząc).*

Książęta, pany, opuszczajcie izbę.
Obrazy Bożéj unikniecie... chyżo!
Niech tu żadnego nie zdybie pan.

OPOLCZYK.

My gośćmi, księże...

CZAPLA.

Nie trąbiono na was,
Ani chorągwi z zamku wywieszano,
Mieszko was sprosił, niechże on wam służy.
(Wymykają się po jednemu na lewo).

JASKOŁD.

Czy kaduk nadał, że nam pan się zjawił.
Młodzież tak chutnie swywoliła, piła—
I ot na słowo: książę pan przybywa,
Jakby ukropem oblani pierzchają.

CZAPLA.

Ty zawsze płaszczem przykrywasz wybryki.

JASKOŁD.

Boć krew i u mnie a nie woda kipi,
A za kołnierzem diabliska nie noszę.

JUDYTA.

Ale go w sobie kryjesz, podła duszo!
Miasto przyuczać do sromu i czci,
Ty ich rozpusty nauczasz.
(Oglądając się),
A ty bież Mieszku pod matki rańtuchy
Niechaj pieszczocha zasłania przed ojcem.
Lecz cóż to? zanim wymówić zdołałam,
Już ci rycerze pierzchli po jednemu.
O hańba! hańba! Ja dzierżę miecz,
Który zajęczéj ich piersi strzegł.
Precz mi żelazo spodlonych rąk!
Ni mi rycerzem, ni dziewką być
Między tą zgrają ohydnych psów!

SCENA 4.

ZIEMOWIT i KAZIMIERZ wchodzą, późniéj KONRAD, WARMO, DWIE BRANKI, BARTOSZ, SŁUŻBA.

JUDYTA.

O Semku! Kaźko! Och witam was!
Całuję prochy szlachetnych stop,
I te żelaza zbryzgane krwią
I wasze dłonie całuję z czcią!

KAZIMIERZ.

Judyto! siostro, zkąd to rozżalenie?
Powstań, dziewczyno, i w ramiona przytul.

ZIEMOWIT.

I dla mnie całus daj gorący siostro,
Znać żeś tęskniła, kiedy nas tak witasz.

JUDYTA.

Czym ja tęskniła? Semku, Kazimierzu,
Druga wyprawa gdy na Prussy padnie,
Ja pójdę z wami. Dasz mi swój miecz Semku,
Od Kaźka wezmę kolczugę staloną,
I w bój się rzucę z wami, drodzy moi.
Bo czy wy wiecie co tu w zamku płuży?
Mieszko niegodny, co zbiegł wam z obozu,
Samemi tchórze otoczon i draby.
Wyprawia uczty sprosne, bankietuje,
A podły Jaskołd pomaga im.
Opolczyk z ojca ramienia wybrany
Na mego męża, dotrzymuje wiernie
Téj całéj czerni. Niegodni, plugawi,
Wpadli tu pijani do ojcowych komnat,
Gdziem się z dziewczęty i pracą zamknęła,
I gwałt sromotny chcieli nam wyrządzić.

ZIEMOWIT.

A matka?..

KAZIMIERZ.

Matka?..

JUDYTA.

Matka ich ugaszcza.
O Ziemowicie, wszak ty nie dopuścisz,
Aby ten warchoł panem moim został,
I ty mój Kaźku, wy mnie obronicie.

KONRAD (*za sceną*).

Resztę téj czerni wbijcie na pal.

(Wchodzi—za nim Bartosz, Warmo, Dwie branki, Służba).

KONRAD.

Judyto, witaj! Bóg pomógł nam,
Wracam zwycięzcą—bogaty łup
Niosę méj dziewce i matce twéj.
Gdzież ona?..

JUDYTA.

Spieszę oznajmić jéj.

(Odchodzi, za nią Bożenna, Wisława, Kazimierz i Ziemowit).

SCENA 5.

KONRAD, CZAPLA, JASKOŁD, WARMO, BRANKI, BARTOSZ, SŁUŻBA.

KONRAD.

Moja Agafia oczy wam wydrapie,
Kiedy was ujrzy; dziewki wy dorodne,
Zrzućcie te szaty, w inne was obleką,
Tu obyczajem naszym was przystroją.

JASKOŁD.

Tak w inną skórę wleźć wam trzeba, dziewki.

KONRAD (*do służby*).

Na pal wbić wszystkich. Ty młody lutnisto
Zostaniesz gwoli zabawie przy ucztach,
Wy gołębice do mych komnat idźcie.
(Służba odprowadza jeńców).
Tyś tutaj Czaplo?

CZAPLA.

Dank Matce Najświętszéj
I wszystkim świętym, że was w dom przywiedli!
Wspaniałe łupy zdobyliście panie;
Lecz nim te dusze w rydwan usług wprzężesz,
Wprzód chrztu świętego zmyje je krynica.

KONRAD

Chrzcij ich.

CZAPLA.

A tamtych?

KONRAD.

I tamtych chrzcij!
Zanim ich piekieł pochłonie noc.
(Do sługi)
Zdejm zbroję chyżo! *(do Bartosza)* Ty miodu daj!
Nałéj po brzegi mój srebrny róg,
A ty mi Czaplo nowiny baj!

JASKOŁD.

Dużo bo nowin nasz wielebny zebrał,
Ale za długo nosił je w zanadrzu.
Zwietrzały trochę.

CZAPLA.

(Do Jaskołda). Trefnisiom tu milczeć!
(Do Konrada).
Nowiny moje zaprawią piołunem
Tę słodycz miłą złocistego miodu;
Na uznojone walką czoło wasze
Miasto wawrzynu cierń ci dadzą ostry.

KONRAD.

To na ostatek—wprzód mi sącz słodyczą.

CZAPLA.

Dam wam wprzód poznać całą prawdę gorzką,
Lek zaś mój na nią balsamem wam będzie,
Jeżeli dacie ucha radom moim.

JASKOŁD.

Zjedzże kaduka! to już i o plastrze
Pan kanclerz myśli...

KONRAD.

Jaskold, gębę zamknij.
A ty cedź chyżo te jady trujące.

CZAPLA.

Zaledwie brona za wami się zwarła,
Zaledwie ustał dźwięk rogów radosny
I tuman kurzu rozwiał się w powietrzu,
A wasze hełmy błyszczące się skryły,
Wpadł do nas Krystyn, z nim Toporów siła,
Jastrzębców kilku—Nowiny—Doliwy!
Z pianą na ustach, wściekłym ogniem w oku,
Wpadli tu prędko—odbili wrzeciądze.
Krystyn na czele—istny bożek gniewu.
Wszyscy mu korni—on z gromem straszliwym!
Jęli was szukać—przetrząsać komory
I wszystkie kąty, bo znać nie postrzegli,
Żeście już pruskim szlakiem pociągnęli.
A gdym rzekł, żeście już na pruskiej stronie,
Krwawe zagony zapuścili.—Wonczas
Jak strumień rwący, nieskończony, gromki,
Mowa Krystyna kaskadą słów groźnych
Wybiegła z ust mu: „Hańba mu! przekleństwo!
Ten czart przymierze nasze łamie stare,
Spokojny naród i korny nam dzisia

Napada by wilk i kły weń zapuszcza.
Taką to drogą krzyż zbawienia święty
Na pruskiéj stronie krzewić zamyślacie!“
Już nie powtórzę tych zelżywych znamion,
Jakich szaleniec ten wysypał dla was.
Zdrętwiałem cały z grozy, oburzenia.
Dopiero księżna przyszła mi z pomocą.

KONRAD.

Onaż zdołała?

CZAPLA.

Och! w niewieście siła
Cudowną sprawą urosła potężna.

JASKOŁD (*n. s.*).

Usta u niego, to brudna kałuża,
Kędy się węże i gadziny lęgną.

KONRAD.

Ja bo drżę cały, gdy ujrzę tę brodę
I te dwa ślepie straszne, co mi patrzą
Aż w głąb méj duszy, i tam niby w księdze
Czytają jasno. Tak do wszystkich czartów!
Ty mądry Czaplo ze mnie się śmiéj.
Ale przysięgam, że nawał burz,
Hordy pohańców, Jaćwieży, Prus,
I straszne ciosy litewskich strzał
Niezdolne tyle wstrząśnień mi dać,
Ile te ślepie wiercące głąb.

CZAPLA.

Bogiem Mazowsza przez wszystkich zwan.
Bóg Mazowiecki—okrzyk się wzbił
Pod tém sklepieniem, i szlachty tłum
Na barkach wyniósł dostojność cną.

KONRAD.

Przekleństwo! wielebym za to dał,
Gdybym nie widział już ślepi tych.
Bóg Mazowiecki—jam Mazur-Czart!
O ileż szala rozdziela nas
W oczach motłochu! o ileż wart
Ten Bóg położon obok miary czarta!
Cóż mu poradzę? Do walki z nim stanę?

CZAPLA.

Do walki? kędy? Toż całe Mazowsze
Podniesie oręż w obronie Gozdawy.

KONRAD.

I roje szlachty pożrą mnie ze szczętem.
Zatnijże zęby—ni słowa już
O czerwie, który truje mi krew.
Czekajmy, cierpmy,—czas to majster stary,
Sprzątnie zawady, oczyści nam drogę.

CZAPLA.

Czas równie sprząta i tych, co czekają,
A ten szczęśliwy, co go w dłonie chwyci
I wydrze korzyść, nim ją drugi złapie.

KONRAD.

Wskaż ją a wydrę; gdzie ona? mów!

CZAPLA.

Nieraz w zastawkę popadał lew!

KONRAD.

Bredzisz mi mnichu! To jest ów *miód*,
Co z twojéj rady spłynąć mi miał
I oną gorycz złych nowin twych,
Cukrem słodyczy zaprawić chciał?
W otwartém polu, z dzidą w dłoni
Stanę do walki z piekłem całém,
Ale zdrajczego noża
Ma ręka nie udźwignie.
Krystyn choć ryczy i słowem surowém
Niby dzieciucha karci mnie i chłoszcze,
Jest dla mnie zawsze nietykalnym...

CZAPLA.

Świętym!
Padnijcież do nóg wielkości téj.
Bogiem Mazowsza mało mu być,
On po koronę Piastów się pokusi,
Którą odzierżyć dawnobyście radzi,
A która z prawa należy wam.

JASKOŁD (*zbliżając się*).

Czyście skończyli?

CZAPLA.
Prawie.

JASKOŁD.
To niewiele.
I słowa wasze za plaster nie staną.
Mam ja kordyał co lepiéj podziała. (*Do Konrada*)
Wiedźma Jawnuta od tygodnia czeka
Powrotu księcia—jest w wieży Wojciecha.

KONRAD.
Toż daj ją śpiesznie.
(*Jaskołd odchodzi*).

CZAPLA.
Ten obłudnik
Całą mi waszą ufność kradnie.
Przystoiż książę, abyś wiedźmie
Nakłaniał ucha w sprawach tronu?

KONRAD.
Jéj wróżby mają siłę czarta,
Lecz was te sprawy nie dotyczą,
Odejdźcie księże, aż wezwę was.
(*Czapla odchodząc robi znak krzyża*).

SCENA 6.

KONRAD, JASKOŁD i JAWNUTA (*wchodzą*).

JAWNUTA.
Niech was siedmioro duchów strzeże.

KONRAD.
Mów prędzéj stara, bez twych diablich zwrotów.
Byłaś w Krakowie?

JAWNUTA.
Ztamtądże goniłam,
By na ożogu łysogórskim szparko.

KONRAD.
Co się tam dzieje? mów, a prawdę całą.
Bo cię pod majstra Frytza poszlę koło.

JAWNUTA.

Och Lewiatanie! usta moje czyste!
Kraków spokojny i bezpieczen cały.
Brodaty siedzi bez obawy, pewny,
Że wy na Prussach swe miecze ostrzycie.
Gdy im na karki wpadniecie znienacka,
Pójdzie pomyślnie.

KONRAD.

Obejrzałaś bramy?

JAWNUTA.

Nawet wam odcisk od kluczy przynoszę.

KONRAD.

Dobrześ służyła! Ugość ją Jaskołdzie,
I niech się skryje—później ją przywiedziesz.

JAWNUTA.

Niech was Belzebub cieszy.

JASKOŁD.

Ruszaj stara!
(*Odchodzi z Jaskołdem*).

KONRAD.

Boga i czarta sługi w pomoc spieszą,
By mi wywalczyć Piastów berło złote,
Co dzierży dzieciuch przez aniołów strzeżon.
Niechże serafów hufce nieśmiertelne,
Niech całe niebo stanie mi do walki.
Ja go pochwycę—Serafów zwyciężę,
Albo zdeptany, zohydzon od świata,
W gruzach méj żądzy polegnę!

SCENA 7.

AGAFIA, MIESZKO *trzymając się poły jéj sukni*, CZAPLA *wchodzą*, KONRAD.

KONRAD.

Witaj mi żono! I Mieszko tu?
W fałdach twéj sukni schowany tchórz!
Precz z moich oczu! I ty z nim precz!
Przeklęte szczenię, uciekło mi

Z pod samych progów pogańskich bram.
Bogdaj cię za to...

AGAFIA.

Przestań go kląć,
Abyś w złą porę nie trafił weń
Klątwą; obarczasz to chłopię mdłe!
Toż mu wąs jeszcze twarzy nie ocienia;
Z wiekiem dojrzalszym męztwo w nim się zbudzi.

KONRAD.

Wąs mu nie wzrośnie na téj nędznéj twarzy,
A jego głowa łysiną przegląda,
Starcem ten nędznik, choć w rzeczy dzieciuchem.
Ziemowit, Kaźmierz, dotrzymali pola,
Wszak nie o wiele w latach go przegnali.
Jam tych dzieciuchów, by młode orlęta,
Razem przyuczał do żeru i krwi,
Razem w nich męztwa zasiewał nasiona;
Lecz jedna płonka skarlała i nędzna,
Dwie tylko wzrosły na męże szlachetne.
Dlaczegoś pierzchnął od boku mi?
Ty go nie trzymaj; wolno go puść,
Lub tém żelazem rozłączę was!

AGAFIA.

Stań śmiało Mieszku! mów ojcu w twarz!

MIESZKO. (*drżąc*).

Pierzchnąłem z placu, bom się zląkł Krystyna,
Jak straszną klątwą groził w obec szlachty,
Żeście z pogany przymierze zerwali
I napad gwałtu spełnili bezprawny.

KONRAD.

Krystyna zląkł się? Cóż Krystyn ci?
Nędzne pacholę, i ty mi śmiesz
Moją niecnotą, by widmem zła,
Migać przed oczy na hańby znak!
Przeklęty Krystyn! on nawet w dom,
W sprawy rodziny wglądaćby rad.
Jego źrenice bazyliszka siłą
Wglądają w ciemne kąty mego gniazda,
Pisklęta moje przyucza do trwogi,
Śmiałe popędy krępując ich skrzydeł.

AGAFIA.

I tyś książęciem, tyś Mazowsza panem?
Ty w powijakach niemowlęcych kroczysz.
Ten Gozdawita, dopóki żyć będzie,
Śmiałéj ci myśli zapory postawi.

CZAPLA.

Chytry obłudnik, co odziany płaszczem
Onéj powagi i cześci szlacheckiéj,
By kapłan ludu, niby ojciec plemion.

AGAFIA.

Twoi wassale wszyscy mu są korni,
Niech skinie ręką, a siedzibę twoję
Jak gniazdko ptasze rozsypie w proch!

KONRAD.

Dokąd w zapędzie szalonym biegniecie?
Językiem trony obalacie, głupi!

CZAPLA.

My tylko echem tego, co odbrzmiewa
Po Małopolsce, ba i daléj jeszcze.
Gdy nie ukrócisz, nie zdławisz bestyi,
Wżre ci się w serce jak się już w dom wżarła!

KONRAD.

Milcz mi szalony—nie drażń—nie kuś!
Téj siwéj głowie włosby niech spadł,
Gromami przekleństw kościółby wył.

CZAPLA.

Kościół nie stanie w obronie Gozdawy,
Bo on z nim dawno w rozterk się rozleciał.
Kto pogan bierze w obronę i łaskę,
Nie ma w kościele miru, ni przyjaciół.

KONRAD.

Ale w sumieniu mojém je ma.
Ono dotychczas drzemiące spi.
Chceszże, by zgryzot powstały ćmy
I gryzły serce nocy i dni?

CZAPLA.

Wystawisz kościół Najświętszéj Krwi,
Coś mi ślubował oddawna.

KONRAD.

Nie sypcie żaru, ni jadu w mózg,
Wszystkim tym sprawom położę kres.
Będę probował słowami zmódz,
A jeśli groźniéj zakipi krew,
Wtenczas.. no wtenczas rozstrzygnie miecz.

AGAFIA.

Pójdź lwie mój piękny, tam uczta cię czeka.
Niechaj strudzone ciało wypoczywa
Zdala tych cierpkich spraw i niepokojów;
Przypuść do ręki Mieszka i do stołu.

KONRAD.

Precz—niech pokutą Czapla go obarczy,
Posty, pacierze zhartują dzieciucha.

AGAFIA.

Mieszku, ucałuj dłoń ojca, ucałuj!
Ten jeden raz mu już przebacz Konradzie.
(Mieszko całuje ojca).

KONRAD.

Dosyć! zapomnieć już o tém chcę,
Do misy prowadź, bo głodu wilk
Żre mi wnętrzności.

AGAFIA.

Mieszko ma pójść?

KONRAD.

Niech idzie, dosyć!
(*Wchodzi Judyta*).
Cóż tak stroskana, dziewko jasnowłosa?

AGAFIA.

Pójdź już do stołu.

KONRAD.

Milczysz?...

JUDYTA.

Strawa czeka.
Idźcie spożywać, ojcze, jestem chorą.

KONRAD.

Lutnistę tego, com zdobył na Prussach,
Niech tu sprowadzą—on cię rozweseli.
(Odchodzą).

JUDYTA *(sama).*

O jak ci ludzie bezbarwnych lic,
Jeden w drugiego z pod stempla rósł!
Jak gdyby świat ten, zgrzybiały już,
Sam płód poziomy ludzkości niósł.
Czemużem, czemu wybiegła szalona
Z pod tych koleją urobionych znamion,
I myślą śmiałą szybowała daléj
Nad tę powszedniość nędzną, wydeptaną?
Li chuć, li zwierzę udziałem człowieka?
(Zamyśla się—wchodzi Warmo z lutnią w dłoni).

SCENA 8.

JUDYTA, WARMO.

WARMO.

Mam im pieśń nucić? O mój Jesse wielki!
Nawiąż na struny moje jadu węży,
Przynieś mi nutę z pod toporów naszych,
Jęki mi przynieś konających braci,
Niech w jeden grzmiący śpiew je tutaj zwiążę
I spiące uszy tych wrogów rozedrę.
(Uderza silny akord—Judyta się odwraca i patrzy nań długo).

JUDYTA

Zkąd ty i po co z tém narzędziem gęśli?
Kto cię ośmielił przerywać mą ciszę?

WARMO.

Kazano śpiew wam ponieść—więc go daję.

JUDYTA.

Nie chcę twych pieśni, nędzny niewolniku.
Bo jakąż ty mi pieśń możesz dać,
Dobędzież ona z mych oczu łzę,
Albo radością skrasi mi twarz?

Służebnym moim twe pieśni głoś,
Niechaj w zapłatę rzucą ci kość!

WARMO.

Ty dumna córo Mazura ciemięzcy,
Ni łez, ni śmiechu z ust ci nie dobędę.
Lecz zbudzę wściekłość z tętna twych żył,
Zbudzę czuć ludzkich a spiących głos,
Ciemnością trwogi rzucę ci w pierś,
A krwawém widmem owionę cię.

JUDYTA.

Mowa twa silna by miecz hartowany.
Pierwszy raz słyszę dzikiéj piersi tony, —
Mów daléj nędzny, tylko mi dobieraj
Tych gromów burzy i kraś niemi powieść.
Bo jeśli jedna słodka nuta, tkliwa,
W twojéj się piersi niewolniczéj zbudzi,
Biada twéj głowie! .. Daléj, słucham ciebie.

WARMO.

Nie wiem jak długo słuchać jéj podołasz.
Ja nie gromami zahuczę ci w uszy,
Ale ohydą, wzgardą, obrzydzeniem
Całe to plemię wasze napiętnuję.
Bo wy, o podli! niesiecie nam
Owego Boga, co życie dał
Za miłość ludzką, za błogi mir;
Krzyżem i ciałem cblaném krwią
Błyskacie w oczy; każecie czcić
To, czemu sami przeczycie wręcz.
Wy naszych bogów potężnych hydzicie;
Karły niegodne, wy im urągacie.
Bogowie nasi, to gromu błysk!
Kara dla niecnych, dla dobrych dank.
Bogowie nasi, to zemsty zgrzyt,
Lub gościnności serdecznéj próg.
Wasz Bóg...

JUDYTA.

Och! przestań, przestań poganinie!

WARMO.

Już? Wszak jam jeno rozpoczął śpiew!
Chciałaś do serca mego zajrzeć głębi,
I cała drżąca cofnęłaś się z trwogą.
Zawołaj teraz siepaczy twych zgraję,
I każ mi głowę zdjąć z karku.

JUDYTA.

Mylisz się, mężnych potrafię czcić.
Wybaczam dumę, wybaczam gniew!
Mroczna twa dusza, do niéj światła promień
Przenika skąpo jak do lochów ciemnych.
Szaleńcze dziki, twe ponure bogi,
To zatracenia nicość i zwątpienie.
Czém ci jest Jesse w rozpaczy twéj?
On szczęsnych tylko obdziela czcią.
Bóg nasz, to ojciec ucisku i nędzy,
Schodzi tam kędy rozpacz i ból,
Gdzie śmierć koścista dzierży miecz swój czarny
Daje nadziei niebiańskiéj woń,
A wrogom niesie przebaczenia skarby.
Idź! ja twe pęta niewolnicze kruszę,
Bóg mój miłości przebaczyć mi każe.

WARMO
(*patrzy na nią długo, potém woła za scenę*).

Pójdzcie tu siostry, wolnością nas darzą.
(*Wchodzą dwie dziewice*).
Ja bez tych dziewic nie powrócę do dom;
Wszak dajesz wolność wszystkim biała dziewo?

SCENA 9.

CIŻ i AGAFIA.

AGAFIA.

Gdzie są te branki, co mają być
Sprosnym opojom zabawką hulaszczą?
Wyż to z trefionym włosem czarownice

W wytwornych szatach, z oczami by węgiel?
Niecne stworzenia, wy się uwieść dały.
Sameście w więzy skoczyły radośnie,
By się w książęce serce wedrzeć, żmije!
Ja was obiorę z tych zdobnych szat,
Te gładkie lica zeszpecę wraz,
W kędziory wasze wpleść każę żmij,
W oczy palącą zatopię stal!
Potém do wozów cuchnących zaprzęgę
I chłostać każę od doby do doby.

WARMO.

One nie twoje — nie znieważaj księżno
Książęcych cór.
A ty szlachetna, jasnowłosa dziewo,
Milczysz by głaz.
Wszak wolność niesiesz przez twojego Boga,
Co przebaczenia i miłości dawcą.

JUDYTA.

Jam tylko tobie wolność obiecała;
Do tych ja dziewic praw nie mam, niestety!
Lecz wy, o matko! miasto ich udręczać,
Każcie otworzyć bramy im wolności.

AGAFIA.

Wolności nie dam, a pracą je zmogę,
W hartownéj szkole zbędą się złych chuci,
Nim do chrztu kapłan powoła je.
(Do służby)
Teraz do służby ostatniéj szeregu
Zaprowadź obie — zedrzyj z nich te szaty,
Niech oko pana nie zdybie się z niemi.

JUDYTA.

Mnie tylko modły za niemi nieść. (*Odchodzi*).

WARMO.

Czarne i białe duchy w tém zamczysku goszczą.
To ma być matka téj świetlanéj córy!

SCENA 10.

AGAFIA, WARMO, *wchodzą* KONRAD, ZIEMOWIT, KAZIMIERZ, MIESZKO, OPOLCZYK, STARZA.

AGAFIA.

Takich to jeńców zdobyłeś Konradzie?
I wartoż było rycerskich zapasów,
By owe dziewki przywieść z pogan ziemi!
Dwie czarownice i lirnik ciemięga,
A na podwórzu lichych ciurów zgraja.
I to twój tryumf z onéj wojny krzyża!
To nędzne plemię urąga ci ino.
Morduje świętych, co im wiarę niosą,
A ty miast gromić pogańskie bałwany
Chwytasz po drodze gładkich lic niewiastki.

KONRAD.

Przestań Agafio, bo młódź z nas się śmieje;
Płomień zazdrości zagaś wody dzbanem.
A wy pogańskie, niegodne psy,
Pod dozór Czapli pójdziecie wraz,
Niech wiary świętej niebieski zdrój
Z mądrych kapłana świętego ust
Do waszéj ciemnéj zagłębi się duszy.

WARMO.

Patrzę się na was, by na rój komarów,
Co obsiadł tłumnie ranionego zwierza.
Ryk oburzenia z piersi mi się ciśnie
I już go dłużéj hamować nie w mocy.
I wy, o wilcy! toczycie spór,
Czy wprzód nas zhańbić, a potém chrzcić,
Czyli wprzód znakiem wody nas zmyć,
A potém w hańby nas wdrożyć tór!
Głupie wy plemię, spytajcie się,
Czy z waszych dłoni skalanych krwią
Przyjmiemy szczyptę tych drogich łask,
Czyli nie chętniéj poddamy kark
Pod wir straszliwych katowskich kół?
(*Do Agafii*)
A ty, o czarna! zmylonaś w rachubie.

Twój Mazur zdobył bogaty łup.
To córy Krewy, a jam ich brat.
Pogardą, śmiechem, w oczy wam rzucimy,
Miasto waszego Boga nieść okowy;
A potém w mękach straszliwych umrzemy.
Skończyłem z wami — me usta bez mowy.

KONRAD.

Tyś to jest Warmo — ów Krewy syn?

ZIEMOWIT.

Ojcze — o pomścij Sigfrida krew!

KAZIMIERZ.

Pozwól mnie ojcze, nasycę miecz
Krwią poganina, co tyle dusz
Męczeńską śmiercią ze świata zmiótł.

AGAFIA.

Popatrz Konradzie na dumę tę,
On się najgrawa — on szydzi z was.
Zwołać oprawców — wymyślę śmierć.

KONRAD.

Precz mi szczenięta, nie tknijcie go!
Tyś to jest Warmo — co z lirą i mieczem
Druzgoczesz zdawna mych zastępców roty?
O jakżem pragnął gorąco się zmierzyć
Z twą dzielną kopią mężny poganinie!
Precz mi od niego — niech żaden z was
Jednego włosa z głowy nie tknie
Ja w szranki pójdę. — Dajcie mu miecz.
Tarczę i zbroję i dzidę w dłoń!
(Porywa zbroję, przywdziewa ją — podaje miecz Warmonowi).

AGAFIA.

Animusz Piastów wyłazi z pod skóry!
Daj pas rycerski i złote ostrogi,
Daj mu miecz Chrobrych—a te dziewki gładkie
Posadź na tronie obok cór Piastowych.
Hańba wam, hańba! dzieciuchy, junaki,

Wam bawidełka. O dobrze rzekł Krystyn:
Chłostać rózgami tę niesforną dziatwę.

KONRAD.

Agato zamilcz, na straszny grom!
Bo mi krew cała oblewa mózg!
Precz do kądzieli, do płócien swych!
Nie wam się mieszać do mężnych spraw.
Zabierz młódź z sobą, i precz mi, precz!

AGAFIA.

Pójdźcie, akorną oddajcie cześć
Pogańskiéj czerni — przyjdzie ten czas,
Gdy wy im służby będziecie nieść!

KAZIMIERZ.

Matko, przestańcie.

KONRAD.

Niesforny gwar,
Co ci na język twa ślina szle,
Pięścią przytłumić jam gotów...
(*Odgłos rogu za sceną*).
Kogoż tam piekło do zamku prowadzi?
W złą porę gość to—kiedy gospodarzy
Jędza niezgody szarpie...
(*Do wchodzącego Czapli*)
Kto kołacze?

CZAPLA.

Krystyn przybywa!
(*Wchodzi Krystyn Gozdawa*).

KONRAD.

Coś wyrzekł, Krystyn?

KRYSTYN.

Tak, Krystyn sam.

SCENA 11.

CIŻ i KRYSTYN.

KRYSTYN.

Jak psy nad kością wściekły ryk zawodzą,

Kąsając wzajem i szarpiąc ofiarę.
Droga do zamku śladami krwi wiedzie.
Siedziba czarta, istne jatki mięsa,
Cuchnące wonie rozlewa w powietrzu.
Na drodze ludzie wbici na pal sterczą,
A obok Chrystus na krzyżu rozpięty.

KONRAD.

Krystyn, i on śmiał?

CZAPLA.

Już go nie wypuszczaj.

AGAFIA.

Krystyn! Konradzie, to zemsty czas!
Rzuć tego błazna, zabawkę rzuć,
Późniéj go przystrój i w szranki zwiedź;
A teraz chwytaj co prędzéj w dłoń
Co ci los niesie.

KONRAD.

Piekło go szle!

KRYSTYN.

Patrzycie na mnie zwierząt źrenicami!
A zęby wasze w takt wściekłości dzwonią.
Już zausznicy donieśli skwapliwie,
Żem klątwą zbudził to zamczysko całe.
Dzisiaj przychodzę w oczy ci nią cisnąć,
Patrz, sam przychodzę—miecz mój w domu został.
Przebrana miara przelewa się z czary,
Raz już ostatni przemawiam do ciebie,
Staję bezbronny — głosowi sumienia
I czci twéj niosę siwą głowę moję.
Jeżelić szatan, co wciąż durzy w tobie,
Nie starł do szczętu znamion człowieczeństwa,
To słowa moje uczcisz i przeprosisz.
Jeśliś zaś w piekła zagrząkł chuciach ciemnych,
Weźmiesz mą głowę, nic na tém nie stracę,
Bo wtenczas nie mam nic już do stracenia.

WARMO.

Bóg Mazowiecki, toć on Bóg prawdziwy.

KONRAD.

Zleś mi się wybrał z kazaniem Gozdawo.
Ruszaj ztąd z Bogiem, puszczam cię bezpiecznie.
Konrad choć Czartem zwan przez was bożkowie,
Umie szanować honoru znamiona.
Wracaj! jam z pieluch twych wyzwolon dawno;
Wracaj! me czyny sam osądzę — wracaj!
Słowa twe groźne schowaj dla bab,
Bo się na piekło i niebo klnę,
Że prawdą będzie coś teraz rzekł:
Przemawiam do cię ostatni raz!

KRYSTYN.

Znam te wybuchy krewkiéj twojéj duszy,
I twą naturę chwiejną znam oddawna.
Ale znam miejsce gdzie się czucie mieści,
I do onego głosem Boga rzeknę.

AGAFIA.

I ty pozwolisz miotać mu przekleństwa,
Nie zamkniesz ust tych zuchwałych, Konradzie?

CZAPLA.

Miecz wisi w domu, z rózgą owdzie przyszedł.

KRYSTYN.

Niewiast i gadzin nie chcę mieć świadkami
Co rzeknę tobie — oddal ich Konradzie.

KONRAD.

(Mimowoli oddala ich gestem).

Odejdźcie

AGAFIA.

Co! ty...

KONRAD.

Rzekłem — odejść macie.
(Odchodzą).

SCENA 12.

KONRAD, KRYSTYN.

KONRAD.

Krótko praw starcze — a hamuj twe słowa.

KRYSTYN
(*patrzy nań długo, mierząc go surowym wzrokiem*).

Ten człek nadzieją, skarbem był mi drogim,
Na téj potężnéj, chrobréj duszy sile
Jak na opoce jam gmachy budował,
Jam go krzyż w ręce i miecz sprawiedliwy
Od pacholęcia uczył dzierżyć chlubnie.
Wcóż się me mary kwieciste rozwiały?
Stoi przedemną z rękami krwawemi,
Jako on siepacz niegodny, ohydny.
Czoło wyniosłe, wzrok sokoli, hardy,
Brózdy złych chuci zeszpeciły, starły!
Gdzież bohaterska pełna czci postawa,
Którąm szalony lubował się w duszy?
Tyś jest Konradem — tyś synem prawego
Sprawiedliwego Kazimierza, ojca?
Duchu przeczysty, co nas widzisz z góry,
Odwróć twe lica szlachetne ze zgrozy,
Daj moim oczom strumień łez potężny,
Niech straszną rozpacz, co mi duszę ciśnie,
Jak w wartkiéj wody przeczystych krynicach,
Zmyję w tym zdroju.

KONRAD.

Przestań, Gozdawito!

KRYSTYN.

Coś zdziałał, zbójco? Toż jest droga święta
I apostolska i męczeńska droga,
Którąś iść przyrzekł ojcu już na marach?
Miałeś ludowi, pogan ciemnych tłuszczy,
Nieść krzyż zbawienia, stać mu się pochodnią,
Miałeś dzierżawy wielkiego Mazowsza
Powiększać co dzień ludem nawróconym.

Obacz się, nędzny, kędy biegniesz, obacz!
Szarpią w kawały twego państwa miedze
Chyłkiem na Prussiech urwiesz żeru kawał,
Ubroczysz we krwi twe dłonie ohydne,
A za to Jaćwież obraca w perzynę
Zamki i sioła. — Podążasz z odsieczą,
Prussy w trójnasób płacą twą wycieczkę.
Biedne Mazowsze w gruzach leży całe.
Pogańskie bogi w świątyniach dziś goszczą.
A ty gdzie? — w łożach rozpusty się walasz,
Albo z Brodatym staczasz krwawe harce,
Co stoi dzielnie obrońcą Korony.
Chciałbyś ją wydrzeć, by się nią przystroić,
Jak bawidełkiem marném...
Płód twój ohydny, wyrodził się w tchórze.
Człeku zbrukany, zajrzyj w głąb swéj duszy!
Konradzie! synu! sokole mój dzielny!
Ja Krystyn, ojciec, opiekun, przyjaciel!
Jam cię hodował dla chwały Mazowsza.
Pomnisz zapasy z Romanem, Rusinem,
Gdyś cały chwałą otoczon powracał,
Ile łez wylał radosnych ten Krystyn!
Brał cię na ręce i obnosił z chlubą
Poprzed namioty wodzów i włodarzy,
O jakież sny on czarowne wymarzał!
Dziś zdruzgotany, zdeptany przez ciebie,
Smutne dni wlecze w ohydzie

KONRAD.

Krystynie!

KRYSTYN.

Stałem na wzgórku i widziałem bitwę,
Którąś zawodził z pruskiemi zastępy.
Szalony! Wieszże com ujrzał? — posłuchaj!
Kilku twych zbirów podeszło do pogan,
Gdy się bezbronni modlili swym bogom;
Jakby zmówieni zbliżyli się zcicha,
I by dostałe kłosy zboża złote,
Jednym zamachem zmietli cztery głowy.
Krew mi się ścina na to widowisko.
Cztery tułowy bez głów jęło lecieć,

I w stronę właśnie gdzie poganie stali,
Wydając z siebie potoki krwi wielkie,
Te głowy biedne krążyły po ziemi.
Kiedy Prussowie zoczyli te widma,
Krew im zamarła tak jak i mnie wonczas,
A potém strasznem przekleństwem zawyli,
Głowy na ołtarz złożyli w ofierze,
I zaprzysięgli, że póty nie spoczną,
Dopóki twojéj obok nie zobaczą.

KONRAD.

Co mówisz? trupy powstały! To straszne!

KRYSTYN.

Trupy powstały, by ci zemstę ponieść.
Tyś całe piekło i niebo i ludzi
Podżegł do walki, straszliwy Konradzie.
Nie masz wassala, nie masz z sług nikogo,
Coby ci szczerą dłoń podał — nikogo
Prócz zdrajców, zbójców ohydnych — nikogo.

KONRAD.

Straszny mi obraz stawiasz, Gozdawito!

KRYSTYN.

Wyryj go w duszy! Ukorz się, niegodny!
(*Głosem wielkim*)
Konradzie Czarcie! Cień Sprawiedliwego,
Ojca Kazimierza cień staje przed tobą.
(*W natchnieniu*)
Patrz, ja go widzę — z zatrutym puharem,
Usta zsiniałe, wzrok obłędny, trupi,
Woła na Leszka, i na ciebie woła:
Do nóg Konradzie, do nóg mu upadaj,
I proś niech zbrodni pomnieć ci nie raczy!

KONRAD.

Och, on mi duszę przewrócił straszliwy!
Tak, to on iście, ojciec Kazimierz stoi.
(*Pada na kolana.*)
O przebacz, kornie w prochu leżę cały!
(*Drzwi się otwierają w głębi — stają Agafia, Mieszko, Czapla i inni ze śmiechem głośnym.*)

KRYSTYN.

Szatani górą! Bóg nie chce — O biada!

KONRAD (*zrywa się wściekły*).

Zkąd wy niegodni, niewołani wbiegli,
I tu ze śmiechem wbiegli szydnym?

KRYSTYN.

Biada!

SCENA 13.

CIZ, AGAFIA, CZAPLA, MIESZKO, OPOLCZYK, STARŻA, WARMO, GONIEC, BARTOSZ.

AGAFIA.

O człeku płytki! wbiegliśmy tu przerwać
Niecne kuglarstwo starego oszusta,
Który się w duszy śmieje z ciebie.

KONRAD.

Śmieje!...

AGAFIA (*do Krystyna*).

Dopókiż urok siać nań będziesz, nędzny?
Jaż ci pozwolę tę mitrę książęcą,
Któréj niegodzien dźwigać on mąż blady;
Jaż ci pozwolę deptać ją zuchwale?
A ty, rycerzu, rumień się przed dziećmi.

KONRAD.

Gromy straszliwe, piekła paszcze wrzące!
Czémże ugaszę ten huragan wściekły,
Co się w méj duszy szalonéj przewala!
I ciebie zduszę, i was wszystkich zgniotę,
A zamek cały w perzynę obrócę.
Precz, psy niegodne! i ty z niemi, starcze!
Niech jedna kropla wpadnie do kielicha,
A potok straszny wyleje się z brzegów.

AGAFIA.

Ja ci tę kroplę dorzucę, szaleńcze!

Niechaj wybiega raz grom co go tłumisz,
Niech w męzkim czynie zmyje się tchórzowstwo.
Ten nędznik, zdrajca, Prussy wzburzył całe.
Masz wieści owdzie, wyprawę gotują,
Ten człek ci powie.

KRYSTYN (*n. s.*).

Gdzie piekło trafiło?

GONIEC.

Przysłał mnie Bogusz z Odatnowa z wieścią,
Że Gozdawita zbratan jest z Prussami.
Wszystkie swe roty z nad granic pościągał.
W obozie Prussów burzył na was wszystko,
A oni korni by przed Bogiem klękli.
Bogusza pierścień na dowód wam niosę.

KONRAD (*patrzy nań bacznie*).

Bogusz mi wierny... a ten gad z Prussami?
Czy to podobna!... Ta opowieść jego!...
Czemu nie?... Bogiem wszakże go nazwali.
(*Do Krystyna*)
Milczysz... i topisz swoje ślepie siwe
We mnie – i słówkiem nie odeprzesz skargi;
Jeszcze urokiem chcesz mnie łudzić chytrze?
Wrzkomo pogardą rzucasz, urąganiem
Na oskarżenie ono jawne?... Milczysz?
Ha ty przeklęty! ty szalbierzu stary!
Szatą świętości, blichtrem migasz w oczy.
Schwycić go prędzéj, do słupa przywiązać.

AGAFIA.

Héj majstra Frytza z narzędziami wołać!

KONDRAD.

Prysły okowy! I jaż mogłem tyle
Temu niecnocie folgować? O hańba!
Lecz czemu milczy?... Ja chcę słyszeć słowa,
One misternie cedzone wyrazy,
Jakiemi nieraz oplątał mi duszę.
Mów mi przeklęty, mów, bo cię zdruzgocę.

OPOLCZYK.

Tortury sprawić, niech prześwieca słońce
Przez jego żebra.

MIESZKO.

Mazowiecki boże!
Do nieba wrócisz.

OPOLCZYK.

Daléj! praw kazanie!

KONRAD.

Szarpcie w kawały, drzyjcie go ze skóry,
Ja sam zębami kąsałbym go chutnie!

AGAFIA *(dając mu policzek)*.

Słysz zdrajco siwy, masz mówić.

WARMO.

Och Jesse!
Czemu nie skruszysz téj ręki piorunem!

AGAFIA.

Masz w nim rzecznika. Obu w kata kleszcze!

KONRAD.

Tak, obu.

BARTOSZ (*padając na kolana*).

Panie! .. litości... to potwarz!

KONRAD.

I tyś? tyś trzeci... katu was oddaję.
(*Do Krystyna*).
A ty mów.

MIESZKO (*do Krystyna*).

Słuchaj! (*targa go za brodę*).
Ja z nim dojdę końca.
(*Bierze nożyce i obcina brodę Krystynowi*).

KRYSTYN.

Bądź mi przeklęty! Stań się ojcu twemu
Nieszczęściem strasznėm—a matce cierpieniem!
Plemię plugawe, przeklęciście wszyscy!
(Wchodzi kat z narzędziami).

KONRAD.

Wyłup mu oczy, schowam je do puzdra,
I patrzeć na nie będę.
(Kat zbliża się do Krystyna).

WARMO.

Czarni!
Czarniejsi stokroć niż Czernobóg stary.

(Zasłona spada).

AKT II.

Prussy—Romowe w Nadrowii.

Miejsce święte—Gaj zielony.—W głębi na wzgórku dąb kolosalnéj wielkości wydrążony.—Otwór zawieszony zasłoną.—Na przodzie sceny niebardzo wysoki stos ułożony z drzewa, na nim cztery głowy ludzkie.

SCENA 1.

KAPŁANI, LUD, WIESZCZE, WIESZCZKI.
Kapłani, wieszcze i wieszczki otaczają stos dokoła—po za niemi lud.

CHÓR KAPŁANÓW.
Podziemnych paszcz otwórz ciężkie podwoje,
Poklus! Poklus! Poklus!
Czworo tych mar przyjmij w władanie twoje,
Poklus! etc.
Niechaj z tych głów Marzanna zrodzi sroga,
Poklus! etc.
Piorunny grom na biednych Prussów wroga,
Poklus! etc.

1 KAPŁAN.

Z czém żywot cały na ziemi przeżyli,
Niech ognie stosu pochłoną wraz z nimi.

1 Z LUDU.

Oto ich zbroje, kołczany i dzidy,
Wiązka bursztynu, co zdobił im piersi,
Tu naramiennik, kolczugi stalowe,
Misy i łyżki i dzbany od miodu,
Niechaj im służą w krainach podziemnych.

2 KAPŁAN.

I psa wiernego rzucić na stos z nimi.

2 Z LUDU.

Szpony jastrzębia rzucamy wam, bracia,
Aby w wędrówce po stromych przepaściach
Do wyżyn raju ułatwić wam drogę.

1 KAPŁAN.

Czworo ich żon i dziatek drobnych troje
W szczęśliwsze kraje niech odchodzą
Przez stosu dym, przez ognia czyste zwoje.
(Zapalają stos, kobiety z dziećmi otaczają go).

CHÓR KOBIET.

Jak gdy powoju wiotkie kwiaty
Gałęzie dębów wieńcem stroją,
A pod siekierą giną z niemi
Tak wam za wami paść.

1 KAPŁAN.

Pogrzebu pieśń i uczty hymn radosny
Niech brzmi przy ognia krasnych wstęgach.

CHÓR LUDU.

Zstąpili w inny, jasny świat
Gdzie Niemiec chytry już nie włada.
Ni Lech, zdradziecki gad,
Trującém żądłem nie napada.
Lecz wstańcie w ony straszny czas
Jak za żywota, kuci z stali,
I niech hymn zemsty, święty las
Echem rozniesie w oddali.

Pijmy, o bracia! słodki miód
W cześć tym wędrowcom szczęsnéj doli;
Niech tam pozdrowią Prussów lud
Z czarnéj wyzwolon niewoli...

(*Przepijają do stosu i wylewają potém trunek do ognia*).

1 Z LUDU.

Przestańmy śpiewu, na twarze padajmy:
Krewe z świątyni trojbóstwa wychodzi.

2 Z LUDU.

Znać oprzytomniał z nadmiaru boleści.

KAPŁANI.

Wyrocznie wieści wam!

(*Wchodzi krewe, starzec ośmdziesięcioletni z białą brodą*).

SCENA 2.

KREWE, KAPŁANI, LUD.

KREWE.

Badałem dęby święte i bzu kwiaty,
Badałem jezior przeczyste zwierciadła,
I wnętrza zwierząt, i gwiazd liczne szlaki:
Wszędzie mi miga znamię straszne, krwawe,
Podobne do tych, co na piersi noszą
Owi przybysze z Niemiec, zdrajczéj ziemi.
Znak to jest straszny, na oczach się wiesza,
Widzę go we śnie, widzę w strawy misie,
I widzę w mózgu kryjówkach tajonych.

LUD.

To krzyż! To krzyż!

KREWE.

I widzę straszne rzesze z tém znamieniem
Nie wodą chrzczą lud, ni też olejami
Jak owi męże biedni—ale mieczem.
Pytałem bogów wyroczni straszliwéj:
Miast odpowiedzi, łzy im z ocz pociekły.
Słyszycie ludy! łzy to były straszne.

LUD.

Bogi płakały, biada!

KREWE.

Och ludy moje! przyjdą na was czasy,
Gdy bogi wszystkie w proch padną plugawy.
Jedna Marzanna będzie miała żniwo.
Ona straszliwa białą chustą wionie
I garnąć będzie do Poklusa cieni
Całe zastępy mnogich ludów Pruss.
Zapalcie ognie, z całych lasów stosy
Ułóżcie wielkie, kładnijcie się na nie,
Ja wam zaśpiewam pieśń pogrzebu wielką
I proch zostanie po Prussach, proch!

LUD.

O biada! biada nam!
(Wchodzi Pipin za nim zbrojni).

SCENA 3.

CIŻ, PIPIN. ZBROJNI.

PIPIN.

Żałoba wszędy, rozpaczy jęki
Miasto piorunnéj zemsty zgrzytu.

I KAPŁAN.

Objąty bogom czyń wraz z nami.

PIPIN.

Póki krwi ciepłéj Lechów nie wypiję
(*Pokazując na czaszkę ludzką, która mu u pasa wisi*)
Po same brzegi z onego puhara,
Co się z nim noszę obyczajem Niemców,
Póki ich mięsa nie pokąsam głodny,
Dopóty bogom czci nie złożę.
Ni ja pod dachem chaty spocznę,
Ni rąk umyję, włosów zczeszę.
Zaprawiać będę kły z wilkami
I szpony ostrzyć z jastrzębiami.

KREWE.

Walcz z wyroczniami, z bogów głosem,
Walcz ty z Pochwista strasznym wichrem,
Co nam stuletnie dęby w proch rozwala.

Ni nam za głównię, ni za miecz,
Ni nam dziś gromkiéj pieśni hymn!
Co było wielkich w Prussich mężów
Miecz wyciął ostry synów krzyża;
Dusze ich przeszły w roje
Niewinnych ptasząt, co gaj święty
Smętnym swym śpiewem umilają;
Zostały tylko płonki liche,
Co się wielkości dawnéj urągają.
Ukorzyć nam się przed Krystynem,
Pod jego skrzydła pójść,
Bo póki Krystyn stary żyje,
Nam rdzewieć będzie miecz!
Ja go oczyszczę Lechów krwią!

PIPIN.

Twój nędzny Krystyn jest podobny tobie,
I nam paść przed nim? nam paść, o bogowie!
Ciepłéj posoki z Lechów ciała dajcie
I mięsa Lechów, bym głód mój nasycił.
Gnuśny, ty czekasz wieści od Krystyna;
Ten Gazda siwy łudzi nas i ciebie.
Módl się i bogom objaty czyń,
A my krew ciepłą będziemy pić.

(Wchodzi zbrojny, za nim Prussowie prowadząc Portrecha).

SCENA 4.

CIŻ, ZBROJNY, PORTRECH.

ZBROJNY.

Precz gnuśne jęki. Za miecz! za miecz!
Poszlijcie zmarłych w Poklusa cień,
Do bitwy Prussy! Krystyn już legł!

PIPIN.

Coś wyrzekł bracie? Powtórz nam dobitniéj!

ZBROJNY.

Krystyn Gozdawa zabit przez Mazura
Za poduszczeniem Bogusza z Odolan.

Krótkie to słowa a jednak wystarczą,
By niemi przykryć Mazurów krainę.

PIPIN.

Słyszycie ludy i wy gaje święte,
I wy ptakowie, coście nam kwilili
Na smutną nutę wasze pieśni ckliwe!
Niechże radości, radości bezmiernéj
Hymny burzliwe z piersi wam wypłyną.
Czy słyszysz starcze? Tyś wzrok wlepił w ziemię
I wasze głowy zwisły by te kłosy,
Czy je radości grom przybił?

KREWE.

To nie radości, smutku to grom,
I przeczuć straszny, złowieszczy głos.

PIPIN.

A ty posłańcze wieści téj brzemiennéj
Tyś sługą bogów. Kogoś przywiódł z sobą?

ZBROJNY.

To pies Mazurów, z ziemicy Konrada,
W nadobnéj Lii rozmiłowan wściekle
Przeszedł do naszych dla miłości dziewki,
Bo mu czarowny trunek zgotowała.
Mówi, że zamku Konradów dostaniesz
Za jego sprawą. Zna podziemne drogi.

PIPIN.

Na koń! topory, dzidy do rąk!
O upragniony! o słodki dniu,
W całém tém pasmie wolno się wlokącém,
Coś nam Prutenie z łask swoich użyczał!

(Do Krewy)

Co patrzysz, starcze? Tyż ważyć śmiesz?
Teraz namysłu lękliwie chcesz?
Gdy we mnie kipi, burzy się, wre!
Na koń! pod Płocko! zostanie gruz
Z onych sterczących w obłoki wież.
Pomagaj Jesse! (*Do Portrecha*)
Ty prowadź nas,
A jeśli zdrady zbudzi cię myśl,
Policz się z życiem i żegnaj świat!

KREWE.

Stójcie! nikt się nie waży
Miecza, ni dzidy wznieść,
Dopóki wróżby znaki
Z wnętrzności tura dobyte
Nie naprowadzą nas!

(*Do kapłana*)

Przynieście owdzie zwierzę
Co na ofiarę bogom
Przy ogniu świętym leży.

(*Kapłani przynoszą tura. Krewe otwiera mu wnętrzności i przerażony odstępuje*).

LUD.

Biada! coś ujrzał tam?

KREWE.

Krzyż wydobywam mu z jelita,
A obok dzieci moich głowy.

KAPŁANI.

Biada nam! Warmo ginie!

LUD.

Warmona dajcie nam!
Niech grzmiącą śpiewa pieśń!

PIPIN.

Brzęk stali, zemsty gwar
Zastąpi ckliwy śpiew!

LUD.

Bluźnierstwem boje rozpoczynasz,
My bez Warmona nie pójdziemy.

(*Rozdzierając szaty*).

KREWE.

O synu drogi! i wy córy moje,
Wydarte starcu jak źrenicy blaski!
Czy i nad wami unosi się w górze
To znamię straszne, co zaleje Prussy!
Wy na męczarniach! Może bogów starych
Zaprzedajecie ich krwawemu Bogu.
O zaczekajcie... ze starym swym ojcem

Razem pójdziecie w Poklusa ciemnice,
Nie wierzcie słodkim ich ułudy słowom!

KAPŁANI.

Krewe szaleje.

PIPIN.

Starości to znaki!

KREWE.

A ty, ty krwawy, co lemiesz i kosę
Na miecz przekułeś i mordami dyszysz,
Tyś się już zmazał krzyża znakiem,
Potém odbiegłeś go zdradliwie,
Jak ich zdradziłeś i nas zdradzisz,
Zginiesz wraz z nimi i z ziemią Pruss,
A ja wam drogę otwieram straszliwą.
(Mdleje).

KAPŁANI.

Bogi! Krewe opuszcza nas!

I Z LUDU.

Na wojnę pośpiesz sam, Pipinie!
My tu zostaniem przy tym starcu.

PIPIN.

Za mną drużyno, smutek utopimy
W krwi Lechów purpurowéj.
(Odchodzi, za nim zbrojni).

W Płocku. — Przysionek kościoła.

Na stopniach stoi biskup Gunther w stroju pontyfikalnym i dwóch archidyakonów, poniżéj kler. Arnold, Dobrogost, Żyrosław, Mściwong stoją z boku po lewéj widzów, za nimi lud. — Z prawéj przybudowanie kościelne, tak zwana kostnica. przy któréj żelazna obręcz zwana kuną, w niéj siedzi zamknięty Bogusz.

SCENA 5.

GUNTHER, ARNOLD, MŚCIWONG, DOBROGOST,
ŻYROSŁAW, BOGUSZ.

ARNOLD.

Pójdź Dobrogoście! gdy patrzę w te ślepie
Fałeszne, chytre, wzgarda, obrzydzenie

Miotają człekiem. Zda się chełpić z czynu,
Który sromotą okrył ziemię całą.

DOBROGOST.

Raczéj czekajmy na jego wspólnika:
Dwóch czartów takich spotkanie coś warto.

ŻYROSŁAW.

Jeden drugiemu do oczu się rzuci.

BOGUSZ.

Panowie bracia! wżdy się nie sromajcie
Siąść przy Boguszu. Bogusz zawsze będzie
Czém jest—pan z panów. Niejeden raz jeszcze
Karmić was będzie i lać małmazyą.

DOBROGOST.

Z Krystyna lochów.

BOGUSZ.

A choćby z Krystyna,
Czy to nie warto w téj kunie pomieszkać
I nawet klątwy kościelne mi dźwigać,
Aby psom takim jak wy, rzucać kości
Do ogryzienia z kuchni Boguszowéj.

DOBROGOST.

Kłamiesz, psie chytry! Mazowiecka szlachta
Chleba od ciebie nie żądała nigdy.
Krystyn ją dźwigał, Krystyn karmił w głodze
A ty parszywy u kolan muś leżał,
Lizałeś rękę, co ci strawę dała.
Potém Judaszu sprzedałeś go chytrze,
I włości jego pożarliście z Czartem!
Niech wam wnętrzności ogień piekieł pali.

GUNTHER.

Przestańcie sromu. Bóg tu sądy sprawia;
Ten nędznik czarny Bogu zda rachunek
Za długi szereg nieprawości wszystkich.

DOBROGOST.

Och! sądy ludzkie dosięgną go w mierze.

GUNTHER.

Na klątwę straszną zamilcz Dobrogoście!
Potężny Konrad przed ten próg się zbliża,

Radość, o bracia, kościołowi dzisia,
Potężne ramię wyznawców Chrystusa
Świetnym się blaskiem obleka tryumfu.
Cieszmy się w Panu!

Chór „Te Deum laudamus.“ Wchodzi Konrad boso we włosiennicy, za nim Czapla).

SCENA 6.

CIŻ, KONRAD, I CZAPLA.

KONRAD (*n. s*).

Mściwong i Arnold i wszyscy ciekawi
Téj mojéj hańby, patrzą się szyderczo.
Chryste! daj wytrwać sromocie téj piekła.
Och, przyjdzie czas ten, że ją wam odpłacę.
(*Do Czapli*).
Niechaj się żwawo skończy ten obrządek,
Bom gotów miecza dobyć pośród modłów.

CZAPLA.

Cierpliwość cnotą—to małe ustępstwo
Stawi zwycięzko was dostojny panie,
Wszystko to wróci w dawnych karbów koléj.

KONRAD.

O! twoje rady kością mi stanęły.
(*Spostrzega Bogusza*).
Tyś tu, Judaszu! Piekła płomieniste!
Kto mi ten widok zgotował ohydny?
Dajcie mi miecza! miecza! miecza! miecza!
Héj Żyrosławie, Arnoldzie cny,
Kopcie mnie, bijcie w mą nagą pierś.
Drzyjcie me włosy, plujcie mi w twarz,
Tylko mi miecza na parę chwil
Niech który poda litośnie z was!
Będziecie sądzić, najgrawać się ze mnie,
Zbrodnię mi moją na oczy wystawiać
Lecz ten gad piekła wprzód trupem polęże
Za moje nocy, straszliwe sny,
I za katusze, za tortur stek.
Które ten zbrodzień zgotował mi!

Wyrywa miecz Żyrosławowi, chcąc się rzucić na Bogusza. Gunther staje mu w drodze).

GUNTHER.

Przeklęty trzykroć! wstrzymaj twą dłoń,
Ty drzwi świątyni chcesz zmazać krwią.
W proch tu, grzesznику, korz się kościołowi.
Kto go pohańbi, ten przeklęty wiecznie;
Kto się ukorzy, przebaczenia zdroje
I błogie dni mu w spokoju przypadną.

(*Do Bogusza*)

Odszczekaj, nędzny, potwarze swe
Na pamięć szlachetną Krystyna.

ARCHIDYAKON (*czyta—Bogusz za nim powtarza*).

„Przeklęty język mój zarzucił czarną zbrodnię zdrady najszlachetniejszemu panu Krystynowi Gozdawie. Boże, przebacz mojéj nędznéj duszy! Odwołuję dziś wszystko i łasce Chrystusa i wszystkich świętych się polecam. Amen.“

GUNTHER (*do Konrada*).

Przybliż się, synu, do świątyni progów.

KONRAD.

Kornie na klęczkach upadam przed wami,
Toć już tę klątwę zdejmijcie z mych barków,
Co mnie kamieniem do ziemi przywala;
Ni ja napoju, ni jadła nie tknąłem,
Ziemia mi z pod stóp wymyka się trwożna,
Biję się w piersi i w proch padam.

GUNTHER.

Dusza Krystyna wyrwana niewinnie
Niech cię przed tronem Boga nie oskarża:
Pokutuj synu, czyń ofiary, módl się.
Nie grab kościoła, ale mu oddawaj
Coć doczesnego na ziemi zostało.

KONRAD.

Wszystkie me włości, co je Bzura zlewa,
Oddaję w wasze wieczyste dzierżenie:
Módlcie się za mnie i za ród mój cały.

GUNTHER.

Stwierdź mi przysięgą to nadanie twoje,
A potém pieczęć daj na pargaminie.

KONRAD.

Otwórz mi wrota kościoła, mój ojcze.

GUNTHER.

Wprzód zrób ofiarę z pychy i mamony.

KONRAD.

O! zrobię wszystko! (*Do archidyakona*)
Piszcie przywileje.
(*Archidyakon pisze, Konrad mu dyktuje*).

GUNTHER.

Widzisz nieszczęsny, gdzieć duma zaniosła
Całe Mazowsze odbiegło od ciebie,
Struchlało wszystko na odgłos piorunu,
Co kościół rzucił z swéj świętéj prawicy.

ARCHIDYAKON.

Akt już gotowy.

KONRAD (*do obecnych*).

Do was zwracam mowę
Dzięk Najwyższemu, żem uczynić zdołał
Coś dla Chrystusa, Apostołów świętych:
Wszyscy wy ludzie, jak tutaj stoicie,
Bądźcie świadkami, poręczycielami
Tego nadania kościołowi w Płocku.
Tych ziemi mnogich, co je Bzura zlewa,
I bagien, stawów, źródeł, lasów, pastwisk
Tu wyrażonych w onym pergaminie.
Chcę, żeby oni dzierżyli je wiecznie
I całkowicie na sposób królewski,
Bez dań, podatków ni lenności żadnéj,
Wyjąwszy świętéj stolicy kościoła.
Niechaj następcy, synowie i wnuki
Nienaruszone zachowają prawa,
Jeżeli w życiu wieczném chcą kosztować
I być zbawieni od ognia wiecznego;
A jeśli który odejmie coś z tego,
Niech mu odźwierny odejmie niebieski
Z swéj strony w niebie. Co daj Boże. Amen.
(*Dają mu pergamin. On na nim krzyż robi*).
Potwierdzam znakiem krzyża Chrystusowym.

GUNTHER.

I wy obecni, kładźcie krzyża znamię.
(*Dobrogost, Arnold, Żyrosław i Mściwong, kładą krzyże na pergaminie*).

GUNTHER.

Książę Konradzie, zdejmujemy brzemię
Klątwy kościoła—dajemy ci miejsce
W gronie gorliwych sług jego.
Po chrześciaństwie całém ogłaszamy
Twą zbożność, czystość, poprawę i cnoty.
Powstań, mój synu. Książę, przed ołtarze.
(*Drzwi kościoła się otwierają, wychodzą księża ze światłem*).

OKRZYKI ZA SCENĄ. (*Goniec wchodzi i Jawnuta*).

Na koń Leliwy! Na koń Szreniawici!
Leliwy! Leliwy!

KONRAD.

Co te krzyki niosą?

GONIEC.

Dobrzyń zdobyty.

KONRAD.

Coś powiedział, gadzie?

GONIEC.

Jak potok straszny Prussowie wybiegli,
Stanęli murem u Bobrownik grodu,
I chcą się kusić o zdobycie Płocka.

KONRAD.

Biada! co czynić?

JAWNUTA.

Och książę Konradzie,
Zwołuj włodarzów, przebacz Boguszowi,
Bo przysięgam na Jessego gromy,
Żem dzisiaj w Wiśle widziała krwi wstęgi,
A kruków stada ku Czersku ciągnęły.

BOGUSZ.

Zapóźnoś przyszła, stara czarownico!

KONRAD.

Co czynić, ojcze?

GUNTHER.

Zamykaj się w Czersku,
Zwołaj Mazowsze. Wejdź w układ z Prussami,
Może daniną jaką się okupisz,
A potém radzić będziemy.
(*Kobieta wpada*).

KOBIETA.

Ratujcie!
Prusy na wałach i w téj chwili może...
(*Lud się zbiega gromadnie krzycząc*).
Ratunku! Pomocy!

GUNTHER.

Do kościoła wierni,
I drzwi zawierać.
(*Wchodzą tłumnie do kościoła*).

BOGUSZ.

A mnie zostawicie?
Ludzie okrutni—weźcież i mnie z sobą!
(*Drzwi kościoła się zamykają, wpada Pipin na czele zbrojnych*).

SCENA 7.

PIPIN, PRUSSOWIE, BOGUSZ.

PIPIN.

Morduj wciąż wilku... Ty podkładaj ognie.
Upieczem dzisia Mazurskiego boga.
(*Do Bogusza*).
Coś zacz tu nędzny, by pies na obroży?
Czemu nie szczekasz?

BOGUSZ.

Litości, litości!
Dam ci bogactwa.—Jam Bogusz z Odolan.

PIPIN.

Bogactwa wezmę bez ciebie, plugawy;
Tyś tu na żertwę przygotowan ptaku,
Idź do Poklusa! (*przebija go*).

BOGUSZ.

Ratunku! ratunku!
(*umiera*).

PIPIN.

Kładźcie tam ognie! wyważajcie wrota.
(*Podkładają ogień pod kościół*).

Podziemia w zamku Konrada.

Popodpierane słupami. W głębi główne wejście po schodach. Przy każdym ze słupów łańcuch. Przy jednym z łańcuchów kości ludzkie.

SCENA 8.

Wchodzi JASKOŁD *z pochodnią w ręku, późniéj* BARTOSZ.

JASKOŁD.

Ha, ha, ha! śmiejcie, śmiejcie się szczęśliwi,
Dopóki wrona nie zakracze czarna

(*Zatyka pochodnię u słupa*).

I ty Jaskołdzie śmiéj się wciąż wraz z niemi,
Lecz za tym progiem larwę śmiechu zostaw,
Tu czarnéj śmierci panowanie smętne.
Tu onéj pani, co potrząsa kosą,
Li wolno zęby szczerzyć obnażone,
Jak te tu oto! (*bierze czaszkę*).
A ten uśmiech trupi
Aż gdzieś do serca kryjówek się wciska
I ztamtąd potok łez gorzkich dobywa,
Co w gardle tłumią i z oczu się perlą.
Jestże na świecie człek, coby mu widmo
Onéj skorupy z tym uśmiechem strasznym
Nie targło serca? Jestże zbrodzień taki,
Który ofiarę ujrzawszy w tym kształcie,
Nie zadrży skrycie i nie zbudzi w duszy
Strasznego głosu, co go zwą sumieniem?
Da się to widzieć... a teraz milczenie,
Uśmiech na lica. Daléj w tany świata.

(*Otwiera drzwi boczne*).

Wyłaź Bartoszu! Powstań z martwych ninie,
A przed czartowskie oblicze się postaw.
Nabawisz strachem zrazu oko pańskie.

BARTOSZ (*wylazi blady i wynędzniały*).

To wy Jaskołdzie, opatrzności moja!
Gdzież mnie uciekać ztąd każecie?

JASKOŁD.

Nigdzie.
Tu pozostaniesz, opowiesz Czartowi
Na tamtym świecie coś za cuda widział,
Może w sumienie rzucisz mu jad węży.

BARTOSZ.

Wam zawsze żarty—trefność na języku.

JASKOŁD.

Śmiéj się biedaku, bo w tym głupim świecie
Tylko ci mądrzy, co szyderstwa miotą.
Pójdź! będzie uczta—staniesz z rogiem w dłoni,
Jak dawniéj stałeś, za krzesłem książęcém.

BARTOSZ.

Ja? nie igrajcie... raczéj puśćcie wolno.

JASKOŁD.

Albom ja mocen?... życiem ci dał tylko,
Ale wolności nie mogę, mój bracie.

(Wchodzą Judyta i Warmo).

Cyt! Ktoś nadchodzi... groby te straszliwe
Dziś w poruszeniu. Wyjdźmy niewidziani.

(Usuwają się po za filar).

Ha, ha! To bożek miłości skrzydlaty
Ucztuje sobie w ciemnych grobu cieniach,
I śmierć i życia najwspanialsze gody
W jedném się miejscu schodzą. Pójdź biedaku!

(Odchodzą).

SCENA 9.

JUDYTA, WARMO.

JUDYTA.

Czego się wahasz? Oto wolna droga;
Patrz—oto wyjście. Zawiedzie cię ono
W głęboki parów—tam nadybiesz wrota,
Które tym kluczem otworzysz. Uciekaj!
Jam cię dwa razy zdołała wybawić,
Nie igraj z losem, by trzeci nie chybił.

WARMO.

Wiesz kogo z zamku ojca twego puszczasz?

JUDYTA.

Wiem... ale z zemsty ja urągam waszéj,
Słabi wy.

WARMO.

Nie wiesz —o! nie wiesz, ty biała,
Jakiemi gromy spadniem wam na głowy.
Dopóki Krystyn, on stróż straszny z mieczem,
Dopóki karcił was li rózgą samą
Jak krnąbrne dzieci i kojarzył zgody,
Myśmy słuchali. Dziś prysły ogniwa,
Dziś jako potok straszny na was spłyniem.
Pipin okrutny zwiastuje pożarem
I mordem dzikim swe pochody krwawe:
Płocka już dobył i daléj pociągnie.

JUDYTA.

W Bogu są losy nasze, ty uciekaj.

WARMO.

Gdyby twój ojciec, jak on Gazda siwy,
Coście mu oczy wykłóli niebaczni,
Był nam czém on był—on bóg Mazowiecki, —
Prussyby dawno u nóg wam leżały;
Ale on Czartem—straszniejszym od czarta.

JUDYTA.

Milcz i uciekaj... chcę twą głowę hardą
Zachować nadal dla twych braci.

WARMO.

Braci?
Ja nie mam braci—ja siostry dwie miałem,
Ale ich nurty Wisły pochłonęły;
Jam tu zostawił wszystko, co kochałem.

JUDYTA.

Wszystko? A ojciec?

WARMO.

Ojciec? Och! to zemsta
Nieubłagana, ostra, jak stal lśniąca!..
Prawda! szalony! Jaż się wahać mogę,
Kiedy to głupie dziewczę li z kaprysu
Otwiera wrota? Idę! Bądź mi zdrowa!
Zanim dwa razy słońce zobaczycie,
W ruinach zamku znajdziecie grób wszyscy.
(*Idzie i po chwili wraca — patrząc na Judytę*).

Nie!... nie! .. Bogowie, udzielcie mi siły,
Nie dajcie czarnym myślom góry dzierżyć!
Czém ci odpłacę, ty dziwna dziewico,
To coś zdziałała? Twój Bóg ci tak każe?
Czemuż on innym nie daje téj cnoty?
Czemu ty przy nich świecisz jako słońce,
A tamci czarni, ohydni?

JUDYTA.

Bo błądzą.

WARMO.

Nie, nie! Ta walka spali mi mózg!
Daremnie szukam wykrętnych dróg,
Daremnie wzywam potęg i sił
Onych wszechmocnych, com z dziecka czcił,—
Jakiś nieznany ogień tu wre,
Porywa duszę, oczyszcza mnie!
Zkądżeś dobrała tych barw i tych kwiatów,
By w moję duszę tyle blasków rzucić?
Bogi przemożne, udzielcie mi siły!
Po za wrotami czeka zemsta krwawa
A tu zostaje światło, niebo jasne,
Zostaje serce, którego wielkością
Jako taranem jam zgruchotan—bogi!
Nie chcę wolności, odbierz twój dar,—
Jam twój niewolnik—jam sługa twój;
Bez twego głosu, bez spojrzeń twych
I bez téj cudnéj krasy twych lic,
Które mi słońcem zabłysły wspaniałém,
Jam żebrak biedny. Patrz, dumna dziewico,
Coś z mojéj męzkiéj zabrała potęgi:
Łzy wilżą oczy, a sercu tak błogo!
Och! daj dłoń twoję, połóż mi na czoło
Jak moim siostrom biednym ongi kładłaś;
Jam już im wtenczas zajrzał téj rozkoszy.
(*Pada na kolana całując kraj jéj szaty*).

JUDYTA.

Powstań, szalony! powstań! Uchodź spiesznie!
My chrześcijanie miłością braterską
Darzym tak wszystkich, co cierpią. Szalony,
Zagaś ten ogień, co ci w duszy tleje.

WARMO.

Ja go zagasić? Czemuś go zażegła?
Czemuś nieszczęsna niosła mi litośnie
Li dobro samo przez ciąg méj niewoli?
Czemuś słodyczą rajską łagodziła
Każdą ohydną gorycz mi podaną?
Gdy twoje usta niebiańskie głosiły
Waszego Boga czyny promieniste,
Dla mnie się wrota nieba otwierały:
Gdy go niemieckie wygłaszają usta,
Zda się szyderstwo istne z duszy płynie.
Pójdź, o dziewico! w cudne Prussów ziemie,
Gdzie gaje wonne wabią ciszą smętną,
W zwierciedle jezior przeglądać się rade.
Ja Bogu twemu zbuduję świątynię,
Jakiéj dotychczas nie miał jeszcze nigdzie.
On Bóg miłości— między bogi nasze
Równie potężne, jako gość przyjęty
Do wspólnéj cześci zasiędzie.

JUDYTA.

Co mówisz?
Mój Bóg jedyny, nie podziela chwały.

WARMO.

Ty chcesz, bym bogów mych potężnych rzucił?
O dziewo piękna! znaszże ty te węzły,
Które mnie do nich wiążą od kolebki?
Czujesz ty ogrom mojéj wielkiéj straty?
Mam się pożegnać ze szmerem lip wonnych,
Co nad głowami Prutenu szeleszczą
Ze śpiewem ptasząt, co w gaju Romowem
O szczęściu rajskiém wyśpiewują?
I jam był piewcą, i ja pieśni niosłem;
Rodzime bogi rozniecały w piersi
Żary natchnienia. W ciszy gajów świętych
Splatałem śpiewy, co do bitew wiodły.
Tu dziś, dziewico, ja się twemu Bogu
Pokłonię chętnie; ale pieśni z duszy
Ja dlań nie splotę nigdy! nigdy! nigdy!

JUDYTA.

Zostań więc z nimi; jeszcze twoja dusza
Broczy w ciemnościach. Och biedny! ty na mnie

Li zmysłów okiem patrzysz, i pociąga
Cię nowość tylko... Niegodny... frymarczysz!
Ty chcesz mą miłość okupić pokłonem
Mojemu Bogu... Precz! Ciemnyś jak przedtém.

WARMO.

O! zostaw jeszcze, zostaw mnie w tym zamku!
Ja ci dowiodę, dziewico wielbiona,
Żem godzien sługą Boga twego zostać.
Och! ujrzysz... ujrzysz... ja się ponad głowy
Tych wszystkich wzniosę—a tobie dorównam.
Mnie sama cnota pociąga ku tobie,
Sam Bóg wasz wielki cześć w mém sercu budzi,
Bo jeśli taką miłość w duszy nieci,
Wart być wielbionym po wsze wieki!...

JUDYTA.

Słyszysz?

WARMO.

Co? Szczurów bandy spłoszone szeleszczą.

JUDYTA.

Nie. Ludzkie głosy dolatują zdala.

WARMO.

Czyżby się zmarli w tych lochach ocknęli?
Dużo tu kości po ziemi się wala,
Kości mych braci. Tu był zamknion Nadro
I morzon głodem. Tu Wejdewut zginął.
Powstają z martwych, aby mnie oskarżyć,
By mi zarzucić odstępstwo i zdradę.

JUDYTA.

Pociesz się, bo tu i książęta wielcy,
Nękani więzy, ciężkie dni liczyli.
Tu Pudyk z matką gorzkie łzy wylewał.
Lecz coraz bardziéj głosy tu dochodzą;
To zdrada! baczmy!

SCENA 10.

CIŻ, (*wchodzą z lewéj*) PIPIN, PORTRECH, PRUSSOWIE.

PIPIN.

Tam światło błyska, hola! ani krokiem.
Ty zdrajco naprzód... tylko w ciszy wielkiéj,

Niech żaden odgłos górnych sfer zamczyska
Nie zmąci trwogą. Bo po onym tańcu,
Cośmy im w Płocku wyprawili hojnie,
Odpoczywają, radzi, że tak małym
Datkiem okupu z rąk nam wybieżeli.

WARMO.

Kto wy i po co? Co macie za sprawy?

PIPIN.

Bogi potężne! Tyżeś to Warmonie,
W lochach zamczyska jakbyś czekał na nas!
Widzisz, tém wejściem wiodę mą drużynę,
Aby z nienacka wpaść na kark Czartowi.
Wszyscy są nasi. Widen, Sambo, Nadro!
Wiedź nas ostrożnie. Znasz dobrze te lochy,
Cały ten zamek obsadzon dokoła,
Ni jeden Mazur z rąk nam nie wybieży.
Ty patrzysz na nas zdumiony? Czas Warmo,
Będziesz sie dziwił potém. Nuż do czynu!

JUDYTA.

Co to!... poganie wprowadzeni zdradą!
Ratuj nas Boże!

WARMO.

Och! i poratuje.
Jakeś tu przyszedł, tak wrócisz, Pipinie.
Próżno kły zbójcze ostrzysz, ogniem zioniesz.
Dość krwi się lało. Dosyć ofiar padło.
Tybyś ohydny pasł się ciałem ludzi,
Brodził by zwierzę, pił ciepłéj krwi strumień.
Wracaj, bo śmierć tu czarną znajdziesz. Wracaj!
Niechaj mir błogi zwiąże Prussów ręce,
Niechaj te krwawe chrzty ustąpią miejsca
Braterskim ślubom w imię Boga chrześcian.

PIPIN.

Co to za mowa? Tyżeś to jest Warmo?
On sługa bogów, wróg Mazurów czarnych!

WARMO.

Jam Warmo nowy, co z otchłani ciemnéj
Jasne dnia blaski ujrzał na błękicie.

PIPIN.

Puszczaj, niegodny! Mazowsza połowa
Nam się dostała. Płocko, Dobrzyń wzięte.
Runie w przepaści krzyża panowanie.

WARMO.

Runie w przepaści dobro, piękno istne?
Runie w przepaści to, co dusza moja,
Co istność cała chłonie i lubuje, —
O! precz, ty czarny, ty raczéj zgiń!

PIPIN.

Przeklęty w sidła uwikłan Mazurów,
Tyś Poklusowi poświęcon plugawy.
Odstąp, bo trupem polężesz wraz!
Za mną, o bracia, dzidy do rąk!
Pchajcie w spodlone to serce.

WARMO

I wy Prussowie, dla których składałem
Co w piersiach, w duszy najlepszego było,
Posłuszni woli dzikiego odyńca,
Niesiecie groty w moje piersi? Hańba!

ZBROJNY.

Och, stój Pipinie! na imię Prutena!
My nie uderzym w Warmona pierś,
My go zasłonim przed ciosem twym.
Jeżeli Warmo iść każe wstecz,
My mu posłuszni będziemy.

WARMO.

Więc precz z tych lochów! w otwarty bój,
Nie jak zdradzieckie psy,
Walczcie jak męże—a wonczas ja
Dłoń moję podam wam.

PIPIN.

Twéj dłoni zdrajczéj nie przyjmiemy,
Moja wystarczy dłoń.
Wróćmy do grodu inną drogą,
A ty przeklęty zgiń!

Izba w zamku Konrada.

Uczta.—W pośrodku stół—Na nim potrawy.—Czary krążą z rąk do rąk podawane przez paziów na klęczkach.

SCENA 11.

KONRAD, MIESZKO, ZIEMOWIT, KAZIMIERZ, MŚCIWONG, DOBROGOST, ŻYROSŁAW, ARNOLD, DAMIAN, KRINOSUD *i inni siedzą przy stole;* JASKOŁD *obsługuje; za krzesłem Konrada stoi* BARTOSZ.

KONRAD.

O mój Arnoldzie! i wy Żyrosławie,
I wy Mściwongu, Dobrogoście luby,
Jeżelim kiedy gościnności serce
Miał dla was całe, toć je mam téj chwili!
Jaskoldzie! czary niech nam nie próżnują.
Owdzie pan Damian z próżnym rogiem stoi.
O bracia moi! o tym wielkim czynie
Wieków za mało, by rozgrzmocić sławą
Tyle rycerskich cnót waszych.

MŚCIWONG (*już pijany—wychylając puhar*).

O książę!
Któżby się dla was z życiem drożył marném?

KONRAD.

Mściwongu dzielny! gdyby nie twój obrot,
Upiekliby nas w kościele jak wieprzy
Na wielkanocne święcone. Arnoldzie!

ARNOLD.

Jako te krople złociste się sączą
Już ostatkami z onego tu rogu,
Tak i krew nasza przeleje się szczodrze
Dla ciebie panie. Żyj nam!

JASKOŁD (*n. s.*).

I drzyj, mówcie!

MIESZKO (*uderzając w puhar*).

Panie Mściwongu, ja z wami uderzę
Na cześć piękności.

MŚCIWONG.

Z chęcią, mały książę.

MIESZKO.

Cóż bo za córę cudnéj krasy macie!

MŚCIWONG (*marszcząc się*).

Mam ją od Boga, lecz nie dla was, smyku:
Szukajcie dziewuch z pod kmiecych lepianek.

MIESZKO.

Ja wolę wyżéj.

MŚCIWONG.

Niebezpieczna droga:
Można kark skręcić na żerdzi przy bronie.

MIESZKO.

Ja umiem łazić by młody kot wszędy.

MŚCIWONG (*uderzając kielichem*).

To mych strzał roje wypuszczę za tobą;
Zające w locie na wylot przeszywam.

ARNOLD (*do Mściwonga*).

Zawalidrogo! miarkuj się—gdzie jesteś.

MŚCIWONG.

Mówiłem—grzmotnę o ziem by zająca.

KONRAD.

Co tam za zwady? Pan Mściwong zbladł cały!
Dawaj mi róg mój, ospały Bartoszu.
Tfu! Bartosz!... gdzie on... już ni śladu z niego.
A wiernie służył. No, dawaj, niezdaro!

(Bartosz przerażony upuszcza róg).

Ciemięgo durny. (*Spostrzega go*). Piekło! Co ja widzę?
Precz maro straszna! Jaskołdzie, to widmo!

JASKOŁD.

Nie, to jest Bartosz, żyw i cały panie.

KONRAD.

Co, co? on żyje?... i głowa przy karku,
Głowa prawdziwa, a nie przyprawiona?
Przecież widziałem jak go Frytz ugodził.
To mi tułówy Prussów przypomina,
O których Krystyn bajał ongi... Krystyn!
Krystyn!... kto rzekł go? precz z pamięcią czarną!
Żyjesz? tém lepiéj... można więcéj ścinać,
Kiedy tak łacno głowy się zrastają.
A co tam w piekle o mnie mówią...?
(*Jaskołd wychodzi wołany przez jednego ze sług*).

BARTOSZ.

Drżą tam przed wami tak jak i na świecie.

ŻYROSŁAW (*do Dobrogosta*).

Dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę chwilę,
Żeśmy jak marne jagnięta wilkowi
W paszczękę wleźli.

DOBROGOST (*wskazując Arnolda i innych*).

Oni nas wciągnęli,
Bo ich podłechtał marnemi pochlebstwy.
Ja tylko patrzę, rychło się wyśliznąć.

KONRAD (*który słuchal opowiadań Bartosza*).

Tyś widział Czapli wizerunek w piekle?
Tam nań czekają?... Co ty mi tu bajesz?
Czapla się wykpi z diabelskich obrotów.
(*Jaskołd wraca*).

JASKOŁD.

Niemiec lutnista do zamku się prosi.
Minnesingerem psiarstwo się mianuje,
Mówi, że czyny krzyżowe opiewa.

KONRAD.

A toż go wpuszczaj, niech nam bawi gości,
Tylko mu oczy związać, bo to może
Jaki wysłannik z Brodatego dzielnic.
(*Jaskold odchodzi*).
Héj! Brodacz chytry po Kraków mi sięga,
A tu nam Prussy na karku znów stają.
Ni mnie wybieżeć w poprzek Brodaczowi,
Bo doma nieład, a może i napad
Pogańskich psów tych zaskoczyłby srodze.
O! cobym nie dał, by tych pogan marnych
Co do jednego wybić można. Potém
Snadnoby Kraków dzierżyć w dłoni krzepko,
Pudyka oddać w niewieście niańczenie,
A was, o mili! złotembym osypał.

ARNOLD.

Rozkażcie tylko, wyrzucim Brodacza.

KONRAD.

Cyt! Wprzód z Prussami uporać się trzeba.
(*Wchodzi Jaskold, za nim Otto Selejden jako Minnesinger*).

SCENA 12.

CIŻ i OTTO.

JASKOŁD.

A ot on Niemiec.

KONDRAD.

Świadom przed kim stoisz?

OTTO.

Jażbym nie wiedział? gwiazda wasza, panie,
Jest najjaśniejszą ze wszystkich gwiazd szlaku,
Jakie w wspaniałym tym rydwanie nieba
Mocarze ziemscy błyszczą światu.

JASKOŁD (*n. s.*).

Szalbierz.

KONRAD.

Znać w tobie mistrza. Zkąd przybywasz owdzie?

OTTO.

Z Jerozolimy, od grobu Świętego.

KONRAD.

Dajcie mu stołka i miodu róg,
Gość to on dla nas pożądany.
Pokrzep się bardzie, a potém słów
Nie skąp nam onych słodkich,
Co z twoich płyną strun.

OTTO (*wypiwszy*).

Dzięk wam serdeczny, władco, panie!
Już trzecie słońce na niebie lśni,
Jak świetny poczet rycerzy
Stanął u Rzymu świętego bram.
Tam drzewo krzyża Chrystusa
I mnogość cennych szat,
Zdobytych na wrogach krzyża
W ofiarną złożył dań.
Ojciec święty, nasz oręż zbroczon krwią
Błogosławieństwy uwieńczył, i rzekł:
Rycerze krzyża świętego znaku!
Gdziekolwiek wrogi mieszka lud,
Co bogom fałszu cześć oddawa,
Idźcie i nawracajcie go!

KONRAD.

Któż świetnym hufcom tym przywodzi?

OTTO.

Kto?
Och! czyliż liche moje tony,
Sprostają sławie téj,
Jaką on dzielny mąż piastuje?
Gdzie morza fale kończą bieg,
Gdzie zachód purpurowy,
Gdzie jasny wschodu szlak,
Mroźnéj północy szron.

Południa krasne gaje,
Wszędy wielbiący słychać chór,
Herman von Salza!

KONRAD.

Imię to nieznane w naszéj stronie.

OTTO (*w natchnieniu*).

Och! przyjdzie czas,
Gdy zakon tego męża
Dobrodziejstw moc
Rozniesie po wszém świecie.
Ciemności mroki rozpraszając,
Pochodnią ludom zajaśnieje,
Zbuduje krzyża tron,
I błogosławieństw siejąc ziarno,
Ziemie zamieni w raj!
Słuchajcie moich strof,
Zapiszcie w mózgu czyny,
Które przez szereg lat
Wdzięczny mu nuci świat!
(*Uderza w struny i śpiewa*).

Jeruzalem! Jeruzalem!
Swiętego grobu grodzie!
Ileż ty walk! o! ile cnót
Niemieckich widziało rycerzy.
Z pomiędzy nich
Jak słońca blask
Najświetniéj słynął mąż
Herman von Salza.

Jeruzalem! Jeruzalem!
Kto twoim był obrońcą?
Kto święte dzieci krzyża wiódł
I zasłaniał swemi skrzydłami?
Przed kim to w gruz
Askalon padł,
Saladyn z trwogi bladł?
Herman von Salza.

Jeruzalem! Jeruzalem!
Gdzie stawił stopę swoję,
Tam święty wyrastał krzyż

A niewiernych pogańska siła,
Jak mroczny cień
Przed słońcem mknie,
Przed mistrzem się korzyła:—
Herman von Salza.

(*Judyta wpada szybko, za nią Warmo*).

SCENA 13.

CIŻ, JUDYTA, WARMO.

JUDYTA.

Tu uczty słodkie dźwięki,
Trunek rozgrzewa głowy,
A tąm niewiasta grodu strzeże.
Wstańcie rycerze i za miecz!
Prussów ciżba pod grodem,
Jak oko sięgnąć zdoła
Z kamiennych naszych baszt,
Rojem obsiedli pola.
Na mury drapią się,
Jeszcze chwilę z kielichem,
A pęta niewolnicze
Na ręce włożą wam!

(*Głosy za sceną*).

Do broni! hej! do broni!
Przeklęci! czegoż chcą?

KONRAD.

Wszak nie ma jeszcze całych dwóch tygodni,
Jakem przymierze zawarł z tém robactwem
I mnogą danią poparłem nasz układ.

JUDYTA.

Tyż chciwość zbójcy zaspokoić pragniesz?
Daniny będą coraz większéj żądać,
Boś dzisiaj dla nich słabym bez Krystyna.

KONRAD.

A ty zkąd czerpiesz świadomość tych spraw?

JUDYTA (*wskazując Warmona*)

Spytaj się jego. Pipin wszedł do lochów,
Wprowadzon zdradą Portrecha odstępcy.

Gdyby nie Warmo, krewby farbowała
Waszego stołu obrusy śnieżyste.
A teraz spieszcie: Pipin już pod zamkiem
Żąda daniny w koniach i odzieży,
Krasnéj odzieży, złotogłowiu żąda.
Inaczéj ognie podkłada pod brony.

KONRAD.

Koni, odzieży? Niech was piekło spali!
Ja nagą zgraję mam odziewać, karmić,
I całą szatnię i stajnię i lamus
Wypróżniać dla nich, a sam skórę wdzieję!

(*Wskazuje na szlachtę*)

MIESZKO.

A popatrz ojcze, jakie na tych kołkach
Szaty zwieszone... toż to lamus cały!
Miałżebyś z naszych uronić choć jednę,
Mając tu obcych tyle.

JUDYTA (*do Mieszka*).

Coś rzekł, nędzny?

KONRAD.

Czartowski pomysł... ale dobry. Prawda!

(*Patrząc na szlachtę*)

Tu błyszczą futra. Złotogłowie błyszczą,
I drogie sukna, miękki jedwab szumi,
A koni rzędy w stajniach moich stoją.
Krom tego rogów warto im przyciosać.
Zdejmujcie szuby, dostojni panowie!
Bierzcie ich konie i rzędy ze stajeń.

JUDYTA.

Ojcze! otrzeźw się, to trunek majaczy.
Ojcze! na Boga! ty gości obdzierasz,
Płacąc rozboje ich dobytkiem prawym,
Miasto bułatem odeprzeć pogana.

KONRAD.

Precz, głupia dziewko! Rozbierać się chyżo!

DOBROGOST.

I cóż patrzycie, by ze snu zbudzeni?
Zaliż nie w jamie rozbójniczéj siedzim?

Płaćcie mu splendor, że was gościł owdzie,
Dziękujcie w skrusze, że tak mały okup
Każe wam płacić—radujcie się życiem,
Które wam z łaski swéj zostawić raczy.

ŻYROSŁAW.

Przeklęty dzień ten, gdym tu stopę stawił!

ARNOLD.

Książę, ty szydzisz, nam czoła sromota
Rumieni wstydu za ciebie, przez Boga!

MŚCIWONG (*który przed chwilą zbudził się z drzemki, rozmawiał z Żyrosławem*).

Do stu niedźwiedzi! Czy to my tandeta,
Aby z nas suknie zdejmować jak z kołków?
Za miecze, bracia!

ARNOLD.

Miarkuj się, Mściwongu!

MŚCIWONG.

Idź mi do biesa! Konradzie, tyś szalbierz!

KONRAD.

Cicho, pijaku, bo ci gębę zamknę.

ARNOLD.

Przez Boga! zamilcz!

MŚCIWONG.

Ja już wytrzeźwiałem,
I wołam co sił: złodziejski to figiel!
(*Na znak Konrada służba chwyta Mściwonga*).

KONRAD.

Zatkać mu gębę i obedrzeć z szaty.

DOBROGOST.

Haniebny czyn to—takiego nie było.

KONRAD.

Po co te głupie wyrzuty i skargi?
Wolicież więzy pogana ohydne?
(*Służba Konrada zdejmuje z nich odzież, podczas tego Otto uderza w struny i śpiewa ostatnią zwrotkę*).

Jeruzalem! Jeruzalem!
Gdzie stawił stopę swoję etc.

KONRAD.

Mistrzu! tu łańcuch za śpiew swój masz!
Tyś iskrę ducha skrzesł w ciele mém.
Dosyć już uczty—pieniących czasz,
A wy przestańcie kwilenia dzieciuchów.
Inna mi sprawa zajmuje myśl,
Ten bard niemiecki wzburzył mi krew.
Jeżelić dzielny, jak niesie śpiew,
Ow Herman Salza, zakonu mistrz,
Niech nam ukorzy poganów lud,
Ja posły moje do niego szlę.

WARMO.

O Bogi stare! i wy gaje święte!
Oto ostatni czas się wam domierza.
(*Zasłona spada*).

Dokończenie nastąpi.

PIĘKNA MELUZYNA I KRÓLEWNA WANDA

przez

JANA KARŁOWICZA.

III.

Fortel ze skórą.—Nocne odwiedziny matki—Duchy ostrzegające.

Winniśmy rozpatrzyć teraz kilka wątków podania o Meluzynie nie koniecznie należących do niego, i zkądinąd niejako wtrąconych. A naprzód o *podstępnem dostaniu ziemi* na skórę jelenia, którą potém pocięto na paski i zagarnięto obszerną przestrzeń.

Rys ten przypomina fortel Dydony, zakładającéj Byrsę, zamek obronny Kartaginy, i zdawaćby się mogło, że średniowieczny opowiadacz legendy francuzkiéj zapożyczył tego wątku z Wirgiliusza. Czy tak jest, nie wiem: ale to pewna, że mierzenie ziemi skórą pociętą na pasy natrafia się nietylko w dawnych podaniach jako podstęp, lecz jako odwieczny zwyczaj mierniczy, mianowicie w Indyach. Sanskrycki wyraz góczarman oznacza skórę wołową, oraz kawał ziemi mający 300 stóp długości, na 10 szerokości, a słownik sanskrycki petersburski dodaje, że w starożytnych Indyach mierzono tę przestrzeń skórą wołową pociętą na pasy. Rzecz dziwna, że i angielski wyraz hide ma takie same dwa znaczenia: skóra i włóka, a do znanego parku londyńskiego, zwanego Hyde-park, właściwie hide-park (ogród skórzany), przywiązane jest miejscowe podanie, podobne do kartagińskiego. Czy je przyczepiono późniéj, dla wyjaśnienia nazwy, niewiadomo dla czego istniejącéj, czy też istotnie taka była legenda miejscowa, dziś trudno zgadnąć. Rzecz pewna jednak, iż co do kartagińskiéj Byrsy, Grek słysząc w niéj brzmienie swojego wyrazu *byrsa*, oznaczającego skórę, przywiązał do niéj zkądinąd znane podanie o nabyciu ziemi podstępem

ze skórą, które Wirgiliusz unieśmiertelnił (1); Byrsa zaś po fenicku znaczy warownia i spotyka się w nazwie niejednego miasta w Syryi. Podobną do kartagińskiéj legendę opowiadają i o Hengiście wodzu saxońskim w Anglii, o Wilhelmie Zdobywcy, o skandynawskim Iwarze i t. d. Niektórym też miastom, mającym w swéj nazwie coś przypominającego to podanie, lud miejscowy przypisuje taki początek, jak Byrsie kartagińskiéj; tak np. w Indyach nazwy miast Bhutnair i Kalkutta lud wyprowadza od wyrazów *bhatna* podział (niby skóry na pasy) i *khal* skóra. O Moskwie Sjögren powiada, że instnieje podanie u ludu syryańskiego (szczepu fińskiego), iż Rossyanie kupili niegdyś od pewnego syryańskiego księcia ziemi na skórę krowią, porznęli ją na paski i zająwszy sporo gruntu założyli miasto Mösku, co znaczy po syryańsku krowia skóra. Nawet w Ameryce pierwotni jéj mieszkańcy Indyanie w wielu miejscach przypisują Europejczykom używanie tego podstępu na zagarnięcie ich ziemi; pomiędzy innemi miastami, Nowy-York miał być w ten sposób założony przez Hollendrów (2).

Zdaje się że, we wszystkich legendach powyższych słoworód ludowy poprzywiązywał znane powszechnie podanie do nazwisk miejsc, celem ich wyjaśnienia i zdania sobie sprawy z założenia osady.

Wątek, że *znikła matka przybywa nocami nakarmić piersią niemowlę*, któryśmy widzieli w podaniu o Meluzynie, bardzo jest częsty w podaniach europejskich, inaczéj zresztą ułożonych od Meluzynowego: najczęściéj czyni to matka utopiona, wychodząc z wody na czyjeś wezwanie. Topielica zresztą w bajkach jest prawie równoznaczna z wodnicą i nieraz jedna drugiéj rolę odgrywa. Przypomnijmy znany wiersz:

Wtém rybią łuskę odwinie,
Spojrzy dziewicy oczyma.
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

---

(1) Ciekawy to wyraz grecki z tego względu, iż przybierając z czasem różne znaczenia u różnych ludów, przerobiony na średniołaciński *bursa* w znaczeniu worek (skórzany), wspólna kassa studentów, współka i t. d., przeszedł potém do języków europejskich w różnych znaczeniach i u nas się przyjął w formach: Bursa, Bursak, Bursista, Bursować, Bursz i t. d.

(2) Porówn. artykuł Köhlera w Benfeya: Orient und Occident t. III. od str. 185. Pott w Leutscha Philologus t. II, dodatkowym, str. 258. Wiele szczegółów przynosi świeżo w świat puszczony pierwszy zeszyt Jagicza: Archiv für slavische Philologie (od str. 153), który z radością witamy.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne,
Rybią ma płetwę do pasa;
Płynie pod chrósty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli:
Luli, woła, mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli.

Rys ten posiadamy w wielu naszych podaniach, np. w zbiorze Siemieńskiego nr. 23 i 126, w Glińskiego Bajarzu t. 1 nr. 11, w Töppena Aberglauben aus Masuren wyd. 2 str. 112 i t. d. A i w bajkach zachodniéj Europy często się napotyka.

Ostrzeganie o klęskach zagrażających krajowi lub pewnemu rodowi, przypisywane Meluzynie, jest także echem ogólniejszego i dawnego wierzenia, iż duchy zmarłych przodków nie przestają czuwać nad potomkami, stając się niejako ich aniołami opiekuńczemi, duchami domowemi, rodowemi. Wiele faktów tego rodzaju zgromadził p. Wójcicki (w Kłosach t. II, od str. 409); przytaczam parę ciekawszych.

Jan Tęczyński, wybierając się w podróż zamorską, przed samym wyjazdem, w zamku Tęczyńskim, miał ujrzeć ducha rodu swojego w postaci niewiasty, która smutném obliczem i załamaniem rąk przyszłą mu niedolę wróżyła; jakoż schwytany na morzu przez Duńczyków, w niewoli życie zakończył. Ród Poniatowskich miał podobnego jakoby ducha, zwanego białą niewiastą; ukazywała się ona trzykroć różnym Poniatowskim w najsmutniejszych chwilach ich życia. Radziwiłłowi Panie Kochanku, pokazała się podobno matka i śmierć przepowiedziała i t. d. W Hrubieszowskiém lud wierzy, że anioły w postaci biało ubranych młodzieńców zlatują czasem z nieba i uprzedzają ludzi sprawiedliwych o szczególnych wypadkach przyszłości (Gluziński w Archiwum Domowém Wójcickiego str. 452). Według podania krakowskiego, białe widmo Wandy królewny ukazuje się na szczycie wieży zamkowéj, z czarną chorągwią w ręku, ilekroć krajowi klęska zagraża (Gaszyński. dzień 8 Września) i t. d. U innych ludów niemało jest podobnych legend; o tego rodzaju duchach irlandzkich, zwanych Banshee, zgromadził Baring Gould wiele podań w swéj rozprawie o Meluzynie, wchodzącéj w skład jego dzieła Curious Myths of the middle ages, od str. 489. Sądzę, że myli się twierdząc, iż duch żeński, ostrzegający o nieszczęściach, jest wy-

łącznym utworem wyobraźni Celtów (str. 488): powyżéj przytoczone fakta dowodzą, że przynajmniéj u nas ich nie brak.

Wreszcie ów *cri de Mélusine* ma może swój refleks w jednéj z wersyi indyjskich podania o Urwaçi. Katha - Karit - Sagara, obszerny zbiór bajek sanskryckich w księdze 3, rozdz 17 (1), opowiada jak Urwaçi porwana przez Gandharwów tęskne życie wśród nich prowadziła i żyła „jak czakrawaka, który na początku nocy tęsknie narzeka na rozłąkę z małżonką;“ jest to ptak wodny, który na noc porzuca samicę i wydaje głos tęsknie smutny. Kalidasa używa tegoż porównania. Ale może to być zresztą figurą retoryczną, nie mającą tradycyjnego znaczenia.

Wychodząc tedy z podania o Meluzynie, staraliśmy się odnaleźć pokrewne z niém baśni u innych ludów—i zawędrowaliśmy aż do Indyi i to w głęboką starożytność, bo aż w drugi tysiąc lat przed erą naszą. Zdaje się, iż z pewnością możemy przypuszczać, widząc jednorodność osnów podaniowych u kilku odlegle osiadłych szczepów pnia aryjskiego, że podanie o istocie nadziemskiéj, łączącéj się sercem z człowiekiem zwyczajnym i nie opuszczającéj go aż do chwili niebacznego zerwania warunków związku stanowiło przed wieki wspólny utwór wyobraźni zjednoczonych jeszcze przodków naszego plemienia. Niechaj to poszukiwanie dostarczy jeszcze jednego dowodu wspólności pochodzenia i gniazda ludów indoeuropejskich, wspólności tak niedawno odkrytéj, lecz stwierdzonéj badaniami językoznawców porównawczych i umacniającéj się codzień poszukiwaniami mitologów i w ogóle pracowników na polu dziejów cywilizacyi.

Przejdziemy teraz do poznania podań dalszego zakresu, choć ściśle się wiążących z poprzedzającemi: zobaczymy w nich stopniowy rozrost i przekształcanie się wątków, bez naruszenia jednak ogólnego typu, znamionującego cykl ten o dłuższym promieniu.

Słówko jeszcze muszę tymczasem dodać o wątku zawierającym warunek połączenia ziemianina z niebianką lub niebianki z ziemianinem. Zdaje mi się, że w pierwotnéj formie podania nie było wyraźnéj umowy kochanków, lecz że ze strony istoty ziemskiéj było nadzwyczajne tylko pragnienie zatrzymania nazawsze uwielbianego nadziemskiego zjawiska, i że tylko przez to uczucie lub ciekawość, niebaczność, wpływ innych ludzi i t. p. *przypadkowo* ziemska istota natrafiała na drażliwy punkt nadziemskiéj

---

(1) Die Mährchensammlung des Samadeva Bhatta, ins Deutsche übersetzt von H Brockhaus t. I, od str. 186. Lipsk, 1843.

i rozdział spowadzała. Mniemam więc, że i w wyżéj przywiedzionych bajkach powód do zerwania był pierwotnie przypadkowy, bezwiedny; lecz że go późniejsze obrobienia, że tak powiem, uszlachetniły przekształcając na umowę (niby kontrakt ślubny) i świadome jéj zerwanie. Myślę, że zapatrywanie się takie odpowiedniejsze jest prostocie i bezkunsztowności bajań pierwotnych a stwierdza się tokiem dalszych podań, ku którym obecnie się zwracamy.

IV.

Koło porównań o większym promieniu.

Gdybyśmy zakres porównawczego śledzenia naszego rozszerzyli aż do zgromadzenia w jednę grupę wszystkich podań o miłośnych stosunkach ziemian z niebianami, znaleźlibyśmy się wobec tak ogromnego zasobu, że jednym rzutem oka nie dałby się objąć. Szczególnie indyjskie i greckie mity roztoczyłyby nam takie bogactwo nietylko wynalezienia, ale i prawdziwéj piękności a niesłychanéj rozmaitości zestawień, iż nie powtórzylibyśmy ich przez tysiąc i jednę noc. W czasach bowiem, gdy według słów poety bogowie byli bardziéj ludzkimi a ludzie bardziéj boskimi, lub jak mówi początek nie jednéj bajki naszych piastunek, kiedy Pan Bóg chodził po ziemi, w czasach ubóstwienia i uczłowieczenia przyrody, jakże obfitym zdrojem tryskały bajania poetów ludowych, gdy wierząc sami i mając wierzących słuchaczy, cuda prawili o Mildzie zstępującéj z Parnasu litewskiego w objęcia rozkochanego śmiertelnika, o niebieskiéj Selenie całującéj śpiącego pasterza Endymiona! Zrzec się atoli musimy przeglądu całéj skarbnicy tych podań; a jeżeli mówiliśmy o rozszerzeniu koła widnokręgu naszego badania, to uczynimy do pewnego tylko stopnia.

Nie wychodząc z głównego schematu wybranego przez nas skupienia podań, rozszerzmy nieco zakres i układ wątków i zadajmy sobie trud szukania i zestawiania takich bajek, które dadzą się następnemi ramami objąć:

1. Istotę nadziemską, najczęściéj przybraną w zwierzęcą postać (zaklętą) łączy miłość z ziemską.

2. Nadziemska póty tylko zostaje przy ziemskiéj, póki ta lub ktoś z ludzi nie uczyni czegoś, co musi rozerwać związek czasowo lub na zawsze.

3. Istota ziemska po rozłące tęskni i albo ginie z tęsknoty, albo nadzwyczajnemi wysileniami odnajduje znikłą i łączy się z nią znowu na czas lub na wieki.

Z mnóstwa nasuwających się tego rodzaju podań wybieramy niektóre tylko, mniéj znane lub bliżéj nas obchodzące.

I tak w bajkach Glińskiego znajdujemy dwa podania: o żabce t. I, nr. 3, i o raku t. II, nr. 3; w pierwszéj królewicz bierze za żonę żabę, w drugiéj królewna wychodzi za raka; i żaba i rak stają się późniéj ślicznemi istotami ludzkiemi, ale za namową innych, tak królewicz jak królewna niszczą ich osłonę zwierzęcą, przez co obie cudowne istoty nikną; po wielkich trudach i strasznéj wędrówce do krain dalekich (zapewne oznaczają one świat duchów pośmiertnych, hades starożytnych, piekło nasze) łączą się znowu i to na zawsze. Bardzo podobną bajkę czytamy w Klechdach Wójcickiego na początku tomu II, p. t. Żaba: lecz tu ze spaleniem skóry spłonęła i piękna księżna, która była wprzódy żabką, a duch jéj uleciał na zawsze od niebacznego męża. Indyjskie podanie, które p Wójcicki (tamże od str. 92) zestawia z powyższém nadzwyczaj jest z niém blizkie (1), tylko w zakończeniu tém różni się, że mąż odzyskuje żonę za pomocą cudownych gęśli, zupełnie jak Orfeusz Eurydykę.

W innych podaniach rolę istoty nadzwyczajnéj wąż spełnia. Tak np. w następującém, które mi opowiadała w r. 1870 wieśniaczka w Lidzkiém, a które tu dosłownie przepisuję.

„Była dziewczynka, któréj matka umarła i któréj jedyną pociechą była krówka pozostała po matce. Ojciec ożenił się powtórnie, a macocha była dla niéj najgorszą. Najgrubsze, najcięższe roboty musiała sierota wykonywać; a kiedy w pole bydło wypędzała, to i tam nie miała spokojności, bo macocha dawała jéj len i kazała bieloném płótnem odnosić. Siadłszy na kamieniu, dziewczę popłakuje; podchodzi krówka i pyta się:—Czego płaczesz? nie lamentuj, dziecię, tylko ten len przez jedno moje ucho włóż, a przez drugie wyciągnij.—Zrobiła tak sierotka, i ku wielkiemu zdumieniu z drugiego ucha krówki wydobyła *suwój* (sztukę) płótna gotowego, wybielonego. I tak jakiś czas wykręcała się z biedy; ale ktoś dopatrzył i doniósł o tém macosze. Postanowiła ona krówkę zarznąć. Poszła dzieweczka do krówki i płacze, krówka mówi:—Nie płacz, wszak mię płaczem od śmierci nie obronisz; tylko pamiętaj, gdy będziesz myła moje wnętrzności (bo tobie zapewne tę robotę poruczą), znajdziesz w nich dwa orzeszki: jeden srebrny, drugi złoty; zasadź je przy studni; a choć mnie nie będzie, nie

(1) Dla dokładności notuję, że podanie to znajduje się w Asiatic Journal r. 1833, t. XI, od str. 206.

zginiesz.—Tak się stało. Z orzeszków wyrosła srebrna jabłoń ze złotemi owocami, a woda w studni w wino się zamieniła. Wieczorem macocha posyła dziewczynkę po wodę, mówiąc aby tak zaczerpnęła wiadrem, iżby go nie zmoczyła, bo inaczéj zasiecze ją na śmierć. Idzie sierotka i płacze, bo jakże to zrobić? Aż wtém głos u studni odzywa się:—Jeżeli przysiężesz zostać moją żoną, to zrobię tak, że zaczerpniesz wody nie zamaczawszy wiadra.—Patrzy dziewczę, aż to mówi wąż siedzący na zrębie. Lękając się znęcania się macochy, przyrzeka. Wąż zaczerpnął wody, sierotka niesie. Przynosi; macocha widzi, że wiadro suche; kosztuje, aż to wino zamiast wody. Posyła więc teraz córkę swoję, w téj myśli, aby sierota niosąc nie piła wina. Ale córka przynosi nie wino tylko wodę. Wkrótce pokładli się spać. Aż słychać pode drzwiami, że ktoś śpiewa:

Allegretto

O - de - mknij, o - de - mknij, pa-ni mo-ja,
Odemknij, odemknij, królowo moja;
A jak wczoraj wodę brałaś
I wiaderka nie zmoczyłaś,
Wtedy ze mną ślubowałaś.

Macocha powiada:—Otwórz drzwi, jakiś diabeł tam ciebie woła!—(Te wyrazy macochy moja Szeherazada cytowała po litewsku całą bajkę zresztą mowiła po polsku). Otwiera drzwi sierota, aż stoi wąż i znowu śpiewa:

(nuta ta sama).

Pościel, pościel, pani moja,
Pościel, pościel, królowo moja,
A jak wczoraj wodę brałaś i t. d.

Macocha z gniewem zawołała:—Co to! czy wy tu słać się jeszcze będziecie? Idźcie precz, wynoście się razem z wężem!—I wypchnęła sierotę za drzwi. Poszła ona z wężem do chlewka. Nazajutrz macocha budzi się i widzi, że chlewa nie ma, a zamiast niego najpiękniejszy pałac stoi. Bo to nie był wąż, ale królewicz w węża zaklęty tém zaklęciem, że jeżeli kto za niego zgodzi się pójść za mąż, to znów stanie się człowiekiem. Bieży macocha zobaczyć, co to za cud. Widzi, że królewicz spi z sierotką w najpiękniejszych szatach, a obok tylko leży *smuszka wężowska* (skórka wę-

żowa). Królewicz mówi:—Ot za wszystkie swoje nieszczęścia, za wszystkie swoje cierpienia będzie ona szczęśliwa!—mówiąc to pokazuje na sierotę. Wtém wszystko razem, pałac, studnia, jabłonka nowożeńcy poszli gdzieś, powędrowali, znikli."

Przytoczyłem całą tę bajkę, aby mimochodem zwrócić uwagę czytelnika na blizkie podobieństwo jéj i nawet nuty śpiewu węża z podaniami zapisanemi w Balińskiego Powieściach ludu wyd. Wójcickiego od str. 130, w Kolberga Kujawach cz. I, od str. 122, oraz w jegoż Pieśniach ludu polskiego od str. 295.

Daleko bliższém od przestrzeni dzielącéj nas od Indyi jest powinowactwo powyższéj bajki lidzkiéj ze współcześnie opowiadaną w Hindustanie; przełożył ją z języka hindustańskiego prof Brockhaus i zamieścił na końcu II tomu swojego przekładu Somadewy, pod napisem: Córka drwala. Żałuję, że jest zbyt obszerną, iżbym ją tu mógł podać w całości. Przytaczam więc tylko w streszczeniu.

Tulisa, córka drwala, przybywa do źródła, w którém mieszka król wężow i przeziera się w niém jak w zwierciadle; on jéj zapytuje, czy chce jego żoną zostać; ona odwołuje się do zdania ojca, a ten się zgadza; więc wąż przysyła jéj przez powietrze kosze z podarunkami i pierścionek. Przenoszą ją potém do pałacu; żyje tam szczęśliwie; lecz mąż nocami tylko przy niéj przebywa. Zdarza się w tym czasie, iż Tulisa ratuje od śmierci wiewiórkę. Matka króla wężów chce zakłócić szczęście synowéj: podsyła jéj babę która w niéj podejrzenia obudza i namawia, aby koniecznie dowie działa się od męża jakie ma imię. Tulisa prosi go o wyjawienie imienia, on się sprzeciwia, bo gdyby powiedział, musiałby z nią się rozstać. Ale ona nastaje; mówi więc swe imię, ale natychmiast znika on sam, pałac i cała świetność; a ona wraca do dawnego ubóstwa. Wtenczas uratowana przez nią wiewiórka pokazuje się i naucza, aby za pomocą jaja ptaka humy, które na własném łonie wyhodować musi, zgubiła matkę męża. Tulisa dostaje jaje, udaje się na służbę do teści, ta jéj nakazuje spełnianie różnych trudnych zadań, w czém wiewiórka pomaga; wreszcie z jaja wylata młody huma, wykłówa oczy węża, siedzącego na ramieniu staréj królowéj; zaklęcie kończy się: przed Tulisą staje mąż jéj w postaci pięknego królewicza.

Następujące zakaukazkie podanie ma także widocznie powinowactwo z powyższemi; zapisał je znany Haxthausen (1).

---

(1) Transkaukasia, t. I, str. 125.

„Pewien myśliwy znajduje niedaleko Araxu w krzakach, cudnie piękną dziewicę, gorzko płaczącą i narzekającą że zabłąkała się od swoich i nie może domu znaleźć. Sadzi ją przed siebie na konia i w krótkim czasie zawiązuje z nią miłosną rozmowę; ona wyznaje, że nie ma ani domu, ani krewnych, ale że tak tylko mówiła aby jego spółczucie obudzić, gdyż jak go tylko ujrzała, przejęła się dlań gorącą miłością. Zawozi więc ją myśliwiec do domu i poślubia. Lecz pewnego razu odwiedza go fakir indyjski, i spojrzawszy na młodą żonę, za pomocą pierścienia agatowego, który nosi na palcu, odgaduje zaraz, że jest przemienioną żmiją; bo agat zmienia barwę jak tylko się zbliży do rzeczy przemienionéj. Mówi to mężowi, i aby się o tém mógł przekonać, radzi zgotować dla niéj bardzo słoną potrawę, wodę usunąć a dom zewsząd pozamykać, żeby wyjść nie mogła. Tak się stało; mąż w nocy widzi, że żona szuka naprzód wody, potém wyjścia na dwór, a potém naraz jak wyciągnie szyję, tak głowa jéj przez komin sięgnęła zapewne aż do poblizkiéj rzeki, bo słyszał jak wodę połykała. Nie chce mieć w domu węża, więc pragnie się jéj pozbyć. Fakir radzi mu kazać jéj piec chleb i przy téj sposobności wsadzić ją do pieca. Tak się dzieje; ona jęczy i błaga o wypuszczenie, ale nadaremnie. Mówi wreszcie, że to fakir pewno tajemnicę jéj zdradził, bo czyha na potrzebne mu jéj popioły. Po śmierci żony, mąż z żalu rozpacza i idzie na tułaczkę. Fakir zaś zebrał popiół, bo w nim była moc przemian, tak iż mógł nim każdy kruszec w złoto zamieniać.“

W zbiorze bajek kałmuckich, zwanym Siddi-Kiur, przełożonym na niemieckie przez Jülga, spotykamy podanie, w którém istotą nadziemską jest ptak, a warunkiem zgody klatka jego, którą on duszą swoją nazywa; tu klatka zastępuje przybraną formę lub skórkę innych bajek. Oto w streszczeniu osnowa bajki:

Ojciec ma trzy córki, które pasą bawoły; gdy jeden uciekł, starsza szukając go trafia do zaczarowanego pałacu; tam ptak siedzący w klatce przemawia do niéj, żądając aby żoną jego została; ona odmawia. To samo dzieje się ze średnią córką. Najmłodsza zaś zgadza się go zaślubić. Gdy już żoną jego została, zdarzyło się, iż w pewną, trzynaście dni trwającą uroczystość, poszła do klasztoru (buddyjskiego). Wśród zgromadzonego tam tłumu wyróżniono ją i pewnego rycerza na siwym koniu jako najpiękniejszych. W ostatni dzień święta, żona ptaka, za namową pewnéj baby, nie poszła do klasztoru, ale gdy mąż z klatki wyleciał, spaliła ją. Wrócił i gdy ujrzał, że klatki nie ma, wpadł w rozpacz: „To była moja dusza!“ wołał, i kazał żonie siedm dni i nocy

czuwać i odganiać złe duchy, z któremi miał walczyć. Spełniając ten nakaz, żona usnęła na chwilę, a skutkiem tego mąż znikł. Lecz gdy wybudowała nową klatkę, wrócił na zawsze.

W podaniach, jak w kalejdoskopie, z kilku wątków snują się coraz nowe zestawienia: patrząc na grupę legend jednorodnych, powiedzieć można to, co mówimy nieraz o dzieciach jednego gniazda albo o liściach jednéj rośliny: podobne do siebie, a jednak różne i każde różne w odmienny sposób. Otoż w następnych legendach coraz więcéj różniczkowania zachodzi, coraz się oddalamy od typu Meluzynowego: wchodzą w grę nowe sprężyny, znane nam nikną, a jednak ogólny typ przebija się wyraźnie.

W Bajarzu Glińskiego t. II. Nr. 2, czytamy klechdę o wątkach bardzo starożytnych, lecz poplątanych: trzy córki opłakują ojca, którego zabiła samograja przez niego zrobiona; z łez ich tworzy się rzeka; jedzie koło niéj król i żeni się z najmłodszą córką, która go obdarza dwunastu synami; siostra ją spotwarza; wyprawiona na morze; koniec klechdy pomyślny.

Rzeka z łez niemylnie wskazuje wodnicę, jak o tém obszerniéj powiem zastanawiając się nad naszém podaniem o Wandzie; zazdrośne siostry ukazują się tu jak w bajce o Psysze i odpowiadają macochom, teściom innych; powodem rozerwania związku jest tu już wątek bardzo w naszych bajkach zwyczajny: oczernienie niewinnéj małżonki w oczach daleko gdzieś wojującego lub w ogóle przebywającego męża.

Druga część bajki Glińskiego t. I, Nr. 11, zupełnie odpowiada powyższéj: zła macocha topi pasierbicę królową, czyli raczéj czarami swemi obraca ją w pół-niewiastę, pół-rybę i każe codzień zanosić jéj dziecię dla nakarmienia; zamiast pasierbicy podsuwa swoję córkę; ale gdy król z wojny wraca, prawda się odkrywa, a kogutek, który ją wyjaśnił, wykłówa oczy złośliwéj macosze, zupełnie jak ptak huma w hindustańskiéj klechdzie; bajka kończy się wesoło.

Robię tutaj małe zbaczenie, aby czytelnikowi na przykładzie okazać, jak nieraz opuszczony przez bajarza wątek lub upowodowanie czegoś pojawia się cało w innéj odmiance podania, lub w bajce bardzo podobnéj, i tém samém objaśnia tamtą. Dzieje się to na większą skalę w podaniach bardzo odległych czasem lub przestrzenią ludów; tak np. nowogrecka legenda rzuca nieraz światło na niejasny ustęp Mahabharaty, albo nawet jakaś australska wyjaśnia starą sanskrycką; samo daje to się widzieć i w badaniu natury bóstw, obrzędów i zabobonów. U Glińskiego tedy w wyżéj wymienionéj bajce czytamy: że wdowa miała trzy córki,

lecz najstarsza była właściwie jéj pasierbicą i téj nie cierpiała. Pasierbica ta musiała pasać owce, gęsi i krówkę „którą z własnych rąk sysółką (smoczkiem) od cielątka wykarmiła i z daru jeszcze matki była jéj krówką posagową.“ Krówka ta przemawia ludzkim głosem i roboty za nią robi. Otoż od mojéj wiejskiéj bajarki w Lidzkiém słyszałem bajkę dość do téj podobną, a wyjaśniającą współczucie krówki, zamiast któréj figuruje tu wołek. „Zostały raz sieroty (opowiada wieśniaczka) dziewczynka i chłopczyk; poszli sobie w świat; siostra prowadzi braciszka za rękę; idą drogą; braciszek bardzo prosi pić, a wody nie było; więc prosi aby mu pozwoliła choć ze *śladu* się napić, ale siostra nie pozwala, mówiąc iż teraz taka chwila, że z czyjego śladu kto się napije, takiém zwierzęciem się stanie. Braciszek dopilnował kiedy nań siostra nie patrzała, i napił się z wołowego śladu: odwraca się siostra i widzi, że chłopak obrócił się w wołu. Wzięła go za różki, płacze i prowadzi i t. d.“ Późniéj ten *wołik* (jak mówiła) spełniał te same posługi, co krówka w podaniu Glińskiego.

Poprzedzająca klechda Glińskiego bardzo jest blizką ballady Mickiewicza „Rybka“ i nader wielu pokrewnych z nią podań naszych i innych europejskich. Tak np. mit o Orfeuszu i Eurydyce wyraźnie tu należy: Eurydyka jest nimfą, t. j. duchem wodnym, znika (tutaj powodem zniknięcia jest nowy wątek, ukąszenie węża), mąż szuka jéj aż w piekle, znajduje i złączyłby się z nią na nowo, gdyby nić legendy nie wysnuła się jeszcze daléj i nie kazała mu jéj powtórnie stracić przez niedochowanie warunku; wygląda to tak, jak gdyby ze środka podania wątek niebacznego naruszenia warunku przeniesiony był na koniec, dla utworzenia drugiego epilogu.

Przytaczam jeszcze dwa podania litewskie, mające blizki związek ze wszystkiemi powyższemi.

„Pewien parobczak sypiał sam jeden w komorze; każdéj nocy przychodziła Łauma (duch niewieści, czarownica, wodnica przedewszystkiém) dręczyć go; długo to się powtarzało, aż chłopak zupełnie zniszczał; próbował wszystkiego, ale nic nie pomagało, póki go jakiś człowiek nie nauczył jak złapać tę Łaumę. A mianowicie, trzeba było aby poszedł do lasu, zrąbał dębczak rosnący w gęstwinie, zrobił z niego kołek u góry cieniéj spuszczony i tym kołkiem zatknąć szczelinę, którą Łauma do komory włazi; prócz tego z trzykroć dziewięciu kawałków żelaza ukuł młot, osadził go na lipowéj rękojeści i tym młotem wbił kołek. Gdy to wszystko miał przygotowane, jednéj nocy pilnował, i jak tylko posłyszał, że Łauma włazi, wyskoczywszy wnet z łóżka, zabił szczelinę i znów

w łóżko się położył. Przez noc nic nie słyszał, tylko w jednym kącie niby kot w sianie się kręcił; ale gdy rozedniało, zobaczył dziewicę bardzo piękną, lecz bardzo smutną. Wkrótce zaślubił ją i działo im się bardzo dobrze, bo ona umiała żwawo i pięknie pracować; tylko nic nie mogła zacząć ani skończyć. Mieli dwoje dzieci; ale ona zawsze bardzo smutna była z powodu owego kołka i ustawicznie błagała, aby go wyjął; mówiąc, że potém każdą robotę będzie mogła zacząć i skończyć. Po kilku latach mąż otworzył szczelinę, ale oto pierwszéj nocy żona przepadła i nie pokazała się więcéj; tylko przez cały prawie rok każdego czwartku wieczorem przynosiła po białéj koszulce dla obojga dzieci, ale jéj saméj nikt nie widywał" *).

Drugie podanie litewskie znajdzie czytelnik w Ludwika z Pokiewia (Jucewicza) Wspomnieniach Żmudzi, (Wilno, 1842 str. 103—109), przedrukowane w Kłosach (t. I, od str. 76): królowa mórz Jurata ma ziemskiego kochanka; srogi Perkun zabija gromem boginię, a jéj ulubieńca przykuwa do skały, jak Zeus Prometeusza, na wieczne męczeństwo.

W innych jeszcze podaniach naszych i obcych dostrzegamy słabe echa cyklu naszego: tylko niektóre ich wątki przypominają znane nam rysy i przetkane są inną osnową. Tak np. w Bajarzu Glińskiego t. IV, podanie Nr. 2 opowiada o najmłodszym synu przewoźnika, który darmo przeprawia starca, pana Boga, i za to dostaje pomiędzy innemi talizmanami, cudowną wędkę samołówkę, łowi nią rusałkę (wodnicę) i bierze ją za żonę; wkrótce jednak król go oddala, rozkazując znaleźć dlań drugą wodnicę i t. d.

Bliższém jest indyjskie podanie, zamieszczone w zbiorze zwanym Hitopadeça (1); początek jego przypomina Switeziankę Mickiewicza. Oto treść:

Pewien książę słyszał o dziewicy, która wynurza się z morza, spoczywa pod cudownéṁ drzewem i na bogato zdobném posłaniu grywa na lutni. Udaje się tam, i zachwycony jéj pięknością, spuszcza się po tém drzewie na dno morskie, przybywa do miasta złotego i znajduje swoję piękność w złotym pałacu, otoczoną posługującemi jéj nimfami; poślubia ją sposobem Gandharwów; ona

---

1) Schleicher, Handbuch der litauischen Sprache. Część II. od str. 199. Praga 1857 r.

2) Przekład Maxym. Müllera, Lipsk, 1844 od str. 86. Kilka jednorodnych z powyższą umieścił Benfey w Panczatantrze t. I, § 52. Porównaj tamże t. II, od str. 144

mu kładzie za warunek, aby nigdy nie dotykał posągu pewnéj czarodziejki. Lecz książę, nie mogąc swéj ciekawości przemódź, dotknął szyi posągu, a ten go trącił nogą tak silnie, że aż na ziemię wyleciał.

Trzecia bajka tomu IV Bajarza Glińskiego prawi o wychowanku trzech pustelników, Trzechsynie, któremu król pomiędzy innemi rzeczami, każe dostać kochankę księżyca, cudowną morską dziewę; Trzechsyn spełnia to zadanie, ale potém sam się z nią żeni i królem zostaje. W rossyjskiéj odmiance tego podania Trzechsyn nazywa się Tremsyn i zdobywa pływającą w łódce po morzu przecudną kochankę słońca Anastazyą (1). Dosyć podobną bajkę mają i Słowacy: syn ubogich rodziców dostaje się na służbę do króla i z rozkazu jego a za pomocą cudownego konika łowi „morską pannę z Czarnego morza,“ z którą nie król, ale on sam się żeni (2).

W Bajarzu Glińskiego t. IV, Nr. 4, czytamy podanie, które nas wprowadza do nowego szeregu bajek: bohaterkami ich są wodnice skrzydlate, albo mające odzież pierzastą, ptasią (łabędzią, gęsią, kaczą, gołębią i t. p.), albo też czapeczkę (czerwoną); bohater podstępnie opanowywa skrzydła lub tę odzież, i tym sposobem żeni się z nadziemską istotą; póty jednak jest ona jego towarzyszką, póki jakimkolwiek sposobem nie znajdzie zabranéj własności; wtedy znika nazawsze lub czasowo. Ten ostatni wątek równa się warunkowi czyli umowie innych podań, a dziewy skrzydlate lub pierzaste oczywiście są wodnicami. Taka forma podań ogromnie jest w Europie rozpowszechnioną; szczególnie słowiańskie bajki o dziewach, łabędziach, gęsiach, kaczkach i t. p. są niezliczone.

Widzieliśmy wyżéj, że jedna z odmianek indyjskiego podania o Urwaçi wystawia ją i jéj towarzyszki kąpiące się w przybranéj postaci ptaków wodnych; inna wersya te ptaki kaczkami nazywa; wątek przeto przemiany dziew w ptaki jest bardzo starożytny; nieraz się też pojawia w mitologii starogreckiéj i innych.

Powyższa tedy bajka Glińskiego opowiada, że królewicz zastaje na jeziorze kąpiące się trzy białe dziewy skrzydlate; jednéj z nich skrzydła zabiera i żeni się z nią, ale gdy skrzydła oddał, uleciała; idzie w świat szukać jéj i znajduje aż na górze miedzianéj w pałacu, dostaje się tam podstępnie w worze z mąką i łączy się z nią na nowo. Ostatni wątek przypomina ludową naszę pio-

(1) Afanasiew. Poeticzeskija vozzrênija Slavjan II, 130.

(2) Niemcowa, Slovenské pohadky od str. 619.

senkę Wór, umieszczoną w Pieśniach ludu Wójcickiego t. I. od str. 60. Inna jeszcze bajka Glińskiego, o którėj jużeśmy wspominali (t. II Nr. 2), opowiada pod koniec, że królewicz dostaje żonę przemieniającą się z łabędzia w śliczną dziewicę.

W zajmującém piśmie Töppena o zabobonach mazurskich (1) znajduje się bajka o głupim synu, który pilnując łąki ojcowskiéj, łowi tańczące dziewy-gołębie przez zatrzymanie ich skrzydeł, złożonych na brzegu, i żeni się z jedną z nich, lecz go ona zaraz opuszcza i dopiero po ciężkich przejściach z nim się na nowo łączy.

Jakże blizkiém, a zarazem jak dalekiém od tych bajań jest podanie z wyspy Celebes, zapisane przez Schmidtmüllera, a powtórzone w dziele Schirrena (2); brzmi ono jak następuje:

„Siedm wodnic zstępuje z nieba do kąpieli, pomiędzy niemi Utahagi, córka Toara i Limumunty. Zlatujące niebianki Kasimbaha, wnuk po mieczu Toara, bierze za białe gołąbki; lecz w kąpieli poznaje, że są kobietami. Skrada się po cichu i unosi jednę z lekkich szat, które dają tym wodnicom siłę latania; ma więc w swéj mocy Utahagę, z którą daje życie synowi, nazwanemu Tambaga. Ta Utahagi tak się nazywa od białego włoska, który ma moc czarodziejską. Gdy go pewnego razu Kasimbaha jéj wyrywa, wszczyna się burza z grzmotami i błyskawicami, a Utahagi ulata do nieba. Opuszczony mąż żałuje synka, który potrzebuje piersi macierzyńskiéj i rozmyśla jakby się dostać do nieba. Szczur polny podgryza dlań gałązki rotangowe i Kasimbaha po nich drapie się w górę, wziąwszy dziecko na plecy. Lecz na pół drogi między niebem a ziemią napada go burza i zarzuca aż na słońce. Dręczony jego gorącém, wyczekuje wschodu księżyca i z nim dostaje się do nieba. Ptaszyna pokazuje mu mieszkanie kochanki; staje przed siedmiu zupełnie jednakowemi pokojami; robaczek świętojański wskazuje do którego ma wejść; Utahagi przyjmuje jego i syna wyrzutami. Szwagrowie wtedy tylko przyrzekają zgodzić się na jego pozostanie, jeżeli dowiedzie, że jest impongiem (bóstwem); stawią więc przed nim ośm półmisków z ryżem, a dziewiąty szczelnie zakryty: jeżeli otworzy ostatni, okaże, że nie jest bóstwem. Ale mucha wydaje mu podstęp siadając na nieczystym półmisku, którego on też nie dotyka. Dostaje więc pozwolenie pozostania przy żonie w niebie.“

Przywiodłem to podanie, aby okazać, iż nietylko pojedyncze

---

(1) Aberglauben aus Masuren wyd. 2 od str. 140.

(2) Die Wandersagen der Neuseeländer. Ryga, 1856 od str. 126.

wątki, ale i splecione z nich w pewną zaokrągloną całość grupy odnajdują się prawie zawsze pod każdą szerokością geograficzną. Czy zkądeś do nas, czy od nas tam zawędrowały, niełatwo w danym razie rozstrzygnąć. Często ani tak, ani owak: zdaje się bowiem, że i ludy niearyjskie posiadały niegdyś wspólne z aryjskiemi wierzenia i bajki, a może i mowę.

Co do półrybiéj postaci bóstw i duchów, znana jest ona ludom całego świata. Wszędzie przechowały się nietylko podania, ale i wyobrażenia pół-męzkich, lub pół-żeńskich a pół-rybich postaci; nawet u niektórych ludów wyższe bóstwa w takiéj formie przedstawiano. Może być, jak mniemają mitologowie, iż postać taka wzięła początek od bóstwa słonecznego, które jako słońce, wyobrażano sobie spędzającém pół doby na niebie, a drugie pół po zachodzie, kąpiącém się w oceanie. Nie zapuszczając się tu w zbyt odległe od naszego przedmiotu a wymagające długiego rozwinięcia zacieki, zauważmy tylko, iż duchy wodne naszego cyklu nieraz w podaniach ukazują się w téj pół-człowieczéj a pół-rybiéj postaci, lecz zawsze skutkiem zaklęcia lub kary, wymierzonéj przez wyższe duchy, np. Syreny greckie, które za karę z istot skrzydlatych zamienione zostały w pół-ryby.

V.

Podania o wodnicach bez duszy.

Jest jeszcze jedna grupa podań, wiążąca się z naszym cyklem, która wprowadza nowy wątek, a mianowicie: że duch wodny jest istotą niższą od człowieka, nie ma duszy ludzkiéj nieśmiertelnéj i czasami stara się łączyć z ziemianami, aby taką duszę dostać.

W poprzednich legendach działo się przeciwnie: właśnie duch wodny należał do rzędu istot wyższych, niebiańskich, a przynajmniéj nadludzkich, i wybranéj przez siebie istocie ziemskiéj pomagał dostać się do nieba i pozyskać nieśmiertelność.

Możnaby mniemać, że dwa te szeregi podań pochodzą z dwóch odmiennych okresów wiary: ten, który przypuszczał w wodnym duchu coś wyższego nad człowieka, możnaby uważać za starszy, wierzący w istnienie mnóstwa bóstw i duchów żywiołowych, różniących się od człowieka nieśmiertelnością duszy i pobytem w przestworach niebieskich; drugi zaś późniejszy, poznał lepiéj przyrodę, i nie przestając wierzyć w główne bóstwa żywiołowe, zapełniał

lasy, góry i wody istotami niższemi od człowieka, w tém mianowicie, że nie posiadały duszy wiecznéj, a nawet czasem nie umiały mowy ludzkiéj i zajmowały stanowisko pośrednie pomiędzy człowiekiem a bezrozumném zwierzęciem, choć były bardzo do ludzi podobne i mogły łączyć się z nimi.

Dziwnie poetyczny i smętny charakter mają takie szczególne powieści, w których piękna wodnica kocha człowieka i poświęca się dla niego, w nadziei zrównania się z nim przez zdobycie duszy ludzkiéj, lecz zawsze smutnie kończy. Wspomnijmy tu o prześlicznych utworach niemieckiego poety Lamotte Fouqué i duńskiego Andersena, którzy wzruszają czytelnika losami cudnie pięknych, i dobrych a nieszczęśliwych dziewic wodnych, zakochanych w młodzieńcach z tego świata i bardzo smutnie ginących, tém smutniéj, że już z duszami nieśmiertelnemi. Poemat niemieckiego poety posiadamy w słabym przekładzie, wydanym w Krakowie 1826 r. p. n. „Undina;“ duńska zaś wersya jeśli się nie mylę, znajduje się w pięknych przekładach panów Lewestama i Feldmanowskiego. Przypuszczając, iż czytelnik zna Undinę, nie podaję jéj treści; zwracam tylko uwagę na wiele punktów stycznych, jakie ma z Çakuntalą, poematem Kalidasy, wziętym z podań indyjskich; treść jego znajduje się w zajmującym artykule p. Krasnosielskiego (Bibliot. Warsz. 1866 t. II, od str. 42), a cały dramat mamy w nieznanym mi zresztą przekładzie p. Grabowskiego (Warszawa, 1861). Çakuntala jest córką wodnicy, wychowuje się jak Undina w pustelniczéj chatce, poślubia naprędce jak ona nieznanego bohatera i t. d. Wspominam przy téj sposobności i o młodzieńczéj improwizacyi Göthego p. t. Nowa Meluzyna, wchodzącéj w skład Wilhełma Meistra: treść jéj daleko odstępuje od podania Meluzynowego i ma na celu nie parafrazę dawnego podania, lecz obraz burzliwego i hulaszczego młodzieńca, którego piękna nieznajoma ani w ziemskiéj, ani w podziemnéj wędrówce przywiązać na zawsze do siebie i uspokoić nie potrafiła.

Rzecz niewątpliwa, że osnowę swojego utworu Lamotte-Fouqué wziął z Paracelsa, a ten z niemieckiego podania ludowego. To zaś ostatnie wiąże się z bajką Mahabharaty i z legendą amerykańską; podaję tu obie, aby przekonać czytelnika, że jednostajność mitów nie zna granic geograficznych: czy zaś wynika z wzajemnego zapożyczenia, czy z jednostajności praw wyobraźni ludzkiéj, o tém dziś jeszcze nauka nasza wyrzec nie zawsze umie.

Sanskryckie podanie brzmi w streszczeniu następnie:

Brahma zaklął niegdyś pewną wodnicę w rybę, mówiąc, iż nie prędzéj wróci do dawnego stanu, aż wyda na świat dwoje

istot ludzkich. Pewnego dnia rybacy złowili tę rybę i po otworzeniu wnętrzności, znaleźli w niéj dwoje dzieci, chłopczyka i dziewczynkę; wodnica uwolniona tym sposobem z zaklęcia, odzyskała swą postać niebiańską i uleciała. Ojcem zaś jéj dzieci, w sposób nienaturalny, był król Wasu. Rybacy nie wiedząc o tém, zanieśli je do króla, który dał wychowanie chłopczykowi; dziewczynkę zaś odznaczającą się tém, że wydawała zapach ryby, oddał na wychowanie pewnemu rybakowi. Gdy wyrosła na rozumną i piękną dziewicę, zdarzyło się, że spotkała się z pewnym pokutnikiem cudotwórcą, który za pewne z jéj strony ustępstwo tak uczynił, że wydawać poczęła z całego ciała woń rozkoszną, i nie brakło jéj teraz powiada Mahabharata żadnéj zalety, zdobić mogącéj osobę niewiasty. Wyszła późniéj za króla Paraçarę i została matką Dwaipajany, któremu legenda przypisuje ułożenie Mahabharaty (1).

Czerwonoskórzy zaś Indyanie taką opowiadają legendę (2):

„Dnia jednego pewien naczelnik plemienia Ottawa, siedząc na brzegu wody, ujrzał piękną kobietę wynurzającą się z fal; twarz miała niezmiernie ładną, niebieskie oczy, białe ząbki i kędziory włosów spadające na ramiona. Od pasa w dół była rybą, a raczéj podwójną rybą. Błagała wojownika, aby jéj pozwolił zamieszkać na ziemi, bo chciałaby dostać duszę ludzką, a to staćby się mogło jedynie przez połączenie ze śmiertelnikiem. Zgodził się na to wódz, zabrał do domu i uważał za córkę. W kilka lat potém pewien naczelnik z plemienia Andirondaków poznał ją, pokochał i wziął za żonę; tak więc wodnica otrzymała co było jéj pragnieniem — duszę ludzką. Ale pokolenie Andirondaków nie rade było z takiego ożenienia swojego wodza; zuchwalsi wydarli ją z objęć jego i wrzucili znów do przyrodzonego jéj żywiołu. Wtedy wszystkie duchy wodne poprzysięgły zemstę: podburzyły dwa te pokolenia do wojny, która zakończyła się wytępieniem Andirondaków; jeden z nich tylko ocalał, lecz i tego wodnica porwała i utopiła w głębinach koło wodospadu św. Antoniego.“

Coś podobnego opowiadają w Irlandyi (3):

„Na wybrzeżach zatoki Smerwick, pewien Irlandczyk, Dick Fitzgerald, dostrzegł wodnicę (po irlandzku Merrow) i jéj cudowną czapeczkę, leżącą przy niéj na skale; porwał czapeczkę i tym sposobem opanował nimfę, która zresztą wcale nie okazywała ku

---

(1) Przekład Fauche'a t. I, str. 254—258.

(2) Baring-Gould w dz. wymien. od str. 503.

(3) Tamże str. 505.

niemu wstrętu. Żyli z sobą kilka lat szczęśliwie i wyhodowali kilkoro dziatek. Lecz pewnego dnia dziwna istota znalazła gdzieś w kącie dawną swoję czapeczkę; podniosła ją, popatrzała, zaczęła myśleć o swym ojcu, królu wodnym, o królowéj matce i uczuła nieprzezwyciężone pragnienie ujrzenia ich. Ucałowała dzieci i poszła ku brzegowi z zamiarem powrotu do męża, po krótkich odwiedzinach u rodziców. Lecz jak tylko włożyła czapeczkę na głowę, straciła wszelką pamięć o życiu na ziemi, wskoczyła do wody i nigdy już nie wróciła.“

Takież baśni prawią w Norwegii, na Islandyi, wyspach Ferroe i Szetlandzkich. Warunkiem pobytu na ziemi jest tam niedopuszczanie wodnicy do czapeczki, jak w innych do skrzydeł, koszulki pierzastéj, do wody w ogóle.

Niemało jest też wzmianek u różnych pisarzy średniowiecznych, nawet nowożytnych, o wyławianiu potworów morskich, bardzo podobnych do ludzi. Z jednéj strony wpływ mnóstwa podań starożytnych o wodnikach i wodnicach, mających półrybią a pół ludzką postać, z drugiéj zaś rzeczywiste istnienie zwierząt morskich nieco do ludzi podobnych, naprowadzały zapewne na wynajdowanie i rozpowszechnianie tego rodzaju powieści, w które niestety święcie wierzono do bardzo niedawnych czasów, a i dziś ciemny lud nie wątpi o ich prawdzie. U nas np. nie ma prawie ani jednéj Sylva rerum, w któréjbyśmy nie czytali, że takiego roku, tam a tam wyłowiono potwora morskiego, którego autor opisuje szczegółowo i ze wszelkiemi pozorami prawdy.

Wiele zajmujących tego rodzaju faktów zgromadzili Grässe i Baring-Gould; wyjmuję z nich kilka.

„Około roku 1400, podczas wielkiéj burzy, wody wpędziły z Zuydersee przez otwór w stawach do Purmermeeru kobietę morską; tam sobie pływała, ale że wszystkie wyjścia zatkano, ujść nie mogła. Wreszcie mleczarki płynące z Edamu złowiły ją i zabrały do Edamu. Wymyto ją tam i ubrano, ale mowy jéj nikt nie rozumiał, a ona także nie umiała po holendersku. Darowano ją potém miastu Harlem. Żyła tam długo pod ścisłym dozorem, bo ciągle chciała wrócić do wody; nauczyła się prząść, a po śmierci została pogrzebiona na cmentarzu, gdyż zauważano, że często się żegnała, nauczywszy się tego od swéj gospodyni (1).

Znowu roku 1531 pojmano jakoby człowieka morskiego na

(1) Grässe, Beiträge zur Literatur und Sage des Mittelalters. Drezno 1850, str. 39.

Baltyku, koło Malmoe, z mitrą biskupią na głowie, i darowano go naszemu Zygmuntowi Staremu; ten widząc, że potwór na migi pokazywał, iż chce wrócić do wody, kazał go zawieźć do morza, gdzie też wskoczył natychmiast (1).

Zdaje się, że Luter wierzył nietylko w istnienie tego rodzaju stworzeń, ale i w możność łączenia się ich z ludźmi, bo w swych Rozmowach za stołem, opowiada o kobiecie morskiéj, która była bardzo piękna i z pewnym majtkiem miała dziecko; lecz gdy okręt, na którym była, przybył znowu na miejsce, gdzie ją niegdyś złapano, wskoczyła z dzieckiem do wody i znikła (2).

VI.

Wanda.

Przechodzę teraz do rozpatrzenia podania o naszéj królewnie Wandzie: należy ono zdaniem mojém, do rozbieranéj tu grupy.

Wprzód jednak nim do wniosków porównawczych przystąpię, zgromadzić muszę nieco zasobów przygotowawczych.

Niech więc nasamprzód czytelnik raczy odświeżyć w pamięci podanie o Morskiém Oku, zapisane przez Wójcickiego w t. I Klechd jego; dla osób nie mających pod ręką tego zbioru podaję treść w skróceniu:

Na granicy polskiéj od Węgier, mieszkał niegdyś pan Morski, a niedaleko już w Węgrzech młody książę; ten się zakochał w córce sąsiada, prosił go o jéj rękę. ale ten poprzysiągł, że nie wyda jéj za cudzoziemca. Raz udał się pan Morski na wojnę, a córkę osadził w klasztorze, i powiedział jéj, że ją przeklnie, jeśli pójdzie za Węgrzyna. Młody sąsiad posyłał pannie podarunki, stare babki, wróżki i wreszcie namówił do ucieczki; osadził ją w prześlicznym pałacu koralowym, miał z nią siedmioro dzieci i żył szczęśliwie. Tymczasem wraca z wojny ojciec, bieży do córki i przeklina ją: „Bogdajby twój cudzoziemiec i całe jego mienie w kamień się obróciło, a ty rozpłyń się we łzach twoich, a dzieci twoje niech się w nich potopią!“ Wnet wszystko w głazy się obróciło; książę przebrał się za mnicha i począł uciekać, ale i on zamienił się w skałę, która dotąd Mnichem się zowie; księżna uciekała z dziećmi, a nie mogąc daléj biedz przez kamienie, usiadła i płakała a płakała, że z łez jéj stawy się robiły, a nabrało się

(1) Tamże str. 40.
(2) Tamże str. 40.

ich siedm i w każdym jedno dziecię leży. Matka oczy wypłakała, jedno stoczyło się w jezioro, które od niéj Morskiém Okiem nazwano; wreszcie i sama roztopiła się w jednym stawie, który od odzieży ma czarną wodę.

Zupełnie to samo opowiada Stęczyński w swoich Tatrach str. 101—103. Coś podobnego szczególnie w zakończeniu, ma rossyjskie podanie o carewiczu Iwanie, który w podwodném państwie morskiego cara żeni się z jego „przemądrą“ córką, i gdy chce z nią na ziemię uciekać, morski car bieży za nimi w pogoń; uchodząc za sprawą królewny, obracają się on w rybę a ona w rzeczkę; rozgniewany car morski przeklina córkę: „Bądźże rzeczką całe trzy lata!“ (1).

Co znaczą w naszéj klechdzie te nazwiska: pan Morski, panna Morska? Czy to starodawny ród szlachecki Morskich herbu Topór, o którym Paprocki mówi, iż za jego czasów był „domem znacznym?“ Wcale nie. Lud podtatrzański zapomniawszy prawdziwych imion bohaterów tego podania, podciągnął je pod znane mu nazwiska panów Morskich, osiadłych właśnie na Rusi Czerwonéj i Podolu. Klechda prawi właściwie nie o panu Morskim i pannie Morskiéj, ale o *Morskim Panu i Morskiéj Pannie*, duchach wodnych, dobrze znanych w mitologii słowiańskiéj pod temi nazwami, a idących u gminu naszego w zapomnienie; lecz niezbyt dawno jeszcze około roku 1840, Roman Zmorski (Zamarski) słyszał je z ust ludu mazowieckiego, bo na str. 165 i 166 swoich Podań i baśni ludu (Wrocław, 1852) powiada: „Jak wiadomo, miasto Warszawa ma za godło Syrenę, czyli jak ją gmin czasem nazywa *morską pannę*,“—i daléj: „Dzieckiem będąc pomiędzy staromiejską ludnością słyszałem, że kiedyś gdy jeszcze Wisła szła tuż pod zamkiem, w miejscu gdzie dziś jest ulica Dunaj, był strumień czy zdrój tegoż nazwiska, a w nim mieszkała *Syrena*.“ Inni Słowianie dziś jeszcze dobrze znają tę wodnicę i jéj ojca; Słowacy ją mianują *Morská panną* albo *Vodokrálovna*; jest ona córką morskiego króla zwanego także *Král vody*, *Král vodny*; lud ukraiński zowie ją morską królewną albo morską panną; Serbowie morską dziewicą; Rossyanie morską carówną albo Maryą Morzówną (Morevna) z przydomkiem, „wieszczéj,“ ojca jéj morskim albo zamorskim carem i t. d. (2). Litewska Jurata toż samo znaczy; imię to pochodzi od Jurés (bez liczby pojed.) morze.

---

(1) Afanasjew w dz. wymien. II, 219.

(2) Afanasjew w dz. wspom. II, 124, 127, 129, 202, 211, 212, 215, 218, 229. III. 161, 191, 126, 135 i t. d.

Słusznie więc, zdaje mi się, możemy nazywać osoby klechdy naszéj Morskim panem i Morską panną, albo Morskim królem i królewną i uważać je za bóstwa wodne, znane pod temiż imionami w całéj Słowiańszczyznie, zachowane przez tę cząstkę ludu naszego, która mniéj od innych o starych bogach zapomniała, i umiejscowione dla braku mórz w jeziorach i rzekach. Gdy zaś podanie twierdzi, że jezioro tatrzańskie nazwano od utopionego w niém oka córki srogiego pana Morskiego, to w myśl klechdy nazwa ta musiałaby brzmieć nie *Morskie* Oko, ale *Morskiej* Oko, czyli *Morskiej Panny* Oko. Rzecz wszelakoż pewna, że nie od oka Morskiej nazwano jezioro, bo i gdzieindziéj spotykamy jeziora, szczególnie okrągłe, przezwane *Oko*, np, w Trockiém „Jezioro Oko Dziewicze“ (1), a nawet w Ameryce „Oko Inki“ t. j. jak u nas mylnie piszą *Inkasa* (2).

Rozpływanie się łzami w strumienie, rzeki i jeziora nie rzadkim jest wątkiem w podaniach. Wiemy już, że tak było z Egeryą po śmierci Numy. Oto jeszcze przykłady. W Mahabharacie legenda o pięknéj Pulomie (którą zaraz podam w całości) powiada, iż po przedwczesnéj stracie dziecka płakała póty, aż z łez jéj utworzyła się wielka rzeka, którą bóg Brahma nazwał *rzeką małżonki* (Badhuwara). Nazwy rzek rzymskich i greckich są męzkiego rodzaju; więc i rzymskie a greckie duchy rzek są zwykle płci męzkiéj, rzadziéj przeto we łzy się rozpływają. Jednak podanie o Achelousie, bóstwie rzeki tegoż imienia, twierdzi, iż i on ze smutku po przegranéj, łzami w rzekę się rozpłynął. W jedném niemieckiém podaniu dziewczę wygnane z domu tak płacze, że dwa strumienie z łez jéj wzbierają (3). W Bajarzu Glińskiego (II, Nr. 2) trzy córki tak rzewnie opłakują zmarłego ojca „że z ich łez powstały trzy ruczaje, a gdy płynąc daléj ruczaje w jeden się złączyły, powstała rzeka głęboka.“ Nawet mniéj do łez skłonni mężczyzni płaczą czasem w bajkach tak, że rzeki wypłakują. „Gdy umarła matka Oferusa, mówi nasza legenda (4), tak go ta strata zabolała, że usypał matce grobowiec większy, niż największe góry, a usiadłszy na nim płakał i z łez jego potworzyły się strumienie i jeziora.“ Inna odmianka téjże legendy powiada, że „nad przepaścią usiadł i płakał rzewliwie, a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zro-

---

(1) O pierwszém z nich Teod. Narbutt napisał powiastkę p. n. „Jezioro Oko Dziewicze“ w Ondynie druskienickich źródeł. Grodno 1844.

(2) Peschel, Völkerkunde. Lipsk. 1875 str. 473.

(3) Grimm, Kindermärchen wyd. 1864. II, 211.

(4) Kamińska (Węgierska) Legendy historyczne. Poznań 1852, od str 41. Oferus albo Oferusz jest to legendowy św. Krzysztof.

biło się morze. Dlatego to woda morska jest gorzka i słona," (1). Wilia, według miejscowego podania, powstała z łez niewieścich. Bardzo dawno mówi legenda, w miejscu, gdzie rzeka ta bierze początek żyło małżeństwo, Ściepan (Szczepan) i Wulianna (Julianna); Ściepan był krawcem. Pewnego dnia niewiadomo za co, Pan Bóg go w kamień obrócił; ale aby Wulianna miała żyć z czego, dozwolił kamieniowi szyć daléj; ludzie więc znosili do niego robotę i zapłatę, a żona ją zabierała. Jakiś żartowniś przyniósł materyą i mówi do kamienia: „Uszyj mi ni to, ni owo." Na te słowa krawiec kamienieje ostatecznie. Wulianna przyszła doń według zwyczaju, spostrzegła, że skamieniał do reszty, żal ścisnął jéj serce, i rzuciwszy się nań w smutku, objęła go białemi swemi rękami, płakać nad stratą jego poczęła, a płakała tak szczerze, tak obficie i tak długo, że się z łez jéj utworzył strumień, w ostatku sama w łzy przemieniona popłynęła rzeką, która się od jéj imienia zrazu Wulianną nazywała a potém Wilią. Lud pokazuje kamień i do dziśdnia nazywa go Sciop-kamieniem (1).

Mógłbym przykłady rzek i w ogóle wód z łez pomnożyć, gdyby nie wzgląd na i tak już zbyt obszerne rozmiary téj rozprawki; dodam tylko, że jak z łez, tak samo i ze krwi różnych postaci mitycznych, tworzą się w podaniach rzeki i jeziora; a czasami legenda mówi poprostu, że pewna istota zamienia się w rzekę lub jezioro, albo że w nie wskakuje, tonie lub rozpływa się, nadając rzece lub jezioru swe nazwisko. Nie podaję przykładów na to, chociaż mógłbym ich tyle, co na wody z łez przytoczyć. W ogóle w mowie mitycznéj na jedno wychodzi, czy woda powstaje z łez, krwi, rozpłynięcia się lub utonięcia istoty podaniowéj: oznacza to zawsze powrót ducha wodnego do jego żywiołowéj postaci—wody, oraz przywiązanie podania ludowego o bóstwie wodném do danéj miejscowości.

Lud wielkoruski przechował kilka podań o początku rzek od istot mitycznych; że są piękne, mało u nas znane i przydadzą się nam w dalszém roztrząsaniu rzeczy, nie zawadzi je poznać bliżéj.

Był bohater Dunaj, opowiada jedno, wojował z młodą litewską królewną Nastazyą, która dzielnie jeździła po świecie na cudownym rumaku, wyrzucającym z pod kopyt kamienie na dwa strzały. Krzyknęła donośnym głosem „po wężowsku," aż trawy w polu powiędły, kwiatki się osypały, kamienie poroztaczały się. Zaczęło

---

(1) Siemieński podania str. 27.

(2) Konst. Tyszkiewicza, Wilia. Drezno, 1871, od str. 21.

dwoje tych bohaterów mierzyć się o siłę: uderzyli na siebie palicami, palice pcłamały się; uderzyli szablami, szable się poszczerbiły; poszli na bój ręczny i borukali się od rana do wieczora i od wieczora do świtu; nakoniec Dunaj przemógł i powalił przeciwnika: chce zeń wyjąć serce gorące, ale zobaczył białe piersi kobiece i poznał królewnę. Pogodzili się więc, a Dunaj wziął ją za żonę i powiózł do sławnego grodu Kijowa. Przybyli do księcia Włodzimierza, na uczcie podpił bohater Dunaj i zaczął chełpić się swojém junactwem. Powiada mu królewna Nastazya: „Nie chwal się, cichy Dunaju Iwanowiczu! Jeśli przyjdzie do strzelania, to nademnie strzelca nie znajdziesz. Oto na twą główkę bohaterską kładę mój srebrny pierścionek; trzy razy z łuku strzałę hartowną wypuszczę i przepuszczę przez srebrny pierścionek, a pierścionka z główki nie zrzucę.“ Mąż przyjmuje wyzwanie, królewna trzykroć przepuściła strzałę przez pierścionek na głowie Dunaja i ani razu go nie zrzuciła. Zachciało się i Dunajowi Iwanowiczowi spróbować swojéj zręczności, położył pierścionek na głowie Nastazyi królewny i chce strzelać z tęgiego łuku; więc prosi go młoda małżonka, aby tego nie czynił, bo wkrótce ma wydać na świat cudownie jaśniejące dziecię. Ale Dunaj nie usłuchał, wypuścił strzałę hartowną; nie ugodził w pierścionek, ale trafił żonie w białą pierś i zabił królewnę; przekonał się, że prawdę mówiła... Zaczął gorzko żałować tego, postawił sztylet tępym końcem na ziemi i padł na ostrze sercem szlachetném. Od téj jego krwi gorącéj,

Gdzie upadła główka Dunajowa
Popłynęła rzeczka Dunaj-rzeka,
A gdzie legła główka Nastazina,
Pociekła rzeka Nastazya (1).

W innych odmiankach téj legendy Dunaja zastępuje Don Iwanowicz a Nastazyą Niepra (t. j. Dniepr); po zabiciu Niepry Don pada na miecz i przebija się, a ze krwi jego i żony wypływa rzeka Don. To samo bają i o bohaterze Suchmanie, tylko że ten, z rozkazu Niepry walczy z Tatarami i od ich pocisków ginie, a umierając każe, aby ze krwi jego rzeka Suchman (może Suchona) popłynęła (2).

---

(1) Afanasjew w dz. wymien. II od str. 221. Zwracam uwagę na podobny wątek strzelania do pierścionka na głowie drogiéj istoty w podaniu o Wilhelmie Tellu.

(2) Tamże str. 221—224.

Kilka lat temu mitolog rossyjski Stasow porównał te podania z indyjskiemi Hariwancy, Mahabharaty i Katha-Karit-Sagary (1); podobieństwo jest istotnie uderzające i niewątpliwie świadczy o wspólném pochodzeniu tych legend. Pomijając inne zbliżenia, zwróćmy uwagę na legendę z Mahabharaty, którą w streszczeniu zamieszczam.

Pokutnik Bhrigu miał piękną żonę Pulomę, z którą pierwéj chciał się połączyć Puloman, zły duch kusiciel (rakszasa). Korzystając z chwilowego oddalenia się męża, wpada do jego żony, odwołuje się do powagi bóstwa Agni (ognia), płonącego na ognisku domowém, i chociaż ono przyświadcza prawności małżeństwa Bhrigua, obraca się w dzika i porywa piękną Pulomę. Właśnie miała ona zostać matką; z oburzenia przedwcześnie wydaje cudownie jaśniejące dziecię, na widok którego zły duch rozsypuje się w popiół. Matka bierze dziecię na ręce i płacze rozpaczliwie. „Sam Brahma, pradziad wszystkich światów, widział cnotliwą małżonkę Bhrigua bolejącą we łzach i pocieszał ją. Puloma zaś kroplami łez swoich dała początek wielkiéj rzece, płynącéj drogą, którą szła. Gdy Brahma, dostojny przodek światów, ujrzał ten potok wód, ciekących drogą aż do pustelni jéj męża, nadał mu imię i nazwał Badhuwarą (rzeką małżonki).“ (2).

Napad na kobietę, przedwczesne wydanie cudownie jaśniejącego dziecka i rzeka ze krwi lub łez matki, — oto punkta styczne podań powyższych, dowodzące ich jednorodności. To samo da się powiedzieć i o bajkach dwóch wyżéj wymienionych zbiorów sanskryckich.

Przenoszę teraz uwagę czytelnika na ustępy z bajek Glińskiego, które do naszego porównawczego dochodzenia są potrzebne prawią one o orężnych spotkaniach cudownych dziewic z napastnikami, którzy śmiercią przypłacają swe zuchwalstwo.

W bajce 3 tomu IV, bohater Trzechsyn dostaje się na służbę do króla, który mu między innemi każe dostać dla siebie kochankę księżyca, cudowną morską dziewicę; różne istoty mu w tém dopomagają, ale morska dziewa powiada, iż „nie przystoi królewnie, aby ktoś bez zasługi, ani serca nie zjednawszy, schronienie jéj najechawszy, za żonę ją pojął... Powiedz więc królowi. że wyzywam go na bój krwawy... gdy mię pokona, jam jego żona, lecz gdy ja jego, gniewu mego nie ujdzie“ (str. 77). Na tę wiadomość król

---

(1) Viestnik Evropy. 1868 t. II od str. 675.

(2) Przekład Fauche'a t. I od str. 94.

zebrał półk rycerzy i stanął na równinie. „Na czwarty dzień ukazuje się na białym koniu królewna w zbroi złocistéj, a za nią, na białych koniach, potężny hufiec dziewic w zbrojach srebrzystych. Stanęły naprzeciw siebie hufce zbrojne, zbliżyła się do króla królewna i rzecze: królu potężny, stań jeźliś mężny! nie dla czczéj sławy na bój cię krwawy wyzywam. Oto na téj zieleni wnet się krew zarumieni... Nagle błysnęły miecze i na ziemię potoczyła się głowa króla“ (str. 78, 79). Poczém Trzechsyn zaślubia morską pannę i królem zostaje.

Tamże w bajce 4 tomu I, królewna Cud-Dziewica, wygnana na wyspę daleką, gdy złośliwy Kościéj chce ją porwać, „waleczne swe wojsko zbiera, w pole wyprowadza i na Kościeja napada; ale ten tchnąwszy na nie swym oddechem zatrutym, pogrążył nagle w sen nieprzespany i już w kościste swe ręce miał samą królewnę ująć, gdy ta ciska nań wzrokiem pogardy, obraca w bryłę lodu i do stolicy ucieka“ (str. 93).

Zastanawiającém jest, iż w czeskiém podaniu, które zaraz poznamy, występuje także zbrojny hufiec niewieści pod wodzą Własty, przyjaciółki Lubuszy, a ta ostatnia w czeskich legendach gra rolę naszéj Wandy. Kobiety się zbuntowały i za przewodem Własty wypowiedziały posłuszeństwo mężczyznom; lecz ci gród ich obronny Dziewin zburzyli, a wojsko amazonek pobili i zmusili do dawnéj uległości.

Oto wreszcie podanie z kolebki dziejów narodu czeskiego:

„Niegdyś Czesi na króla sobie wybrali Kroka, mądrego i sprawiedliwego sędziego, dzielnego władcę; stolicę miał w Wyszehradzie pod Pragą; od jego imienia otrzymał nazwę zamek Kraków pod Rakownicami. Zostawił on trzy córki: Kasi, Tetę i Lubuszę. Pierwsza była czarodziejką, druga wieszczką, a najmłodsza pełna mądrości i cnot wszelakich po śmierci ojca władczynią narodu obrana została. Ale krnąbrny lud nie chciał kobiecie ulegać i starsi w narodzie napierali ją, aby wyszła za mąż, choć bardzo tego sobie nie życzyła. Wysłała więc siwego rumaka swojego, aby jéj małżonka szukał, i przepowiedziała, że ten jéj mężem będzie, kogo koń zastanie jedzącego na żelaznym stole. Rumak pobiegł ku wieśniakowi Przemysłowi, który właśnie na przewróconym pługu chleb i wodę spożywał. Tak spełniła się przepowiednia, a Przemysł został małżonkiem Lubuszy. Założyła ona Pragę i odkryła kopalnie czeskie. Że w pobliżu stolicy zamieszkiwał straszliwy smok, przywołała Racibora z gór olbrzymich, aby go zabił. Po śmierci Lubuszy Przemysł musiał prowadzić wojnę z kobietami pod dowództwem Własty: zwyciężył je bardziéj podstępem

niż przemocą. O swém gminném pochodzeniu Przemysł zawsze pamiętał i starannie chował chodaki, które będąc wieśniakiem, nosił w zamku na Wyszehradzie" (1).

Przypomnijmy teraz nasze podanie o Wandzie. Przypuszczam, iż każdemu czytelnikowi znane jest z ust piastunki, z książki dziecinnéj, z pięknych rymów Felicyana i Deotymy, z obrazów i pieśni ludowéj; przypuszczam także, iż czytelnik ma w pamięci ostatnie o niéj badanie w bardzo zajmującym i gruntownym artykule p. Kaz. Romera: O Krakusie i Wandzie (Bibl. Warsz. 1872, t. III), zwracam więc uwagę na niektóre tylko ważniejsze okoliczności, które, zdaje mi się, nie dosyć uwzględniono dotychczas. Naprzód że podanie to zapisali kronikarze nasi późniejsi, a kronika przypisywana Marcinowi o niém nie wspomina; autor jéj, w duchu swojego czasu, unika legend, „które, jak powiada, zabobonem i pogaństwem są skażone;" następni latopisarze nasi wspomnieli o niém, ale, jak sądzę, przekształcili własnemi domysłami i wymysłami, zaprawionemi bakalarską uczonością i niewczesnym pragmatyzmem. Przetrwała jednak mimo te zawady aż do naszego czasu w ustach ludu, i ośmielam się twierdzić, iż przetrwała w formie zgodniejszéj z tonem innych podań niż w kronikach. Wanda bowiem, według dzisiejszego podania ludowego (znanego zresztą późniejszym kronikarzom) ginie w Wiśle, bo nie chce za męża Niemca; opiekuńczy duch jéj w postaci białéj mary ostrzega jeszcze kraj głośnemi krzykami o niebezpieczeństwach, a wyniosły kopiec jéj pamięci poświęcony świeci strażnicą wspomnień ludowych.

Zdaje mi się, że podanie o Morskiéj Pannie, przywiązane do jeziora tatrzańskiego, jest odmianką legendy o Wandzie,--tyle w niém widzę uderzającéj blizkości miejsca i treści. Tylko powieść o Wandzie jest szczupłym ułamkiem zapomnianéj dziś całości, legenda zaś o Morskiéj Pannie przedstawia mit pełniejszy i zaokrąglony. Obie bohaterki są duchami wodnemi, uosobionemi w wodach blizko siebie położonych, od nich nazwanych, z niemi utożsamionych: bo wskoczenie do wody, rozlanie się łzami i t. p. znaczy w mowie mitycznéj nic innego, tylko powrót istoty podaniowéj do jéj żywiołowéj postaci, którą czasowo na ludzką zamieniła. Obudwóch przeciw czyjeś woli żądają cudzoziemcy, którzy obaj giną, a piękne dziewy toną w wodach od nich nazwanych. Nie waham się prze-

(1) Palacky, Diejiny národu czeskeho. Praga, 1848, tom I cz. I od str. 105; Szafarzyk, Słow. staroż. tłómacz. Bońkowskiego t. II od str. 516. Obaj ewhemeryzują i nawet datami chronologicznemi te mity podpierają.

to uważać Wandy i Morskiéj Panny za jednę i tęż samą postać mityczną. Przedstawia ona ducha wodnego w formie ludzkiéj, bóstwo słowiańskie, lub raczéj wszecharyjskie, a nawet wszechludzkie, zapomniane dziś przez gmin nasz, lecz przed wiekami dobrze znane naszym przodkom, którzy przywędrowawszy w tutejsze siedziby, przywiązali je legendami do gór i rzek polskich. Gdyż niezawodnie był czas, kiedy każda rzeka nasza i każde jezioro nasze miały podobne podania o swym początku i swych imionodawcach: dziś tylko niektóre są przystrojone mitami; lecz w każdym z nich gości lub gościł podaniowy duch wodny. Jakoż Morskie Oko i Wisła nie straciły dotąd w pamięci ludu opiekunów swoich. Że zaś przed niedawnemi laty w Warszawie znano jeszcze wodnicę wiślaną, dowodzi wyżéj przytoczone świadectwo Zmorskiego o goszczącéj tam Pannie Morskiéj czyli Wandzie, oraz herb naszéj stolicy, którego nie waham się uważać za odwieczny symbol podań o wodnéj dziewie, Wandzie albo Morskiéj Pannie, córce króla Morskiego.

Wodnice te były bowiem córami najwyższego bóstwa wodnego naszych pogańskich przodków, Morskiego pana czyli króla, odpowiadającego Warunie, Posejdonowi, Neptunowi i t. d. innych ludów. Wprawdzie kroniki zwą ojca Wandy Krakiem lub Krakusem, a z tego co o nim mówią, nie widać wyraźnie, aby był bóstwem mórz: nie zmniejsza to jednak ani trochę prawdopodobieństwa moich twierdzeń, bo kronikarski splot postaci niby dziejowych, przed końcem X wieku jest, zdaniem mojém, zupełnie dowolnym i najmniejszego cienia rzeczywistości nie okazującym: ojcem Wandy w kronice mógł być tak dobrze Krakus, jak Popiel albo Lech, wraz z ich legendami. Raz bowiem utwierdziwszy się w przekonaniu, że kronikarze nasi bajali o przeddziejowéj naszéj epoce bez żadnych podstaw faktycznych, nie powinniśmy ani na źdźbło im wierzyć, gdy mówią o postaciach bajecznych, lecz szukać gdzieindziéj ludowych naszych i obcych wątków, które tak niefortunnie posplatali a raczéj pogmatwali.

Co do Krakusa, można z pewnością twierdzić, że jest tą samą postacią mityczną co Krok czeski, i że wątek zabicia smoka, wtrącony przez Czechów do panowania Lubuszy, powtarza się w tysiącznych odmianach o mnóstwie postaci dziejowych i przeddziejowych, a przyczepia się do mnóstwa miejscowości Europy i całego świata. Jest to ułamek powszechnego mitu o tryumfie bóstwa gromowego, Gromnika, Pioruna, Perkuna, Heraklesa, Indry, czy jakkolwiek nazwanego, nad strasznym smokiem niebieskim, czyli chmurą burzonośną, grożącą, że pożre słońce lub je porwie i schowa, a światu odbierze wody deszczowe i napełni go ciem-

nością. Szczegółów zaś podania krakowskiego mogli kronikarze zapożyczyć z Biblii. Nie wypada przeto tłómaczyć w ten sposób, iż zabicie smoka ma znaczyć wytępienie zbójców: takie pragmatyzowanie trąci starą szkołą, dziś zupełnie zaniedbaną.

Już Długosz zestawił nasze podanie o Wandzie z czeskiém o Lubuszy; szkoda że p. Romer zbliżenie to pominął. Przeprowadza je umiejętnie Gutschmid w swéj rozprawie o pierwotnych dziejach Polski (1). Wiele punktów stycznych łączy te dwa bajania bratnich ludów, co tém mniéj zadziwia, gdy sobie przypomnimy, że Kraków i okolica zostawały czas jakiś pod władzą Czechów jeszcze po rozpoczęciu się niebajecznych naszych dziejów. Nasz Krak, równy czeskiemu Krokowi, jest mitycznym imionodawcą miasta polskiego, jak tamten czeskiego (i wielu zresztą innych); obaj mają troje dzieci: krakowski dwóch synów i córkę Wandę, czeski trzy córki; jedno z nich króluje, w Polsce Wanda, w Czechach Lubusza; jedno z nich zabija smoka, u nas syn Kraka, u Czechów za pośrednictwem rycerza wezwanego przez córkę Kroka. Obie dziewice Wanda i Lubusza nie chcą za mąż wychodzić. My do dziś dnia przypisujemy kopiec nad Wisłą pamięci córki Krakusowéj; Czesi także święcą pamięci jednéj z cór Krokowych kurhan nad rzeką Mżą. Nasza Wanda oczywiście ma nadludzkie przymioty; sam jéj widok, wedle podania kronikarskiego, olśniewa żołnierzy Rytygiera, a jego o śmierć przyprawia; czeska Lubusza jaśnieje nadludzką mądrością, a siostry jéj są jedna czarownicą, a druga wieszczką. Wreszcie owe chodaki Przemysła czeskiego powtarzają się i w naszéj legendzie, chociaż przeniesione na Piasta.

Podawano różne źródłosłowy imienia naszéj królowéj topielicy. Zbliżano je kolejno to z wyrazem *węda*, to z nazwami ludów: *Wendów* lub *Wandalów*, to (jak akademik Kunik w liście prywatnym) z wszecharyjskim pierwiastkiém *van*, oznaczającym: kochać, strzedz, a wówczas imię Wandy równałoby się Lubuszy. Co do mnie, przechylam się do zdania tych, co upatrują w Wandzie odwieczną wszecharyjską nazwę wody, która, jako w imieniu własném, przechowała się w formie może pierwotniejszéj niż w rzeczowém. Do brzmień przytoczonych przez p. Romera (str. 18) można dodać jeszcze sanskryckie *ud*, *und* tryskać, wilżyć, kąpać, *uda*, *udar* woda, grec. *hydat*—woda, gotyc. *vatan*—woda.

---

(1) Archiv für die Kunde österr. Geschichtsquellen, tom XVII. od str. 318. w artykule: Kritik der polnischen Urgeschichte.

Allemański wielbiciel Wandy zdaje się, iż jest nie kto inny, tylko dobrze znany w podaniach niemieckich, szczególnie w pieśni o Nibelungach „der edel Rüedegêr, vogt von Bechelaeren.“) Samobójstwo jego dziwnie przypomina śmierć bohatera Dunaju w wielkoruskiém podaniu, i dlatego je wyżéj przytoczyłem; obaj po śmierci kochanki, rozpłynionéj rzeką, padają na miecz nastawiony i sami życie sobie odbierają. Giną także napastnicy dziewic w powyższych bajkach Glińskiego, starłszy się wprzód zbrojnie z ich zastępami.

Jeżeli w postaci Wandy i innych porównanych z nią tutaj istotach mitycznych zgodzimy się widzieć żeńskie duchy wodne, to w napastnikach prześladujących je (Rytygier, Dunaj, Kościéj i król z bajek Glińskiego, zły duch porywający Psychę, Pulomę i t. d.) powinniśmy upatrywać znanego w mitologiach smoka, ducha ciemności, który ożywcze wody niebieskie porywa, gdzieś chowa i trzyma w zamknięciu, póki piorunowładny Gromnik nie zmusi go do ucieczki lub go nie zabije, a wód nie wyzwoli i mroku nie rozproszy. Dziś już prawie z pewnością dowiedziono, że wyobraźnia pierwotnych ludów wzięła te postaci i walki ze zjawisk przyrody: dobroczynne ulewy wiosny i zgubne posuchy letnie, chmury i pioruny, coroczna walka zimy z latem, zwycięztwo czyli jak my mitycznie mówimy „przesilenie“ słońca i ciepła, tryumf jego nad złowrogą czarną chmurą, grożącą mu pożarciem, — wszystko to, przełamując się przez pryzmat dziecinnéj duszy człowieka pierwotnego, który uosabiał na wzór siebie cały świat zjawiskowy, wywoływało niezliczone wątki do bajań, które z czasem plącząc się i krzyżując wytworzyły mnóstwo podań. Lecz o ich zjawiskowym i żywiołowym początku pierwotne ludy stopniowo zapominały, biorąc złudzenia własnéj wyobraźni i mowy za rzeczywiste dzieje ludzi sobie podobnych. Dziś już tylko drogą porównań, domniemywań, odtwarzania i rozumowania dochodzimy, i to nie zawsze i nie z równą pewnością, do odkrycia źródeł mitów.

O początku postaci występujących w rozbieranym tu cyklu, przy dzisiejszym stanie mitologii niema już wątpliwości, że uosabiają one przedmioty i zjawiska przyrody; zachodzić tylko mogą różnice w bliższém określeniu przedmiotów i zjawisk, które uosobiono. Wspomniałem już mówiąc o Psysze, iż Max. Müller i jego zwolennicy skłoni są widzieć w niéj i podobnych jéj postaciach jutrzenkę uciekającą o świtaniu pierwszych promieni porannego słońca. Znaczna część badaczów idzie za Kuhnem i Schwarzem i woli w tych figurach widzieć uosobienie chmur, deszczu, burz, gromów; inni wreszcie, jak Schultze i Tylor, upatrując początek wierzeń w fetyszyzmie, czyli czci materyi, wywodzą wodne bóstwa

z pierwotnego kultu źródeł, rzek i mórz, którym z czasem przypisano osobowość, to jest duszę nakształt ludzkiéj ze wszystkiemi jéj władzami, a potém idąc daléj drogą animizmu czyli uosabiania sił i zjawisk przyrody, nadano im ludzką postać i duszę wyższą nawzór ludzkiéj, bo nieśmiertelną. Takie zapatrywanie się na początek duchów wodnych i w ogóle wszystkich wierzeń pogańskich, znakomicie rozwinął Tylor w swém ostatniém dziele (1), i zdaje mi się, że w teoryi mitologicznéj stanął tu wyżéj od swych poprzedników.

Jakkolwiek bądź, zważmy, iż istoty mityczne, któreśmy poznali, od Meluzyny aż do Wandy, są widocznie duchami wodnemi. Czy zaś człowiek pierwotny tworzył je w swéj wyobraźni na widok wód ziemskich, czy niebieskich, to jest chmur i deszczów, to nie łatwo w kilku słowach rozstrzygnąć. Zdaje mi się, iż czytelnik najwięcéj w tym względzie powinien zaufać wywodom Tylora, które za ostatnie słowo nauki naszéj uważam.

Celem niniejszéj pracy było rzucić kilka promieni światła na mglistą postać naszéj Wandy. Lecz ponieważ lud zapomniał szczegółów jéj legendy, a kronikarze zaciemnili ją swojemi dodatkami i przerabianiami, więc wprost na nią padających promieni kilka tylko zostało; staraliśmy się przeto oświetlić ją blaskiem odbitym od innych pokrewnych z nią figur mitycznych, lub przełamującym się przez pryzmat wyobraźni innych ludów; ale tak otrzymaliśmy obraz niewyraźny i zamglony. Na odtworzenie zaginionych rysów jego potrzeba było zbierać po kamyku z gruzów innych podań i z tych kamyków układać mozaikę, zestawiając ją na domysł tylko i przez analogią. Tak jak przy odbudowaniu zaginionego rękopisu, wypada szukać pojedynczych ustępów kryjących się nieraz po dziełach innych autorów i z nich domniemywać się całości zaginionego utworu, tak i tu, z rozproszonych po bliższych i dalszych okolicach wątków, należało domysłem odnajdować pierwotną domniemaną osnowę powieści ludowéj.

Zdaje mi się, że z każdego przytoczonego przezemnie podania choć po jednym refleksie padło na zamglone oblicze naszéj mitycznéj bohaterki. Cierpliwy i uważny czytelnik dostrzegł już zapewne, iż usiłowaniem mojém było okazać: że nasza królewna morska należy do szerokiego koła bajań o duchach wodnych, wcielających się w ludzką postać i zawiązujących ze śmiertelnikami sto-

(1) Primitive Culture, Lond. 1871 od roz. 8 do końca dzieła. O duchach wód patrz tam szczególnie t. II str. 190—195, 248—51.

sunek serdeczny; że wybrany przez nią ulubieniec niewiadomym dziś już nam postępkiem zmącił szczęśliwość tego stosunku, tak iż nastąpić musiało rozstanie; że wodnica, ulegając niezmiennym wyrokom przeznaczenia, porzuciła go z żalem i wróciła do swojego rodzimego żywiołu, topiąc się w Wiśle, którą na pamiątkę tego zdarzenia poeta nasz „Wandziną wodą“ nazywa; że ziemski jéj kochanek z rozpaczy życie sobie odebrał; ale duch topielicy, teraz już w bezcielesnéj postaci, żyje i czuwa nad grodem krakowskim, unosząc się nad pamiątkowym kopcem, a jękiem i płaczem ostrzegając o grożących krajowi klęskach. Inne, więcéj zamgione i mniejszéj wagi rysy niech sam czytelnik z pokrewnych legend przeniesie na obłoczną „kraśną dziewę naszę,“ niech ją niemi ustroi i ożywi, a z pewnością bliższym będzie prawdy faktycznéj, niż sprowadzając ją na ziemię i każąc jéj być prawdziwą królewną z krwi i ciała. Królestwo jéj, zdaje mi się, było nie z tego świata, ale ze świata, który nasi przodkowie widzieli przed oczyma swéj duszy, a który, choć niedotykalny, miał i ma nie mniejsze prawo istnienia, niż świat dostępny oku cielesnemu.

NA PRZEŁAJ ŚWIATA

przez

STANISŁAWA WARNKE.

Koleje azyatyckie. — Koleje afrykańskie. — Przebicie przesmyku Panamy. — Kanał Kaletański.

Od czasu jak genialny Karol Ritter z taką siłą podniósł związek istniejący pomiędzy naturą kraju a historyą zamieszkującego go narodu, wybiegła ta teorya daleko po za swe uprawnione granice. Znaleźli się niebawem entuzyaści, którzy wszelkie fenomena życia narodowego, dzieje polityczne, bogactwo literatury, rozkwit sztuk pięknych, usiłowali wytłómaczyć ukształtowaniem lądów i mórz, ponurością północnego nieba, to znowu pogodą greckiego firmamentu. Że wielką część, a nawet daleko większą część zasługi należy przypisać uzdolnieniu rassy, pracowitości i energii narodu, znakomitym indywiduom, o tém nie chcieli słuchać zapaleni wyznawcy teoryi Rittera. Człowiek stawał się w tym geograficzno-historycznym poglądzie na świat poprostu rośliną, rozwijającą się w bujną palmę pod równikiem, a usychającą na stepie. Znaleziono formułkę służącą do wytłómaczenia od jednego zamachu tego tak zawiłego problemu, jakim jest postawienie prawa rządzącego odwiecznie, niezmiennie dziejami ludzkości, a w genialnych paradoxach Tomasza Buckle'a, stała się historya prostym rachunkiem statystycznym, z pod którego żelaznych konsekwencyi nie wyłamie się ani indywiduum genialne, ani energiczny naród.

Jeżeli niezaprzeczenie człowiek zależnym jest od swego otoczenia i pod jego wpływem się rozwija; to przecież wspomniana powyżéj teorya, doprowadzona do tak dalekich konsekwencyi, jest stanowczo fałszywą. Koloniści anglo-sascy w północnéj Ameryce nie skarłowacieli na preryach i nie zamienili się w polujących na ba-

woły Indyan, ani pod palącém słońcem Indyi przedgangesowych nie utracili przyrodzonéj energii, jaką potrafili na nowe tory pchnąć drzemiących Hindusów. Chłop rossyjski w Turkestanie, albo nad granicą chińską osiadły, nie porzucił pługa, aby paść trzody jak Kirgiz albo Buryata, a panujących nad greckiém morzem Osmanów nie potrafiły cudowne kształty lądów, błękit nieba i morza, przejrzystość atmosfery natchnąć ideami Fidyasza i Praxitelesa. Człowiek jest absolutnie zależny od otaczającéj go przyrody tylko na najniższym stopniu cywilizacyi; lecz z postępem, z rozwojem swych sił intellektualnych, z nagromadzeniem zasobów wiedzy, bogactwa, przemienia się z dziecka natury we wszechwładnego jéj pana. Badawczy jego umysł podsłuchuje tajemnice przyrody, wydobywa z niéj siły, które mu służą do zwalczenia przeszkód, jakie jego rozwojowi postawiła natura, do rzucenia sobie pomostu daleko po za granicę, jaką jego kolebce nakreśliły pierwotnie niebotyczne góry albo niezmierzone oceany. Tunel przez Mont-Cénis przewiercono za pomocą stalowych świdrów, które poruszano pneumatycznemi machinami, za pomocą ściśnionego powietrza, a to powietrze ściskał prosty przyrząd młynarski, obracany prądem wody górskiego strumyka, który się toczył z wierzchołka téj saméj góry. Tak góra sama wbijała sobie w piersi zabójcze żelazo. Przypominam sobie, co o tém mówił Oskar Peschel: „Bystrość, nieledwie należałoby powiedzieć, ironia ludzka, przymusiła naturę do uprzątnienia własną ręką przeszkód, które postawiła na drodze człowiekowi.

Geniusz i energia ludzka potrafiły wszędzie i zawsze zwalczyć naturę, podbić ją dla swych celów, zmienić ją do pewnego stopnia. Warunkiem wszelkiego postępu jest jak najczęstsza i najwięcéj ułatwiona wymiana stosunków pomiędzy narodami; narody uczą się od siebie wzajemnie, budzi się szlachetne współzawodnictwo, a w tym wyścigu o lepsze budzą się i rozwijają siły narodów. Tam brzask cywilizacyi zaświecił, gdzie taka wymiana była najłatwiejsza. Więc musiała natura pomódz ludzkości, nauczyć ją pierwsze stawiać kroki; lecz dzisiaj człowiek nie potrzebuje jéj pomocy, zdolen jest zbudować sobie drogę od narodu do narodu i tam gdzie natura postawiła takim drogom zaporę. Starożytni nie śmieli wyjrzeć na obszar oceanu i trzymali się znanego kawałeczka lądu, „na podobieństwo żab u studni,“ jak mówił Sokrates: dla nas ocean stał się szeroką drogą; step północno-amerykański nie rozdziela państw nowéj Anglii od złotodajnego Far West; Alpy przestały być zaporą dla handlu. Człowiek nie jest w stanie usunąć góry albo wypompować oceanu, ale zdolny jest zmienić

zupełnie ich pierwotne znaczenie w stosunku do człowieka. Postać i wysokość gór, rozległość wyżyn, poszczerbione kształty brzegów, rozkład wysp i rozległość mórz, tracą powoli swój wpływ względny na historyą narodów, w miarę jak narody rosną w siły i wolę. Czyliż nie mamy prawa powiedzieć, że człowiek zmienia przyrodę? Podlegając sam wpływowi otaczającéj go natury, człowiek modyfikuje ją na swoję korzyść, że tak powiemy, oswaja on naturę, jéj dzikie siły na domowe przemieniając.

Już w starożytności kuszono się nieraz i ze skutkiem o takie poprawki natury tam, gdzie jéj kształty nie odpowiadały celom człowieka; ale dopiero rozporządzający ogromnemi środkami technicznemi, wiek XIX mógł się z całą energią zabrać do dzieła. O jednem takiém przedsięwzięciu pisałem przed niedawnym czasem w Ateneum (1); obecnie mam zamiar zapoznać czytelników z kilku projektami mającemi na celu ułatwienie kommunikacyi, które swojém znaczeniem daleko sięgają po za projekt kap. Roudaire'a, bo sięgają one na przełaj całego świata, a wykonane wywrą wpływ stanowczy nietylko na losy narodów europejskich, ale niemniéj na losy i czarnéj i żółtéj rassy.

Cały wiek XVI i początek XVII upłynął hiszpańskim i angielskim żeglarzom na szukaniu tak zwanego zachodniego przejazdu, aby skrócić sobie drogę do bogatych wschodnich brzegów Azyi, — projektowane przebicie przesmyka Panamy ma powiązać z sobą Atlantycki ze Spokojnym oceanem i ułatwić drogę do Chin. Anglią wyrwie z jéj wyspiarskiego położenia tunel pod kanałem Kaletańskim, do którego wstępne roboty już zostały rozpoczęte. Żyzne naturą swą Indye, przypominające płaszczyzny Sudanu, były dla nas do początku tego wieku zagadką, do któréj rozwiązania napróżno szukano klucza w bałamutnych raportach geografów arabskich; odważni podróżnicy zdarli wprawdzie tę zasłonę, lecz ponieważ przez pustynię Sahary prowadzi jedynie droga do Sudanu, nie można było myśleć o wciągnięciu obiecanego kraju w ruch handlowy europejski. Drogi karawanowe nie wystarczają dla takich celów, i otoż od roku prawie toczą się we Francyi poważne dyskussye nad zbudowaniem kolei żelaznéj przez Saharę do Timbuktu i Bornu.

Więcéj aniżeli inne interesuje nas, bo ma i naszym wyrobom utorować drogę na daleki Wschód, projekt zbudowania kolei żelaznéj przez Syberyą do Chin, a przez Azyą środkową do Indyi.

---

(1) Morze w Saharze. Zeszyt kwietniowy.

Natura połączyła Europę z Azyą, ale to połączenie jest raczéj rozdziałem, obie części świata są jak gdyby odwrócone od siebie, wyżyny olbrzymie Azyi środkowéj i większą część roku śniegiem zasypany step syberyjski rozpostarły się pomiędzy ludnemi i bogatemi krajami południowéj i wschodniéj Azyi a Europą. Te zapory mają usunąć koleje żelazne i połączyć stołeczne miasta Europy z Pekinem i Kalkutą. Czyż wykonanie tego projektu nie zmieni zupełnie dróg handlowych i nie wywoła w handlu powszechnym podobnéj rewolucyi, jak kiedyś odkrycia Bartłomieja Diaza i Waska de Gama?

Są to dopiero wszystko projekta, ale sama ich śmiałość powinna zwrócić i zwraca na siebie uwagę szerokiego koła wykształconéj publiczności. A czyż możemy wątpić, że zostaną one wykonane? Są te kommunikacye i potrzebne i możliwe, a zważywszy, czego już dokonano za naszéj pamięci, możemy być pewni, że nim wiek XIX dobieży swego kresu, zamienią się te projekta w rzeczywistość.

I.

Koleje azyatyckie (1).

Od tak dawna, jak tylko sięgają świadectwa historyczne, zależał handel powszechny na wymianie płodów pomiędzy Europą, albo przednią Azyą a Chinami i półwyspem przedgangesowym. Nawet odkrycie Ameryki nie zdołało zmienić tego stosunku, i jak w starożytności albo w wiekach średnich, tak i dzisiaj są te dwa kraje najwyższéj wagi dla wielkiego handlu. I nie może być inaczéj. I Indye i Chiny dają nam produkta, których gdzieindziéj wcale nie znajdziemy, albo nie w takiéj ilości, a które się stały po większéj części niezbędną potrzebą dla mieszkańców Europy. To też handel z temi krajami był po wszystkie czasy źródłem potęgi i bogactw, a tém samém i przedmiotem zaciętego współzawodnictwa pomiędzy narodami Europy. Miasta włoskie, Portugalczycy, Holendrzy i Anglicy wydzierali sobie kolejno monopol tego zyskownego handlu, którego posiadanie po dziśdzień przynajmniéj było identyczném z hegemonią na polu handlowém. Dlatego opanowanie drogi do wschodniéj Azyi, skrócenie jéj i uła-

(1) Do tego mappa.

twienie było faktem powszechno-dziejowego znaczenia, ciężarnym też w wielkie polityczne następstwa.

Najprostsza droga do Indyi i Chin prowadzi przez Azyą środkową, ale nieudolny handel karawanowy, który w starożytności, a w części i w wiekach średnich tamtędy się kierował, musiał ustąpić przed odkrytą w XV w. drogą morską, chociaż znacznie odleglejszą. Lecz z wynalazkiem kolei żelaznych zyskaliśmy środek, za pomocą którego jesteśmy w stanie niemniejsze massy towarów, jak okrętem, przerzucać z miejsca na miejsce, a do tego z daleko większą szybkością. To też natychmiast po użyciu siły pary do kommunikacyi, powstała myśl połączenia drogą żelazną Indyi z Europą. Gdy we Francyi tylko w najbliższéj okolicy Paryża można było zobaczyć drogę żelazną i wóz parowy, wystąpił Péreire z projektem zbudowania kolei żelaznéj przez Turcyą, Azyą mniejszą, Persyą i Beludżystan do Indyi. Myśl była oczywiście przedwczesna, bo i środki techniczne i pieniężne owego czasu, już to nieznajomość krajów środkowéj Azyi, już to opór mniéj wówczas niż dzisiaj od Europy zależnéj Turcyi i Persyi, nie pozwalały myśleć o wykonaniu śmiałéj myśli francuzkiego inżyniera. Niemniéj dlatego pokutowała daléj genialna myśl w innych głowach, i w roku 1840 wystąpił Artur Conolly, znany ze swych podróży w Turkestanie i ze swego tragicznego końca w roku 1841 (1), z projektem kolei żelaznéj do Indyi przez Turkestan. Owczesne stosunki polityczne tego kraju, gdzie wojna i anarchia były stanem zwyczajnym, musiały nie dozwolić wykonania i planu Conollego; dlatego znacznie późniéj wprawdzie, zaproponował generał-major Chesney, aby zbudować kolej z któregokolwiek portu syryjskiego do Mezopotamii, a potém wzdłuż Eufratu do zatoki Perskiéj, zkąd stale urządzona żegluga parowa pośredniczyłaby z Indyami. Układy o téj kolei z rządem tureckim, jak we wszystkich razach, tak i w tym odznaczającym się swoją ociężałością, wlokły się lata i wleką się podobno, podług zapewnień p. Scherzera, znanego uczestnika w podróży naokoło świata fregaty „Novara," a obecnie konsula austryackiego w Smyrnie. Tymczasem skrócono i morską drogę do Indyi przez wykopanie kanału Suezkiego, a z chwilą ukończenia tego wielkiego dzieła, wszedł i projekt kolei azyatyckich w nowe stadyum. Natychmiast po otworzeniu uroczystém kanału, w początku roku 1870, przedłożył Lesseps'owi je-

---

(1) *H. Rawlinson:* England and Russia in the East. London, 1875.

den z jego najzdolniejszych inżynierów Cotard projekt zbudowania kolei żelaznéj z południowo-wschodniéj Rossyi do Chin.

Jeżeli na globie ziemskim połączymy wielkim łukiem Londyn z Kalkutą, to linia tego łuku przejdzie przez Amsterdam, poniżéj Berlina, przez Warszawę, na północ morza Kaspijskiego, a potém przez suche dzisiaj łożysko południowéj kończyny Aralskiego jeziora, Albaghir, do Samarkandy, przetnie rzekę Indus mniéj więcéj w odległości 150 kilometrów na południe od punktu, gdzie Indus zmienia swój kierunek i zwraca się na p. p. z. i nareszcie doliną Gangesu bieży wprost do Kalkuty. Kolej żelazna, któraby jak najwięcéj zbliżała się do téj prostéj linii, odpowiadałaby jak najwięcéj celowi, i dlatego łuk ten postawił Cotard jako linią wytyczną dla dalszych studyów.

Za staraniem Lesseps'a utworzył się komitet założycieli, na którego czele stanął twórca kanału Suezkiego, który to komitet postanowił zbadać jak najdokładniéj i jak najrozległéj proponowaną przez Cotard'a drogę. Miano z początku zamiar wysłać karawanę przez Turkestan i Afganistan, lecz zawikłania z Chiwą przymusiły do porzucenia tego planu, zaczém Wiktor Lesseps, syn Ferdynanda, wespół z inżynierem Stuartem udali się do Indyi celem dokładnego poinformowania się. Wprawdzie i tu napotkali trudności, bo rząd angielski wzbraniał się pod swoją opieką wysłać badaczy w niebezpieczną do Afganistanu drogę, lecz zbadali Kaszmir, Himalayę, wąwóz Karakormu i przejścia do Wschodniego Turkestanu, i zasiągnęli w Indyach o ile możności z dobrych źródeł wiadomości o Afganistanie i niedotkniętym jeszcze stopą Europejczyka Dardistanie. O wyżynie Pamir i chanatach nad rzekami Syr i Amu nie brakło wiadomości w raportach podróżników rossyjskich, a step kirgizki na północ Aralskiego jeziora zbadał w tymże czasie z polecenia rządu rossyjskiego, który oczywiście jak najmocniéj zainteresował się tym projektem, major Beznesikow i ogłosił swą relacyą w Gazecie Turkestańskiéj.

Koleje żelazne rossyjskie mają cztery końcowe punkta w kierunku Azyi. Niższy Nowgorod, Orenburg, Saratow (1) i Tyflis. Cotard nakreślił na podstawie zebranych informacyi następujący plan. Za punkt wyjścia obrał Orenburg i Saratow, za środkowy stolicę Turkestanu i najważniejszy punkt handlowy Taszkent, a poprowadzone tamtędy koleje miały znaleźć swe ujście w Peszawerze

(1) Twórcą projektu linii Saratow - Taszkent jest p. Baranowski, lecz Cotard wcielił i tę linią, niepraktyczną zresztą, do swego projektu.

nad Indem albo w Dżelum nad Dżiklamem, poboczu Indu. Kolej z Saratowa miała pójść do Uralska, potém doliną Uralu do Kałmykowska, dalej przez kraj maléj hordy Kirgizów, wyżynę Ust-Urt pomiędzy Uralem i morzem Kaspijskiém do Chiwy, ztamtąd doliną rzeki Amu do Kys-Kala, a daléj przez pustynię piaszczystą do Buchary, Samarkandy, Chodżentu i Taszkentu. Druga linia ma wyjść z Orenburga do Orska, dalej przez pustynię Barsuki i Kara-Kum, na północ od ujścia Jaxartu do Aralska i przez Fort Perowski i Dżenkent do Taszkentu. Aż do tego punktu przebiegają projektowane koleje okolice od czasu wyprawy do Chiwy, dobrze znane i podległe albo bezpośrednio albo pośrednio Cesarstwu rossyjskiemu. Natura sama wskazała, że drogą do Azyi środkowéj może być tylko Amu albo Syr; toż widzimy, że obie koleje trzymają się łożyska tych rzek. Za czasów Alexandra W. wpadał Amu (starożytny Oxus) jeszcze do morza Kaspijskiego, i służył za drogę handlową, która idąc ze wschodniego Turkestanu, ciągnęła się łożyskiem Oxusu, przez morze Kaspijskie, rzekę Kur, a następnie morzem Czarném do Konstantynopola. Kiedy nastąpiły zmiany w geologicznym układzie tych okolic, w skutek których Oxus zwrócił się na północ — niewiadomo. Ale jeszcze w późnych wiekach średnich, puszczali się Genueńczycy do Indyi i tamtędy przedzierał się Marco-Polo do Pekinu. W XVI wieku już Oxus wpada do Aralu. Energia ludzka postanowiła poprawić tę rewolucyą ziemską i za pomocą drogi żelaznéj zwrócić handel azyatycki na jego dawne tory.

Za Taszkentem niedaleko zaczynają się kraje mało znane, a których stosunki polityczne i etnograficzne nie bardzo sprzyjają zamysłom p. Cotard'a i Lesseps'a. To też twórcę projektu ogarnia wobec tych stosunków niepewność; widocznie nie wie na którą drogę sie zdecydować i aż cztery proponuje linie z Taszkentu do Indyi. Pierwszą przez Samarkandę, Kerki nad Amu, Balkh, Khulm, dalej doliną rzeki tego nazwiska do wąwozu Bamian, który oddziela góry Kohi-baba od Hindukusz, ztamtąd w dolinę rzeki Kabul i do Peszaweru. Druga linia towarzyszy pierwszéj aż do Khulmu, ale ztamtąd nie zwraca się na południe, lecz dalej doliną rzeki Oxus i jéj poboczną Kokera idzie na wschód, przekracza Hindukusz w wąwozie Wuksan i schodzi w dolinę Czitral nad rzeką Kunar w Kafiristanie, i tą doliną do Dżelalebad, a z tamtąd do Peszaweru. Trzecia linia bieży z Taszkentu do Kokandu, wąwozem Terek przekracza Tian-Szan i wchodzi do wschodniego Turkestanu, gdzie opisuje łuk przez Kaszgar i Jarkand, zwraca się na wyżynę Pamir i z niéj zstępuje w dolinę Czitral do Dże-

lalebadu i Peszaweru. Czwarta linia towarzyszy trzeciéj aż do Jarkandu, lecz tam się oddziela, wspina się doliną rzeki Jarkand na wąwóz Karakorum, zkąd zstępuje doliną rzeki Szajok do małego Tybetu i przez Le, Skardo, Kaszmir, łączy się z Dżelum, niedaleko Lahore, z kolejami wschodnio-indyjskiemi (1).

Przez wykonanie któréjkolwiek z tych linii zostałaby połączona sieć kolei indyjskich z europejskiemi; z Londynu do Kalkuty wynosi odległość tą drogą mniéj więcéj 11,000 kilometrów, którą to przestrzeń możnaby przebyć pospiesznym pociągiem, w wygodnych wagonach konstrukcyi Pullmanna, w przeciągu 10 dni. Indye zostałyby żelaznym łańcuchem przykute do Europy, ludy środkowéj Azyi wydobyte ze stanu drzemki wpółsennéj i rzucone w wir zabiegów i usiłowań aryjskiéj rassy. Koszta linii północnéj przez Kaszgar oblicza pan Cotard na 28,600,000 L., co znaczy 1,144,000,000 złp.; zaś linii południowéj przez Kabul na 40,600,000 Ł., co znaczy 1,624,000,000 złp.

Summa to bardzo znaczna, lecz wobec bogactwa narodów zachodnich wcale nie przestraszająca; to też podług mego przekonania nie z téj strony piętrzą się trudności przed wykonaniem pomysłu p. Cotard'a, lecz kształty kraju, stosunki polityczne i etnograficzne środkowéj Azyi, staną się prawdopodobnie, przynajmniéj na dzisiaj, zaporą nie do usunięcia. Linia saratowska projektowana przez p. Baranowskiego, a podjęta przez Cotard'a, ciągnie się, po opuszczeniu łożyska Uralu, przez step pusty, pagórkawaty, twardym żwirem zasypany, gdzie tylko tu i owdzie chude pastwiska dają wyżywienie nielicznym trzodom nomadów; a pomiędzy Aralem a Kaspi wznosi się 200 metrów nad poziom tych wód wysoka skalista i pusta wyżyna Ust-Urt. Koléj żelazna tamtędy przeprowadzona nie znajdzie na miejscu potrzebnéj ilości wody. Myślano o tém, aby wybić kanał z Kaspijskiego morza, lecz koszta tego kilkadziesiąt mil długiego, w 201 metrów wysokiéj i skalistéj wyżynie wyciętego kanału byłyby zbyt wielkie. Linia Orenburska musi także przechodzić przez pustynię Barsuki i Kara-Kum. Wprawdzie podług badań generała Beznesikowa noszą te pustynie raczéj charakter stepowy; o trąbach piaszczystych i zaspach, w których mogłyby utonąć szyny żelazne wraz z podkładkami, nie masz mowy; wszędzie znajduje się woda i możnaby nawet te przestrzenie skolonizować. Ale dotychczas nie mają one zupeł-

(1) *Ch. Cotard.* Chemin de fer central-asiatique. Paris. 1876. — L'Explorateur Vol. II. str. 396 i następne.

nie stale osiadłych mieszkańców i od Orenburga do Fortu Perowskiego—nad Jaxartem bieży kolej na przestrzeni prawie 1,000 kilometrów po zupełnie pustym stepie. Dlatego pułkownik Bogdanowicz proponował, aby zupełnie ominąć te pustkowia i kolej środkowo azyatycką przyczepić do kolei syberyjskiéj i z Ekaterinenburga przez Troick i żyzną dolinę rzeki Sary-Su dosięgnąć Fortu Perowskiego. Myśl ta znalazła powszechny poklask w komissyi, wybranéj w czasie kongresu geograficznego w Paryżu w roku ubiegłym, a nawet sami panowie Lesseps i Cotard nie wahali się uznać zalet linii przez Sary-Su i w najnowszéj publikacyi Cotard'a jest już i ta linia w obręb jego projektu wciągnięta.

W dolinach rzeki Jaxartes i Oxus, gładkich, nadzwyczaj urodzajnych, zamieszkanych przez ludność w większéj części berłu albo przynajmniéj wpływowi rossyjskiemu podległych, nie napotkają koleje żadnych trudności. Inaczéj będzie, skoro tylko wyjdą po za dolinę i zapuszczą się w pasmo górskie, wznoszące się do najwyższych wysokości, a rozdzielające Turkestan od Indyi. Cała ta kraina (1) jest jednym wielkim systemem gór, którego południowo-wschodnie ramię tworzy Himalaya, a północno-wschodnie Kuen-lun. W małym Tybecie leżącym pomiędzy temi górami nie braknie pięknych dolin jak np. dolina Kaszmiru, lecz większa ich część są to tylko głębokie jary, wyłamane w skale, przez które sobie rzeki utorowały drogi na płaszczyzny. Afgańskie góry należy uważać za dalszy ciąg Himalai i Kuen-lun. Himalaya dotyka się góry Puszt-i-Khar, która jest południowym narożnikiem wyżyny Pamin, skręca się potém ku przodowi jako pasmo Sufid-Koh, a daléj góry Solejman, które przez wąwozy Bolan i Gandawa podają rękę górom nad brzegami oceanu i zatoki Perskiéj leżącym. Kuen-lun znowu przecina na wskroś Pamir i znajduje swój dalszy ciąg w górach Badakszan, Hindukusz, Kahi-stan i górach przez Khorassan do południowych brzegów Kaspijskiego morza sięgających. Tworzy to pasmo dział wodny pomiędzy Oxusem i Kabulem. W środku tych gór rozległa się przeszło 15,000 stóp wysoka a 700—800 mil ang. szeroka wyżyna Pamir, od północy ostrą krawędzią ku rzece Narym opadająca, a ku zachodowi wysuwająca swe ostateczne kończyny w pobliżu Bucharyi. Zejście téj wyżyny do płaszczyzn Kaszgaru i doliny Indu, jest stosunkowo bardzo łagodne. O dolinie Czitral, kędy rzeka Kunar

---

(1) *Rawlinson*. England and Russia in the East. Lond. 1875. — *F. v. Hellwald*. Centralasien. Leipzig, 1875.

do Kabulu płynie, pisze kap. Barertz, podług opowiadania krajowców, że tamtędy i lekką artyleryą możnaby wprowadzić na wyżynę Pamir. Od północy pochylają się ku południowi i zbliżają do wyżyny Pamir góry Tian - Szan, których dalszym ciągiem są Ala-Tau, góry Alexandrowskie i sąsiedni Jaxartowi Kara-Tau. Podług zdania Humboldta, miało być to pasmo północne, połączone z Kuen-lun i Himalayą przez pasmo poprzeczne z północy na południe się ciągnące, któremu dał nazwę Belut-Dagh. Lecz nowsze podróże wykazały, że nie ma takiego pasma, a wąwóz Terek oddziela bezpośrednio północną krawędź Pamiru od gór Tian-Szan.

Z zasianéj jeziorami wyżyny Pamiru spływają cztery systemy rzek, tworzące naturalne drogi, łączące z sobą kraje sąsiednie. Z pomiędzy głównego wzniesienia, a zewnętrznego pasma Tian-Szan spływa Narym, który jest głównym dopływem Syr-Daryi (Jaxartu). Z jeziora Sirik-Kal na saméj wyżynie wypływa Amu-Darya (Oxus), z którym się łączą poboczne dopływy, które rozryły wyżynę w głębokie doliny, jak Hissar, Ramid, Derwaz, Szignan, wszystko okolice prawie wcale nieznane. Spływające także z wyżyny ku zachodowi rzeki Zarafszan i Karczi, kierują swój bieg ku Oxusowi, ale w drodze spożyte na nawodnienie pól, nie dosięgają swego celu, lecz za to wytworzyły ów cudowny 83 mil kwadratowych obejmujący ogród pomiędzy Samarkandą i Bucharą. Z południowo-wschodniego krańca Pamiru, gdzie Muz-dagh podnosi swe skaliste szczyty, spływają wszystkie rzeki do Indu i Kabulu, a ze wschodnich tarasów wyżyny spada cały szereg drobnych strumyków, które giną w stepie, albo połączone w rzekę Terim uchodzą do jeziora Lop-nor.

Kraje, które z trzech stron otoczyły wyżynę Pamir, Kaszgar, Turkestan i Afganistan, noszą zupełnie ten sam charakter. Na wysokich polanach i halach ciągną się tłuste pastwiska; poniżéj w dolinach rzek, jak daleko tylko sięga błogosławiona wilgoć, rozwija się najcudowniejszy świat roślinny; porzecza Oxusu i Jaxartu, rzeki Jarkand i Kaszgar, Musghabu, Tedżeh, Herirud, Karszi, Zarafszan, Arghendab, Ternek i Hilmend, mogą iść w porównanie z znajżyzniejszemi okolicami świata. Lecz po za granicami nawodnionego przez rzeki okręgu, rozpoczyna się bezpośrednio pustynia. Trudno sobie wyobrazić naglejsze przejście. Rajskie ogrody graniczą z pustym stepem.

Stosownie do rozmaitéj natury kraju jest zamieszkująca go ludność pasterzami w górach, rolnikami na podgórzu, rozbójnikami

na pustyni. Ludność ta składa się z najrozmaitszych rass i narodowości. Pierwotną ludnością są, jak się zdaje, irańscy Tadżik, ta stała kolebka irańskiéj cywilizacyi; lecz kolejne podboje Scytów, Turków, Mongołów, wytworzyły prawdziwy kalejdoskop etnograficzny. Stosunki polityczne są na owym przesmyku oddzielającym posiadłości angielskie od rossyjskich jak najniekorzystniejsze dla dzieł pokojowéj pracy i handlu. Afganowie, to lud bitny i niesforny (1). Emirat Kabulski rozpada się na cały szereg udzielnych księztewek, których władcy w ciągłéj niezgodzie żyją z sobą i z władzą centralną. Naród dzieli się na niezliczone rody, których naczelnicy, chociażby nie więcéj niż 20 mężkich głów liczył podległy im klan, są niemniéj dumni niż książęta udzielni. Pomiędzy temi rodami nie ustają wojny. W niedotkniętym jeszcze stopą Europejczyka Kafiristanie i Dardistanie ma być ludność jeszcze wojenniejsza i nieprzyjaźniejsza obcym. Czyliż te ludy nie oprą się zbrojno budowli kolei żelaznéj, co przy naturze ich kraju, nie będzie im wcale trudne? Generał Rawlinson powiada w swém wyborném dziele, powyżéj cytowaném, że Rossya i Anglia mogłyby za wspólném porozumieniem i wspólnemi siłami zgnieść wszelki opór, zdobyć te kraje rozdzielające od siebie terrytorya dwóch ucywilizowanych państw, lecz dodaje sam, że obawiać się należy, aby tego rodzaju środek nie był płodnym w skutki, dla obudwóch państw daleko groźniejsze......

Wobec takich stosunków politycznych owych krajów, wobec trudności, jakie wyniosłe góry środkowéj Azyi, których wąwozy, kędy ma kolej przechodzić, wznoszą się, jak Baucyem do 12,000 stóp, a Karakorum do 18,000 stóp, przeciwstawiają wykonaniu projektu Cotard'a, prawdopodobnie nie tak prędko doczeka się on swego urzeczywistnienia, tém bardziéj, że ruch handlowy na tych z takim trudem zbudowanych liniach przez długie jeszcze lata byłby jedynie handlem tranzytowym z Indyi do Europy. Kraje środkowéj Azyi nie mogą jeszcze brać w nim żywego udziału. Turkestan jest krajem wyłącznie rolniczym, zdolnym wprawdzie do uprawy bawełny, ryżu, jedwabiu, owoców, wszelkiego rodzaju zbóż, lecz summa dzisiejszéj produkcyi nie przechodzi summy potrzeb i należy dopiero sztuczném nawodnieniem zdobyć na pustyni nowe obszary pod pług i rydel przydatne i zwiększyć produkcyą rolniczą, czego dopiero po długich latach z postępem kolonizacyi, można się spodziewać. Przemysł jest nieznaczny; jedy-

---

(1) *Kaye.* History of the war in Afghanistan.

nie wyroby wełniane, któremi się mianowicie Buchara odznacza, znajdują pokup i za granicami Turkestanu. W świeżo zdobytéj Ferganie istnieją przędzalnie jedwabiu, przecież ten przemysł zdaje się tamtejszym mieszkańcom tak mało zyskownym, że w Taszkencie i Bucharze bywa sadzone drzewo morwowe jedynie dla zyskania drzewa budowlanego, gdyż dochodzi tam morwa do 12 metrów wysokości, ale nie dla hodowania kokonów. (Rapport Dra Kiltanga z wystawy moskiewskiéj w r. 1867). Bogactwo mineralne środkowéj Azyi nie jest dotychczas gruntownie zbadane, lecz wiadomości, jakie mamy, nie brzmią bardzo korzystnie. Na północ od dolnego Oxusu dobywają tylko marmur i fosforyty w wielkich ilościach, tak, że będą mogły służyć do korzystnéj fabrykacyi nawozów. W tychże samych okolicach, w górach Szeik-Dżeili, spotykają się drogie kamienie (1). W góraah Kara-Tau odkrył w rozmaitych miejscach Czerniajew, a późniéj Siewiercow węgle kamienne, dla przyszłéj kolei tém ważniejsze, że prawie na połowie drogi z Orenburga do Peszaweru znalezione. Nad górnym Jaxartem mają być kopalnie soli, cyny i srebra; na wyżynie Pamir saletra, siarka, ołów i miedź. Niedaleko źródeł Oxusu są kopalnie rubinów i lapis lazuli, lecz prawie już wyczerpane.

Nie obfity to plon, a przecież większa część kraju jest zbadana, chociaż nie specyalnie w górniczych celach. Zatém kraje środkowéj Azyi nie posiadają, mówiąc językiem handlowym, dostatecznych remittendów, nie mają czém zapłacić wyrobów europejskich i na dzisiaj są bardzo podrzędnym czynnikiem handlowym. To też summa przywozu i wywozu nie jest znaczna. Handel Indyi z Afganistanem nie przechodzi 1,000,000 Ł., a handel z Turkestanem wynosi podług sir Douglasa Forsytha tylko 60,000 Ł. rocznie. Handel Rossyi z Turkestanem jest daleko znaczniejszy niż angielski, lecz cyfra, jakiéj dosięga, jest nieznana.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte, chwilowa przynajmniéj nieproduktywność Turkestanu, przeszkody, jakie stawia drodze żelaznéj ukształtowanie kraju, pustynie i niebotyczne góry, a przedewszystkiém polityczny stan Afganistanu i Kafiristanu, nie tak prędko dozwolą urzeczywistnić pomysł p. Cotard'a, i mojém zdaniem zostanie on wyprzedzony przez pokrewny mu projekt pólkownika Bogdanowicza, zbudowania kolei żelaznéj z Niższego Nowogrodu przez Syberyą do Pekinu.

Syberya! Wcale to nie dawne czasy, kiedy to groźne imię

(1) Petermann. Mittheilungen, 1874. Die russische Amu-Daria. — Expedition.

wywoływało przed wyobraźnią mieszkańca Zachodu straszliwy obraz kraju ściętego lodem i śniegiem, w którego pustych przestrzeniach dziki Jakut, albo Buryata uganiający się za sobolem, pospołu z garstką smutnych wygnańców, walczą z macoszą naturą o pierwsze życia potrzeby. Z postępującą znajomością olbrzymiego kraju, traci on coraz więcéj odstraszających cech, pokazuje coraz to nowe wdzięki i nowe bogactwa. Przekonaliśmy się, że nie wszędzie w Syberyi spada w zimie termometr jak w Jakucku o 40° poniżéj zera, że nie cały kraj jest pustą tundrą, albo tajgą nieprzebytą, lecz że tłustym czarnoziemem pokryte stepy południowo-zachodniéj Syberyi tylko czekają pracowitéj ręki oracza, aby obfitym się wywdzięczyć urodzajem; że niezmierne lasy kryją w swych ostępach niezliczone mnóstwo niedźwiedzi, renów, łosiów, danieli, lisów, rysiów, soboli i innych zwierząt, których drogocenne futra stanowią przedni artykuł handlu międzynarodowego; że góry Uralskie, Altajskie, Sajańskie obfitują jak żadne inne na świecie w cenne kruszce, które przecież w najmniejszéj dopiero części zostały wydobyte z macierzystych głębin ziemi i puszczone w obieg, aby przyspieszyły tętno życia ludzkości. Nawet i puste tundry okazały się niezupełnie ubogiemi. Pomiędzy Jenisejem i Leną i na wschód ostatniéj spoczywają w zamarzłych błotach całe pokłady kości słoniowéj, szczątki dawno wymarłego świata zwierzęcego. Jakuty przywożą całe ładunki tego cennego towaru do Jakucka; wyspy Lachowskie mają być zupełnie zasiane zębami mamutów. A w tak zwanéj Turochańskiéj tundrze, leżącéj pomiędzy rzekami Kurika i Dolną Tunguzką znaleziono olbrzymi pokład grafitu, tém większéj wartości, że pokłady angielskiego grafitu w Borrowdale są wyczerpane, a bawarskie kopalnie pod Passau dają bardzo lichy materyał.

Bogactwo mineralne Syberyi południowéj wskazuje na nią jako na naturalną drogę do Chin, bo tu nie będzie potrzeba czekać, jak w krajach czysto rolniczych, nim ze wzrostem ludności znajdzie się towar dla kupca i ładunek dla kolei żelaznych, bo ten towar leży pod stopami i z niewielkim trudem da się pobudzić z sennego dzisiaj stanu do życia. Zróbmy ile możności dokładny przegląd tego bogactwa. Na pograniczu Syberyi w środkowym Uralu od Miaska do Szajtańska są kopalnie soli, drogich kamieni, jak szafirów, hiacyntów, granatów, topazów, beryllów, turmalinów, malachitu i t. p., złoto, platyna, miedź, a mianowicie żelazo, ten najcenniejszy ze wszystkich minerałów, znajdują się w niedalekiém sąsiedztwie od pokładów węgla kamiennego. W okolicy Kuszwińska, Tagilska, Wierchoturyi są prawdziwie nieprze-

brane zapasy żelaza. Tak zwana Wysoka Góra pod Tagilskiem zawiera 20—30,000 milionów pudów kruszcu, który 66% czystego żelaza wydaje; góra Błahodat pod Kuszwińskiem zawiera do 1,000 milionów pudów takiego samego kruszcu. Są to zasoby, które na setki lat wystarczą (1). A jednak żelazo uralskie nie może wytrzymać w samejże Rossyi współzawodnictwa z angielskiém. Przyczyną tego jest brak dobrych kommunikacyi. Z Niższego Nowogrodu, gdzie się kończy koléj żelazna, jest do Uralu tak daleko jak z Wiednia do Konstantynopola, i tę przestrzeń trzeba przebywać na kołach, albo rzekami, które przez połowę roku są związane lodem. W skutek tego transport jednego centnara z miejsca aż do Petersburga kosztuje podług Tannera więcéj niżeli rubla, a trwa półtora roku. Przytém, ponieważ kopalnie żelaza nie są połączone koleją żelazną z więcéj ku północy leżącemi kopalniami węgla kamiennego, nie można tego ostatniego użyć jako paliwa w piecach, a drzewo i w Uralu coraz to kosztowniejsze i podnosi w cenie tym sposobem wyroby hut uralskich. Drogi robotnik, drogi opał i drogie środki transportu: oto są przyczyny, dla których żelazo uralskie nie może dotychczas współzawodniczyć z innemi. Jedynie koléj żelazna może do należytéj potęgi rozwinąć przemysł górniczy w Uralu, a rozbudzić go w obwodzie minusińskim, okolicy Irkucka i za Bajkałem. W czworoboku pomiędzy Jenisejem, Angarą i górami Sajańskiemi, leżą w ziemi nieprzebrane skarby. Nad brzegami Irkutu leży żelazo pod samą darnią, kowal wiejski w Tasjajewie zaopatrywał przez długie lata swą kuźnię z takiéj otwartéj skarbnicy; tak samo jest nad Angarą i w całym tym błogosławionym czworoboku. Węgle kamienne leżą równie obficie i równie płytko pod powierzchnią ziemi, jak np. pod wsią Czeremchowem. Albin Kohn (2) powiada, że każda stacya kolei żelaznéj w tym obwodzie mogłaby mieć swoję własną kopalnią węgla. W każdéj rzeczce wpadającéj do Angary albo do Jeniseju są płóczki złota, niedostatecznie tylko eksploatowane. W Usti-Kutta, w Troicku i tylu innych miejscach są warzelnie soli. Na południe Irkucka w górach Sajańskich znajduje się grafit, którego pokład cenią na 100,000 pudów. Nad Bajkałem są łomy marmuru, drogie kamienie jak lapis lazuli, pokłady glinki porcelanowéj. Z tamtéj strony Bajkału nad górnym Amurem i jego pobocznemi dopływami

---

(1) *v. Tanner.* Russlands Montanindustrie, insbesondere dessen Eisenwesen. Leipzig, 1871.

(2) *Albin Kohn und Richard Andree.* Sibirien und das Amurgebiet. Leipzig, Spamer, 1875.

Oldaj, Urami, Burgali znaleziono w 23 miejscach złoto, poniżéj żelazo i węgle. Bogactwo obwodu nerczyńskiego jest znane. W łożyskach wszystkich rzek jak Czilok, Onon, Szyłka, Gazimur są płóczki złota; pod Nerczyńskiem ołów i srebro; cynober i rtęć pod Ildikanem; miedź w Aya i nad Knidum; cyna nad Ononem; żelazo pomiędzy Udą i Osilokiem; węgle nad lewym brzegiem Szyłki niedaleko Nerczyńska; drogie kamienie w górach Adonczolon nad rzeką Onon, tamże źródła mineralne; asfalt w wiosce Bootje pod Nerczyńskiem. I nad Leną w okolicy Olekmińska, jak i nad Aldanem znajduje się złoto, wyżéj ku północy wszędzie massy kości słoniowéj, a na dalekim wschodzie, na wyspie Sachalin, ogromne kopalnie węgla.

Wszystkie te bogactwa są zaledwie napoczęte; brak łatwéj kommunikacyi stoi na przeszkodzie rozwojowi górnictwa w Syberyi, tak samo jak rozwojowi handlu z Chinami. Handel karawanowy nie może wytrzymać konkurencyi z handlem morskim, transport puda lądem przez Syberyą kosztuje 10—12 rubli, morzem do Odessy albo Królewca tylko 4 ruble; dlatego handel Rossyi z Chinami upada, a nie wzrasta. W r. 1861 wynosił handel herbaty przez Kiachtę 7,270,000 rubli i spadł w r. 1872 na 4,121,000 rubli, a handel tkaninami i futrami spadł z 4,550,000 rs. na 2,420,000 rs. (1). W r. 1850 wprowadzała Rossya do Chin wyrobów rękodzielniczych za 7,200,000 rs, a z Chin za to przybywało 13,648,000 funtów herbaty, któréj trasport kosztował 3 miliony rubli. Do roku 1867 tak się zmiejszył ten handel, że ze 127 domów handlowych w Irkucku upadło 40 (2). Temu cofaniu się wstecz ruchu handlowego może jedynie zapobiedz zbudowanie kolei żelaznéj, która nawet, zważywszy łatwość transportu lekkich a drogich produktów chińskich, jedwabiu i herbaty, z pewnością zwróci handel chiński od wybrzeży oceanu Spokojnego ku płaszczyznom sybirskim.

Konieczna potrzeba kolei żelaznéj dała się naturalnie najpierw uczuć w kopalniach i hutach uralskich, na drodze z Nowogrodu do Ekaterinenburga, gdzie zyskowność zbudowania kolei wróży olbrzymi ruch handlowy toczący się po téj drodze. Słynny geolog austryacki, pan v. Hochstetter, naliczył w czasie swéj podróży po téj drodze w przeciągu czterech dni 3,586 wozów

---

(1) Russische Revue. 2-ter Jahrgang, p. 350.

(2) v. Hochstetter. Die Verkehrsverhältnisse am Ural und die uralischen Eisenbahnen. Mittheilungen der K. K. geographischen Gesellschaft in Wien. Jahrg. 1873.

ładownych po 20—25 pudów i więcéj nad 100 tarantasów, a przecież, jak sam zapewnia, przespał część znaczną czasu. To też już przed dziesiątkiem lat projektował półkownik Bogdanowicz zbudowanie kolei uralskiéj (1), którąby połączyła Nowogród z Ekaterinenburgiem, a jednocześnie zjawiły się i inne projekta, które miały na celu nietylko połączenie tych dwóch punktów, ale i objęcie siecią dróg żelaznych całego górniczego okręgu w Uralu. Projekt p, Bogdanowicza uzyskał 30 grudnia 1875 r. Najwyższą sankcyą, a i uzupełniająca tę główną linią kolej poboczna, taka, jaką w r. 1870 pp. v. Helmersen, dr Moeller i inni urzędnicy ministerstwa dróg i kommunikacyi proponowali Około téj ostatniéj roboty już są rozpoczęte. Wyjdzie ona z Permu, połączy łukiem ku północy wysuniętym najznaczniejsze huty tak na zachodnim, jak i na wschodnim stoku Uralu, odłamie się ku pokładom węgla na zachodnim stoku Uralu pod Kejnowskiem, Kisielowskiem i Aleksandrowskiem leżącym, i pod Ekaterinenburgiem powróci do głównéj linii kolei sybirskiéj. Mówię sybirskiéj, bo w przeciągu tych kilku lat urósł projekt półkownika Bogdanowicza z projektu kolei uralskiéj na projekt kolei z Nowogrodu do Pekinu przez południową Syberyą (2).

„Na podobieństwo bezbrzeżnego Oceanu, pisze Fryderyk „v. Hellwald (Centralasien), rozległa się u stóp podróżnego, który „zstępuje ze wschodniego stoku Uralu, szeroka płaszczyzna, i nie„przejrzana, niezmierzona, sięga głęboko we wnętrze Azyi, aż „nieledwie do granic chińskiéj cywilizacyi.“ Tamtędy po tym równym stepie, kiedy nawet jar głęboki nie stawia żelaznéj drodze zapory na przestrzeni 1,850 kilometrów, umyślił półkownik Bogdanowicz poprowadzić kolej z Niższego Nowogrodu przez Kazań, Ekaterinenburg, Tiumeń, Omsk, Tomsk, Krasnojarsk do Irkucka. Dopiero odtąd zaczynają się trudności, lecz łatwe do zwalczenia, bo najwyższy punkt w górach Jabłecznych (Jabłonowoj chrebiet), który kolej musi przekroczyć, dosięga tylko 1,150 metrów. Z Irkucka ma obejść kolej jezioro Bajkalskie do Werchneudińska, ztamtąd do Czity, a żeby ominąć wyżynę Mongolii, zwraca się ku granicom Mandżuryi i wzdłuż gór Chin-gan przez Kailar i Dulun-nor, dosięga Pekinu. Półkownik Bogdanowicz zbadał jak najdokła-

(1) Project d'un chemin de fer à travers l'Oural par le Colonel E. Bogdanowitch. Traduit du Russe. Paris, 1868.

(2) Le Chemin de fer de Siberie par le colonel Bogdanowitch. Communication faite le 6 aout 1875 au congrès international des sciences géographiques. Paris, 1875.

dniéj całą tę przestrzeń, i jego myśl pozyskała na zeszłorocznym kongresie geograficznym w Paryżu jak najpowszechniejsze uznanie, mianowicie ze strony pp. Lesseps'a i Cotard'a, którzy, jak to już wyżéj wspomniałem, część pomysłu Bogdanowicza, to jest odgałęzienie z Ekaterinenburga przez Troick i dolinę Sary-Su wcielili do swego projektu centralno-azyatyckiéj kolei. Długość całéj linii wynosi 7,168 kilometrów, koszta od 2—3 miliardów franków. Summa ogromna, dwa razy kosztorys centralno-azyatyckiéj kolei przenosząca, lecz słusznie powiada p. Bogdanowicz, że jeżeli Rossya potrafiła w przeciągu 15 lat zbudować 24,000 kilometrów dróg żelaznych za cenę 6 miliardów, to znajdzie i 2 miliardy na budowę sybirskiéj kolei potrzebne.

Wykonanie tego projektu ułatwia przedewszystkiém ta okoliczność, że 6/7 drogi bieży na terrytoryum Cesarstwa, zatém nie ma obawy, aby jakie niesforne plemiona Afganistanu, albo Dardistanu stawiły mu zaporę. Chiny prawdopodobnie także dadzą się pozyskać dla projektu, zwłaszcza, że w ostatnim właśnie czasie zezwolił rząd Niebieskiego państwa na budowę kolei z Szanghai do Wusang. Maluteńka to wprawdzie linia, ale z podjęciem jéj budowy zasada została przyjęta. O znaczeniu handlowém drogi żelaznéj półkownika Bogdanowicza nie potrzebuję się szeroko rozpisywać. Płody Chin, mianowicie jedwab i herbata, niewątpliwie zwrócą się na tę drogę handlową, i wschód Europy, nie jak dotychczas zachód stanie się wielkiém emporium, pośredniczącém w wymianie pomiędzy Chinami i Europą. Do tego należy dodać, że żaden naród europejski nie jest chętniéj, a raczéj mniéj niechętnie, widziany w państwie Niebieskiém, niż właśnie rossyjski. Okazało się to w czasie pamiętnych mordów w Tientsin w r. 1872, okazuje się na spokojnéj tolerancyi z jaką patrzą strojne w warkocze Mongoły na przedsiębierców rossyjskich, zakładających w środku kraju plantacye — a dodajmy i fabryki — herbaty. Nie tu miejsce wyłuszczać przyczyny tego zjawiska, lecz niemniéj fakt sam jest prawdziwy.

O ile pod względem handlowym kolej syberyjska jest nieporównanego znaczenia, o tyle kolej przez środkową Azyą pod względem politycznym. Stanowisko przeważne, jakie Rossya zajęła w Turkestenie, domaga się takiéj kolei. Rząd cesarski uznawał to zawsze, i dlatego tak gorąco popierał projekt Cotard'a, nawet poczynił kroki przygotowawcze do urzeczywistnienia tego projektu. Przed niedawnym czasem donosiło *Nowoje Wremia*, że ministerstwo dróg rozkazało zbadać dokładnie drogę z Ekaterinenburga do Turkestanu, przez Czelabińsk, Troick, dolinę górnego Tobolu,

a potém rzeki Sary-Su do łożyska Syr-Daryi. Jest to właśnie linia, proponowana przez Bogdanowicza i ta została zamiast Orenbursko-Turkestańskiéj wcieloną do projektu Cotard'a. Rząd myślał nawet o uzupełniajacych linią środkowo-azyatycką bocznych kolejach. I tak już w r. 1874 starał się przez generała Falkenhagena skłonić rząd perski do pozwolenia na budowę kolei z Tyflisu przez Tabris do Teheranu. Kolej taką możnaby przedłużyć do Buchary, zaczém nizina kaspijsko-uralska zostałaby ściśnięta pasem żelaznym, któryby był najpewniejszą gwarancyą panowania Rossyi w przedniéj i środkowéj Azyi. Myśl takiéj pierścieniowéj kolei naokoło dwóch tych mórz lądowych podniósł przed kilku miesiącami znany prezes tow. geograficznego wiedeńskiego pan v. Hochstetter w prelekcyi mianéj w muzeum oryentalném w Wiedniu (1). Proponuje on nadto, aby tę kaukazko-turkestańską kolej, która wielkim łukiem okrąży od południa morze Kaspijskie i połączy Tyflis z Taszkentem, poprowadzić daléj przez rossyjską Dsungaryą, Semipałatyńsk do Omska, gdzie się złączy z koleją syberyjską.

Dsungaryą nazywamy kraj pomiędzy Altajem a górami Tian-Szan leżący, dawniejszą chińską prowincyą Thian-Szan-Pelu wraz z obwodami Ala-tau i Siemirieczeńsk. Kraj to pod względem bogactwa i żyzności mogący współzawodniczyć z każdym innym, nawet z błogosławionemi ogrodami Samarkandy i Buchary, obfitujący w płody kopalne, a jednocześnie piękny jak Szwajcarya. Jest to jedna z najwięcéj przez naturę uposażonych okolic środkowéj Azyi i tém większą ma przyszłość, ile że jest najbliższą drogą do Chin, dokąd prowadzą z Dsungaryi dwie drogi, jedna nad jeziorem Sajsańskiém i wzdłuż doliny Czarnego Irtyszu, druga zaś doliną rzeki Ili. Tamtędy też prowadzi baron Richthofen prezes tow. geogr. berlińskiego i słynny po Chinach podróżnik, kolej żelazną (2), która ma wyjść z Szanghai, przez Nankin, Lanczen, Chamil, przeciąć środkowe Chiny i doliną Irtyszu podążyć do Semipałatyńska. Żyzność semipałatyńskiego i semireczeńskiego obwodu, i znaczenie jego handlowe, jako drogi do Chin, przemawiają bardzo za myślą p. Hochstettera.

Z Omska do Semipałatyńska nie napotka kolej prawie żadnych trudności do zwyciężenia. Droga biegnie równym i nieprzerwanym stepem. Obwód semipałatyński nosi pochlebną nazwę Włoch

---

(1) Augsburger Allgem. Zeitung. 1876. No. 76. Beilage.

(2) Porównaj mappę.

sybirskich, tak przyjemny jest klimat, a pokłady węgla kamiennego, niedawno wynalezione, będą przyszłéj kolei bardzo przydatne. Za Semipałatyńskiem wygina się step w pagórki, zachodnie kończyny gór Tarbagatai (góry świszczów), i gór Karkarolińskich łączą się w dość wysoki łańcuch, zwany Czingis-tan, który trzeba przekroczyć na drodze do Sergiopola. Ztamtąd przez Kopal i Wiernoje posunie się kolej wzdłuż gór Ala-tan do Fort Kastek, gdzie przez 2,286 metrów wysoki wąwóz Kastek przejdzie z doliny rzeki Ili do doliny rzeki Czu, aż do Tokmaku doliną téj rzeki, potém przecież wprost na zachód wzdłuż gór Alexandrowskich do Dżemkentu i Taszkentu.

Potrzeba tylko rzucić okiem na mappę środkowéj Azyi, aby ocenić doniosłość polityczną linii kolejowych okrążających centralno-azyatycką płaszczyznę. Za pomocą tych dróg można będzie każdéj chwili rzucić znaczne siły wojskowe na każdy punkt, czy do Persyi, czy na granicę chińską, czy indyjską. Posłuchajmy, co o tém mówi sam twórca projektu, p. Hochstetter: „Ta sybirsko-centralno-azyatycka linia przez rossyjską Dsungaryą zdaje mi się być większego znaczenia, aniżeli wszystkie inne dotychczas proponowane linie. Bo przypuśćmy, że zostanie zbudowaną ta kolej z Omska przez Semipałatyńsk do Taszkentu i Samarkandy, a jednocześnie zamieni się w rzeczywistość projekt kaukazko-perskiéj kolei i Tyflis zostanie przez Teheran, Medżed, Bucharę i Samarkandę także z Taszkentem złączony; to utworzy sobie Rossya pierścieniową kolej z Moskwy przez Władykaukaz, Tyflis, Teheran, Taszkent, Wiernoje, Semipalatyńsk, Ekaterinenburg i z powrotem do Moskwy, któréj politycznego i handlowego znaczenia i wpływu na stanowisko Rossyi w Azyi wcale dzisiaj dostatecznie ocenić nie potrafimy. Ta europejsko-azyatycka kolej długa 1,200 mil geogr. (8,904 kilom.), któréj czwarta część jest skończona, obejmie cały obszar stepów kaspijsko-uralskiéj niziny, Moskwa i Taszkent, Ekaterinenburg i Teheran przypadną na końcowe punkta przecięciowych średnic, dzielących całe koło na cztery równe kwadraty, a z tych punktów będzie można jakby ssące kanały wysunąć w kierunku promieni, koleje poboczne. W żadnéj innéj okolicy ziemi nie wskazują naturalne stosunki na taką pierścieniową kolej. Rozwiązaniem problematu utworzenia dobréj kommunikacyi nie będzie przecięcie stepów i pustyń uralsko-kaspijskiéj niziny, ale okrążenie ich za pośrednictwem kolistéj kolei, z pobocznemi wysuwającemi się w promieniach od środkowego koła. Główne stacye poludniowo-wschodniego półkola téj linii są jednocześnie ujściami azyatyckich dróg karawanowych, których bramy nad Irtyszem, Ili i Syr-Daryą

już dzisiaj strzeże kozak, a o północno-zachodnie półkole opierają się skierowane ku centrum linie z Orenburga, Saratowa, Carycyna, jak palce dłoni, której trzon spoczywa w Moskwie. Nie można wątpić, że wykonanie takiéj kolei da Rossyi w ręce monopol środkowo-azyatyckiego handlu, przypieczętuje panowanie Rossyi w Azyi.

„Jak nadzwyczajnego strategicznego znaczenia byłaby dla Rossyi taka kolej kolista, za pomocą któréj mogłaby swe wojska dyzlokować w każdym kierunku na punkta zagrożone z największą łatwością, za pomocą któréj korpusy armii ze środka kraju, albo Kaukazu mogłyby się nagle znaleźć na krańcach monarchii, nad tém nie potrzeba się szeroko rozwodzić.

„Ze spokojem mogłaby wtedy oczekiwać Rossya, kiedy nadejdzie czas wykonania owych innych linii kommunikacyjnych, które wychodząc z nad brzegów oceanu Spokojnego przez środek Chin, albo z nad ujścia Gangesu przez Indye ku centrum Europy się skierują. Obiedwie linie muszą koniecznie przytulić się jako styczne do owego żelaznego koła i jakiś czas biedz jego śladem. Punktem zetknięcia się północnéj stycznéj będzie Semipałatyńsk, a południowéj, wychodzącéj czy to z Peszaweru, czy z Szikarpuru, Medżed.

„Stopniowo, krok za krokiem, przeniosła Rossya linią działania swéj polityki, czyli swoję linią zaczepną, z ponad morza Czarnego i Bosforu, na który pierwotnie była skierowaną, na wschód. Na linii europejskiéj trafiła Rossya na solidarne interesa konserwatywnéj eropejskiéj polityki. Wszystkie jéj usiłowania, aby dotrzeć do Konstantynopola, wszystkie walki nad Dunajem i na Bałkanie były daremnemi wysileniami. Wojna krymska zniweczyła plany cesarza Mikołaja. Na ich miejscu stanął plan daleko większéj doniosłości, przy którego urzeczywistnieniu wyłączone jest współdziałanie Europy, plan zapanowania nad krajami uralsko-kaspijskiéj niziny. Pierwszym krokiem do tego było zdobycie Kaukazu, drugim posunięcie orłów rossyjskich w głąb środkowéj Azyi, do Turkestanu i Dsungaryi. Od Poti nad morzem Czarném, aż do zdobytéj na Chińczykach Kuldży, od urwisk Kaukazu do stoków Thian-Szan rozpostarło się panowanie rossyjskie, i z niepohamowanym naciskiem prze kolos północny ze swych zakaukazkich i centralno-azyatyckich linii ku południowi, jednocześnie Turcyi, Persyi i turańskim hanatom zagrażając, i każdéj chwili gotów nowém uderzeniem roztrzaskać strupieszałe podwaliny mahometaństwa i posunąć daléj swe południowe granice. Któż zdoła powstrzymać ten ruch posuwający się nieledwie z żywiołową koniecznością sił przyrody?"

II.

Koleje afrykańskie.

Może niektórzy z czytelników przypomną sobie ostatnie dzieło tak tragicznie zmarłego posła francuzkiego w Ameryce, Prevost-Paradol'a: *La France nouvelle*, w którém słynny pisarz z wieszczą rozpaczą Kassandry przepowiedział na dwa lata przed wojną niemiecką klęski, jakie spadną na Francyą, i nawoływał do wczesnego myślenia o obronie. Gdy z jednéj strony wskazywał Paradol groźne niebezpieczeństwo i upadek, z drugiéj strony odsłaniał możność jak najświetniejszego rozwoju, hegemonią wśród narodów romańskich i panowanie na morzu Śródziemném. Alger, aż do tego czasu uchodzący jedynie jako pole ćwiczeń wojskowych i łatwych nad Kabylami tryumfów, miał w planie Paradol'a, skolonizowany, zaludniony, podbity cywilizacyi francuzkiéj, stać się drugą Francyą, ludną, bogatą, jednych dążności z macierzystym krajem, a wspólnym usiłowaniom tych dwóch Francyi, jednéj na północnym, drugiéj na południowym brzegu Śródziemnego morza, nie mogło ujść panowanie nad niém. Morze Śródziemne miało się zwać, jak kiedyś za państwa rzymskiego morzem Rzymskiém, tak teraz wewnętrzném morzem Francuzkiém.

Ostatnie lata pokazały, że nie można powiedzieć o Francuzach, co mówiono o Burbonach, że nie mogą niczego zapomnieć i niczego się nauczyć. Francuzi nauczyli się ze swych nieszczęść bardzo wiele, a jak bardzo wiele innych stosunków, tak i administracya Algeru uległa od czasu wojny zupełnéj zmianie. Generał Chanzy gubernator Algeru, stara się wszelkiemi siłami przygotować bogaty z natury kraj do zupełnie regularnéj i o ile będzie można autonomicznéj administracyi, militaryzm ustępuje codzień pola zarządowi cywilnemu, dołożono starań, aby przywabić kolonistów, i usiłowania te nie pozostały bez skutku, mianowicie dużo emigrantów alzackich, nadto włoskich i hiszpańskich wychodźców osiadło w Algerze. Zwiększyła się przez to liczba kolonistów europejskich, zwiększyla produkcya i summa obrotu handlowego. Przecież na szybkie postępy tego kraju tylko wtedy liczyć można, jeżeli Alger stanie się wielkiém emporium handlu europejskiego z Afryką środkową, z Sudanem.

Bardzo trafnie nazwał jeden ze znakomitych inżynierów francuzkich, a twórca projektu kolei afrykańskiéj, p. Duponchet, Su-

dan odwróconemi od morza Indyami. Ogromny ten kraj, od Senegambii do gór afrykańskich i od 17⁰ do 10⁰ szerokości północnéj sięgający, nie ustępuje żyznością bynajmniéj półwyspowi Gangesowemu. Doskonale się udaje bawełna, indygo, wszelkiego rodzaju zboża, ryż, trzcina cukrowa, pieprz, imbier, rozmaite rośliny lekarskie. Olbrzymi baobab (adansonia digitata), drzewo maślane (bassia Parkii), rozmaite rodzaje palm, orzech guru, którego owoc ludności tamtejszéj kawę zastępuje, pandanus i niezliczona ilość innych pożytecznych drzew świadczą o sile produkcyjnéj ziemi której nieszczęściem jest dotychczas jéj odgraniczenie od reszty świata. Mieszkańcy Sudanu różnią się wielce od dzikich hord murzyńskich innych okolic Afryki; ponad brzegami Nigru, aż do błotnistego jeziora Tsad mieszka pracowity, przemyślny naród, zorganizowany w państwa despotyczne, ale niemniéj przestrzegające porządku i sprawiedliwości. Potrzeba te ludy, które potrafiły nawet i przemysł swój podnieść do pewnego stopnia doskonałości, mianowicie w tkaninach wełnianych i bawełnianych i wyrobach garbarskich, wciągnąć w ruch europejski, dać im możność sprzedawania swych wyrobów, a z pewnością niebawem produkcya Sudanu w czwórnasób się pomnoży. Na nieszczęście natura utrudniła jak najbardziéj przystęp do tego błogosławionego kraju. Na wybrzeżu Gwinei czyha na Europejczyka zabójcza febra rodząca się w miazmatach wód stojących w kilkumilowym płaskim pasie nadbrzeżnym. Daléj mieszkają najdziksze plemiona afrykańskie, królestwa Dahome i Aschanti; stosunki etnograficzne i polityczne tak samo utrudniają kommunikacyą z Senegambią i Egiptem, a od północy rozległa się Sahara. Jak prawie niemożliwemi są do zwalczenia trudności oczekujące podróżnego, któryby z nad brzegów gwinejskich zapuszczał się do Sudanu, nietylko dowodzi tragiczny koniec tylu podróżników, ale sam fakt, że od najdawniejszych czasów po dziś dzień trzyma się handel Sudanu drogi przez pustynią, zatém ta droga musiała być najdogodniejsza i najmniéj niebezpieczna. Przecież karawana może służyć jedynie do transportu przedmiotów drogich i lekkich. Wielbląd nie dźwiga więcéj nad 150 kilogr., a do tego potrzeba jeszcze całéj drugiéj karawany wielbłądów, nie obciążonéj towarem, lecz dzwigającéj wodę, namioty, zapasy żywności; potrzeba dla każdego wielbląda prowadzącego człowieka, potrzeba doświadczonych przewodników, potrzeba zbrojnego glejtu szeików tuarezkich, którym dobrze trzeba zapłacić. Transport beczki o 20 centnarach kosztuje z Timbuktu do Algeru 2,700 franków; gdzież tu myśleć o transportowaniu karawaną płodów rolniczych! a Sudan jest i pozostanie jeszcze bar-

dzo długo krajem wyłącznie rolniczym. To też dzisiaj przebiegające pustynię karawany przynoszą jedynie piasek złoty, kość słoniową, strusie pióra, gumę, towary wyrobione w Kano, a i ten handel nie przynosiłby korzyści i ustałby z pewnością, gdyby nie handel niewolnikami. Na wybrzeżu północnéj Afryki powtarzają spekulanci arabscy, że potrzeba odbyć podróż do Sudanu, aby się zbogacić. Otoż handel ludźmi czyni wyprawę do Sudanu tak zyskowną. W państwie marokańskiém jest handel niewolnikami publicznie dozwolony; w baszaliku tripolitańskim pozornie wzbroniony, lecz niemniéj jawnie się odbywa. Dlatego też karawany sudańskie tak skrzętnie omijają posiadłości francuzkie w Algerze, a kierują swe kroki do Tafileletu w Marokko i do Tripolis, bo w Algerze nie mogłyby się pozbyć swego najcenniejszego towaru. Francuzi robili i robią dotychczas usiłowania, aby drogi handlu karawanowego z Timbuktu zwrócić do Algeru, do najbliższego emporium, wyprawy słynnych podróżników lat ostatnich: Pawła Soleillet'a, p. Largeau, Suy, i innych głównie w tym celu zostały podjęte. Usiłowania te były i będą daremne, bo handel niewolnikami, ten najsroższy hamulec rozwoju ludów afrykańskich, którego nie udało się dotychczas wykorzenić tak licznym staraniom rządów i filantropów europejskich, jest warunkiem bytu handlu karawanowego przez Saharę. Potrzeba karawanę zastąpić innym, lepszym środkiem kommunikacyjnym, a płody Sudanu znajdą się w massach na targu europejskim. Naród, który pierwszy zdoła utworzyć łatwą drogę do Sudanu, opanuje jego handel, zdobędzie sobie pole działania, które niemniéj podniesie jego bogactwo, niż handel indyjski bogactwo Portugalii, Hollandyi, a wreszcie Anglii. Dlatego w Anglii, jakkolwiek w jéj ręku jest handel marokański, a przez to pośredni i handel z Sudanem, zaprząta ta myśl bezustannie umysły, i temu to poczuciu powszechnemu konieczności utworzenia łatwéj z Sudanem kommunikacyi, zawdzięcza awanturniczy pomysł p. Mackenzie'go utworzenia na północ od Timbuktu, wewnątrz zachodniéj Sahary olbrzymiego morza częściowe swe powodzenie. Téj potrzebie zawdzięcza on, że ludzie znakomici nauką i stanowiskiem, nawet rząd nie odmówili swego poparcia i zorganizowali wyprawę exploracyjną, któréj rezultatem jeżeli nie będzie zalew 10,000 mil kwadratowych falami Atlantyku, to może wynalezienie nad brzegami oceanu jakiego punktu więcéj zbliżonego do Timbuktu, zkądby o torowaniu dalszéj drogi pomyśleć można. Poszukać w okolicy przylądka Bojador miejsca na dobry port przydatnego, to jest praktyczny cel wyprawy p. Donalda Mackenzie'go.

Leży to oczywiście w interesie Francyi nie pozwolić się wyprzedzić, a posiadanie Algeru ułatwia Francuzom zadanie. Potrzeba tylko przez środek Sahary zbudować kolej żelazną do rzeki Nigru, a handel z Sudanem stanie się monopolem francuzkim. Inżynier p. Duponchet wystąpił z takim projektem, i na przeszłoroczném wystawie geograficznéj w Paryżu można było widzieć mappę kolei przez Saharę przez niego nakreśloną, a razem i text objaśniający, wykazujący i możliwość i zyskowność takiéj kolei (1). Kongres geograficzny pominął całą tę sprawę, już to dlatego, że ją uważał za bardzo odległą od urzeczywistnienia, już to że zbyt się zajął projektami kolei azyatyckich, które zajęły i czas i uwagę piątéj sekcyi kongresu. Tém żywszą dyskussyą wywołał ten projekt w czasopiśmie l'Explorateur (2), czasopiśmie poświęconém wyłącznie geografii handlowéj, które wybornie redagowane, już w pierwszym roku swego istnienia (poczęło wychodzić z początkiem 1875 roku) dobiło się pierwszorzędnego stanowiska. W rezultacie téj dyskussyi, w któréj zabierali głos pp. Seleillet, Du Mazet, Delessert, Robert, półkownik Colonieu, doznał projekt p. Duponchet'a pewnych zmian stosownie do tego, jak dokładniejsze wynurzały się wiadomości o układzie geologicznym i postaci przestrzeni mającéj być przeciętą przez kolej żelazną.

Trojaka jest postać téj przestrzeni. Północna jéj część jest górską krainą przerzniętą równoległemi pasmami Atlasu; na południe od gór, pomiędzy 31° a 26° szerokości północnéj zaległy zaspy piaszczyste zwane Erg, przerwane na południowym krańcu bogatemi oazami Tuatu, a daléj aż do Timbuktu rozciąga się kamienista i bezwodna równina Sahary. Atlas składa się z trzech pasm stopniowo coraz wyżéj się wznoszących, pomiędzy któremi leżą dwie wyżyny tarasowo jedna nad drugą się wznoszące, zwane Tell. Z północnego pasma zbiegają spadające z niego wody do morza, z najwyższego południowego na południowym tegoż stoku spływające, giną w piasku Ergu. Wody pierwszéj wyżyny, pomiędzy północném i środkowém pasmem leżącéj płyną najpierw w kierunku wklęsłości ku zachodowi, poczém zwracają się ku północy, przerywają w kilku miejscach pasmo północne i uchodzą do morza. Wody drugiéj wyżyny, pomiędzy środkowém i południowém pasmem leżącéj, nie zdołały sobie utorować drogi do morza,

(1) M. A. Duponchet: La Chemin de fer de l'Afrique centrale. Étude géographique. Montpelier, 1875.

(2) L'Explorateur. No. 31, 34, 37, 39, 45. 54, 55. 56, 59, 63. 64.

zbierają się w kilku wklęsłościach wyżyny i tworzą szereg jezior latem często wysychających. Tylko jedyna rzeka Szelif wyżłobiła sobie głębokie koryto w drugiém pasmie, poczém okrążyła łukiem 200 kilometrów długim pasmo północne i niedaleko Mostaganem znalazła ujście do morza. Zatém jedynie doliną téj rzeki może kolej żelazna przekroczyć środkowe pasmo Atlasu. Wyjdzie ona z Algeru, w Afreville wstąpi w dolinę rzeki Szelif i tą doliną ma się piąć przez wyżynę Tellu, do źródeł Szelifu i Wadi Dżeddi w południowém pasmie, gdzie pomiędy Si-Buziad i Zanina, na zachód od Dżebel Amur przekroczy to pasmo przez wgięcie nie więcéj niż 1,330 metrów nad poziom morza wzniesione.

Na południe od gór rozpoczyna się Erg, kraj zasypany równoległemi, do fal morskich podobnemi pagórkami lotnego piasku, posuwającego się pod wpływem wiatrów nieustannie, chociaż bardzo powoli w kierunku zachodnim. Tę przestrzeń oczywiście musi kolej ominąć, bo w ruchomych piaskach budować drogi nie można. Można to uskutecznić albo na nizinie Wadi-Gin na zachód Ergu albo na wschód przez depressyą zwaną Wadi-Lua. Wadi Gin leży już na terrytoryum marokańskiém, zatém nie pozostaje dla kolei tylko Wadi-Lua, nizina zupełnie równa, obfitująca w wodę, do któréj jedynie w okolicy El-Goleah, na przestrzeni 12—15 kilometrów przysunęły się zaspy piaszczyste Ergu, pod któremi na tak krótkiéj przestrzeni nie będzie się trudno zabezpieczyć. Od Golea wygnie się kolej przez Wadi-Megiden ku zachodowi i wkroczy do Tuatu, kraju bardzo żyznego, w którego oazach Aużerat, Gurara, Zua, Timi, Tuat i Tidikelt mieszka 300,000 pracowitéj ludności, potrzebującéj massy zboża corocznie, którego dowóz będzie niezawodnie przedmiotem zyskownego transportu dla przyszłéj kolei. O tych oazach ciągnących się na 50 mil geograficznych, pisał już w roku 1857 gen. de Colomb (1): „Wspaniała liniai połączenia, zakreślona ręką Opatrzności pomiędzy niespokojnem i ruchliwemi narodami północy i czarnemi dziećmi bogatych krajów Sudanu.“

Daléj ku południowi zaczyna się okolica nieznana. Caillé w swéj podróży przez zachodnią Saharę, szedł drogą więcéj ku zachodowi się ciągnącą, major Laing właśnie tym traktem powracał z Timbuktu, lecz zginął w drodze i on i jego papiery, o ile się do téj ostatniéj części jego podróży odnosiły. Mamy o téj krainie tylko wiadomości od krajowców zaczerpnięte, które się w tém

---

(1) Exploration des Ksours et du Sahara de la province d'Oran. Alger, 1857.

zgadzają, że cała ta przestrzeń aż do Timbuktu jest skalistą i pustą równiną. Paweł Soleillet powiada, że podług zasiągniętych przez niego wiadomości, nie będzie potrzeba na téj przestrzeni wcale sypać tamy kolejowéj ani drogi równać, tylko podkładki położyć i szyny przyszrubować. To samo pisze gen. Colomb: „że ostatnią oazą Tuatu rozpoczyna się kredowata równina, zwana Tanzeruft, ogromna przestrzeń, zupełnie równa, bez erozyi wodnych, bez żadnéj fałdy i bez wegetacyi. Karawany wędrują przez nią 8—10 dni po drodze zasianéj kośćmi wielbłądów, które zginęły z wycieńczenia, bo na téj przestrzeni kropli wody nie znaleźć. Dopiero około 21⁰ szerokości półn. budzi się razem z odnajdującą się wilgocią słaba wegetacya, coraz to obfitsza w miarę zbliżania się do Sudanu i rzeki Niger.

Tak niebezpieczna dla karawany równina Tanzeruft nie będzie wcale groźną dla kolei żelaznéj, byle tylko zdołano postarać się o potrzebną dla żywienia lokomotywy ilość wody. W górach Atlasu, w nizinie Wadi Lua i w oazach Tuatu wody nie zabraknie; ale nie ma jéj stanowczo na równinie Tanzeruft, 75 mil geograficznych długiéj, i na kilkanaście tylko mil długiéj przestrzeni pomiędzy południowym Atlasem a Wadi-Lua. P. Duponchet nie widzi w tém wielkich trudności i spodziewa się, że nakładem rocznym 400,000 franków potrafi rurami pędzić wodę, za pomocą machin parowych, do rezerwoarów, które zostaną pobudowane na całéj linii pozbawionéj wody. Jeżeli ta trudność zostanie zwyciężoną, a muszę dodać, że kompetentni zupełnie sędziowie, jacy w téj sprawie głos zabierali, jak np. inżynier Robert, zupełnie są zdania p. Duponchet'a, iż zadanie zaopatrzenia kolei w wodę nie przedstawia nawet wielkich trudności,—to zresztą koléj środkowo-afrykańska jest łatwiejszą do zbudowania, aniżeli inne, o których wyżéj była mowa. Cała prawie przestrzeń jest jedną wielką płaszczyzną, a znajdujące się na drodze wyniosłości przedstawiają wszędzie spadek bardzo łagodny, tak, że jedynie w dolinie rzeki Szelif potrzeba będzie usuwać przeszkody.

Nakreślona przez p. Duponchet'a droga żelazna ma biedz przez opisane kraje następującą linią: Z Algeru do Afreville, do Amurah, Boghari, Hassi-Zirara, Goleah, Buguemma, Taurirt, równiną Tanzeruft do Mabnek i do Timbuktu nad Nigrem. Długość téj linii wynosi 2,535 kilometrów, koszta oblicza p. Duponchet na 400 milionów franków.

Czy ta summa może się procentować? Czy można się spodziewać, że prywatna spekulacya umieści taką summę w kolei żelaznéj przez Saharę? Czy będzie trzeba czekać, czy rząd nie uzna potrzeby

takiéj kolei i nie da na nią funduszów? Na te pytania trudno odpowiedzieć. Pan Duponchet o pierwszém nie wątpi. Na wyżynach algerskego Tellu pokrywa płaszczyznę 700 kilometrów kwadratowych alfa, roślina obecnie poszukiwana nadzwyczajnie do fabrykacyi papieru; ludność Tuatu będzie podług obliczenia pana Duponchet'a potrzebowała rocznie 40,000 beczek zboża, za to da trzy razy tyle daktylów, bo taki jest stosunek cen w Tuacie; sam transport soli podług autora, wystarczy na utrzymanie kolei, bo 40-milionowa ludność Sudanu pozbawioną jest tego cennego dla zdrowia minerału i na targu w Sago nad Nigrem kosztuje jeden kilo soli 2—3 franków, gdy 100 kilo zboża tylko 5 franków. Rachunek ten p. Duponchet'a jest prawdopodobnie cokolwiek optymistyczny, przecież mając na uwadze żyzność i produktywność Sudanu, nie można wątpić, że otwarcie sposobności zbytu, powiększyłoby w Sudanie produkcyą, a témsamém podało i drodze żelaznéj obfity materyał do przewozu.

Przypuśćmy na chwilę, że i koléj afrykańska i koleje azyatyckie zostały ukończone. Wymiana płodów Chin, Indyi, Sudanu za wyroby przemysłu europejskiego idzie skorzéj, a jednocześnie summa wymiany wzmaga się w arytmetycznéj progressyi. Za wymianą handlową, musi pójść wymiana idei, obyczajów. Ludzie żółtéj i czarnéj rassy staną się codziennymi gośćmi w Europie, gorączkowo ruchliwa ludność naszéj części świata tłumnie pogoni za zyskiem w kraje dzisiaj tylko sporadycznie, przez pełnych poświęcenia dla nauki podróżnych, zwiedzane. Co za przewrot nastąpi w wyobrażeniach, w obyczajach, w stosunkach społecznych i państwowych! Po wszystkie czasy polegał postęp ludzkości na wymianie i myśli i zasobów materyalnych od narodu do narodu. Koleje azyatyckie i afrykańskie mają ułatwić tę wymianę od rassy do rassy, dzisiaj zupełnie od siebie się różniących. Ileż to przesądów zniszczy ta wymiana, ile nowych idei wytworzy! Otwierają się nam horyzonty, po których widzimy ludzkość po zupełnie nowych drogach dążącą. Politykę europejską zastępuje polityka świata; rywalizacye narodowe zginą w obec rywalizacyi rass; ruch na polu literatury, sztuki, nauki ścisłéj przybierze charakter powszechno-ludzki; żółty Mongoł, bronzowy Hindu i czarny Murzyn, zasmakują w błogosławieństwach europejskiéj cywilizacyi. To fata morgana! powiecie. Prawda, ale w chwilach, gdy jak w wieku obecnym ludzkość europejska stoi na zakręcie ze staréj drogi w nowe nieznane tory, pod każdym względem: religijnym, społecznym, politycznym, czyż nie wabi takie spojrzenie w odległe kraje przyszłości, kędy jedynie mgliste zarysowują się kształty! A czyż

to w rzeczy saméj tylko fata morgana? Coraz to szersze kręgi zakreślają dzieje ludzkości. Od drobnych indywidualizmów średniowiecznych przyszliśmy do wielkich aglomeracyi narodowych i plemiennych; różnice pomiędzy narodami europejskiemi w obyczaju, stanie oświaty, urządzeniach społecznych zacierają się coraz więcéj, gdy jednocześnie duch narodowy coraz tęższego nabiera hartu; nauka staje się codzień więcéj narodową, kongresa powszechne, naukowe są jakby wstępem do wielkiéj międzynarodowéj akademii nauk. Cóż dopiero nastąpi, gdy w ten ruch materyalnych i intellektualnych interesów wciągniemy i czarną i żółtą rassę? Nie należy lekceważyć uzdolnienia i potęgi tych rass. Nie można myśleć, aby uległy one zupełnie wpływowi europejskiemu; popchnie on je z pewnością w nowe tory, ale nawzajem ich oddziaływaniu ulegnie. Z tego starcia sił fizycznych i duchowych musi koniecznie nowy peryod cywilizacyi się wyłonić. Kto wyjdzie z tego starcia zwycięzcą, kto w niém znajdzie zagładę? Czy nie zabijemy czarnéj rassy dotknięciem cywilizacyi europejskiéj, jak tego przykłady widzimy w Ameryce, we Freetownie, w Liberyi? Czy nie stworzymy niebezpiecznego współzawodnika naszym klassom pracującym w oszczędnych synach Niebieskiego państwa? Z pewnością przyśpieszy świst lokomotywy zgon Buryatów, albo Ostyaków, jak wypłoszył Indyan amerykańskich na łono wielkiego ducha. Ale nie czas nad tém rozwodzić próżnych żalów. W téj wielkiéj walce o byt, jaką toczą indywidua i narody, leży straszliwa groza, ale jednocześnie ona jest kolebką wszystkiego pięknego i wielkiego, co w kolei wieków potrafiła ludzkość utworzyć. Ginie w téj walce tylko ten, co sam o sobie zwątpi i ręce opuści. Potrzeba się liczyć z koniecznością chwili, potrzeba nie chronić się przed nieuniknioną walką, ale śmiało zejść na arenę, pochwycić za miecz czasowi odpowiedni i torować sobie drogę. Ze wzrostem pracy, z trudnością zadania i siły rosną. Zwycięztwo jest w ręku każdego, otwarte do zawodu pole!

Dokończenie nastąpi.

KRONIKA NAUKOWA.

Ogniwo pośrednie pomiędzy człowiekiem a małpą.

Pod tym tytułem znajdujemy w „Zeitschrift für Ethnologie,“ wiadomość następującéj osnowy, zaczerpniętą z „The engineering and mining Journal“ vol. XX Nr. 1, 3 Juli 1875 str. 3.

„Jeśli mamy wierzyć sprawozdaniu nadesłanemu z prezydentowstwa Madras, to nareszcie znaleziono przynajmniéj jedno z brakujących ogniw łączących małpy antropomorficzne z gatunkiem Homo sapiens. Znalazł je pan *Bond* urzędnik wschodnio-indyjski, który zdobył sobie dwa egzemplarze, z rassy odznaczającéj się cechami małpom właściwemi, a żyjącéj w dżonglach zachodniéj części gór Ghats. Rassa ta żywi się głównie korzeniami i miodem i nie posiada stałych siedzib. Stworzenia te okazują poniekąd cywilizowane skłonności (civilisirte Neigungen-tendences), albowiem zamieniają miód, wosk i inne produkta swych lasów na tytuń, odzież i ryż. Dyagnoza téj godnéj uwagi pierwotnéj rassy ludzkości jest bardzo interesująca. Czoło jest nizkie i w tył cofnięte, dolna zaś część twarzy wystaje naprzód jak u małp; nogi krótkie, na zewnątrz wygięte, tułów zaś i ramiona stosunkowo długie. Najgodniejszą uwagi cechę okazują dłonie, które tak wraz z palcami są zgięte, że nie mogą się swobodnie wyprostować. Wewnętrzne powierzchnie dłoni (palms) i palce, a szczególnie ich końce, są pokryte grubym naskórkiem; paznogcie są małe i nierozwinięte (imperfect), stopy zaś szerokie i zarówno na stronie górnéj jak i dolnéj, pokryte grubą skórą. Lud ten nie jest bez religii, gdyż o ile pozory wnosić pozwalają, istnieje u niego pewien rodzaj czci natury (natur worship). Góry Indyi ukrywają wiele bardzo starych rass, które znalazły w nich schronienie, uciekając przed najezdcami, zalewającymi tłumami w przedhistorycznych

czasach cały półwysep indyjski, tak jak w późniejszych czasach Italią. Pierwotne obyczaje i zwyczaje tych ludów rzuciły już pewne światło na niejednę zagadkę etnologiczną.“

Jakkolwiek nie uważamy za niemożliwe znalezienia jakiejś rassy pierwotnéj, która się przed walką o byt z plemionami wyższemi schroniła w niedostępne miejsca gór indyjskich, jednakże ze względu na pobieżność powyższego opisu, na to, że p. Bond nie znany ani z nauki, ani z wiarogodności—podajemy tę wzmiankę ze wszelkiemi zastrzeżeniami, przyrzekając usunąć wątpliwość, gdy otrzymamy sprawozdanie ze strony lepiéj aniżeli cytowany dziennik górniczy poinformowanéj.

Czas reakcyi wrażeń wywołanych w języku.

Dawniéj sądzono, że wrażenie dla przebiegu np. od palca do centrum świadomości żadnego czasu nie potrzebuje, to jest, że w téj saméj ściśle chwili czujemy ból, w któréj nas ktoś ukole. Sądzono także, że od chwili podziałania bodźca, aż do oddziałania nań—np. od ukłócia aż do usunięcia ręki ukłótéj, upływa czas tak nieskończenie mały, że go bynajmniéj oznaczyć niepodobna. Jednakże uczeni fizyologowie, a pomiędzy nimi głównie Helmholtz, dowiedli, że szybkość przebiegu wrażenia po nerwie nie jest bynajmniéj niekończoną, oznaczyć się nie dającą, i owszem, nie należy ona nawet do największych prędkości znanych, gdyż o wiele ustępuje prędkości kuli karabinowéj i głosu — nie mówiąc już o szybkości światła i elektryczności. Po tém zasadniczém odkryciu, dokonano wiele badań szczegółowych nad czasem upływającym pomiędzy podrażnieniem pewnego zmysłu a daniem nań odpowiedzi w formie umówionego znaku, czyli czasem reakcyi pewnego wrażenia. Ostatnie badania tego rodzaju odnoszą się do wrażeń smaku wywołanych na końcu języka. Czas ich reakcyi mierzyli pp. v. Vintschgan i J. Königschmied. Według nich czas reakcyi wrażenia od soli kuchennéj wynosi 0,1598 sekundy, od cukru 0,1639, od kwasu 0,1676, od chininy 0,2351. Wartości te odnoszą się do jednéj osoby.

Interessującym jest wypadek porównania tych cyfr z czasem reakcyi wrażenia dotyku, wywołanego także na końcu języka.

U téj saméj osoby, na któréj powyższe badania dokonane zostały, czas reakcyi wrażenia dotyku, sprawionego przez dotknięcie

końca języka pędzelkiem, wynosił 0,1507. Liczba ta jest mniejsza od wyrażającéj czas reakcyi dla wrażenia słoności, a więc wypada, że w tym razie wrażenie dotyku daleko szybcéj przebiegało od najszybszego wrażenia smaku. Na środku języka czas reakcyi po dotknięciu pędzelkiem wynosił 0,1527. Słaby prąd elektryczny działający na koniec języka wywołał odpowiedź po 0,1813 sek., na silne zaś podraźnienie elektryczne odpowiedź nastąpiła już po 0,1452 sekund.

Wszystkie te wartości liczebne stanowią wypadkowe przeciętne z wielu doświadczeń. Widzimy z nich, że koniec języka jest najczulszy na silne podraźnienie elektryczne, i że stopnie czułości u indywiduum można uszeregować w sposób następujący według bodźców:

1-o silne podraźnienie elektryczne,
2-o dotknięcie,
3-o słoność,
4-o słodycz,
5-o kwas,
6-o słaby bodziec elektryczny,
7-o gorycz.

Doświadczenia dokonywane na innych osobach wydały bezwzględnie i względnie odmienne wypadki. O zboczeniach tych jednak nie warto mówić, gdyż podobnych rezultatów u różnych osób porównywać z sobą nie można: nie ma pomiędzy niemi żadnéj współmierności. Grają tu bardzo ważną rolę czynniki podrzędne, jak np. grubość naskórka w miejscu draźnionêm, mogąca znacznie przedłużyć czas reakcyi. Wniosek więc o rozmaitéj czułości różnych organów zmysłów, najlepiéj da się osiągnąć z badań nad jedną osobą.

Sprawy chemiczne i biologiczne podczas tworzenia się sera.

Jakkolwiek fabrykacya sera znana jest od niepamiętnych czasów i jakkolwiek zajmują się nią zwykle ludzie bez żadnego naukowego wykształcenia; jednak sprawy, jakie przy tworzeniu się sera zachodzą, nie należą bynajmniéj do najprostszych i jasnością swą rzucających się w oczy uczonemu; i owszem pokrywa je dotąd mrok tajemnic, które dopiero przyszłość odsłoni.

Na polu badania tych spraw stanowią ważny postęp niedawno dokonane prace Ferdynanda Cohna (1), który w toku badań nad najniższemi organizmami, zwanemi bakteryami, studyował osobiście przyrządzanie sera w Szwajcaryi, które w następujący sposób opisuje i rozbiera.

Tak zwany ser szwajcarski przygotowuje się w wielkich kotłach miedzianych z mleka, które przez dodanie podpuszczki zamienia się w gęstą galaretę. Po zostawieniu mleka zsiadłego przez kwadrans w spokoju, mieszają je łopatkami w ten sposób, aby górne warstwy bogate w masło zmieszały się z dolnemi. Następnie massa, rozdzielona na kawałki wielkości grochu, ogrzewa się na ogniu przez godzinę w temperaturze 55 — 60°. Po godzinie fabrykant wrzuca ją w płachtę i razem z nią kładzie w formę, poddając coraz większemu naciskowi dla oddzielenia serwatki. Po 24 godzinach wyjmuje krąg sera z prassy i umieszcza go w piwnicy mającéj temperaturę 10—12°. W piwnicy ser codzień naciera się na powierzchni solą. Wreszcie fabrykant układa kręgi w magazynie, gdzie po długiém leżeniu stają się „dojrzałemi."

Cohn odróżnia tu trzy zupełnie odmienne processa, a mianowicie:

1-o. Zsiadanie się mleka. Chociaż chemia nie zbadała jeszcze dokładnie, w jaki sposób działa podpuszczka na mleko, jednak nie podobna wątpić, że ono jest rezultatem działania pewnego fermentu nieorganicznego, znajdującego się w podpuszczce, którego wpływ porównać można z wpływem innych fermentów nieorganizowanych, jak np dyastury, emulsyny, pepsyny. Że to nie jest żaden ferment organizowany, np. roślina, dowodzi tego okoliczność, że i alkoholowy wyciąg podpuszczki ścina mleko zupełnie tak samo jak wodny, a jednak alkohol wyłącza wszelkie działanie żyjących organizmów, albo zabija je przedtém, nimby swój wpływ rozwinąć mogły. Nadto powiada Cohn, kwestyą tę rozstrzyga fakt nie ulegający wątpliwości, że pewna oznaczona ilość wyciągu podpuszczki, ścina tylko pewną, równoważną ilość mleka, gdy tymczasem fermenta organizowane zmieniają nieograniczone ilości substancyi poddanych fermentacyi, gdyż podczas działania rozmnażają się w kolosalnym stosunku. Mała np. ilość drożdży, zamienia na spirytus znaczne ilości roztworu cukru, gdyż każda pierwotnie wrzucona do roztworu komórka drożdżowa, sprawiając

---

(1) Beiträge zur Biologie der Pflanzen. Heft III. str. 188. Naturforscher N. 10.

fermentacyą, wydaje jednocześnie znaczną liczbę innych, w dalszym ciągu rozmnażających się i zmieniających cukier na alkohol i kwas węglany dopóty, dopóki cieczy pożywnéj nie zabraknie.

2-o. Oddzielenie ściętego sernika (kazeinu) od serwatki, zdaje się być Cohnowi sprawą czysto mechaniczną, przy któréj żaden ferment działalności swéj nie rozwija. Można ją porównać z wydzielaniem się masła z mleka, włóknika z krwi i t. d. W zsiadłém mleku sernik jest rozdzielony w formie luźnych kłaczków, które podczas mieszania zbijają się z sobą i spajają, tworząc massę coraz bardziéj tężejącą. W téj sprawie ważną gra rolę temperatura; im jest wyższa, tém ser staje się bardziéj zbitym. Doświadczenia na małą skalę prowadzone okazały, że gdy zsiadłe mleko ogrzejemy do 40° C., galaretowate kłaczki sernika tężeją i coraz gęściéj osiadają na pałeczce szklanéj użytéj za mieszadło, tak że wreszcie znaczną część kazeinu w postaci białéj massy ciastowatéj można podnieść w górę. Massa ta jednak pomimo swéj tęgości zawiera znaczną ilość serwatki, którą dopiero przez prassowanie oddalić trzeba.

3-o. Dojrzewanie czyli odleganie się sera, jest sprawą, w skutek któréj biała, niesmaczna, słodkawa massa sernika, zamienia się powoli na ser o smaku i zapachu ostrym, przeświecający, żółtawy. Sprawę tę uważa Cohn za *prawdziwą fermentacyą, powstającą skutkiem działania fermentów organizowanych.* Już w prassie, a więc podczas pierwszych 24 godzin rozpoczyna się fermentacya, przy objawach żywego wywiązywania się gazów (kwas węglany, wodór?). W skutek tego krąg sera rośnie i jego płaskie powierzchnie wysklepiają się na zewnątrz. Podczas powolnego dojrzewania, wywiązywanie gazów trwa bezustannie i w massie sera tworzą się dziury, tak samo jak w chlebie. Kwestyą, jakie sprawy chemiczne zachodzą podczas fermentacyi sera, uważa Cohn za przechodzącą zakres badań przez siebie przedsięwziętych; przypuszcza jednak, że przedewszystkiém cukier mleczny znajdujący się w serwatce, pozostałéj w serze, wprawiony zostaje w fermentacyą masłową przez zymophyty. Według niego, ogrzewanie do 55—60° podczas mieszania, służy zapewne do zabicia bakteryi gnilnych, znajdujących się prawdopodobnie w mleku, a więc ma na celu pozostawienie wolnego pola działania właściwym organizmom fermentacyi sera, które nie tracą życia podczas krótkotrwałego ogrzewania do powyższéj temperatury.

Fermentacyą mleka spowodowują pewne gatunki bakteryi, które się znajdują w wyciągu podpuszczki dodawanéj do mleka. W wyciągach używanych przez fabrykantów znalazł Cohn liczne-

bardzo żwawo poruszające się, długie a cienkie bacille, które uważa za organizmy sprawiające tę fermentacyą. Późniéj znalazł także bacteriam termo i micrococcus; uważa je atoli za organizmy, które się wcale do fermentacyi powyższéj nie przyczyniają. Pra-, wdopodobnie owe bacille istnieją już w żołądku żywego zwierzęcia. Cohn przypuszcza nadto, że mogą one być identyczne z bacillami fermentu kwasu masłowego (Pasteur), które wyróżniają się z pomiędzy innych bakteryi wytrzymałością na wysoką temperaturę, oraz zdolnością rozwijania czynności fermentacyjnéj w powietrzu pozbawioném tlenu. Przez zadanie mleka podpuszczką, zasiewamy w niém wielką liczbę bacillów, a przez mieszanie rozdzielamy je równocześnie po całéj massie sera. Ponieważ wysoka temperatura nie zabija ich, więc naturalnie pozostają przy życiu w kręgach i tam dopiero rozwijają swą działalność.

W świeżym wyciągu podpuszczki istnieją tylko cienkie, ruchome, pałeczkowate bacille, które po pewnym czasie gdy podpuszczka jest stale trzymana w temperaturze 30^0, nabrzmiewają w końcach; nabrzmienia te są wypełnione okrągłemi ciałkami. Te bakterye „główkowate“ rozmnażają się bardzo szybko i następnie obumierają, tworząc na dnie naczynia, w którém się podpuszczka znajduje, osad złożony z główek czyli nabrzmień powyższych.

Cohn sądzi, że główki tych bakteryi są zarodnikami (sporami) stanowiącemi ostatnie stadyum przebiegu wegetacyi bacillów i umożliwiającemi im przetrwanie niepomyślnych warunków. Gdy okoliczności stają się bardziéj sprzyjającemi ich życiu, zarodniki rozwijają się w bacille. Nawet po krótkiém gotowaniu nie wszystkie zarodniki tracą zdolność do życia i dostawszy się następnie do płynu pożywnego, mogą dać początek nitkom bacillów. Na zasadzie tego rozjaśnia nam się doświadczenie Bastiana, który widział samodzielne powstawanie bakteryi w gotowanym przez pewien czas odwarze buraków z serem. Powstały one właśnie z zarodników znajdujących się w serze.

„Jeśli te wszystkie spostrzeżenia zestawimy, powiada Cohn, to sprawy przy tworzeniu się sera zachodzące przedstawią nam się w sposób następujący. Wyciąg podpuszczki zawiera ferment płynny, sprawiający zsiadanie się mleka, oraz organizmy fermentacyjne (bacillus), które prawdopodobnie wywołują fermentacyą masłową i wpływają na powolne dojrzewanie sera; zarodniki ich, zawarte w suchéj substancyi sera, opierają się długo działaniu temperatury wrzenia i mogą się znowu rozwinąć w bacille pałeczkowate, gdy się dostaną do odpowiedniego płynu pożywnego.“

O przepowiadaniu dżdżystéj pogody podczas wysokiego stanu barometrycznego, za pomocą spektroskopu.

Najdrobniejsze i najważniejsze przedsięwzięcie nasze, tak są zależne od zmiennego oceanu powietrznego, taki on wpływ często wywiera na potrzeby rozmaitych faktów, że chęć zapanowania nad tym grymaśnym żywiołem musiała się już pojawić w czasach najpierwotniejszych, gdy człowiek pierwsze zaczął stawiać kroki na drodze kultury, gdy zaczął siać i podróżować po lądzie i po wodzie. Usiłowania jego, aby zapanować, a raczéj uchronić się od wpływu zmian atmosfery, tylko w małéj cząstce zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem: wynalazł rozmaite formy odzieży i dach, którym *w daném miejscu*, bardzo opuszczoném, mógł *siebie samego* i mały swój dobytek ochraniać od burz i słoty. Lecz jego karawany, jego okręty i on sam wreszcie zdala od swego siedliska pozostał łatwą pastwą zmiennego żywiołu.

Nie mogąc nad powietrzem zapanować, pragnęła ludzkość przynajmniéj poznać prawa, jakim ulega, według których zmiany w nim się odbywają. Wiedząc, że w danym roku będzie grad się srożył, człowiek nie siałby wcale; wiedząc, że w tych a tych dniach burze szaleć będą, nie wyprawiałby się na morze i nieprzedsiębrałby wypraw wojennych. Człowiek więc udał się do bogów w tak ważnéj sprawie, i augurowie z wnętrzności ptaków, ze szmeru drzew boginiami zaludnionych wróżyli mu pomyślną lub niepomyślną pogodę. Ale wkrótce sami wieszczbiarze spostrzegli, że to jest skała, o którą rozbić się może ich powaga; zaniechali tedy rokowań, i zalecając tylko zdanie się na wolę dobrotliwych bogów, poczęli urządzać szczególne do nich nabożeństwa. Pomyślna, zgodna z życzeniem modlących się pogoda była tłómaczona jako łaska nieba — w razie niepomyślnéj wierzyć kazano, iż niebo jest na ludzi zagniewane, co naturalnie pociągało za sobą ofiary w kurach i jagniętach dla augurów, w gotówce na świątynie i posągi bóstw.

Atmosfera atoli była na to głucha. Jéj nie potrzeba ofiar, jéj korna rozmodlonych rzesza nie wzrusza. Ten bezwiedny, a silny kameleon wyższy jest nad cały Olimp bogów; on wymaga poświęcenia ludzkich umysłów.

Zaczęto więc na téj drodze przeć się do bram jéj tajników. Zaczęto inne stawiać posągi jéj bóstwom. Miejsce statui, ołtarzy

i jagniąt, zajęły prostotą swą niezrozumiałe dla ludu termometry i barometry; miejsce świątyń — obserwacya meteorologiczna.

Lecz termometry, barometry i chorągiewki wskazujące kierunek wiatru i t. d. dają tylko wiadomości dotyczące danéj chwili. Co zaś nastąpi za dzień, za godzinę? Tego te narzędzia nie przepowiadają.

Spostrzeżono wprawdzie, że wysokiemu stanowi barometru towarzyszy często pogoda, średniemu stan zmienny, a nizkiemu niepogoda, i na téj zasadzie zaczęto przepowiadać, na kilka lub kilkanaście godzin, zmiany atmosfery. Fabrykanci przy kreskach służących do oznaczania wysokości rtęci w rurce w milimetrach, kładą napisy: stan zmienny obok liczby wyrażającéj średnią wysokość rtęci w danym punkcie ziemi; nad nim pomieszczają rozmaite wyrażenia oznaczające piękną pogodę, a pod nim wyrazy: deszcz, burza.

Publiczność omamiona temi napisami, kupuje podobne narzędzia, i chce często obserwować zmiany w górach, gdy wyraz „odmiana" jest położony przy średniéj wysokości słupa rtęci w dolinie — albowiem barometry przygotowują się zwykle w wielkich miastach, leżących niezbyt wysoko po nad poziomem morza.

Lecz choćby nawet barometr pozostał w miejscu, którego średniéj wysokości ciśnienia odpowiada napis: odmiana, jednak wcale zapomocą niego przepowiadać pogody nie można. Wskazuje on bowiem *bezpośrednio* tylko ciśnienie powietrza — a choć pogoda w bardzo blizkim jest stosunku z ciśnieniem powietrza, z wiatrami, które powstają w skutek różnego ciśnienia atmosfery w różnych miejcach, jednak zależy ona od wielkiéj liczby warunków panujących na wielkich obszarach, tak, że obserwacye w jednem miejscu czynione, nie mogą dawać dość prawdopodobnych wskazówek.

Dawno już to uczeni spostrzegli i w skutek ich starań rządy państw ucywilizowanych założyły na wielu punktach kuli ziemskiéj obserwatorya meteorologiczne, których zadaniem jest zapisywanie wszelkich zmian odbywających się w atmosferze. Nadto żeglarze od dawnych czasów zapisują swe obserwacye dotyczące prądów morskich i zjawisk meteorologicznych. Zestawiwszy wielką liczbę takich danych, w rozmaitych punktach ziemi zebranych, uczenni przyszli do wniosku, że wiatry ulegają pewnym prawom i płyną po pewnych drogach oznaczonych. W skutek tego możliwem się stało zawiadamianie drogą telegraficzną o biegu burzy w tym a tym kierunku, i teraz rzeczywiście stacye meteorologiczne zawiadamiają się nawzajem tą drogą.

Stacya, która otrzymuje dane np. o nadchodzącéj burzy ze stron dalekich, może jeszcze na kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin uprzedzić telegrafem żeglarzy, aby na morze nie wypływali.

Zasada tych przepowiedni jest bardzo prosta.

Przypuśćmy, że z wielu miejsc, naokoło pewnego punktu leżących, nadesłano nam wiadomości o różnéj wysokości barometru, co znaczy, że w tych miejscach słupy powietrza mają rozmaity ciężar, a więc, że równowaga w atmosferze została zachwiana. Skutek tego musi być taki, że powietrze z miejsc wysokiego ciśnienia popłynie do miejsc gdzie ciśnienie jest niższe. Możemy się więc spodziewać wiatru w tym kierunku, w którym zachwianie równowagi jest najznaczniejsze, a wiatr będzie tém silniejszy im większa jest różnica wysokości barometrycznéj pomiędzy danemi punktami. Trzeba tu jednak zwrócić uwagę na pewną okoliczność. Wniosek ten byłby tylko wtedy zupełnie słuszny, gdyby ziemia znajdowała się w zupełnym spoczynku; że zaś tak nie jest, więc wiatry doznają pewnego zboczenia od kierunku, któryby według powyższéj zasady przepowiedzieć można. Na szczęście jednak badanie meteorologa hollenderskiego Buys-Ballot'a wykazały prawo, według którego zboczenie to następuje, i dla tego też, pomimo zawikłania sprawianego przez obrót ziemi, jesteśmy w stanie oznaczać w przybliżeniu kierunek wiatru, jeżeli mamy dane wysokości barometryczne wielu miejsc. Aby można było jednym rzutem oka objąć stan atmosfery na pewnym obszarze, posługujemy się metodą graficzną i rysujemy karty przedstawiające stan atmosfery danych punktów w danéj chwili. Karty takie nazywają się synoptycznemi. Przygotowują takie karty na każdy dzień, albo też kilka na dzień. Kto przez długie zajmowanie się takiemi kartami nabył wprawy w ich czytaniu i oryentowaniu się, ten z nadchodzącemi telegraficznemi wiadomościami łatwo sobie da radę, ułoży z nich tablicę synoptyczną na siatce specyalnie do tego przygotowanéj, i wyprowadzi wniosek o prawdopodobnym stanie pogody za kilka czy kilkanaście godzin.

Co się tycze zwyczaju czy sposobu, w jaki meteorologowie przypuszczają publiczność do korzystania z przepowiedni, inaczéj się to dzieje w Europie, a inaczéj w Ameryce.

W Europie stacye centralne przesyłają otrzymane przez siebie depesze o ciśnieniu powietrza, temperaturze, wilgoci i t. d. do gazet lub też do portów bez żadnych przepowiedni o pogodzie. W razie tylko gdy się gwałtownéj burzy spodziewać należy, zostają zawiadomione wszystkie „stacye burz" urządzone na brzegach mórz o grożącém okrętom niebezpieczeństwie. Jeśli ma

nadejść burza lekka, lub tylko silniejszy wiatr, to stacye burz żadnych sygnałów okrętom nie dają, aby nie trwożyć żeglarzy nie przynosząc im żadnéj korzyści. Przed kilkunastu laty kapitan Fitz-Roy zaprowadził w Anglii systemat zawiadamiania żeglarzy, o mniejszych burzach i silnych wiatrach, lecz z powodu próżnych często alarmów systemat ten ściągnął na się niełaskę żeglarzy. Zresztą w Europie i dlatego nie ogłaszają przepowiedni, że błędy możliwe przy tak młodocianym wieku téj nauki, naraziły w oczach niekompetentnych powagę prac meteorologicznych.

Inaczéj dzieje się w Ameryce, gdzie na kolosalną prawdziwie skalę jest prowadzona telegrafia meteorologiczna. Do biura głównego w Washingtonie nadchodzą ze wszystkich stron depesze trzy razy dziennie, biuro je opracowuje, miarkuje o zmianach pogody, i rezultaty swych wniosków jako „prawdopodobieństwa" (probabilities) rozsyła do wszystkich stacyi i dzienników. Z przepowiedni ogłoszonych w 1871 roku okazało się 69% prawdziwemi, a w 1872 sprawdziło się 77%. Spodziewać się więc należy, że z biegiem czasu, w skutek postępu nauki, udoskonaleń narzędzi i wprawy przepowiadających, stosunek ten będzie jeszcze pomyślniejszy.

Amerykanie umieją cenić te dane, i ważne sprawy rolnictwa, żeglugi, a nawet wycieczki zamiejskie stosują do owych „probabilities." Wiedzą, że to nie są matematyczne dane i w razie niesprawdzenia się rokowań nie czują żalu do meteorologów. Nikt też się temu nie dziwił, że biuro centralne omyliło się co do przepowiedni pogody w dniu otwarcia wystawy w Filadelfii. Europejczycy jednak głośno sarkali i najbezzasadniéj wyśmiewali proroctwa Amerykanów.

Tak więc rzeczy stoją z przepowiedniami, opartemi na powyższych danych, otrzymanych z obserwacyi narzędziami dawno już stosowanemi do oznaczania zmian pogody. Jest nadzieja, że metoda ta dojdzie niezadługo do bardzo wysokiego stopnia prawdopodobieństwa, tak że dla życia praktycznego mało co pozostawi do życzenia. Bądź co bądź jednak, nie każdy będzie mógł korzystać z przepowiedni tego rodzaju. Ludzie daleko mieszkający od stacyi pocztowych i telegraficznych, podróżujący po krajach bezludnych lub nieucywilizowanych, nie będą mogli korzystać z dobrodziejstwa organizacyi telegrafii elektrycznéj, i często dopiero wtedy w gazetach otrzymają wiadomość, gdy zmiana pogody nastąpi lub nawet minie. Dla takich osób bardzo pomyślną byłoby rzeczą odkrycie p. *Piazzi-Smyth'a*, który twierdzi, iż za pomocą spektroskopu można przepowiadać dżdżystą pogodę przy wysokim stanie barometru. Przepowiedzieć więc mógłby każdy, ktoby się tylko zaopatrzył

w spektroskop. Zresztą odkrycie to jeśli się sprawdzi, da dzielną pomoc nauce i organizacyi telegrafii meteorologicznéj, udokładniając i sprawdzając przepowiednie na powyższéj drodze otrzymane.

Pan *Piazzi-Smyth* pomieścił w „Nature“ vol. XII pag. 231 i 252, następujący artykuł, który wszystkie niemal pisma naukowe zagraniczne powtórzyły. Podamy go z małemi opuszczeniami:

„Dawno już rozmaite osoby wyrażały zdania, że spektroskop może mieć pewne znaczenie przy rokowaniu pogody; nie wiedziano jednak aby spektroskoskop mógł być zastosowany do całego szeregu zjawisk powietrznych, w obec których inne metody zawodzą.

Siódmego Lipca (r. z.), słyszałem w akademi paryzkiéj objaśnienia, jakim sposobem to się stało, że obserwatoryum astronomiczne paryzkie przepowiedziało pogodę suchą i piękną, a jednak bezpośrednio potém nastąpiło straszne zalanie Francyi południowéj; przy końcu wykładu powiedziano, że „już teraz (7 Lipca) przeszły wszystkie złe symptomata, że barometr w Anglii stoi wysoko, że wszelkie prawdopodobieństwa zgodnie każą się spodziewać pięknéj pogody.“

Jednakże przez cały tydzień codzień bardziéj pogorszała się pogoda w Paryżu, powietrze stawało się coraz chmurniejsze i dżdżystsze. Powróciłem do Londynu, gdzie byłem dnia 14, 15 i w części 16 Lipca świadkiem jak najgorszéj pogody. Jak to zawodzą nas zwykle przepowiednie, nawet wtedy gdy od wprawnych osób pochodzą; nie można im tego wziąć za złe, gdyż któżby się spodziewał takich potopowych ulew w miesiąsu Lipcu przy wysokim stanie barometru?

Zdaje mi się, spektroskop może dawać wskazówki przydatne do użytku w meteorologii, gdyż przez cały czas trwania chmurnéj i dżdżystéj pogody w Londynie okazywał mi spektroskop kieszonkowy z każdéj strony nieba szeroki ciemny pasek na mniéj lamliwéj stronie linii D. (to jest z lewéj jéj strony, od koloru czerwonego), a w części na miejscu téj linii. Pasek ten miał takie natężenie, że tworzył główne zjawisko całego widma, a jakkolwiek bezwątpienia pod względem pochodzenia był „tellurycznym,“ jednak różnił się zasadniczo od normalnych tellurycznych objawów, które podczas zachodu słońca przy zwykłém powietrzu spostrzegamy.

Przypuszczałem, że ten ciemny pasek w widmie może być sztucznego pochodzenia, np. z absorbcyi przez dym londyński. Jednakże gdy pojechałem ku północy, spostrzegłem z ukontentowaniem, że w miarę oddalania się od Londynu ciemny pasek zmniejsza się i że w Yorku panuje piękna pogoda. Ziemia tam była su-

cha, stan wody w rzekach nizki, a widmo nieba nie tylko żadnych ciemnych linii nie okazywało, ale nadto prawdziwa linia D. była wyjątkowo piękną, bardzo wyraźną i rysowała się ostro, jak najcieńsza, jaką tylko sobie przedstawić można, nitka pajęcza, w oświeconém polu lunety.

Ranek d. 17 Lipca był w Edynburgu przepyszny; niebo było czyste, błękitne, powietrze przejrzyste, temperatura bardzo przyjemna, a wiatr słaby północno-wschodni. Pogoda taka trwała dość długo, ku radości tysięcy osób chodzących po ulicach. Żaden dym nie wychodził z fabryki, gdyż było święto, a tłum ludu zwykle zajęty pracą przechadzał się na świeżém powietrzu. Jedynemi chmurami na niebie były nieliczne paski błyszczące i malownicze, wzdłuż północnego widnokręgu, które przyjemnym liniom falowym wzgórz szkockich nadawały pozór śniegiem pokrytych wierzchołków alpejskich.

Te świetne chmurki miały postać rzutów artystycznych w ogólnym krajobrazie; gdy jednak spojrzałem w spektroskop, musiałem się siebie samego zapytać: co to ma znaczyć? Miałem przy sobie tylko mały spektroskop kieszonkowy bez skali i o małéj sile rozpraszania; atoli wystąpiła w nim linia siedm razy szersza od zwykłéj, a na stronie mniéj łamliwych promieni towarzyszył jéj dymny pasek londyński. Co się tycze zupełnie nienormalnego zgrubienia (a lepiéj nagromadzenia kilku oddzielnych linii tellurycznych tak blizko przy linii D., że w tak małym spektroskopie nie mogły być rozdzielone), o jego pochodzeniu od światła odbitego od obłoków nie mogło być żadnéj wątpliwości; albowiem, skoro tylko spektroskop został skierowany dokądkolwiek powyżéj chmur, linia ta bardzo się zmniejszała lub nikła; można było widzieć tylko zwykłe linie Fraunhofera pięknie i ostro zarysowane, jak to się zwykle dzieje przy pięknéj pogodzie. Nadto, ze względu na miejsce i rozdzielenie w widmie, zjawisko to było bardzo różne od zjawiska charakterystycznego dla zachodu słońca; słońce wtedy nie było jeszcze nizko, zabarwienie towarzyszące zachodowi jeszcze się nie zaczęło, obłoki, od których pochodziło czarne zgrubienie linii D., były prawie zupełnie białe, i była dopiero godzina 2-ga po południu pięknego, pogodnego dnia lipcowego.

Zrobiłem kilku porównawczych rysunków widma pochodzącego od niższych białych obłoków, oraz otrzymanego od okolicy nieba blizkiéj biegunowi—i czekałem co znowu nastąpi.

Skutek był taki: Około 10 godziny wieczorem, tego samego dnia pięknego, nie zauważywszy znaczniejszego zniżenia wysokiego dotąd stanu barometru, spostrzegłem, że niebo całkiem się zachmu-

rzyło. O 11 wieczorem zaczął padać deszcz. O 1 godz. 30 min. po północy deszcz ciągle padał, i sądzę że trwał przez całą noc. Rano padał bez ustanku, i zmieniając się lub powiększając przetrwał cały dzień (Niedzielę) inastępną noc; 19 Lipca (Poniedziałek) po gwałtownéj burzy nastąpiła mgła i deszcz, które przez cały dzień trwały. Wszystko to się działo przy stałéj wysokości barometru, zupełnie prawie odpowiadającéj poprzedniéj przy stanie pogodnym: spektroskop zaś okazał znaczne zmiany, albowiem z wyjątkiem linii E., wszystkie inne zginęły w czarnym pasku, który razem z paskiem obserwowanym w Londynie na mniéj łamliwéj stronie linii D., był charakterystycznèm zjawiskiem całego widma.

Rzeczą ciekawą będzie podać bieg zjawisk w następnym tygodniu, pójść w ślad za stopniowém uspakajaniem się zawichrzeń atmosferycznych, aż do 26 Lipca, w którym to dniu wiał bardzo przyjemny i suchy wiatr zachodni, obłoki przepływały w znacznéj wysokości, a widmo było zupełnie normalne, okazujące tylko ciemne linijki.

20 Lipca (Wtorek) nienormalne paski w widmie dnia poprzedzającego znacznie się zmniejszyły, ale bądź co bądź jeszcze istniały; niebo, jakkolwiek jeszcze zachmurzone, zaczęło się wypogadzać.

D. 21 i 22 nienormalne paski zupełnie znikły, właściwe linie widma łatwo było widzieć, pogoda była piękna.

D. 23 Lipca (Piątek) dzień był dżdżysty, a noc jeszcze dżdżystsza; jednakże widmo nieba było pomyślne i prawie normalne. Zauważyć tu należy, że deszcz przyszedł z wiatrem zachodnim, stan barometru był nizki, a temperatura znacznie spadła. Od tego czasu kierunek wiatru pozostał zachodnim, a widmo normalném.

Zdaje się więc, że zgrubienie paska na mniéj łamliwéj stronie linii D. zarówno w Edynburgu jak i w Londynie jest w związku z ciepłym wiatrem wschodnim przy wysokim stanie barometru.

Zjawiska wyżéj przytoczone były zupełnie niezależnie odemnie obserwowane przez prof. G. Taita, w Edynburgu, w te same dni i prawie jednocześnie..."

W powyższych obserwacyach widać wprawdzie pewny związek między zjawiskami w atmosferze i widmie, ale wnioski z niego i ich uogólnienie pozostawiamy p. Piazzi-Smyth'owi i przyszłości. Idziemy w tym względzie za przykładem „Zeitschrift der oesterreichichen Gesellschaft für Meteorologie," pisma stanowiącego powagę w tym względzie, które do artykułu p. Piazzi-Smyth'a dodało następujący, bardzo charakterystyczny w obecnym stanie téj kwestyi dopisek, powtórzony przez czasopismo „Gaea" z którego sprawozdanie Smyth'a wyjmujemy. Dopisek ten brzmi: „Wpraw-

dzie wnioski dotyczące przyszłych zmian pogody zyskały trwalszą podstawę niż dawniéj, jednakże zostaje jeszcze dość dużo wątpliwych wypadków i wyjątków od prawidła, tak, że każdy środek pomocniczy, mogący się przyczynić do rozwiązania tego nader dowikłanego zagadnienia, z wdzięcznością będzie witany przez meteorologów. Zdaje nam się jednak, że szanowny autor zanadto się spieszy w swéj indukcyi i generalizacyi. Pobudzenie szerszych kół do czynienia obserwacyi spektroskopowych w sposób przez autora wskazany, było celem, dla któregośmy ten artykuł w piśmie naszém pomieścili. Dopiero na podstawie długich i na wielu różnych miejscach prowadzonych obserwacyi, będzie można wyciągnąć uzasadniony wniosek co do związku pomiędzy zjawiskami widma nieba a kierunkiem wiatrów oraz pogodą.“

Dla wiadomości czytelników, którzyby chcieli powtórzyć te łatwe obserwacye, dodajemy, iż spektroskop kieszonkowy kosztuje nie więcéj nad 30 rs. Dokładne jednak są znacznie droższe.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W chwili obecnéj Europa w ogóle, a my w szczególności gorączkowo zajmujemy się przebiegiem walki między plemionami słowiańskiemi a Turcyą. Dzienniki przepełnione są sprzecznemi częstokroć wiadomościami z placu boju i najróżnorodniejszemi kombinacyami, które mają przyśpieszyć lub opóźnić wybuch wojny powszechnéj. Pisma, które kiedyś piorunowały na politykę, nie mogły oprzeć się chętce drukowania telegramów i artykułów rozumowanych, ba! nie mogły nawet oprzeć się jeszcze dziwniejszéj chętce wywieszania jakowychś arcy patryotycznych południowo-słowiańskich sztandarów, których barwy tchnące zapałem i nadzieją, jaskrawo odbijają od dotychczasowego pessymizmu i nihilizmu tak często występującego przy rozpatrywaniu kwestyi miejscowych.

Trudno odmówić sympatyi narodowi wybijającemu się z pod wiekowego jarzma ku wolności, — trudno nie życzyć powodzenia Bośniakom, Hercegowińcom, Bulgarom i Serbom w wojnie o istnienie narodowe, które od niepamiętnych czasów powinno być ich udziałem. Z drugiéj jednak strony trudno zaprzeczyć, że choć sama sprawa jest wielką, hałas przecie jest jeszcze większy.

Prawdopodobnie dzięki brakowi taktu ze strony wiecznie łaknącego nowin dziennikarstwa, walka obecna w oczach bezstronnych dziwnie jakoś wygląda. Patryotyzm i poświęcenie — najważniejsze cechy wojen tego rodzaju, kryją się gdzieś za kulisami teatralnéj wystawy, telegraficznéj blagi i lekkomyślności. Za wiele obietnic, za mało czynów,—za wiele sztuki, za mało samodzielnego popędu:—oto chmury zaćmiewające wspaniały świt wolności na Wschodzie.

Wszystko to jednak jest drobiazgiem w porównaniu ze smutną prawdą, że bez względu na wielkie ofiary plemion słowiań-

skich, ani Serbia nie doczeka się Bośnii, ani Bośnia swobody bez wojny europejskiéj, którą wszystkie mocarstwa przychylne, nieprzychylne i obojętne zażegnać pragną. Tak przynajmniéj dziś zarysowuje się kwestya. Gdyby zaś potoki krwi szlachetnéj pójść miały na marne, gdyby jedynym rezultatem orężnéj manifestacyi miał być *status quo* czyli ogólne zubożenie i cofnięcie się w cywilizacyi ludów walczących, — to zaprawdę szkoda i téj krwi, i odezw, i telegramów, i tego zamętu, jaki istnieje obecnie w Europie.

Papiery spadły, kredyt (np. u nas) prawie nie istnieje, przemysł i handel osłabły, a ludzie natomiast rozgorączkowali się, — właśnie jak przystało na epokę będącą przededniem wielkich wypadków.

Tymczasem wypadki mogą nie nadejść i nie wynagrodzić straty sił i czasu.

Podkreśliwszy to usposobienie opinii publicznéj, jak obowiązek kronikarski nakazywał, wypada z kolei zawołać: „A jednak... nie entuzyazmujmy się!“ Polityka to rzecz piękna, lecz i wszechstronnie absorbująca, a nam sił na tego rodzaju zbytki expensować nie warto. Walczą — to dobrze — my zaś róbmy co do nas należy: najświetniejsze bowiem zwycięztwa serbskie nie zmniejszają naszych kłopotów. Zimna krew i spokojne, mężkie ocenianie okoliczności są zawsze potrzebne,—najpotrzebniejsze zaś wówczas, gdy (jak nas zapewniają politycy) uragan kwestyi wschodniéj zawisł nad Europą.

Przechodzimy do wiadomości miejscowych.

W dniu 13 Lipca odbyła się w Warszawie ceremonia otwarcia nowych sądów. Od téj pory procedura odbywać się będzie w języku rossyjskim. Krąży pogłoska, że osoby spadłe z etatu, mają przez dwa lata pobierać dotychczasowe pensye.

Współcześnie z sądami miejskiemi funkcyonować zapewne zaczną sądy gminne, co do których jak na dziś posiadamy następujące wiadomości.

Koszta utrzymania tych sądów bardzo niejednostajne: kiedy bowiem w gubernii Lubelskiéj etat wynosi rs. 1,600 rocznie, to w gubernii Warszawskiéj dochodzi cyfry rs. 2,700. Powtóre rozkład ciężarów jest bardzo rażący. Pan Gustaw Wiercieński obrachował, że przy systemie pobierania składki z morga, na duszę włościańską i służby dworskiéj przypada rocznie po 3 kopiejki, gdy tymczasem na duszę członka rodziny większego posiadacza ziemskiego wypada rocznéj składki rs. 7 kop. 90.

Prawda, że „od tych, którym więcéj dano, więcéj też wyma-

gać się będzie,"—sądzimy przecież, że w wymaganiu tém powinna być jakaś proporcyonalność, któréj w rozkładzie ciężarów nie widać. Dusza szlachecka w obec Boga i życia przyszłego jest najzupełniéj równa włościańskiéj, żydowskiéj, rzemieślniczéj i przemysłowéj; z tego więc stanowiska 260 razy wyżéj niż inne taxować jéj niepodobna. Dusza szlachecka daléj, z pewnością mniéj da zajęcia sądom gminnym, niż dusze drobnych handlujących i kłótliwych właścicieli mniejszych posiadłości; i z tego zatém względu nie powinnaby ponosić większych kosztów niż inne. Wprawdzie szlachta ma więcéj ziemi i *respective* dochodów, lecz i przy dochodach tych możnaby znak zapytania położyć. Jakiś fabrykant lub kupiec z pewnością kilku obywateli ziemskich przewyższa majątkiem, a wielu trzydziesto-morgowych włościan, lepiéj się niezawodnie ma od niejednego kilkunasto-włókowego szlachcica, który oprócz tytułu własności i długów, częstokroć nie posiada nic więcéj.

Protestujemy więc przeciwko anti demokratycznéj składce z morga, która w kwestyi utrzymania gmin, szkółek i sądów usiłuje przekonać nas, że szlachta kilkaset razy więcéj warta jest od włościan. Żyjemy przecież w wieku emancypacyi i równości; a jeżeli ten sam wójt gminy na tę samą kozę skazuje włościanina i szlachcica, toć słuszném jest, aby obaj ci obywatele i na wójta i na kozę jednakową summę płacili.

Jeżeli jednak strona finansowa sądów gminnych wiele pozostawia do życzenia, za to ich skład osobisty i same zresztą wybory powinny kraj zadowolić zupełnie.

O ile wiemy, wszędzie intelligencya zwycięża, a w jakim stosunku—przekonają nas o tém następujące gruppy cyfr.

W powiecie Częstochowskim między 77 kandydatami na sędziów i ławników znajduje się:

Właścicieli większych	25
Włościan	35
Wojtów	10
Pisarzy	7

Obywatelstwo, jak widzimy, otrzymało trzecią część głosów, żywioły zaś, które agitowały wprawdzie najwięcéj, lecz najmniéj przedstawiały rękojmi, znajdują się w znakomitéj mniejszości.

Według innego ugrupowania częstochowskich kandydatów, znajduje się między nimi:

Z wykształceniem uniwersyteckiém	2
średniém	26

elementarném 34
umiejących pisać 15

Zkąd wypływa, że łatwiéj być obywatelem ziemskim i wójtem gminy, niż skończyć uniwersytet lub gimnazyum.

W całéj gubernii Kieleckiéj rezultat wyborów był następujący. Wybrano 89 kandydatów na sędziów i 226 na ławników, a w tych cyfrach mieści się:

	Sędziów.	*Ławników.*
Właścicieli większych . .	46	48
Właścicieli mniejszych . .	26	16
Mieszczan	1	50
Włościan	16	112

Gruppując inaczéj kandydatów, okaże się, że między nimi:

ukształcenie uniwersyteckie posiada 33
gimnazyalne 65
czteroklassowe 30
elementarne 72
domowe 38
umie tylko czytać i pisać 77

Nareszcie w gubernii Lubelskiéj p. minister sprawiedliwości już zatwierdził 39 sędziów gminnych, w téj liczbie:

obywateli ziemskich 21
mieszczan 5
włościan 4
urzędników 4
drobnéj szlachty . . 4
b. żołnierza 1

Z cyfr powyżéj przytoczonych okazuje się, że kandydaci stanu szlacheckiego i większych posiadaczy ziemskich na posady sędziów i ławników stanowią: w powiecie Częstochowskim 32% liczby ogólnéj, w gubernii Kieleckiéj 30%, a w gubernii Lubelskiéj (sędziowie) 54%. Ponieważ zaś szlachta dziedziczna w kraju stanowi tylko 1% ludności, wnosić zatém słusznie można, że pozycyi swojéj w nowych sądach nie zawdzięcza przypadkowi, lecz że raczéj poszukiwana i popierana była.

Dalecy jesteśmy od uznawania zasług opartych tylko na genealogii, — niemniéj jednak z rezultatu wyborów cieszymy się. Dowiodły one naprzód, że intelligencya wiejska pragnie przyjmować udział w sprawach ogólnych, — że mimo tysiącznych intryg i podrażnień, włościanie nie stracili dla niéj ufności. Mamy też nadzieję, że nowi sędziowie taktowniéj i sprawiedliwiéj niż dotychczasowi wójci gmin postępować będą, i że dzięki ich ukształceniu

i znajomości prawa, jeżeli nie zupełnie zniknie, to przynajmniéj zmniejszy się samowola administracyjna.

Jako próbkę administracyjnego pojmowania autonomii gminnéj, przytoczymy fakt następujący:

W pewnéj gminie chodziło o zatwierdzenie jakiéjś uchwały, którą popierał wójt i pisarz wbrew zebraniu. Uchwałę tę w ciągu dnia poddawano parę razy głosowaniu, zawsze jednak ze złym skutkiem, czém niezadowolony przewodniczący, zawołał wreszcie:

— Ci, którzy zatwierdzają wniosek, niech przejdą na prawo; którzy się nie zgadzają, na lewo!

Ogromna większość przeszła na lewą stronę, na prawéj zaś tylko kilku zostało.

Teraz przewodniczący wykonał sam półobrotu tak, że większość miał po ręce prawéj, i rzekł:

— Wniosek zatém jest przyjęty, ponieważ większość się zgadza.

Dodać winniśmy, że nawet przy zupełnéj dobréj wierze ze strony przewodniczących naradom gromadzkim, uchwały nie zawsze są wyrazem opinii większości, ale raczéj wójta i pisarza, — a to jedynie z powodow technicznych. Kancellarya wójtowska jest mała, wpuszczają do niéj tylko bardzo ograniczoną ilość osób, reszta zaś stać musi na dworze i w obradach ani w głosowaniu udziału nie przyjmuje. Kto wie zatém, czy reforma gminy nie powinnaby się zacząć od wzniesienia jakiegoś obszernego budynku?

Ale mniejsza o nadużycia, którym nowe sądy mające prawo karcić złych urzędników niebawem kres położą. Dziś już chodzi o to tylko, aby świeżo utworzony mechanizm funkcyonował prawidłowo.

Ani na chwilę nie wątpimy, że sędziowie gminni potrafią zachować powagę zarówno w obec stron, jak i podwładnych, — że potrafią wznieść się nad przesądy klass aż do téj sprawiedliwości, która zadowoli nietylko mniejszych, ale i większych właścicieli, — że wszczepią w nieoświecony, lecz pełen uczciwych instynktów ogół, uczucie poszanowania dla cudzéj własności i praw. Przyszłe zawikłania, jezeli będą jakie, nie wynikną ze złéj woli sędziów, ale raczéj z tego, że niektórzy z pośród nich znudzić się mogą swym urzędem, który przyjęli dziś tylko w imię publicznego dobra, nie zaś dla osobistych widoków. Od tego znudzenia i co zatém idzie lekceważenia obowiązków, niech ich strzeże poczucie honoru, pamięć na dobro kraju i baczność ze strony opinii publicznéj.

Wyższa szkoła handlowa założona przez p. L. Kronenberga,

faktycznie otworzona w dniu 19 Września roku zeszłego, z dniem 28 Czerwca ukończyła pierwszy rok istnienia. Mieści się ona przy ulicy Nowy Świat Nr. 49, zajmuje wygodny lokal i będzie miała potrzebne gabinety naukowe.

Szkoła posiada klassę przygotowawczą i dwie specyalne, z których druga dopiero w r. b. otwartą zostanie. Lekcye odbywają się codzień od godz. 9 do 2½, a nadto trzy razy na tydzień, celem zwiększenia wprawy uczniów, wykładają się od 5—7 w wieczór wykłady arytmetyki i niemieckiego. Przedmioty nauki są następujące. Języki: polski, rossyjski, niemiecki i francuzki (kursa trzyletnie); matematyka i historya (trzyletni kurs), geografia handlowa, nauki przyrodnicze, fizyka, chemia, technologia, ekonomia handlowa, buchhalterya, rysunki i kalligrafia (kursa dwuletnie).

Prócz tego w drugiéj klassie specyalnéj wykładane będą: korrespondencya handlowa w języku polskim, rossyjskim i niemieckim, prawo handlowe i wexlowe, towaroznawstwo i historya handlu.

Uczniów uczęszczało w 1-szém półroczu:

do klassy przygotowawczéj	102
do pierwszéj specyalnéj . .	41
wolnych słuchaczy . . .	6

W 2-giém zaś półroczu:

do klassy przygotowawczéj	100
do pierwszéj specyalnéj .	30
wolnych słuchaczy . . .	2

W ciągu roku w obu klassach odbyły się dwa egzamina, w następstwie których otrzymało promocyę:

Z klassy przygotowawczéj do pierwszéj specyalnéj	40
z pierwszéj specyalnéj do drugiéj	17

Prócz tego uwolniono w ciągu roku z powodu słabości zdrowia 2, a *usunięto za przewinienia* 7 z klassy przygotowawczéj i 2 ze specyalnéj. Okazuje się z tego, że program szkoły jest bogaty i kształcący, zwierzchność dbała, lecz uczniowie niedbali i nieprzygotowani. W sprawozdaniu roczném zaznaczono szczególniéj słabą znajomość języka niemieckiego i brak wprawy w rozwiązywaniu zadań arytmetycznych.

Obok szkoły handlowéj wspomnieć się godzi o niższéj szkole techniczněj istniejącéj przy warsztatach drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj. Zadaniem téj szkoły jest przygotowywać majstrów i maszynistów. Z teoryi wykłada się matematyka niższa, wiado-

mości z mechaniki i rysunki, tudzież nauka czytania i pisania. Oddziałów jest dwa: wstępny ze 120 uczniami i specyalny z 80-ciu. Przy oddziale specyalnym otworzono 50 warsztatów, a mianowicie: 6 tokarskich, 8 stolarskich i 36 ślusarskich.

Uczniowie w lecie od 6-éj, a w zimie od 7-éj rano pracują z przerwą na śniadanie do godz. 12-éj. Od południa mają czas przygotować się na lekcye, które trwają od 5 do 8 w wieczór. Dodać należy, że opłata roczna na wydziale wstępnym wynosi rs. 6, na specyalnym 12 rs., na warsztaty dopłaca się 18 rs., i że wszystkie już miejsca zostały zajęte.

Podobna szkoła ma być otwartą przy drodze żelaznéj terespolskiéj. Przynajmniéj zrobiono o to podanie i wyznaczono fundusze.

Trzy wyżéj wymienione zakłady specyalne, nawet w połączeniu z wyższą szkołą rzemieślniczą w Łodzi i szkołami realnemi już istniejącemi lub mającemi w roku bieżącym powstać, nie zapełnią dotkliwego braku ludzi, na który nasz przemysł i handel od niepamiętnych czasów choruje.

Ta potrzeba indywiduów fachowo wykształconych wytwarza od czasu do czasu jeżeli nie same instytucye, to przynajmniéj pogłoski o ich założeniu. Całą zimę np. słyszeliśmy o instytucie technologicznym mającym powstać w Warszawie, późniéj o wieczornych szkołach rzemieślniczych w témże mieście, a teraz słyszymy o projekcie szkoły rysunkowéj w Lublinie. Pogłoski te stopniowo cichną, ogół przestaje o nich myśleć, czas ucieka, a my jak dawniéj bez obcéj pomocy, kroku naprzód zrobić nie możemy.

W kraju jest mnóstwo ludzi bez zajęcia, jeszcze więcéj dzieci, które uczą się łaciny i greczyzny, aby zwiększyć zastępy niedokończonego proletaryatu, a tymczasem massę wyrobów sprowadzać musimy z zagranicy, lub otworzywszy nową fabrykę, zamawiać do niéj obcych robotników.

Rzemieślnicy nasi są zdolni i zręczni, a wielu z pośród nich wznosi się do myślenia samodzielnego, do wynalazków, które oddawna w udoskonalonéj formie gdzieindziéj istnieją. I nie szkodaż tych sił, które pod dobrym kierunkiem świetnie rozwinąćby mogły, dziś zaś bezużytecznie marnieją?

Szkół fachowych nam potrzeba, szkół rzemieślniczych wyższych, któreby obok programu gimnazyum realnego posiadały warsztaty, gabinety i laboratorya nietylko na papierze. Trzeba szkół rolniczych niższych, w którychby się kształcili ekonomowie i parobcy, a wreszcie szkół rzemieślniczych niższych, w którychby terminator pracujący pół dnia w warsztacie, mógł przez drugie pół

dnia uczyć się rachunków, rysunków, geometryi, mechaniki, pisania i czytania.

Nasi przemysłowcy, majętniejsi rzemieślnicy, nasi obywatele ziemscy, powinniby porozumieć się między sobą, zebrać fundusze odpowiednie, wystarać się o pozwolenie i szkoły podobne otworzyć, bo brak ich jest jedną z najdotkliwszych klęsk naszych. Nie Niemcy, nie Żydzi, nie nieurodzaje, nie wojna są najgorszymi wrogami naszymi, ale ciemnota, która tém jest dla narodu czém brak krwi dla człowieka.

Bez tych szkół dzisiejsze pokolenie jest dla pracy produkcyjnéj stracone, i następne także będzie stracone. Każdy rok opóźniający ich otworzenie jest okradaniem przyszłości i kopaniem jéj grobu.

Ukształceni rzemieślnicy Zachodu mają kassy i spółki; u nas robotnika trudno do oszczędności napędzić nawet, a spółki jakie są, ani rozwijają się, ani tak świetnych znowu interessów nie robią. Najlepszym zresztą dowodem nizkiego poziomu naszych rzemieślników i techników, jest zupełny brak stowarzyszeń, w których obok zabawy roztrząsają się pytania dotyczące kwestyi technicznych i naukowych, z których to pytań i odpowiedzi np. stowarzyszenie techniczne toruńskie prawie bibliotekę uformowało.

Lecz prawda, mylimy się. Towarzystwo podobne ma się i u nas zawiązać. Ale gdzie? oto w Łodzi. Smutne świadectwo braku światła w naszych kołach specyalnych, a zarazem zaślepienia publicystyki, która zamiast stawiać za wzór krajowi projekt stowarzyszenia łódzkiego, milczy o niém, lub ogranicza się do krótkich wzmianek.

Na takich drogach nie zajeżdża się daleko.

O ile brak nam oszczędnych, punktualnych i ukształconych rzemieślników, o tyle znowu mamy nadmiar inżynierów cywilnych. Panowie ci w literaturze powieściowéj zajęli na jakiś czas długowłosych i kaszlących, a mimo to bardzo do sprawy miłosnéj pochopnych poetów. W romansach lat ostatnich inżynierowie byli bohaterami i ideałami: oni majątki robili, oni byli kochani, oni jedni mieli piękne czarne brody i niezłomne a szlachetne charaktery. Nie dziw więc, że w rozbudzonym nieco ruchu przy budowach kolei żelaznych, niejeden młody gimnazista zapragnął znaleźć się pod sztandarem szczęśliwéj inżynieryi cywilnéj.

Jakoż mnóstwo ludzi młodych rzuciło się do politechnik na ten właśnie wydział i spowodowało nadmiar inżynierów cywilnych, a brak mechaników konstruktorów.

Dla uniknięcia na przyszłość tego rodzaju zawodów, niech

młodzież pragnąca się kształcić w wyższych specyalnych zakładach, niech jéj ojcowie zresztą, nie radzą się romansów i pogłosek w kwestyi wyboru powołania, ale raczéj niech informują się o tém w biurze dla szukających pracy. Biuro to wie choć w przybliżeniu, które gałęzie są przepełnione, w których są braki, a tém samém pożyteczne dawać może wskazówki.

Niezbyt dawno pisma nasze zarzucały przemysłowcom, że w fabrykach protegują wyłącznie żywiół obcy, swojskiego zaś niedopuszczają, lekceważą i nie wynagradzają należycie. Zdaje się, że oddamy pewną przysługę społeczeństwu, zapisując tu skargi przemysłowców w téj materyi. Oto one:

1. Młodzież studyująca nauki specyalne, obowiązana jest nawet przez swoją zwierzchność do pracowania w fabrykach przez czas wakacyi, dla praktycznego obeznania się z robotami. W rzeczywistości jednak owa praca wakacyjna redukuje się do zwiedzania fabryki wciągu jak najkrótszego czasu. Metoda ta jest złą, nietylko bowiem pozbawia młodzieńca praktyki, ale wobec fabrykanta stanowi złą rekomendacyą i szkodliwie wpłynąć może na przyszłość. Z drugiéj zaś strony znamy ludzi, którzy właśnie podczas robót wakacyjnych pozawiązywali stosunki bardzo korzystne w następstwie.

2. Przemysłowcy utrzymują, że młodzieniec, który świeżo szkołę ukończył, jest bardzo surowym materyałem, robotami samodzielnie kierować nie potrafi, a więc i naczelnego stanowiska zajmować nie może. Tymczasem młodzi technicy (słowa fabrykantów) przychodzą odrazu z wielkiemi wymaganiami, podrzędnych zajęć spełniać nie chcą i o nie wcale nie dbają, narażając tym sposobem fabrykę na straty.

3. W ogóle technicy nasi są mniéj punktualni i mniéj dbali od Francuzów a nawet Niemców, nie mówiąc już o Anglikach.

Oto główne zarzuty — przypuszczamy, że opierają się one na wypadkach pojedynczych i tém samém są przesadzone. Z tém wszystkiem jednak przedstawiamy je uwadze młodych techników z nadzieją, że nie dziennikarskiemi artykułami, ale czynami fałsz im zadadzą.

Pod koniec niniejszéj pogadanki, chcielibyśmy poświęcić słów parę sprawom hygienicznym. Aby zaś wykazać doniosłość hygieny w życiu narodowém, postaramy się traktować kwestyą od fundamentów.

W zeszłym numerze wspomnieliśmy, że w niedługim czasie kolonizacya Niemców w kraju naszym będzie prawie niemożliwą, dlatego że zaludnienie obu krajów dosięgnie jednakowéj cyfry. I tak

jest istotnie. Statystyka—o którój „rozumiejący cyfry statystyczne" publiczności dla własnego dobra woleliby nie wspominać—statystyka uczy, że ludność Królestwa Polskiego, aczkolwiek nie regularnie, jednak wzrasta bardzo szybko. W roku 1816 mieliśmy 2,717,287 mieszkańców, a w 50 lat póżniéj czyli w r. 1866 już 5,388,534, to jest dwa razy więcéj; w roku zaś 1873—6,398,793.

Bez względu na to, że były lata, w których ubywało ludności (np. w r. 1831 ubyło 375,631—w r. 1855 ubyło 123,976 i t. d.), średni roczny przyrost jéj z lat 57 wynosił 1,5%, jest zatém bodaj czy nie największy w Europie. Ten sam zaś przyrost dla Pruss np. wynosi tylko 0,53%. W ostatnich nawet 10 latach (1863—1873) przyrost u nas wynosił aż 2,4%, co przypisać należy uwłaszczeniu; podobna bowiem reforma w Prussiech toż same zjawisko wywołała.

Żyjemy zatém w epoce, w któréj śmiało średni roczny przyrost 1,5% przyjąć dla Królestwa Polskiego możemy.

Zapytajmy teraz: w jakim czasie Królestwo Polskie, którego zaludnienie wynosi 2,407 mieszkańców na 1 mili □, a roczny przyrost 1,5%—zrówna się pod względem zaludnienia z Prussami, których siedzi na mili □ 3,849, a przyrost wynosi 0,53%? Otoż pewne działania arytymetyczne, których znajomość jest niezbędna dla publicystów „rozumiejących cyfry statystyczne," odpowiedzą nam, że nastąpi to przed upływem lat 50. W tym odłamie czasu zaludnienie nasze powinno się podwoić, zaludnienie Pruss powiększyć o 1,000 osób na milę □ i oba kraje powinny posiadać po 4,800 głów na mili □, czyli prawie tyle co dziś Włochy.

W takich warunkach kolonizacya będzie stanowczo niemożliwa.

Lecz wywód ten jest czysto teoretyczny, i sprawdzić się może tylko przy normalnym rozwoju, czyli przy pewnych warunkach, a mianowicie wówczas: naprzód jeżeli nie będzie zbyt wyniszczającéj wojny w kraju; powtóre zbyt wielu lat drogich; potrzecie jeżeli śmiertelność nie wzrośnie ale raczéj zmniejszy się; poczwarte jeżeli nowo wytwarzająca się ludność znajdzie środki utrzymania.

Z warunków tych przynajmniéj trzy ostatnie, najważniejsze, zależą do pewnego stopnia od nas samych. Podniesienie bogactw krajowych przez wyższą kulturę i oszczędność zapobiegnie gwałtownéj drożyznie,—a hygiena przyczyni się do zmniejszenia śmiertelności.

Wszyscy ludzie wprawdzie umierać muszą, a najbardziéj ucywilizowane i bogate narody na drodze przejścia do lepszego świata tracą rok rocznie pewny procent obywateli. Z tém wszystkiém jednak śmiertelność u nas jest większa niż gdzieindziéj. Kiedy

bowiem np. w Norwegii umiera rocznie 1,83%, w Anglii 2,27%, we Francyi 2,3%, w Prussiech 2,69%—u nas 3,04% w ostatnich czasach.

Skoro zatém są narody mające mniejszą śmiertelność, nie widzę powodu dla którego my niemielibyśmy do nich należeć? Owszem, bardzo możemy, bylebyśmy zmniejszyli przyczyny złego do których między innemi należą:

1. Liche jadło pochodzące z mało rozwiniętéj hodowli bydła, które daje nawóz i mięso.

2. Niedbalstwo o dzieci, które mrą tak licznie, że cyfra zmarłych przed piątym rokiem życia stanowi większą połowę liczby wszystkich nieboszczyków.

3. Nieczystość, która jest gorsza od najstraszliwszéj wojny a która grasuje obecnie zarówno po naszych wsiach jak i miastach, po chatach i pałacach.

4. Wstręt do lekarzy, do których udajemy się zwykle zapóźno i t. d.

Na plagi te trapiące nasze społeczeństwo, poczynamy już zwracać uwagę, i szczególniéj dużo w ostatnich czasach mówimy i robimy dla powiększenia w kraju obsługi medycznéj. Dość wspomnieć prywatne lecznice w Warszawie, w których za opłatą 50 groszy otrzymuje się poradę,—daléj podobną instytucyą w Kaliszu, a wreszcie bezpłatne ambulatoryum w Lublinie.

Z pomiędzy wszystkich jednak środków tego rodzaju, na najszerszy rozgłos zasługują następujące podane dopiero lub już wykonane projekta.

Naprzód towarzystwo pomocy lekarskiéj, założone w Kaliszu przez d-ra Franciszka Czajczyńskiego. Członkowie towarzystwa płacą 2% pensyi miesięcznéj ciągle, a w razie choroby mają pomoc lekarską bezpłatnie. Towarzystwo to, do którego innym jeszcze razem wrócimy, zasługuje na baczną uwagę ogółu.

Jeden z plebanów w korrespondencyi do któregoś z pism prowincyonalnych, zwrócił uwagę na położenie kobiet nie mających dostatecznéj obsługi przy porodach, skutkiem czego w jego np. okolicy na 300 matek 25 zostało kalekami. Podał też projekt zakładania gubernialnych szkół dla akuszerek i nawet przypuszczalną wysokość kosztów obliczył. O projekcie tym nadmieniamy tylko, nie wdając się w cyfry; natomiast zaś wspomnimy o plebanie z osady B. w gubernii Lubelskiéj, który z ambony podaje ludowi wskazówki higieniczne, położnicom zaś dotąd wstawać z łoża zabrania, dokąd ich niewyspowiada, zmuszając je tym sposobem do stosownego wypoczynku, który na wsi bywa zazwyczaj zaniedbywany.

Cześć kapłanom, którzy tak pojmują swe obowiązki!

W ostatnich również czasach z różnych stron odezwały się głosy, gorąco zalecające zaprowadzenie lekarzy gminnych. Najzupełniejszy pod tym względem projekt podał w Kuryerze Lubelskim p. Gustaw Wiercieński, według którego w każdym okręgu sądowym (a zatém w trzech lub czterech gminach) powinno być dwu lekarzy na koszczie tychże gmin. Wydatki obliczył w sposób następujący:

Wzniesienie budynku na mieszkanie lekarza i szpital (wydatek jednorazowy)	rs.	1,500.
Roczna pensya lekarza	„	600
Konie	„	150
Utrzymanie apteki i szpitala	„	300
Kształcenie akuszerki	„	75
Inne wydatki	„	255
	rs.	1380 rocznie.

Według téj normy, na wydatki powyższe wystarczyłaby składka z dymu od kop. 92 do rs. 1 kop. 38 rocznie.

Gdyby rzeczy zostały w dotychczasowym stanie, gminy nie mogłyby nowego ciężaru ponosić, i dla tego p. Wiercieński bardzo słusznie proponuje, aby zwinięto pewną liczbę urzędów gminnych (z 3 gmin zrobiono 2), co przy reformie sądownictwa jest możliwe.

Projekt ten ze wszech miar godzien poparcia, jest on bowiem wyczerpujący, a choć wymaga kosztów, lecz mieści w sobie potężne środki odzyskania ich na drodze wzrostu i zdrowia ludnośc wiejskiéj.

Alexander Głowacki.

RYSZARD WAGNER

przez

Jana Kleczyńskiego.

III.

W pojęciach Wagnera, jak widzieliśmy, spotyka się wiele zdrowych i genialnych myśli, obok marzeń i dziwacznych urojeń. Że sztuka w przyszłości zająć powinna wyższe, szlachetniejsze stanowisko; że powinna przestać być bawidełkiem, ale wejść jako czynnik poważny i cywilizacyjny do społeczeństw, temu nikt nie zaprzeczy; ale czy za tém idzie, aby arcydzieła wypracowane były nie przez pojedyncze osobistości, lecz przez jakieś artystyczne stowarzyszenia, aby sztuki pojedyncze niejako zatraciły swą indywidualność dla jakiéjś sztuki ogólnéj? To są zbyt już śmiałe zagadki, w których rozwiązywaniu nie mamy zamiaru posuwać się daléj za śmiałym nowatorem. Bliżéj nas obchodzą pojęcia o dramacie muzycznym: te ostatecznie dadzą się streścić w sposób następujący:

Najwyższym celem sztuki jest dramat. Wszystkie czynniki, jako to: słowo, muzyka, dekoracya, mimika, powinny być tylko środkami, dążącemi do tego celu. Muzyka nie powinna więc w niczém tamować akcyi, a ponieważ dramat wiernym jest życia obrazem, zatém niepodobna, aby śpiewak co chwila był w swéj *swobodzie* krępowanym przez formę muzyczną, a tém bardziéj rzeczą jest nienaturalną, aby się zjawiały w operze jakieś skończone i zaokrąglone całości w postaci duetów, tercetów, i t. d. Jeżeli się znajdzie chwila liryczna, śpiewna, to dobrze—ale śpiewność w znaczeniu dotychczas przyjętem melodyjności nie będzie już podstawą takiego dzieła. *Słowo* gra tu rolę nadzwyczaj ważną—każdy wyraz musi być słyszany doskonale, oddany z właściwym akcentem—często *deklamowany* pod muzykę, którą wykonywa orkiestra. Teo-

rya ta, tyle ponętnych stron przedstawiająca, zupełnie więc nowe wymagania stawia śpiewakom, jak również i publiczności; ze strony pierwszych potrzebne są nieznane dotąd wysilenia (gdyż często śpiewak przez godzinę bez ustanku jest na scenie), odrębny dar deklamacyjny, ze strony publiczności skupienie ducha osobliwsze, i wytrwałość nawet nie mała, bo opery te trwają 5 do 6-ciu godzin. Nareszcie jedną z najbardziéj charakterystycznych cech téj muzyki jest jéj najzupełniejsze wyzwolenie się ze wszelkich form dotąd dla muzyki za niezbędne uważanych. Wprawdzie jedność motywów, którą uważaliśmy w Lohengrinie, wszędzie z większą jeszcze jeśli można rzec ścisłością i logiką jest przeprowadzona; ale prawa téj jedności nie są uwarunkowane przez żadną symetryą muzyczną, idee te same powracają wprawdzie często, ale niemi nie rządzi to prawo porządku i symetryi, które muzykę słusznie pozwala porównać do architektury, a raczéj rządzi niemi sam rozwój textu któremu one w miarę potrzeby towarzyszyć i do niego stosować się muszą.

Zostawiając sobie na późniéj niektóre uwagi o całości tego systemu, nie możemy pominąć w téj chwili dwóch szczegółów, w których Wagner zdaje się postępować niezgodnie z tém co napisał. W dziele *Oper und Drama*, najwyraźniéj nazywa szaleństwem to, że muzyka będąc sztuką wyrażającą uczucia, zapragnęła *malować*. Tymczasem nie masz muzyki bardziéj malowniczéj, jak Wagnera. Czy nas przenosi do wnętrza Renu, czy oblewa scenę światłem księżycowém, czy naśladuje tentent kopyt końskich, wszędzie efekta rytmu i orkiestracyi tak są wybornie skombinowane, że się doznaje prawdziwego złudzenia—ci co słyszeli zakończenie Walkyryi, zdumiewają się nad przerażającą *prawdą*, z jaką np. są tam odmalowane *płomienie*.

Drugą sprzeczność stanowi zdanie napisane przez W. we wspomnionéj już poprzednio „pielgrzymce do Beethovena.“ „Wysokie powołanie muzyka, zniża się, powiada on, gdy chcemy go zmusić, aby swoje natchnienie stosował do drobnych zjawisk powszedniego świata.“ Nic słuszniejszego, lecz albo my niezupełnie mistrza rozumiemy, albo też on inne od nas ma wyobrażenie o tém, czém jest powszednia proza życia. Np. właśnie w op. Meistersingery, do któréj z kolei przechodzimy, spotykamy między innemi taki dyalog:

Dawid, chłopak służący u Hansa Sachsa, bije się z drugimi chłopcami na ulicy, przed domem Sachsa. Sachs wchodzi. „Cóż to?“ woła, „znowu się bijesz?“ „Nie,“ odpowiada Dawid, „ale bo oni śpiewają nieprzyzwoite piosnki.“ Na to Sachs: „Niesłuchaj ich, ucz się

lepszych.“ „No, cicho—do domu! zamknij drzwi i zapal światło!“ Wchodzą; Dawid pyta: „czy będę miał dziś lekcyę śpiewu?“

— „Nie, a to za karę twego dzisiejszego zuchwalstwa!“ a potém: „A położno mi na kopyto nową parę trzewików“ (por. naprawianie trzewika Ewie w akcie III).

Dyalog to nie wyszukany umyślnie, bo takich pełno w całém dziele, które gdybyśmy chcieli ochrzcić po naszemu, nazwali byśmy operą komiczną, a któremu W. nie nadał innego tytułu, prócz „die Meistersinger von Nürnberg.“

Treścią opery jest walka o *poetyczne pierwszeństwo*. Sam przedmiot także zadziwia nas trochę, gdyż wbrew wszelkim teoryom W. i dotychczasowym sympatyom, nie jest legendowy, ale raczéj historyczny. Autor przenosi nas nie daléj, jak do wieku XVI, wprowadza nas do *rzeczywistego* miasta Norymbergi, pomiędzy tak zwanych Meistersingerów, to jest członków cechu poetyckiego, między którymi najwybitniejszą postacią jest znany i sławny Hans Sachs, zarazem szewc i poeta. Pomiędzy tych ludzi *fachowych* dostaje się rycerz Walther v. Stolzingen, poeta duszą, ale nie znający żadnych reguł, podług których pieśń ówczesna tworzoną była. Walther mimo to staje w szrankach i mimo opozycyi *klassyków*, popierany i trochę zresztą wspomagany przez Hansa Sachsa, wygrywa palmę zwycięztwa, a z nią i rękę nadobnéj *Ewy*, córki złotnika Pognera. Wszelkie prawdopodobieństwo za tém przemawia, że Wagner, (którego współcześni Mendelssohn i Schumann wówczas nazywali *dylettantem*) chciał w postaci Walthera przedstawiać samego siebie. Alluzye w wielu miejscach są widoczne; np. gdy Sachs mówi o pieśni Walthera: „jest to przeciwne regułom, a jednak nigdzie nie można dostrzedz błędu; jakże chcecie to *mierzyć*, co jest *niezmierzone*, to sądzić podług reguł, co od nich wyższe?“ gdy mówi do Walthera: „twoja melodya ma tę wadę dla *starych*, że jéj spamiętać od razu nie mogą;“ nareszcie gdy mówi do Ewy: „jakże chcesz by miał między nami przyjaciół, kiedy nad nas wszystkich jest wyższy!“ Rzeczywiście przedmiot *Meistersingerów* przyszedł Wagnerowi na myśl jeszcze przed Lohengrinem, wówczas kiedy, jak sam powiada, przekonał się, że go świat nie rozumie, i że nawet ta garstka przyjaciół jakich miał, patrzała na jego działalność jak na „elukubracye waryata.“ Nic więc dziwnego, że zebrana w sercu gorycz mogła szukać sobie ujścia w téj wymownéj protestacyi. Dzieło samo ze względu na swój charakter komiczny zanadto jest przeładowane ciężkiemi harmoniami i wielką instrumentacyą, a dowcipy niesmaczne przypominają wymownie, że naród niemiecki prawdziwie dowcipnym nie zawsze być umie. Tak

jak niezdrowym jest nieraz dowcip zwyczajnéj *possy* niemieckiéj, również dziwne robi wrażenie kiedy np. w Meist. cały chór wchodzących krawców, naśladuje w śpiewie meczenie owcy (mee....ek!), kiedy chłopcy sobie *robią nosy* (drehen eine Nase), lub Dawid dostaje *za ucho* od swego pana. A nareszcie apoteozą tego rodzaju jest już zakończenie drugiego aktu, gdzie ogólna *bójka* na scenie daje pole autorowi do rozwinięcia wszystkich zasobów sił wokalnych, kombinacyjnych i orkiestrowych. Tu *possa* podniesiona do ideału!

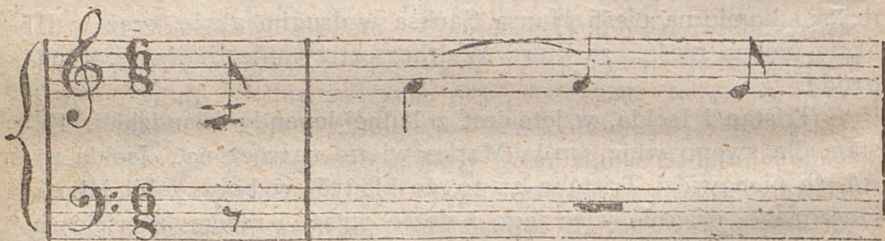
Niepodobna jednak zaprzeczyć, że efekta komiczne są nieraz wyborne (jak np. gdy Beckmesser rywal Walthera śpiewa swą źle skomponowaną piosnkę lub myli się chcąc śpiewać cudzą zamiast swojéj. Chóry traktowane są znakomicie i bardzo są zajmujące ze względu na to, że stosując się do swéj zasady, że *nie bezmyślną massę* ale zbiór indywidualności w chórze mieć powinniśmy, Wagner najczęściéj każdemu głosowi zupełnie odmienną daje partyę do śpiewania. Godna także szczególnéj wzmianki jest dzika i komiczna pieśń Hansa Sachsa w drugim akcie, oraz w III akcie piękna pieśń, za którą Walther otrzymuje najwyższą nagrodę.
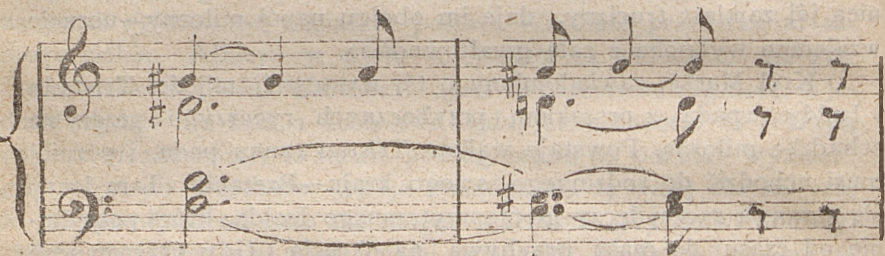
Tristan i Isolda, wzięte jest z ładnéj legendy irlandzkiéj. Tristan, dla swego wuja, króla Marke wiezie narzeczoną. Isolda sądzi, że nienawidzi Tristana za to, że kiedyś w boju zabił jéj narzeczonego, pragnie więc jego i siebie otruć i razem zemścić się i uniknąć niemiłego sobie małżeństwa z królem Marke. Powiernica jéj zamiast trucizny, daje im obojgu napój miłosny—uczucie wzajemne wybucha z całą gwałtownością.

Król Marke, zawiadomiony o téj występnéj miłości Tristana i Isoldy wpada z orszakiem przybocznych rycerzy i przerywa schadzkę miłosną. Powstaje walka: Tristan ranny pada, i późniéj musi uchodzić do rodzinnego swego kraju—Bretanii. Tam leczy się z ran, a raczej leczy go nieprzytomnego Isolda, która potajemnie od czasu do czasu przybywa na okręcie. Gdy przytomność wróciła, powraca miłość z całą siłą. Sama radosna wieść o przybyciu okrętu zabija Tristana. Wślad za Isoldą przybywa i król Marke, który dowiedziawszy się, że Tristan i Isolda ulegli wpływom czarodziejskiego napoju, pragnie im przebaczyć i połączyć ich—niestety przybywa za późno!...
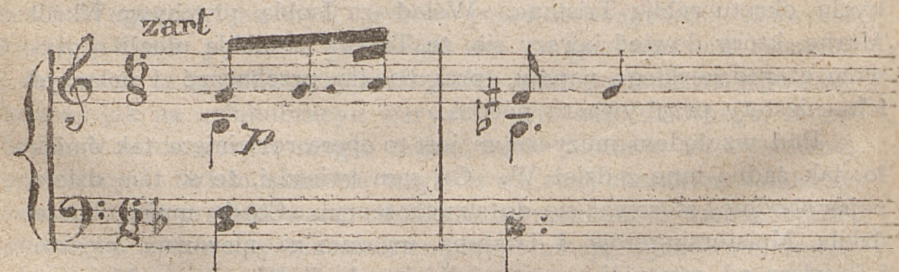
Pod względem muzycznym jest to opera rozwinięta tak śmiało, jak żadne inne z dzieł W. On sam twierdzi, że w tém dziele najswobodniéj stosował się do swych teoryi. Co do mnie, oba te dzieła, Meistersingerów i Tristana, uważam za nierównie cięższe i śmielsze od ostatniéj nawet wielkiej trylogii Wagnera. Meister-

singery zdumiewają olbrzymiością swéj całości, twardością harmonii, zagluszającą potęgą orkiestracyi, role zaś Tristana i Isoldy stawią śpiewakom niepodobne prawie do spełnienia zadania—i potrzebują nadludzkich rzeczywiście wysileń. Nie dość na tém, że w pierwszym akcie partye ich obojga, szczególniéj Isoldy są bardzo dramatyczne i forsowne, oprócz tego cały prawie akt II-gi stanowi jeden wielki duet kochanków. Pod względem harmonicznym nikt w śmiałości kombinacyi nie posunął się tak daleko jak Wagner. W Meistersingerach przeważa nadzwyczaj częste używanie akordu doskonałego z kwintą zwiększoną (c, e, gis), który traktuje W. zupełnie jak akord zasadniczy, nietylko używa go bez przygotowania i rozwiązania, ale bierze całe serye takich akordów po sobie następujących; w Tristanie zaś przeważającą formą harmonii, zdaje się byc chromatyczność. Objawia się ona już w dwóch zasadniczych tematach, które są osią calego dziela; pierwszy temat wyraża tęsknotę miłosną (das Sehnen).

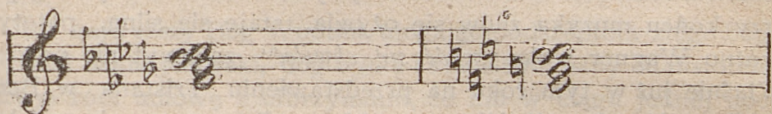




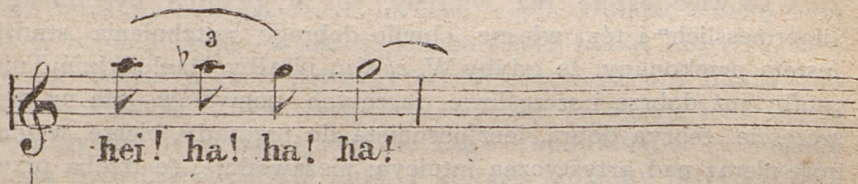
drugi maluje wdzięk miłości:



Chromatyczność ta, przeprowadzona w całéj operze ze zwykłém Wagnera mistrzowstwem, prowadzi nieraz do nader silnych scen, lecz w wielu miejscach razi przesadą; np. pozwala sobie Wagner takiego następstwa akordów:



radość szalona Tristana z przyjazdu Isoldy w 3-cim akcie maluje się w dzikim i.... trywialnym wykrzykniku:



Początek olbrzymiego duetu w drugim akcie jest mistrzowski. Isolda właśnie zgasiła pochodnię (znak umówiony między kochankami) i oczekuje na Tristana. Orkiestra (wiolenczelle w basie) zaczyna, zrazu wolno, śpiewny temat, ten powoli przyśpiesza—Isolda pełna niecierpliwości powiewa chustką coraz prędzéj; nareszcie temat się zmienia, przenosi do wiolinu, staje się coraz natarczywszym, gwałtowniejszym, już Isolda ujrzała Tristana—niecierpliwe crescendo wzrasta do kolosalnych rozmiarów—nareszcie kochankowie rzucają się sobie w objęcia z namiętnym krzykiem: Tristan! Isolde! Tu przerwa, chwilę orkiestra wtóruje coraz silniéj, nareszcie w najwyższém uniesieniu wpadają kochankowie w następujący szybki dyalog: „Tyś moja?... Tyś mój—mogęż cię objąć?...—Mamże sobie wierzyć? Nareszcie! nareszcie! na mojéj piersi—ciebież to czuję? Tyżeś to? Twoje oczy? twe usta? tu twa ręka to serce?... Czy jestem—czyś ty jest—czy to nie sen?“

Dyalog ten wspina się w szybko rosnących chromatyczuych crescendach—aż oboje wybuchają pięknemi i patetycznemi frazesami:

„o radości, o niebiańska radości!...“

Jest to cudowna, wzniosła chwila, ale niestety! autor sądził, że wbrew znanym słowom Fausta, potrafi chwilę wzniosłego szczęścia zatrzymać na dłużéj. Duet po kilku przepysznych stronicach, słabnie—dyalog sam z silnego i pełnego czaru zamienia się stopniowo w jakąś prawie filozoficzną rozprawę nad tém, że lepszą jest

noc, która im widzenie się z sobą ułatwia, od dnia, co ich rozdziela—subtelna ta ich rozmowa nie zastąpi gorącego porywu, który nas tak zachwycił na początku—i scena wbrew wszelkim estetycznym prawom, stosując się do przeciwnych sztuce, praw *realnego życia*, zostawia słuchacza coraz chłodniejszym, rozczarowanym! napróżno przy końcu muzyka znów się ożywia, staje się silną, patetyczną: próżno Wagner woła: „*wróć się chwilo!*“ zachwyt nie powraca!... Właśnie już w tym roku na przedstawieniu Tristana w Berlinie, publiczność najżyczliwiéj usposobiona dla autora nie mogła bez znużenia wysłuchać tego kolosalnego duetu, który trwa przeszło godzinę!

Tu więc jeszcze raz widzimy, że W. pragnie być zanadto „unermesslich“ i tém własne chwile dobrego natchnienia studzi. Jestem przekonany, że gdyby W. *chciał*, pisałby i melodyjniéj i nie psułby już dobrze i szczęśliwie zaczętych pomysłów—ale na nieszczęście teorya dobra, lecz posunięta do przesady, bierze w nim górę nieraz nad artystyczną intuicyą; niezawodnie, że trzeba przedewszystkiém szukać *prawdy życiowéj*, ale co innego jest *prawda życia*, a co innego *realizm suchy*, którego sztuka unikać powinna.

Lecz przejdźmy do ocenienia najważniejszéj i ostatniéj pracy Wagnera: „Pierścień Nibelunga.“ Dzieło to jest trylogią z prologiem, i całkowite jego przedstawienie rozkłada się na 4-ry wieczory. (3 Abende und ein Vor-abend). Pierwszy wieczór: Rheingold; drugi wieczór: die Walküre; trzeci wieczór: Siegfried; czwarty i ostatni: Götter-dämmerung.

Spotykamy się tu z istotnie pięknym przedmiotem, i opracowanym z najwyższą możliwą starannością, według najidealniejszych przepisów teoryi W. Materyał do téj wielkiéj trylogii zaczerpnął W. z *sag* czyli podań staro-niemieckich, a głównie skandynawskich, połączywszy je w artystyczną całość z niezmiernym talentem literackim. Stara *Saga* Skandynawska o Nibelungach, połączona z inną sagą *Welsungach*, z dodaniem podań zaczerpniętych z tak zwanéj młodéj *Eddy*, żyjąca i w Niemczech od bardzo dawnych czasów, dostarczyła materyału do bogatéj i pięknéj treści—a treść ta znowu dała pole do rozwinięcia największego bogactwa fantazyi.

Wiadomo, że w żadnym politeizmie, bogowie nie byli doskonałymi—mieli i oni swe ułomności, swe nienawiści, swe namiętności, takie same, nawet potężniejsze jak śmiertelne istoty. Lecz jakby w uznaniu jedności i porządku wyższego kierującego światem, ludy stojące na wyższym stopniu cywilizacyi poddawały swych bogów pod tajemniczą władzę jakiejś jeszcze silniejszéj potęgi jak Fatum—lub ów *Bóg niepoznany* Greków. Podobnież skandynaw-

scy i niemieccy bogowie ulegają potędze *losu—przeznaczenia*. Ta wyższa sprawiedliwość sądzi z nieubłaganą surowością ich postępki, a raczéj rzec można, te postępki sądzą same siębie, tak, że *los* w legendzie Wagnera przedstawia się nam niejako pod postacią *sumienia*.

Otoż najwyższy Bóg Wuotan, ulegając podszeptom złego boga Loge (Loki skandynawski, bóg ognia i kłamstwa, istny Mefistofeles północny) robi umowę z olbrzymami, że mu w ciągu jednéj nocy wybudują wspaniały gmach na stroméj skale. Czyniąc to, przewinił Wuotan ciężko; sądził bowiem (tak mówi Edda skandynawska, a za nią Wagner), że olbrzymi tak prędko nie skończą, i dla tego lekkomyślnie przyrzekł im jako zapłatę oddać siostrę swéj żony, boginię Freję,—a jeszcze lekkomyślniéj zaufał Log'emu, który mu obiecał w razie potrzeby wynaleźć sposób, aby olbrzymom inaczéj zapłacić. Lecz olbrzymi stawili się na słowie i domagają się nagrody. Wtenczas zjawia się Loge i opowiada, że w nurtach Renu było czarodziejskie złoto, z którego zrobiony pierścień daje panowanie nad światem, i że to złoto wraz ze skarbem olbrzymim (der Hort) odkradł córkom Renu—karzeł Alberych, z rodu podziemnych Niebelungów. Gdyby więc to złoto mu nazad odkraść, byłoby czém zapłacić ólbrzymów. Olbrzymi się na to zgadzają i oto bóg Wuotan wraz z Log'em wybierają się na wcale niezaszczytną wyprawę, w któréj chytrym podstępem przychodzą do posiadania skarbu i pierścienia, i oddają to wszystko olbrzymom. Alberych pokrzywdzony rzuca przekleństwo, aby pierścień śmierć przyniósł każdemu, kto go będzie posiadał. Przekleństwo skutkuje z nieprzepartą siłą i zguba bogów jest nieunikniona. Próżno Wuotan, czując zagrażające niebezpieczeństwo, zstępuje do łona matki ziemi (bogini Erda), i jéj córki Walkyrye posela, aby mu jego pałac napełniły gronem najdzielniejszych rycerzy — próżno przyjąwszy na się postać ludzką, kocha się w ziemskiéj kobiecie, tak jak niegdyś Jowisz, i tym sposobem chce dać początek nowemu szczepowi Wälsungów, swych obrońców. Siła przekleństwa strąca obrońców jednego po drugim, aż nareszcie ostatni potomek szczepu Wälsungów, ostatni posiadacz pierścienia o którego strasznéj sile nawet nie wie, niewinny i mężny Siegfried pada ofiarą fatalności, a Brunhilda, Walkyrya, żona jego, dobrowolnie pali się z nim na stosie i pierścień wrzuca napowrót w nurty Renu. Tym tylko sposobem oczyszczony jest od siły przekleństwa—świat, ale Bogowie—giną!

Potężna ta legenda pełna epizodów dramatycznych ma tę wielką zaletę, że jest ściśle pojęta w duchu mitologii skandynawskiéj. Tym sposobem postawił W. niejako mityczny pomnik

pierwotnéj *legendy*; tak dalece nawet przejął się swym przedmiotem, że stara się w naciągnięty cokolwiek sposób, odszukać w téj legendzie idealny zaród walki Gwelfów i Gibelinów. Gibeliny (Wajblingen) są to właściwie owe Niebelungi (1); oni to przez czas jakiś dzierżą panowanie nad światem, to jest koronę cesarską. Najpotężniejszym z Niebelungów był Karol W., ostatnim z wielkich Niebelungów jest Fryderyk Barbarossa, „o którym lud wierzy, że nie umarł, ale w pieczarach góry Kyffhäuser śpi w żelaznéj zbroi i gdy mu kruk zwiastuje chwilę przebudzenia, powstanie ze swym wielkim mieczem i zawojuje świat." Ród Gwelfów ma za idealnych przodków mieć owych Welsungów, pochodzących w prostéj linii od boga Odina. Lecz do tych historyozoficznych marzeń sami wielbiciele W. zdają się nie przywiązywać wagi, i mimo całéj sztuki, z jaką W. zbudował gmach swego textu, zdaje się, że w jednéj głównie okoliczności, jest on sam z sobą w sprzeczności. W kilku miejscach swych dzieł, gdzie czyni alluzye do mitycznego znaczenia walki Gwelfów z Gibelinami, zawsze całe jego sympatye są bezwarunkowo po stronie Gibelinów. Oni to mają prawdziwie ideę panowania nad światem—oni walczą z papieżami, oni to (w postaci Fryderyka Barbarossy) mają jeszcze szansę wskrzeszenia władzy pierścienia; tymczasem w legendzie swéj całe sympatye skierował W. ku postaci Zygfryda, bohatera ze szczepu Welsungów.

Lecz—możemy zaniechać dalszych zaciekań. Dla nas pragnących W. ostatnie dzieło ocenić, może być rzeczą zupełnie obojętną, ile nazwy dwóch rodów walczących w XI i XII wieku o koronę cesarsko-niemiecką, mogą mieć związku z nazwami legendowych plemion północnéj mitologii, jak również może nas to mniéj obchodzić, że Fryderyk Barbarossa (który, jak wiadomo, utonął w Azyi Mniejszéj) jadąc na krucyatę, sądził jak powiada W., że dotrze do Indyi, gdzie według legendy miał jakoby wówczas przebywać ów cudotwórczy kielich (der Gral), którego stróżem w X wieku był Lohengrin. Te wszystkie legendowe *kombinacye* Wagnera o tyle nas tylko mogą interesować, że w nich z łatwością dostrzeżemy tego samego marzyciela, któremu niegdyś tonika, tercya i kwinta przemieniały się w żyjące postacie i którego umysł zawsze bujał w świecie *niezmierzoności* i mistycyzmu (2).

---

(1) W Sagach Niemieckich są to Burgundy.

(2) W. np. mówi między innemi, że idea cudotwórczego kielicha (dającego połączoną władzę króla i kapłana) została późniéj zastąpioną przez ideę *talizmanu* (pierścień), następnie zaś przez ideę faktu dokonanego. Lecz *talizman* jest pod opieką Barbarossy w owéj pieczarze i jeszcze może ta idea kiedyś powstać i zwyciężyć.

Jesteśmy tedy w czarodziejskim świecie *legendy*, którego kilka stron już nam odsłonił Wagner. Obraz po obrazie zmienia się i to bez przerwy, tak, że Rheingold zajmuje słuchacza przez wieczór cały (2½ godzin) bez podziału na akty, ani na chwilę nie dając odpoczynku. Obraz pierwszy przenosi nas do wnętrza Renu. Orkiestra, zrazu wolno i spokojnie, potém coraz prędzéj rozwija temat, wybornie malujący rozkołysane fale. O ile w miejscach, gdzie się patos dramatyczny rozwija, używa W. z największą nawet przesadą niesłychanego bogactwa harmonii, o tyle tutaj postanawia być prostym i przebywa nadzwyczaj długo na jednych i tych samych akordach. Ów wstęp przedstawia olbrzymią niby cadenzę, przez 136 taktów nie schodząc z akordu tonikalnego *Es dur*. Scena przedstawia przecudny podwodny krajobraz — trzy nimfy wodne, córki Renu, wdzięcznie igrają wśród fali, goniąc się żartobliwie. W tém z pod ziemi wyłazi brzydki karzeł Alberych, z rodu Nibelungów i pragnie z niemi razem igrać. One go nęcą, późniéj odtrącają ze wstrętem—orkiestra ciągle maluje prześlicznie ruch kołyszący fal Renu. Alberych, rozdrażniony coraz bardziéj ściga nimfy—one się zbliżają, późniéj wymykają zręcznie; tak, że karzeł wpada w wściekłość i w gniewie szalonym podnosi do góry groźną pięść. W tém nagle z góry spływać zaczyna urocze światło, które wkrótce całą scenę zalewa złocistym blaskiem. „Co to jest?“ pyta karzeł. „To złoto się *budzi*—odpowiadają córy Renu. Jakto, czy nie znasz czarodziejskiego złota, którego posiadanie daje skarb olbrzymi, a z niego zrobiony pierścień daje panowanie nad światem?“

I orkiestra, zrazu wolno, potém szybciéj, zaczyna malować falowanie złotego blasku na ruchliwéj wód powierzchni; poczém następuje śliczny tercet. „Ale ten tylko, dodają córy renu, zdobyć może to złoto, który się wyrzeknie miłości! Alberych, usłyszawszy to, przeklina miłość, wyrywa złoto i ucieka. Nagła ciemność zalega scenę—groźny szum fali miesza się z rozpaczliwemi krzyki córek Renu—ale oto już mgła coraz gęstsza przysłania obraz — scena staje się wkrótce zupełnie niewidzialną, a orkiestra w prześlicznéj charakterystyce maluje *wznoszenie się do góry*. Fale Renu szumią coraz ciszéj, a z góry oblewa nas coraz wyraźniéj łagodny promień światła. Nareszcie wszystko ucicha—i oczom naszym odsłania się nowy uroczy krajobraz—Ren jest już głęboko w dole—na przodzie sceny Bóg Wuotan śpi i małżonka jego Frika (1) także—a za

(1) Hera.

Renem, na przeciwległéj skale, wznosi się zamek wspaniały — to Walhalla, którą olbrzymi, Fasolt i Fafner, w ciągu nocy postawili, i za który tak lekkomyślnie Wuotan obiecał dać im w zakład siostrę bogów, Freję, boginię *młodości.* Wspaniały i uroczy temat maluje tę bogów ostatnią siedzibę—dziwnie szczęśliwie w tym temacie powaga i majestat łączą się ze spokojem blizkim snu śmiertelnego.

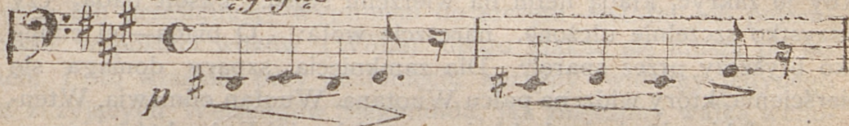
Frika budzi się i woła z przerażeniem: „Patrz, już gród skończony! Drżę o naszą Freję!“ „Bądź spokojną, mówi Wuotan, gród ten wzmocni mą potęgę, a o oddaniu *Freji,* nigdy na seryo nie myślałem!“ Lecz już ciężkiemi kroki stąpają olbrzymi. Domagają się przyrzeczonéj nagrody. Wuotan usiłuje całą umowę w żart obrócić. Olbrzymów tą nieuczciwość oczywiście oburza; powstaje ztąd kłótnia, wcale dla bogów niezaszczytna, Bogowie Donner i Froh chcą rzecz rozstrzygnąć siłą pięści, lecz wejście Loge'go daje jak już wiemy, inny obrót nieszczęsnéj sprawie. Olbrzymi zgadzają się oddać Freję za złoto. Lecz teraz aż do wieczora biorą ją z sobą jako zakład umowy. Freja odchodzi, i nagle scena ciemnieje, oblicza Bogów więdną i starzeją—Bogowie *nie wiedzieli* bowiem, że jabłka które hoduje Freja, i które spożywają, dają im wieczną młodość. Wuotan z Logem przez otwór w skale spuszczają się do podziemnéj krainy Niebelungów. Obłok znów przesłania scenę. Orkiestra to zejście w świat podziemny wybornie maluje. Niewolniczy rytm Niebelungów:
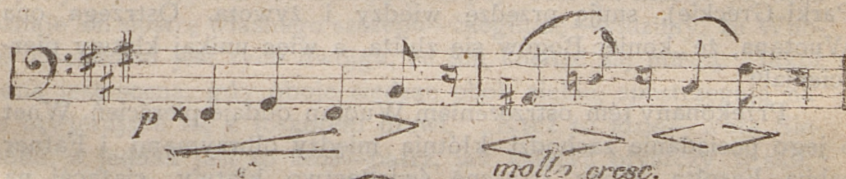
rozlegać się zaczyna. Mianowicie charakterystycznym jest ustęp, gdy za sceną dają się słyszeć rytmicznie kujące młoty tych podziemnych kowali. Rytm ten brzmi coraz silniéj, aż nareszcie staje się wszechwładnym i przez 8 taktów same młoty słychać tylko. Potém spuszczamy się jeszcze niżéj, stuk młotów coraz bardziéj ucicha i nareszcie ginie, Rozsuwająca się opona ciemności odsłania nam wstrętne pieczary—mieszkanie Alberycha.
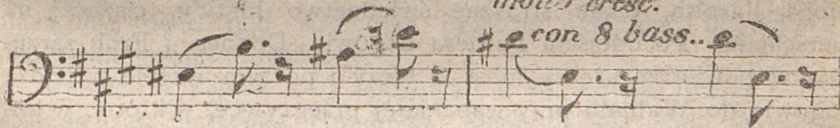
W téj pieczarze, karzeł Mime, brat Alberycha, kuje z jego rozkazu hełm cudowny, który zrobiwszy, pragnąłby sobie przywłaszczyć, ale nie wie, jaki to czar w nim ukryty. Wchodzi Alberych, i spostrzegłszy podstęp, bije niemiłosiernie brata, który dzikie wydaje krzyki: „au! au!“ Hełm ma tę własność, że kto go włoży na głowę, może dowolną postać na siebie wziąć. Alberych
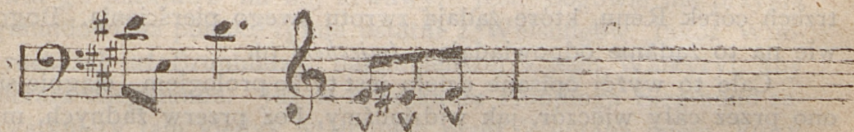
włożywszy hełm na głowę, szepcze cichy rozkaz, i wnet zamienia się w słup mgły, niewidzialny dla brata, chłoszcze go znów bez litości i znika. Wuotan i Loge wszedłszy, zastają wijącego się z bólu Mime. On ich objaśnia, jak wielką potęgę zdobył Alberych przez hełm i pierścień. Dla odebrania mu tych skarbów, Loge używa chytrego podstępu. Za przybyciem Alberycha udaje’ że niewierzy w cudowną moc hełmu. Wtenczas Alberych w jednéj chwili zmienia się w olbrzymiego smoka. Ruchy tego gadu wybornie maluje orkiestra.

Powoli i ociągając









Chytry Loge na tém nie poprzestaje, ale mówi: „ręczę, że nie potrafiłbyś zamienić się w jakie drobne zwierzątko.“ „Cóż to? nic łatwiejszego, mówi z przechwałką Alberych. I zamienia się w niewielką ropuchę. Wtenczas Wuotan nogą przydusza ropuchę, Loge zrywa jéj hełm i widzi pod nogą Wuotana wijącego się Alberycha we własnéj postaci. Wiążą go i powracają na górę. Znów obłok zasuwa scenę, znów odzywają się młoty; po długiéj przegrywce symfonicznéj jesteśmy znów na górze. Tam Alberych zmuszony naprzód okupić się oddaniem swych skarbów. Całuje więc pierścień i wydaje cichy rozkaz; wnet zjawia się cała armia Niebelun-

gów niosących wory złota. Do tego skarbu musi dodać i hełm cudowny. Lecz to jeszcze bogom nie wystarcza. Pomimo gwałtownego oporu Alberycha zrywają mu z palca i cudowny pierścień. Alberych w rozpaczy, rzuca na pierścień przekleństwo pełne siły i grozy i znika...

Olbrzymi powracają prowadząc między sobą Freję. Oblicza bogów znów się rozjaśniają. Olbrzym Fasolt mówi, że rozstać się z Freją nie może, chyba że mu ułożą tak wysoki stos złota, że jéj postać przed jego wzrokiem zakrytą będzie. Stos w jednéj chwili ułożony. Fasolt mówi: „jeszcze w górze widzę jéj cudne włosy.“ Aby je zakryć, kładą hełm na wierzchu stosu. Fasolt bada, czy wszystko szczelnie ułożone, nareszcie woła: „O biada—jéj cudne oko błyszczy przez sparę!“ Dla zamknięcia szpary domaga się pierścienia, który widzi na palcu Wuotana. Wuotan odmawia. Wtenczas z głębin ziemi wychyla się postać bogini Erdy, która „wszystko wie co było i co będzie; któréj trzy córki, die Nornen (jakby Parki Greckie), snują przędzę wiedzy i żywota. Ostrzega ona Wuotana, że „koniec Bogów się zbliża, a więc unikaj klątwy pierścienia!“

Przekonany tém ostrzeżeniem Wuotan oddaje pierścień. Wnet o jego posiadanie zachodzi kłótnia między olbrzymami i Fafner zabija Fasolta, dając straszne świadectwo klątwy, ciążącéj na pierścieniu. Po odejściu Fafnera bogowie Donner i Froh zarzucają w powietrzu uroczy most z tęczy i po tym moście wchodzą bogowie do Walhalli przy wspaniałéj przegrywce, w któréj, w bogatéj ozdobie instrumentacyi występuje znany nam już piękny temat z drugiego obrazu. Z dołu jednak dolatuje błagalny śpiew trzech córek Renu, które żądają zwrotu swego pierścienia. Bogowie na to żądanie odpowiadają... *śmiechem* (1).

Całe to wyżéj opisane dzieło jest tylko prologiem—ciągnie się ono przez cały wieczór, jak widzieliśmy, bez przerw żadnych, mimo to nie sądzę, aby było nużące. Fantastyczność i rozmaitość przedmiotu nie pozwoli się znudzić słuchaczowi i widzowi, który ma w téj operze oprócz wspaniałego bogactwa dekoracyi i również bogactwo tematów, które i do następnych oper służyć będą. Potęga wyzyskania tych tematów, przeprowadzenie ich jest nadzwyczajne—śmiało rzec można, że nikt tak nie umie wyexplcatować idei, jak to czyni Wagner.

---

(1) „Die Götter lachen.“

Druga opera nosi tytuł: die Walküre. Od wypadków zaszłych poprzedniego wieczora wiele już lat upłynęło. Skarb i pierścień pozostają dotąd w posiadaniu Fafnera, lecz bezmyślny olbrzym, nie wiedząc co z tym skarbem zrobić, zamienił się tylko w smoka czy węża (Riesen wurm) i leży przed jaskinią, ukrywszy w niéj złoto. Bóg Wuotan przez ten czas skłonił ku sobie serce ziemi i bogini Erda zrodziła mu dziewięć cór— są to Walkyrye, które do Walhalli wprowadzają poległych w boju rycerzy—przez ten czas również Wuotan, przybrawszy na się postać ludzką, jako Welse staje się ojcem szczepu Welsungów. Lecz nieszczęścia szczep ten prześladują—wygubieni do szczętu—ostatni ich potomkowie w postaci wilków (Wölfe) długo błąkać się muszą po lasach; i oto właśnie przy odsłonięciu kurtyny widzimy jedynego już z żyjących Welsungów Siegmunda, jak zmęczony walką wchodzi do nieznajoméj sobie chaty i pada bez sił na ziemię. Troskliwa gospodyni podaje mu orzeźwiający napój—lecz po blasku jéj oczu poznaje on siostrę własnego szczepu—Sieglindę—widzimy, że Wuotan opiekunem jest tych dwojga, że oni kochać się muszą. Jakoż cudną jest scena, gdy oboje siedząc obok siebie, spostrzegają nagle otwierające się z łoskotem drzwi. „Któż to idzie— woła Sieglinda, a jednak jest to ktoś—patrz, jak księżyc błyszczy w sali!“ I następuje duet, pod względem prostoty tematów i bogactwa w akompaniamencie prześliczny.

Muzyka ta piękna trwa jak zwykle u W., bardzo długo. Lecz Sieglinda jest małżonką Hundinga, nieprzyjaciela rodu Wölfingów (Welsungów); on dając u siebie gościnność Siegmundowi, wyzwał go nazajutrz na bój krwawy. Jeśli bogowie nie przyjdą Siegmundowi na pomoc, zginie ostatni z Welsungów. Jakoż Wuotan rozkazał już Brunhildzie, najulubieńszéj z jego Walkyryi, aby wspierała Siegmunda. Już w mieszkaniu Hundinga Siegmund zastał zatknięty tam kiedyś w drzewie przez Wuotana miecz, który mu ma dać zwyoięztwo; lecz Hunding, małżonek Sieglindy, zaniósł skargę do żony Wuotana (Friki), o pogwałceniu ślubów małżeńskich; Frika, któréj zadaniem jest główném opieka nad małżeństwami, gorzko wyrzuca Wuotanowi, że mógł pozwolić na występną miłość Siegmunda i Sieglindy. Scena ta małżeńska kończy się zupełną Wuotana przegraną—czuje on, że nie miał prawa nietylko naruszać świętych praw małżeństwa, ale nawet w ogóle nie miał prawa nic działać wyraźnie, aby złe losy odwrócić — ocalić bowiem może Bogów tylko ten wypadek, jeżeli nie z namowy niczyjéj, ale z własnéj *potrzeby*, zjawi się taki rycerz, który zdobędzie pierścień i odda go napowrót córkom Renu. Trzeba więc,

aby jeden z Welsungów to wszystko uczynił. Wuotan dziś nie wie, że te wszystkie czyny ma kiedyś spełnić Sygfryd, dziecię dwojga ostatnich Welsungów—ale o ile dziś wspiera Wuotan Siegmunda, o tyle późniéj będzie biernym w obec Sygfryda, aby nie naruszyć siły przeznaczenia.

Wuotan więc odwołuje rozkaz dany Brunhildzie — każe jéj owszem, aby Siegmund zginął. Lecz ona czuje, że to rozkaz dany wbrew tajemniczym serca życzeniom; ośmiela się więc, wbrew rozkazowi, stanąć w chwili walki po stronie Siegmunda. Nieszczęśliwa! Wuotan bowiem w téjże saméj chwili zjawia się w chmurach ponad Hundingiem. i o jego dzidę roztrąca się miecz Siegmunda, któremu Hunding zadaje cios śmiertelny. Obraz zbliżania się Hundinga (któremu niby sfora psów (Hunde) towarzyszy), oraz saméj walki, narysowany jaskrawemi i silnemi farbami.

Akt III poczyna się od sławnéj powietrznéj jazdy Walkyryi, w któréj W. rozwinął tak wielką fantazyę i potęgę instrumentacyi. Pomiędzy swe siostry wpada Brunhilda na spienionym rumaku i błaga, aby ją schroniły przed gniewem Wuotana.

„Biada ci!“ wolają siostry. „Wśród gromów zbliża się Bóg straszny.“ Walkyrye błagają go o litość. Pierwszy to niby chóralny wstęp w trylogii Niebelungów. Lecz kara jest nieuniknioną. Brunhilda wygnaną będzie z Walhalli — nie będzie już podawała bogom orzeźwiającego napoju, nie będzie bujać po powietrznych szlakach na dzielnym swym rumaku, — ona na téj tu skale spać będzie snem twardym, odziana w hełm i zbroję.

Wuotan całując ją w oba oczy, usypia Brunhildę.

Urocze arpeggia, w pięknych modulacyach chromatycznie schodzące na dół, malują to zapadanie w senność. Lecz by ją strzedz, Wuotan wzywa boga Loge, aby otoczył skałę wiecznie pałającym płomieniem, i wydaje taki wyrok: „zbudzić Brunhildę może tylko rycerz, co nie zna trwogi, który się nie ulęknie ani mojéj broni, ani tych płomieni!“

Tym rycerzem nieustraszonym, jest właśnie bohater następnego dramatu *Siegfried.*
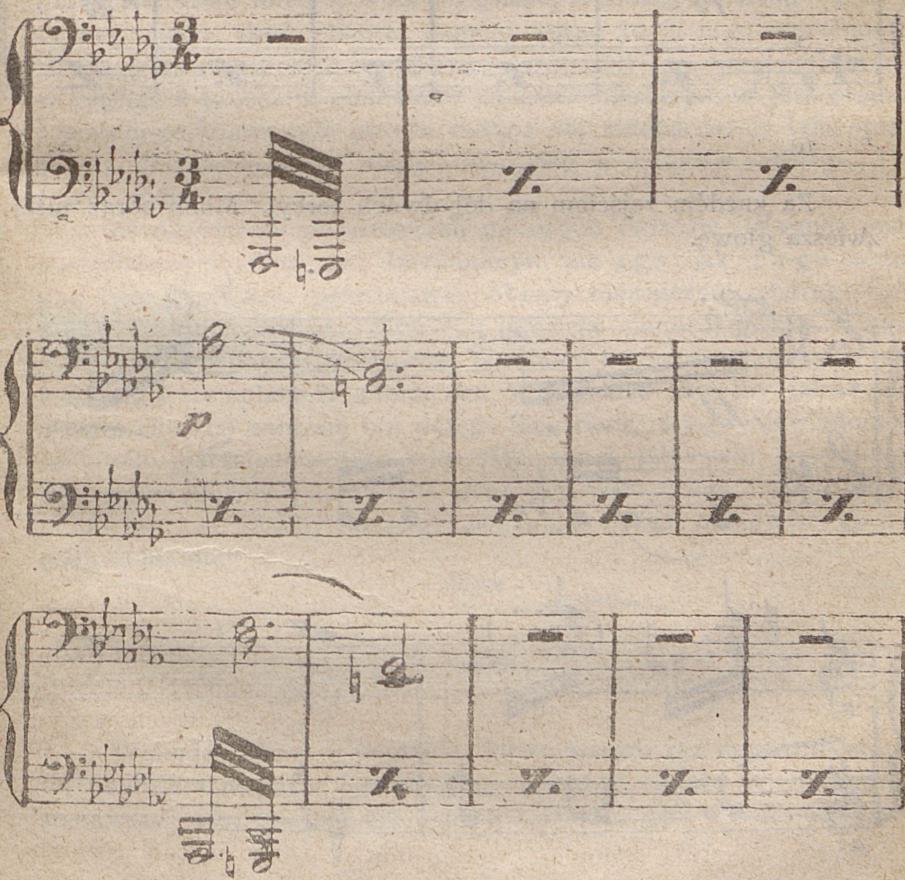
Brunhilda bowiem ocaliła Sieglindę. Uprowadziwszy ją z pola walki, ukryła w puszczy leśnéj, będącéj mieszkaniem Niebelungów, *tam nie śmiał jéj szukać Wuotan*, który „unika Nebelungów siedziby!“ Tam po jéj śmierci jéj dziecię Siegfried, wychowanym był przez znanego nam już karła Mime, brata Alberycha.

Siegfried musi być operą ciężką do wysłuchania. Tak ona, jak następująca po niéj „Götterdämmerung“ nigdy jeszcze przedstawioną nie była, i dopiero w Sierpniu r. b. będzie cała trylogia,

a właściwiéj tetralogia wykonaną w Bajreuth. Sceny w. Siegfriedzie są niesłychanie długie. Mime wychował Siegfrieda, i czuwał nad nim jakby nad własném dziecięciem — ale Siegfried go niecierpi, bo instynktem (przymiotem wspólnym wszystkim bohaterom téj trylogii) przeczuwa, że to nie była miłość szczera. Jakoż Mime wiedząc, że sam nie potrafi zabić smoka (Fafnera) liczy na to, że Siegfried to z czasem uczyni—a skarby, o których wartości nic nie wie, zabrać mu pozwoli. Lecz wie, że Siegfriedowi potrzeba takiego miecza, któryby wszelkie próby wytrzymał. Od długiego czasu więc myśli i biedzi się, jakby ukuć miecz dość mocny. To jego zadumanie wybornie potrafił odmalować Wagner na początku zaraz sztuki, przez dwie tercye, z których wyższa schodzi na niższą prawie o oktawę, i to się powtarza kilka razy w coraz to głębszych tonach (1). Gdy Mime pokazuje Siegfriedowi
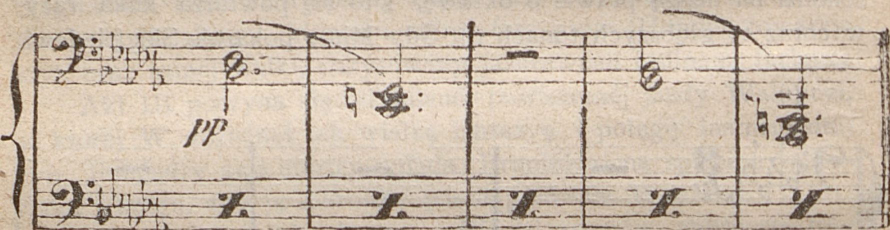
---

(1)



miecz, który mu się zdaje dobry, Siegfried jednêm uderzeniem o kowadło łamie miecz w kawałki, przy silnym dysonansie orkiestry (1).

Lecz Siegfried nawet nie wie kim jest, a czuje, że nie może być synem tego obrzydliwego czarnego karła. Powoli wydobywa z Mimy tajemnicę swego urodzenia. Przy opowiadaniu o śmierci Sieglindy, jego matki, przychodzi piękny i smutny temat, już użyty w *Walküre*. Z tego opowiadania najważniejszym szczegółem jest, że Sieglinda umierając, zostawiła synowi w spuściźnie dwa kawałki rozpryśniętego miecza ojcowskiego. Miecz ten zwał się



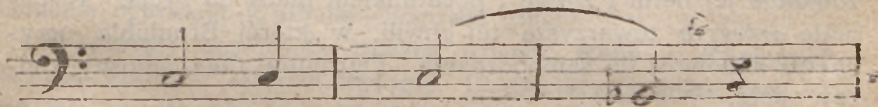
(1)

Za każdém zejściem na dół dwóch tercyi, Mime coraz niżéj zwiesza głowę.

Nothung (od Noth, potrzeba) i w *potrzebie* na nowo złączonym być może. Piękne szczegóły muzyczne znajdujemy w nadzwyczaj długiéj rozmowie Mimy i Siegfrieda, jak również i w scenie następującéj, w któréj Wuotan zwiedzający świat w postaci podróżnego oznajmia Mimie, że „*ten tylko zabije Fafnera, który nie znał nigdy trwogi;*" „ale ten także zabije i ciebie" dodaje Wuotan. Przerażony Mime nie myśli więc już o niczém, jak tylko, aby Siegfrieda nauczyć strachu. Plastyczny obraz widma strachu, który daje Siegfriedowi Mime, jest genialny, nic równego dotąd nie mieliśmy w muzyce pod względem charakterystyki. Te szybkie tremolanda te chromatyczne a szybkie pochody z góry na dół i z dołu do góry, to febryczne drżenie w głosie śpiewaka, muszą sprawiać wrażenie niesłychane. Lecz wszystko napróżno; Siegfried z prostotą powiada: „nie wiem co to jest, co mi opisujesz, mocno i spokojnie bije me serce." Wtenczas Mime sądzi, że może widok smoka przerazi Siegfrieda i namawia go sam do téj wyprawy. „Lecz nie mam miecza, woła Siegfried, a muszę go mieć— i jeśli ty nie umiesz skuć miecza mojego ojca, to ja tego spróbuję!" Scena w czasie któréj Siegfried topi naprzód dwa kawałki miecza w tyglu, a potém z nich nowy ukuwa, niesłychanie jest długa, i prawdopodobnie tyle prawie nużąca dla słuchacza, co i dla śpiewaka. Nareszcie miecz ukuty—Siegfried w tryumfie wybiega. Tu koniec aktu I-go.

W malowaniu podziemnych ponurych światów Wagner jest niezrównanym mistrzem. Introdukcya tak 1-go jak i 2-go aktu pod tym względem przedstawia obrazy niezmiernéj charakterystyki i nowości faktów. Noc — u wnijścia ponuréj jaskini czuwa Alberych. Przybyciu wędrowca (Wuotana) towarzyszy cudny blask księżyca i tremolanndo z tonu *des*. Wędrowiec chciałby także odwrócić cios, bo sam się boi potęgi Siegfrieda i jego niewiadomości o sile pierścienia. Oba więc (Wuotan i Alberych) proponują Fafnerowi (wężowi), aby przed groźnym bohaterem się chroniąc, oddał im swe skarby w nagrodę życia. Wąż odmawia: „lasst mich schlafen!"

ziewa.



Wchodzą Mime i Siegfried. Mime jeszcze raz napróżno stara się obudzić trwogę w Siegfriedzie—w końcu oddala się; Siegfried, zostawszy sam, zamyśla się — słucha szmeru liści i świegotu pta-

ków prześlicznie oddanego. Powiada, że słyszał, jakoby można rozumiéć mowę ptasią; aby ptaki zachęcić, przygrywa im na swym rogu ładną i oryginalną melodyę, pełną fermat, w czasie których czeka od ptaków odpowiedzi. Ale zamiast ptaków, zwabia Faf-nera smoka. Wąż ten śpiewa za pomocą tuby wstawionéj do ukrytéj w jego cielsku maszyny—do téj tuby przykłada usta śpiewak za sceną ukryty. (Wąż śpiewa ciągle zmniejszonemi kwintami). Walka Siegfrieda i smoka odmalowana znakomicie, wąż ugodzony śmiertelnie w serce.

Wyjmując miecz z rany, Zygmunt zbroczył rękę krwią — krew ta go parzy jak ogień, mimowoli podnosi do ust rękę—i w tém *spostrzega że zaczyna rozumiéć mowę ptaków*. Ptaszek bardzo ładnie śpiewający, radzi mu naprzód, aby z jaskini smoka wziął hełm i pierścień—następnie, aby zabił Mimę, w końcu, aby szedł obudzić Brunhildę, uśpioną na płonącéj skale. Gdy wykonawszy poprzednie dwa polecenia, Siegfried pyta: „gdzież ta skała?“ ptaszek lecąc przed nim, wskazuje mu drogę. Wdzięczna imitacya tego ptasiego lotu w orkiestrze, kończy akt II-gi.

Na początku aktu III-go muzyka energiczna maluje burzę i grzmoty. Jesteśmy u podnóża skały owéj, gdzie uśpiona Brunhilda spoczywa. Wuotan wędrowiec, potężnemi zaklęciami budzi ze snu Erdę. Postać bogini wychyla się z ziemi i pyta: „czego żądasz?“ A on na to: „ty jedna może potrafisz wynaleźć sposób, aby powstrzymać *rozpędzone koło?“* Niestety! i ona nic uczynić nie może — co ma być, będzie — koniec Bogów blizki. Wtenczas Wuotan powiada, że skoro ma zginąć, to wybiera Siegfrieda jako swego spadkobiercę—lecz jak wkrótce obaczymy i Siegfried paść musi ofiarą klątwy ciążącéj na pierścieniu. Teraz Siegfried się zbliża—Wuotan ostatnią czyni próbę i swoją dzidą zagradza mu drogę—lecz dzida pod uderzeniem miecza Siegfriedowego pęka na dwoje, a zwycięzki bohater, przebywa śmiałym krokiem wybornie odmalowane przez orkiestrę płomienie, których blask w końcu zamienia się na światło różanéj jutrzenki. Siegfried przy wdzięcznéj charakterystycznéj muzyce, zbliża się do śpiącéj dziewicy, zdejmuje jéj hełm i zbroję i pocałunkiem budzi do życia. Wspaniałe *arpeggia* towarzyszą téj chwili, w któréj Brunhilda przychodzi napowrót do samopoznania. Ogromny duet miłosny kończy operę.

Lecz oto i ostatnia część trylogii. *Koniec bogów* (Götterdämmerung). Nie małém to jest wymaganiem od słuchacza, aby całéj téj olbrzymiéj trylogii wysłuchał z uależytém skupieniem,

zwłaszcza, że dzieło pisane jest *w formie* tak nowéj i zarazem tak trudnéj do ocenienia.

W Götterdämmerung wszystko dyszy grozą—ciężar przekleństwa Alberycha doprowadza wypadki do ostatecznéj katastrofy. Już na samym wstępie trzy germańskie parki z trudnością już przędą swą nić wiedzy—nagle nić się urywa—i przeczuwając nieszczęście, wszystkie trzy chowają się w głąb matki ziemi. Tymczasem straszliwy spisek knuje się przeciw szczęściu Siegfrieda. Jesteśmy w jaskini plemienia Gibichungów nad Renem. Dwoje ich, brat i siostra — to Gunther i Gudruna. Brat ich Hagen jest synem Alberycha, dawnego posiadacza złota—on będzie strasznêm zemsty narzędziem. Przybywającemu w gościnę Siegfriedowi daje on napój, który mu odbiera pamięć wszelkiego stosunku z Brunhildą — Siegfried przysięga dać Brunhildę za żonę Guntherowi, jeżeli sam otrzyma rękę pięknéj Gudruny. Lecz Gunther nie może przebyć bezkarnie płomieni otaczających skałę Brunhildy; Siegfried to, za pomocą czarodziejskiego hełmu przybiera na się Gunthera postać i zmusi ją do posłuszeństwa.

Straszna ta scena musi robić silne wrażenie. Straszliwy krzyk rozpaczy Brunhildy nie może powstrzymać rozpędzonego koła *przeznaczenia*. Siegfried, waleczny rycerz, Siegfried niewinny, musi według przeznaczenia wyroków zdradzić ją—musi publicznie w obec wszystkich *przysiądz*, że jéj nie zna wcale, lubo ona poznała teraz, że to był on, który dotarł do skały, i siłą zdjął jéj pierścień z palca. O czemuż nie usłuchała rad swéj siostry, jednéj z Walkyryi; która przysłana od Wuotana, błagała, aby pierścień nazad oddała córkom Renu! Teraz Brunhilda, sama parta fatalną siłą przeznaczenia, spiskuje wraz z Hagenem na życie niegdyś ukochanego małżonka — ona to sama odsłania mu tę tajemnicę, że dzielny ten rycerz wszędzie od zranienia wolny, może być śmiertelnie ugodzony z tyłu! Siegfried pada zdradziecko pchnięty przez Hagena na polowaniu, Brunhilda pali się wraz z jego ciałem ne stosie i pierścień oddaje córkom Renu. „Świat ocalony od klątwy pierścienia, ale w chwili skonu Brunhildy, płomienie ogarniają Walhallę—bogowie giną!“

Wspaniałe obrobienie tematu dziewic Renu z Rheingold i tematu Walhalli zamyka trylogię. Charakterystycznêm jest, że przy têm zakończeniu, tak jak przy zakończeniu Walküry, *słowo* już odzywać się przestaje. Bogowie giną w milczeniu, i trąby i puzony straszliwy ten dramat głoszą światu!

Ostatnie to dzieło bardzo ciężkie jest do wysłuchania. Spotykamy w niém wprawdzie ustępy wielkiéj piękności, jak: krótki

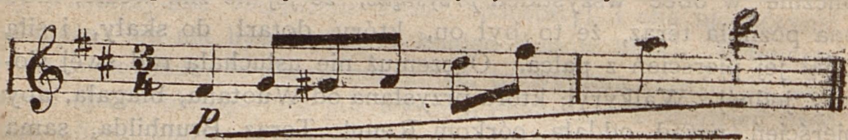
chór powitalny przy przybyciu Brunhildy do Gibichungów pełen szerokości i powagi; — jak marsz żałobny po śmierci Siegfrieda, i całe w ogóle zakończenie. Ale ogromna przesada w długości pojedyńczych scen, trzymanych jak zwykle w nastroju deklamacyjnego recitativa, powinna być bardzo rażąca przy scenicznêm przedstawieniu.

W ostatnich tych dziełach tak dokładnie wypowiedział się Wagner, że poznawszy je, nic nam już do ocenienia jego teoryi nie brakuje. Cóż więc ostatecznie o nim sądzić mamy?
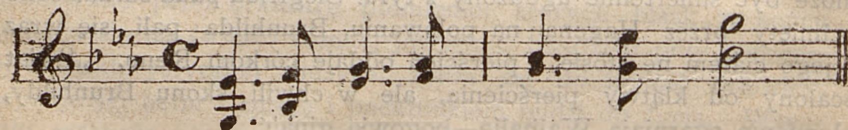
Jak widzieliśmy ma on dużo przymiotów. Brak mu może rzewności, tęsknego liryzmu ale za to ma słodycz zmysłową, wdzięk, szerokość, powagę, słowem jest wielki, silny, majestatyczny, *charakterystykę* daje wyborną; jedność myśli przeprowadza w sposób genialny — z najprostszych tematów (jak dąb z drobnego ziarna) wynikają u niego w sposób naturalny efekta nader potężne (1) — słowu muzyka jego nadaje właściwy akcent, słowo to jest piękne. Dramatyczną siłę i charakterystykę podtrzymuje harmonia nadzwyczaj śmiała i oryginalna, jego przejścia

---

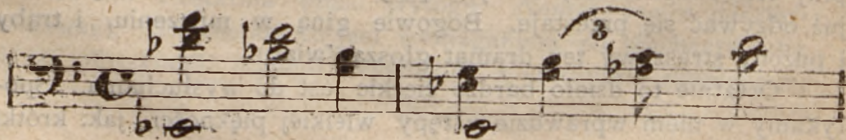
(1) Np. cudowny temat malujący kobiecy wdzięk.



Albo temat Renu będący zarazem tematem przeznaczenia.



Albo temat władzy podobny do tematu pierścienia Walhalli.



sprawiają nieraz olbrzymie wrażenie (1). Instrumentacya również tak jest bogata, tak malownicza, że przechodzi wszystko, co na tym gruncie stworzyli jego poprzednicy.

Że więc W. znakomitym jest reformatorem, że operę wprowadził na drogę wyższéj prawdy dramatycznéj, że wygnał z niéj wiele nienaturalności, uświęconych powszechnym zwyczajem, to niezaprzeczoną i wielką jest jego zasługą, ale przedewszystkiém aby być bezstronnymi i sprawiedliwymi, powiedzmy, że cokolwiek zanadto zapomina o tém, co zdziałali na polu dramatycznéj prawdy jego poprzednicy. Grecy jeszcze nadawali akcenta mowy myślom muzycznym—a raczéj cała ich tak zwana muzyka, była tylko *mową* śpiewniejszą — ta tradycya dała początek recitativu kościelnemu (śpiew Gregoryański), z téj to tradycyi wychodząc, jeden z najpierwszych kompozytorów oper Jakób Péri, tak mówi: „celem muzyki jest wyrażać w śpiewie naturalne akcenta mowy, których używamy dla okazania uczuć radości lub smutku.“ Ojciec i twórca opery francuzkiéj Lulli, opierał swe dzieła nawet *przeważnie* na deklamacyi—sławny Gluck zrobił bardzo wiele na polu prawdy dramatycznéj; ślady niezaprzeczonego na téj drodze postępu zostawił genialny Mozart, — w „Fidelio“ Beethovena mamy pod względem prawdy dramatycznéj pomysły znakomite. Weber swéj fantazyi wynalazl wyborne pole w malowniczości sceny lania kul z Frejschützа; nareszcie tak zmaltretowany przez W. Meyerbeer, jeśli nie zawsze pod względem polotu i natchnienia, to pod względem rozumnych i światłych intencyi dramatycznych, zostawił nam w swych pomysłach, w swéj wybornéj instrumentacyi spuściznę niemałéj ceny; a bezstronny krytyk nie powinien przepomniéć i o niezaprzeczonéj zasłudze kompozytorów włoskich Bellini, Donizetti, Verdi, którzy grzeszyli nieraz naiwnością akompaniamentów i modulacyi, razili prostotą i ubóstwem swéj kompozytorskiéj techniki, ale dali *melodyą*, wprowadzali ją, jak królową w płaszczu gwiazd do świątyni sztuki, i pod tym względem podobno nie mylili się wcale, i godni są najwyższego uznania.

Tak jest, melodya zawsze i wszędzie pozostanie serc ludzkich mistrzynią—*ona to głównie jest muzyką*, ona głównie nas po-

(1) Nieraz w téj bogatéj harmonii mała zmiana jednego lub dwóch dźwięków wprowadza nas w nowe światy; przed chwilą owładało nami uczucie groźne i ponure, a raptem horyzont się rozjaśnia, miękkość znajduje się o włos od twardości. Np. w Tristan i Isolda na str. 183 zwrot do akordu *d dur* przy wyrazie: „*Unvergessen*...“ albo w Rheingold na str. 128 modulacya przez jedną nótę z *b moll* do dominanty akordu *a moll*.

rusza i prowadzi, ona stanowi treść i zarazem probierz natchnienia. Wagner ma także melodyę, ale formy jakiemi ją przyobleka, niezawsze ją korzystnie przedstawiają; jego *nieskończona* melodya nie jest dla nas jasną—i wielbimy go wtedy najbardziéj, gdy nam da temat tak jasny jak w duecie z Walküre, w marszu pielgrzymów z Tannhäusera.

Zresztą, tam gdzie *głos ludzki* występuje, melodya zdaje się najwłaściwiéj *jemu* przynależéć. Rozumiemy, że nieraz orkiestra przez użycie stosownych melodyi, wybornie nam potrafi odmalować *stan duszy* bohatera, lecz tego środka W. nadużywa, nadając głosowi zbyt częste partyę nie zajmującą do śpiewania, co sprawia wrażenie *deklamacyi pod muzykę*, a że w téj ostatniéj formie słowo i myśl muzyczna, nie będąc połączone z sobą organicznie, rzekłbym nietyle się wspomagają, ile raczéj wzajemnie *przeszkadzają* sobie (1).

Daléj, kwestya formy muzycznéj. Nie przeczę, że na téj drodze zbytecznie krępować się nie można; IX-ta symfonia Beethovena nam okazuje jasno, jak dalece geniusz może od form utartych odstąpić; ale czy Wagner w swéj swobodzie nie idzie za daleko?

Muzyka, jako muzyka jest mową mistyczną, nieokreśloną — zatém, aby wzmocnić jéj konkretność, zdaje się niezbędném nadać jéj pewne zaokrąglenia formy—to samo nawet czyni Wagner, tam gdzie w jego operach muzyka występuje jako muzyka (marsz z Tannhäusera, pieśń Walthera z Mejstersingerów, tercety dziewic Renu i t. p.); lecz tam gdzie muzyka występuje tylko jako *akcent słowa*, jako deklamacya, wszelka forma znika, i przędza dźwięków wysnuwa się przez całe godziny, coraz daléj odchodząc od kłębka. W tém niezawodnie jest przesada; taka bezforemność nie może sprawić estetycznego zadowolenia słuchaczowi, bo słuchacz aby być zadowolonym, potrzebuje módz to wrażenie objąć sobie i *streścić* w swéj duszy (aby nie powiedziéć z arabskiém przysłowiem: „Słyszę, że młyn miele, ale mąki nie widzę!“) Jakoż przykładu *bezforemności* w muzyce, nie znaliśmy do czasów Wagnera — i wątpić można, aby i on ten swój nowy wynalazek potrafił uczynić popularnym.

Istotnie w tém leży dla nas pewna wskazówka, jeżeli się zastanowimy, czy W. może i czy *powinien* znaleźć naśladowców?

---

(1) „Was ist ein musikalisches Drama?“ pyta jedno pismo niemieckie, „Es ist ein Drama, wo die Musik die Worte, und die Worte die Musik stören.“

Wszyscy wielcy geniusze, mają mnóstwo *mimowolnych* naśladowców, a raczéj takich, co daléj ich myśl prowadzą — ale my nie umielibyśmy sobie dziś wyobrazić, aby Wagner mógł utworzyć *szkołę* z pożytkiem dla pcstępu sztuki. W jego reformatorskich intencyach, co do łączności textu i muzyki w prawdzie akcentu, w malowniczości instrumentacyi nawet do pewnego stopnia iść za nim warto; ale unikać należy jego *bezforemności,* zbytniéj deklamacyjności partyi wokalnych, twardości i zuchwałych wznowień harmonicznych (jak np. użycie za częste zwiększonego trójdźwięku) nareszcie zbyt brutalnego *realizmu.*

Pod tym ostatnim względem już nas raziły niektóre ustępy w tekscie Meistersingerów: również nas przykro dziwi, gdy Alberych do Wuotana mówi: „du Schelm, du schamloser Dieb,“ albo gdy Siegfried Mimie, lub Loge Alberychowi robi na nosie ów gest poufały, tak popularny pomiędzy dzisiejszą niemiecką gamineryą (1).

W ogóle, mimo wielkości niektórych idei Wagnerowskich, trudno nam zgodzić się z tą myślą, aby przy połączeniu muzyki że słowem, pierwsza mogła grać rolę podrzędną. Na wykrzyknik Wagnera: „chcecie *dramatu* i wzywacie do tego *muzyka!*“ odpowiemy może: „rozumie się, że skoro chcemy *muzycznego* dramatu, to musimy wezwać muzyka—dramata bez muzyki niech pisze poeta!“ Z drugiéj strony na *konieczność* współpracownictwa różnych sztuk niepodobna się zgodzić. Jak może być doskonały dramat bez muzyki, tak i wyborna muzyka bez dramatu; co nie wyłącza bynajmniéj możliwości połączenia tych dwóch czynników z należytém względnéj każdego z nich ważności ustosunkowaniem.

Nakoniec śmiało postawiony przez Wagnera aforyzm, „że tylko *myt* jest godnym przedmiotem dla dramatu,— mógłby także podlegać dyskussyi. Że w takich abstrakcyjnych warunkach życia, niektóre uczucia występują w większéj swobodzie—powiedzmy otwarcie — w pewnéj nagości, to niezaprzeczone, ale czy w tém jest prawda życiowa? Czy te postacie legendowe mogą żyć ży-

---

(1) Wszak nie mamy żadnych danych na to, czy gest ów w czasach przedhistorycznych już był znany i czy wprowadzając go, W. nie grzeszy anachronizmem? Mówiąc poważniéj, Wagner zapomina zbyt często o znaném prawie estetyki, że sztuka nie może być niewolniczém naśladowaniem życia i natury. Wszak ściśle biorąc, to i cały dramat muzyczny jest nienaturalnością, boć w *życiu* nikt nie śpiewa ani nawet nie deklamuje pod muzykę. Sztuka czerpiąc swą *prawdę* z ideału, musi się różnić w formie od *realnéj* prawdy życia zwyczajnego.

ciem realném, czy mogą nam zastąpić *ludzi?!...* Czyż nareszcie w świecie rzeczywistym nie zachodzą różne straszne kollizye uczuć i namiętności?

Wtém przywiązaniu do legendy widzimy raz jeszcze dowód tego excentrycznego mistycyzmu, który znamy w W. od czasów jego młodości. Legenda jest pięknym przedmiotem do opery, ale nie jedynym! Wagner i jego wielbiciele dużo rozprawiają dziś o tém, że wskrzeszają tragedyę grecką — że Niebelungi tém będą dla Niemiec, czém Antygona dla Hellady, są to także marzenia i nic więcéj. Grek mógł się interesować do żywego losami swych bohaterów i pół-bogów, bo Grek *żył* ze swym Olimpem w ciągłym duchowym stosunku — to była jego wiara, jego historya, nieledwie krew jego życia. Dziś co ogół Niemców mogą interesować zamierzchłe baśnie o śmierci bogów Walhalli? Ta wiara dawno umarła, nie dzisiejsza; i jedynie niemiecki szowinizm mógł aż tak wysoko postawić znaczenie trylogii.

Uwzględniając wedle naszéj możności dodatnie lub ujemne strony działalności W. nie można przepomniéć i o jego znakomitym talencie dyrektorskim. Dał go niojednokrotne dowody przy dyrygowaniu szczególnéj symfonii Beethovena (1). Ztąd łatwo pojąć, że w wykonaniu jest bardzo wymagającym i stawia swój ideał bardzo wysoko.

Podczas gdy Wagner w samotnéj ciszy, w Szwajcaryi pisał swe dzieła literackie i nowe dramata muzyczne, dawne jego dzieła coraz więcéj w Niemczech zyskiwały uznania. Pragnąc zdobyć sobie to uznanie i we Francyi udał się W. w 1859 roku do Paryża, gdzie zapoznał publiczność ze swemi dziełami w szeregu kilku koncertów, przyjętych bardzo dobrze przez prassę i publiczność. Tém ośmielony, przedstawił w „Wielkiéj operze" *Tannhäusera.*

---

(1) Jeden z biografów przytacza w tym względzie bardzo charakterystyczną anegdotę. W Londynie, na kilku koncertach, Wagner dyrygował symfonie Beethovena zawsze z pamięci. To dla wielu melomanów i znawców wydawało się lekceważeniem, ile że żaden z dyrektorów wprzódy nie pozwalał sobie téj śmiałości. Zwracano więc na to kilkakrotnie uwagę W. bądź prywatnie, bądź w pismach, tak, że nareszcie pewnego wieczoru, partytura leżała już na pulpicie. Po koncercie, jeden z muzyków zbliżył się do Wagnera dziękując mu, że zechciał usłuchać tych rad, i naturalnie zachwyca się nad wykonaniem symfonii Eroica. „Teraz dopiero powiada, wyszły na jaw wszystkie piękności dzieła. Szczególniéj Scherzo, jakże cudownie było wykonane!" Tu bierze do ręki partyturę, aby mu wskazać niektóre szczegóły, i o zgrozo! spostrzega, że ta partytura, z któréj dyrygował Wagner, jest przewrócona do góry nogami..... „Cyrulik Sewilski!"

Opera ta wystawiona z przepychem i znakomitym doborem najlepszych śpiewaków—upadła straszliwie, rzec można, wprzódy nim go wysłuchano. Różne okoliczności, bynajmniéj nie muzykalne, wpłynęły na ten fakt. Umysły były już wówczas bardzo rozżarzone przeciwko Niemcom, Wagner do tego płomienia dodał oliwy przez ogłoszenie dziełka (1), w którém niemiłosiernie wyszydza muzykę francuzką, nareszcie przez osobiste swe zachowanie się przy próbach, dość, że postanowiono bądź co bądź Tannhäusera pogrzebać i po trzech skandalicznie hałaśliwych przedstawieniach, som autor dzieło cofnął.

Jako prawdziwy odwet za to niegrzeczne przyjęcie Tannhäusera, należy uważać farsę: „Eine Capitulation“ które dwa czy trzy lata temu napisał Wagner. W téj komedyi występują wszystkie wybitniejsze postacie ostatniéj wojny francuzkiéj w karykaturze, co dziwne niemiłe i niesmaczne robi wrażenie (2).

W. powrócił do Niemiec w 1862 roku. Zrazu nie miał dostatecznego poparcia, wkrótce jednak je znalazł w Ludwiku II królu Bawarskim. Pod wysokim patronatem tego monarchy, i wyborną dyrekcyą Bülowa, miały miejsce w Monachium wzorowe przedstawienia jego dzieł, jak Tristana i Meistersingerów.

Lecz ani te „Mustervorstellungen,“ ani staranne późniéj wystawienie Rheingolda i Walküry nie zadowolniły Wagnera, który i na tym punkcie marzył o gruntownéj reformie. Już oddawna zresztą urządzenie teatrów zajmowało jego umysł, jeszcze przed wyjazdem z Drezna napisał plan organizacyi teatrów (1849) i teraz więc zaczął myśléć o wprowadzeniu w życie swych idei, o zbudowaniu teatru, któryby nie służył dla zabawy, ale był prawdziwą świątynią sztuki. Idee swoje wyłożył W. w mnogich drobniejszych publikacyach lub mowach, i znalazł przychylne echo w całym kraju, dzięki także szlachetnéj inicyatywie Ludwika II. Puszczono więc w obieg akcye na zbudowanie teatru według artystycznych wskazówek Wagnera i w prędkim stosunkowo czasie przy usilném współdziałaniu tak zwanych Wagnervereinów, myśl wcieliła się w czyn. Wybrano więc *miasto* „niewielkie, w pięknéj miejscowości, zatém usposabiające duszę słuchacza do przyjmowania poważnych estetycznych wrażeń, nie rozstrajające innemi rozrywkami, w mieście tém zbudowano teatr, gdzie tylko w pe-

---

(1) Przedmowa do textów jego oper po francuzku. Paryż, 1860

(2) Ob Dzieła literackie Wagnera, tom IX.

wnych epokach, w lecie mianowicie odbywać się będą uroczystości muzyczne, na które specyalnie zjeżdżać się będą słuchacze. Teatr jest zbudowany oczywiście według najlepszych akustycznych warunków, miejsca amfiteatralnie wznoszą się do góry -- a niewidzialna orkiestra ukryta w jamie głębokiéj (der mystische Abgrund!) będzie rodzić urocze złudzenia, nie odwracając uwagi słuchacza widokiem swych instrumentów, oraz wszelkich ruchów, jakie przy graniu są niezbędne. To miejsce szczęśliwe, na które wszystkich oczy się zwracają—ta *Mekka* muzykalna, to Bajreuth, w Bawaryi, mające 18,000 mieszkańców. Tam to w dniu 22 Maja 1873 r. w 39 rocznicę urodzin W. położono kamień węgielny nowéj budowy, tam w bieżącym roku na uroczystość pierwszego wykonania *całéj* trylogii zjadą się całe muzykalne Niemcy i *mniéj muzykalne* ościenne narody (1). Tam W. na czele swych niewidzialnych legionów stoczy bój stanowczy — tam ma nadzieję pokonać i zmusić do milczenia swych zaciętych wrogów. O ile mu się to uda, wkrótce obaczymy; w każdym razie nie sądzimy, aby to wykonanie przyniosło jakiś stanowczy rezultat; przyjaciele jak dotąd będą wielbić bez granic, przeciwnicy ganić bez miary, bo umysły, w Niemczech, przynajmniéj są jeszcze zbyt naprężone, aby się we właściwych szrankach zachować mogły — i nie byłoby może za śmiałém twierdzeniem, że my cokolwiek daléj przebywając od owego słońca, spokojniéj i bezstronniéj rozpatrzyć możemy jego światła i cienie.

Lecz może już dość szczegółów. Sądzę, że z przytoczonych tu wskazówek i faktów mógł w umyśle czytelnika powstać obraz, może niezupełnie niepodobny do Ryszarda Wagnera. Obraz ten ze swemi jaskrawemi i ciemniejszemi barwy, to tylko teraźniejszość. Co powie przyszłość? nie przewidujmy — jéj to zostawmy. Na zakończenie dwa ustępy pozwolę sobie przytoczyć:

Schumann w 1853 roku pisał o Wagnerze: „jeśli dzieła jego nie świecą tym blaskiem, jaki posiada geniusz prawdziwy, jest

---

(1) Pierwsze to wykonanie będzie miało miejsce w dniach następujących: Dnia 13 Sierpnia w Niedzielę o godzinie 7-éj wieczorem: das Rheingold. W Poniedziałek dnia 14 Walküre, o godzinie 4-éj po południu akt I-szy, o 6-éj akt 2-gi, o 8-éj akt 3-ci. W przestankach między aktami przechadzka dla odświeżenia umysłu, w pięknym ogrodzie. We Wtorek w podobny sposób przedstawionym będzie Siegfried, we Środę Gôtterdämmerung. Takie całkowite przedstawienie trylogii ma być powtórzone w bieżącym roku 3 razy.

w nich jednakże często ów czar tajemniczy, który zmysły nasze owłada.“

Drugi ustęp wyjmujemy z dzieł samego Wagnera. „Morze mówi on, rozdziela i łączy lądy. Muzyka łączy *taniec* (mimikę) i *poezyę* (słowo) za pośrednictwem *rytmu* i *melodyi*. *Rytm* i *melodya* to przeciwległe brzegi tego morza. Jeśli morze od brzegów się oddala (1), ginie łącznik. sztuka istnieć przestaje; jeśli wzbiera morze, zalewa brzegi.“ (2) Ważne to ostrzeżenie, kto wie czy nie dał Wagner samemu sobie. Mnie się zdaje przynajmniéj, że muzyka Wagnera mimo wielkich swych zalet, nieraz „zalewa brzegi.“

---

(1) To jest dźwięk nie odpowiada słowu i rytmowi.

(2) To jest ginie rytm i słowo w oceanie tonów.

KRYTYKA.

Sibirien und das Amurgebiet. Geschichte und Reisen, Landschaften und Voelker zwischen Ural und Beringstrasse. I. Sibirien von *Albin Kohn.* II. Das Amurgebiet von *Richard Andrée.* Leipzig. 1876.

Pod tytułem „Das Neue Buch der Reisen und Entdeckungen“ wydaje księgarnia Spamera w Lipsku od kilku lat opisy pojedynczych krajów, albo całych części świata w pojedynczych tomach, z których każdy stanowi osobną całość. Wydawnictwo to zasługuje ze wszech miar na uwagę i na jak największe rozpowszechnienie. Opisy krajów są dokonane na podstawie najnowszych badań naukowych i raportów najznakomitszych podróżnych. Przy tém forma opisów przystępna, pełna wdzięku, żywa i pociągająca. Redakcya, na któréj czele stoi znany redaktor czasopisma geograficznego „Das Ausland. Stuttgart, Cotta,“ Fryderyk Hellwald i podróżnik po Australii Ryszard Oberlaender, postawiła sobie zadanie, aby dać publiczności dzieła geograficzne, któreby odpowiadały wymaganiom ścisłéj nauki, a jednocześnie przystępną formą zdobyły sobie jak najszersze koło czytelników.

Myśl wyborna, bo jeżeli słuszne były i są skargi na brak wykształcenia geograficznego nawet w klassach społeczeństwa wykształconych, to wina tego niedostatku nietylko cięży na szkołach, ale przedewszystkiém na pisarzach geograficznych, którzy dawali czytelnikom nudną nomenklaturę rzek, miast, narodów, przyozdobioną liczbami, które drugiego dnia każdy czytający zapominał. Opisy podróży są znowu zbyt drobiazgowe, malują kraj i ludzi tylko na linii zwiedzonéj przez podróżnika, zaprzątają uwagę opowiadaniem przygód jego podróży i nigdy nie są w stanie dać obrazu zupełnego jakiegoś kraju. Owszem dają zawsze obraz

jednostronny, a nie umiejący tego ocenić czytelnik, zastosowuje wyczytane właściwości pewnych okolic i przypadkowe zajścia do całości kraju i powszechności mieszkańców i tworzy sobie fałszywe pojęcie. A może żadna nauka tak nie zasługuje na rozszerzenie w jak najdalszych kołach, nie jest tak potrzebną i przydatną w życiu codziennem, w każdym praktycznym zawodzie jak geografia. Rozszerza ona pojęcie o świecie, z rosnącą znajomością naszego globu zaostrza się nasz wzrok, uczymy się trafnie oceniać stosunki oddalone, a bystrzéj i swe własne otaczające nas. A tylko dzieła w tym rodzaju, jak Spamera Biblioteka, albo w wyższym stopniu *Geographie Universelle* Elizeusza Réclus'a, są w stanie zadosyć uczynić téj koniecznéj potrzebie rozszerzania wiadomości geograficznych w całéj massie wykształconéj publiczności. Juliusza Verne'a dzieła, to są w dwóch trzecich poemata, i nie waham się powiedzieć, że niedoświadczone umysly zbałamucone niemi zostaną, pomimo zalet olbrzymich, jakiemi się odznaczają te geograficzne fantazye.

Potrzeba aby nie fikcyjne kraje i morza, ale rzeczywiste były tematem obrazów geograficznych, potrzeba, aby każde zdanie takiéj popularnie napisanéj książki, było oparte na świadectwie wiarogodném, aby się opis opierał na najświeższych badaniach i aby odpowiadał w danéj chwili stanowisku nauki. Że tym wymaganiom odpowiadają dzieła wychodzące w Spamera Bibliotece, dowodzi już ten jeden wypadek, że wydrukowany w tym zbiorze opis Afryki wschodniéj Hermana Bartha, przetłómaczył w ubiegłym roku na język włoski nie kto inny, jak p. Correnti, prezes tow. geogr. rzymskiego, i że to uczone towarzystwo postanowiło postarać się o przekład i reszty tomów tego wybornego zbioru. Z własnego doświadczenia zaś wiem, że te same dzieła, na których przetłómaczenie uczeni mężowie nie żałują trudu i mozolu, czytały z nadzwyczajnym interesem kobiety i piętnastoletnie chłopcy. Przed niedawnym czasem czytałem w Ateneum narzekania na publiczność polską, że nie poparła dostatecznie wydawnictwa „Naukowéj biblioteki międzynarodowéj.“ Lecz to nie ogół publiczności winować należy, ale chyba nas, ten cech uczonych, bo z całym szacunkiem dla referenta Ateneum, pozwolę sobie powiedzieć, że nie można od wykształconego ogółu żądać, aby czytał dzieła Stewarta: O utrzymaniu energii, albo Fuchsa: O wulkanach i trzęsieniach ziemi. Lecz takie gruntowne a przytém powabne opisy krajów, przyozdobione pięknemi illustracyami, z pewnością znajdą i młodych i starych czytelników. Cóż dopiero nieporównana illustrowana geografia Elizeusza Réclus'a! Nie tu

miejsce rozpisywać się nad zaletami téj geografii, któréj pierwsze 60 zeszytów wyszły dotychczas u Huchetta, a o któréj słusznie powiedział Fryderyk Hellwald, że jest pierwszą geografią, którą z przyjemnością czytać można; chciałem tylko na to dzieło zwrócić uwagę tyle czynnéj Spółki księgarzy warszawskich.

W Bibliotece Spamera wyszły dotąd następujące dzieła: *Fr. Christmann i B. Oberlaender:* Oceanien, die Inseln der Südsee; *Fr. v. Hellwald:* Centralasien; *Fr. Christmann:* Australien; *R. Oberlaender:* West-Africa vom Senegal bis Benguela; *Hermann von Barth:* Ost-Africa vom Linapopo bis zum Somalilande; *Fr. von Hellwald:* Hinterindische Laender und Voelker; *H. v. Lankenau i L. v. d. Oelsnitz:* Das heutige Russland, o którém było sprawozdanie w drugim zeszycie Ateneum.

Najnowszą publikacyą tego zbioru jest „Sibirien und das Amurgebiet. Dr. Ryszard Andrée, znany w Niemczech pisarz i naczelnik geograficznego instytutu Velhagena i Klasinga w Lipsku, dał nam opis porzecza Amuru i krajów na północ od niego, a na wschód od Leny leżących, Kamczatki i wyspy Sachalin podług najlepszych relacyi. Raporta Maaka, Maxymowicza, Weniakowa, Francleta, de la Brunière, Vaunleta, Baliczewa zostały umiejętnie złożone na jeden obraz kraju i ludzi. Ukształtowanie geologiczne tych tak mało w Europie znanych, a taką przyszłość mających krain, ich bogactwo pod względem fauny i flory, pokłady minerałów pożytecznych, mianowicie węgla, płaszczyzny zdatne do uprawy, klimat, zwyczaje mieszkańców pierwotnych, położenie i byt nielicznych dotąd kolonistów, wszystko to znalazło w p. Andrée'm pilnego i zdolnego opowiadacza. O ile dzisiaj może być dokładnym i zupełnym opis tych dalekich krajów, o tyle jest nim opis Andrée'go, bo jest on właściwie tylko dobrym wyciągiem z dzieł wymienionych podróżnych. Może nie tak zupełny jest opis Syberyi p. Albina Kohna, który tworzy tom pierwszy dzieła, bo północne wybrzeża Syberyi pobieżnie tylko dotknięte, i autor ograniczył się na dokładnym opisie południowego pasa od Jekaterinenburga przez step Barabiński aż po Nerczyńsk. Ale ten opis jest tém interesowniejszy, że na własnych studyach i spostrzeżeniach autora oparty, a uzupełniony spostrzeżeniami innych podróżnych, mianowicie Raddego, ktorego wyborne dzieło (Reisen in Ost-Sibirien in den Jahren 1855—59, Petersburg. 1864) bogatego dostarczyło materyału. Autor daje nam z kolei historyę Syberyi, etnograficzny przegląd ludów sybirskich, geologiczny opis o ile mógł jak z najdokładniejszém wyszczególnieniem płodów kopalnych

już odkrytych i prawdopodobnie w łonie ziemi jeszcze spoczywających, doskonały opis zwierząt i ptaków charakteryzujących faunę sybirską, tak samo opis roślin charakterystycznych, przegląd historyczny podróży po Syberyi, a nareszcie pogląd na ekonomiczny i społeczny stan kraju. P. Kohn przebył cztery lata na Syberyi w gubernii Irkuckiéj, robił w tym czasie wycieczki i podróże, i przyznać mu należy, że czy natura, czy stosunki ekonomiczne znalazły w nim bardzo bystrego spostrzegacza. Mianowicie jego opisy fauny i flory sybirskiéj, daléj pomysły o ekonomicznem położeniu kraju, o przeszkodach tamujących rozwój górnictwa, o gałęziach przemysłu, które śmiałemu przedsiębiorcy wielkie obiecują korzyści, o systemie administracyjnym są wyborne.

Zwracam uwagę czytelników na bystre uwagi pana Kohna o bogactwach przyrody sybirskiéj i sposobach jak najkorzystniejszego ich exploatowania: trafne jego pomysły nietylko są naukowo ciekawe, ale mają wartość praktyczną. Część geologiczna i etnograficzna dzieła pana Kohna nie zasługuje mojém zdaniem na tak bezwzględną pochwałę jak inne. Wprawdzie o ile tutaj autor ograniczył się na spostrzeżeniach, zapiski jego czy o zwyczajach, czy o charakterze fizycznym i moralnym krajowców, czy też o naturze skał i pokładów ziemnych, są nadzwyczaj ciekawe, często zupełnie nowe i wyborne. Ale skoro się od zapisywania pojedynczych faktów czy to geologicznych, czy etnograficznych posunie do generalizacyi, do poddania pojedynczych zjawisk prawom ogólnym, chwieje się i sam sobie sprzeciwia. Pod względem geologicznych teoryi raz jest katastrofistą, jak gdyby nigdy Lyell i cała nowa szkoła geologiczna nie istniała; na innéṁ miejscu przemawia zupełnie w myśl téj szkoły za ognisto-płynném jądrem ziemi, a nawet idzie daléj, bo stanowczo granit za erupcyjną skałę uważa; to znowu przechyla się na stanowisko Fryderyka Mohra, zapalonego neptunisty i przeciwnika teoryi o ognisto-płynném wnętrzu ziemi. Że p. Kohn przytém wspomniał jako o powadze naukowéj o Dr. Rudolfie Vallissie, prawdziwym Sanszo Panszy tego geologicznego obozu, to dowodzi tylko, że jest on autodidaktem w nauce (co mu bynajmniéj nie ma ubliżać), i że lepiéjby było, aby był poprzestał na spostrzeganiu, a od systematyzowania się powstrzymał.

To samo należy powiedzieć o etnograficznéj części dzieła p. Kohna. Spostrzeżenia jego są ciekawe i wyborne, ale klassyfikacya ludów sybirskich zamieszana i niejasna. Wszystkie ludy sybirskie, z wyjątkiem nieoznaczonego stanowiska Jenissej-Ostya-

ków i Jukhagirów, zalicza dzisiejsza etnografia (Peschel: Voelkerkunde p. 401 — 415) do Mongoloidów, który to wielki szczep rozdziela się na pięć gałęzi: 1) tunguzką, 2) mongolską, 3) turecką, 4) fińską, 5) samojedzką. Owoż u pana Kohna panuje pod względem klassyfikacyi tych ludów, klassyfikacyi opierającéj się do dzisiaj przedewszystkiém na wybornych studyach Castren'a, jak największe zamieszanie. Ostyaki należą raz do tureckiéj gałęzi, to znowu pisze autor, że na pierwszy rzut oka poznać, że są fińskiego szczepu. Bardzo często używa autor nienaukowéj zupełnie nazwy Tatarów, która to nazwa żadnéj stale określonéj rassy nie oznacza, a to tatarskie nazwisko błąka się wszędzie i tworzy zamieszanie. Co to znaczy etnograficznie „fińsko-tatarski?“ Nie dobrze także jest, że niektóre obrazki nie zgadzają się wcale z textem. Na str. 110 występuje autor stanowczo przeciwko pokrewieństwu Jakutów i Tunguzów z Indyanami północnéj Ameryki, a umieszczone obrazki wyglądają iście jak portrety Skór czerwonych. Na str. 120 pisze autor o płaskich czaszkach Jakutów, a na obrazku mają oni głowy spiczaste, wieżowe czaszki z grobów peruwiańskich przypominające. Nie ma nic trudniejszego nad klassyfikacyę etnograficzną ludów. Najlepszy to dowód, że ile głów, tyle pomysłów. Czyż istnieje aby jeden najgeneralniejszy podział na rassy, na któryby istniała zgoda powszechna? Trudność leży w tém, że indywidua pojedynczych szczepów różnią się pomiędzy sobą, a zbliżają się znowu do pokrewnych. Nigdzie nie ma stale nakreślonych granic, wszędzie są przejścia, „natura nie zna przeskoków.“ Potrzeba brać wzgląd przy klassyfikacyi na wszystkie przymioty fizyczne i moralne pewnego pokolenia; tymczasem autor bardzo często zadawala się jednym tylko, to kształtem czaszki, to znowu zabobonem jakim ludowym, aby ten lub ów szczep pod niewłaściwą podciągnąć rubrykę. Pozwolę sobie także autorowi przypomnieć, że pan Fryderyk Hellwald, jakkolwiek posiada obszerną wiedzę, za powagę etnograficzną służyć nie może.

Pod względem formy mam tylko jedno do nadmienienia. Pan Kohn zrobił nie nowe wcale odkrycie, że przesądy i zabobony objawiają się tymże samym sposobem u ludów wyznających najrozmaitsze religie, i z upodobaniem, bo bardzo często, wyciąga parallele między zabobonami Buryatów albo Jukhagirów a zabobonami chrześciańskich ludów. Ale to nic nowego, i gdyby autor raz to był zauważył, byłoby bardzo stosownem; lecz ponieważ spotykamy się z tego rodzaju rozprawami bardzo często, to

powtarzanie staréj prawdy nuży. „Man merkt die Absicht und man wird verstimmt,“ pisał niemiecki poeta.

Przecież te, przynajmniéj według mego zdania, usterki, nie niweczą bynajmniéj wysokiej wartości dzieła. Pan Kohn umiał patrzeć, i dał nam bardzo obfity plon trafnych spostrzeżeń, a czytelnik z łatwością przejdzie ponad owemi niezbyt szczęśliwemi generalizacyami do porządku, z korzyścią zaś i przyjemnością, pouczy się o zasobach i naturze kraju, który z ułatwieniem kommunikacyi nabierze, prawdopodobnie w krótkim czasie, i dla nas wysokiego znaczenia pod względem handlowym.

Stanisław Warnka.

KONIEC ZESZYTU SIÓDMEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni.*

———————

CESARSTWO ROSSYJSKIE

MONGOLIA

MANCZURYA

TURAN

PERSYA

AFGANISTAN

BELUDŻYSTAN

INDYE

WSCHODNI TURKESTAN

CESARSTWO CHIŃSKIE

MORZE KASPIJSKIE

Morze Czarne

Morze Ochockie

Morze Żółte

Mapa
Koleji azyatyckich
p. Stanisława Warnke
Skala: 1 do 20.000.000.

projekt Bogdanowicza
projekt Cottarda i Lessepsa
projekt Helmersena, Moellera
projekt Hochstettera
Kolej perska jen. Falkenhagena
projekt Richthofena

